
Lubisz romanse historyczne?
Przeczytaj koniecznie!
Jo Beverley
NIEOCZEKIWANA HRABINA

# Jo Beverley

# NIEOCZEKIWANA HRABINA

przełożyła
Anna Pajek

bis
Warszawa 2014

Tytuł oryginału: ***An Unlikely Countess***

Projekt okładki: Studio KARANDASZ

Copyright © Jo Beverley, 2011
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS, 2014


Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl

*Polska Izba Książki*

ISBN 978-83-7551-391-2

Wydawnictwo BIS ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

# Nieoczekiwana hrabina

**Spis treści**

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI

Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII
Rozdział XXXIII
Rozdział XXXIV
Rozdział XXXV
Rozdział XXXVI
Rozdział XXXVII
Od Autorki
Okładka tylna

# Rozdział I

*Northallerton, Yorkshire,*
*marzec roku 1765*

Był pijany, lecz nie na tyle, aby nie widzieć, co się dzieje na słabo oświetlonej ulicy. Nie dostrzec rzezimieszków przy robocie. Lub tego, że ich ofiarą jest kobieta.

Catesby Burgoyne uśmiechnął się, dobył szpady i ruszył, wydając budzący grozę bojowy okrzyk. Napastnicy odwrócili się, wybałuszyli oczy i otwarli szeroko usta. A potem uciekli.

Cate zachwiał się i jął wymachiwać szpadą.

– Wracajcie! – ryknął. – Wracajcie, łotry i posmakujcie mojej szpady! – Odpowiedział mu jedynie odgłos oddalających się kroków. – Do licha z wami – wymamrotał. – Trochę zdrowej rozrywki dobrze by mi zrobiło!

Zza pleców dobiegł go czyjś urywany oddech, odwrócił się zatem, unosząc broń, lecz była tam tylko kobieta. Stała oparta plecami o ścianę domu, wytrzeszczając na niego oczy.

Jako że wąską uliczkę oświetlały wyłącznie dwie lampy przy drzwiach, jej postać zdawała się jedynie mieszanką bladości i cienia. Blada twarz otoczona rozpuszczonymi, jasnymi włosami. Ciemna suknia okrywała ją od stóp po szyję. Suknia była przyzwoita, fryzura nie. Ale czy przyzwoita kobieta włóczyłaby się nocą sama po ulicach?

Schował szpadę.

– Musisz być nowa w tym fachu, skarbie, skoro ubierasz się tak ponuro.

Do licha, gdzie jego maniery? Nie ma potrzeby zachowywać się grubiańsko tylko dlatego, że kobieta jest dziwką, a on na bakier ze światem. Ukłonił się zatem.

– Catesby Burgoyne, *madame*, do usług. Mogę panią odprowadzić?

Potrząsnęła w milczeniu głową.

Podszedł bliżej, by się jej przyjrzeć. Próbowała się cofnąć, ale nie miała dokąd.

– Proszę... – wyszeptała, przytrzymując szczupłą dłonią na piersi szal, jakby była to zbroja.

Cate już miał ją zapewnić, że nie ma się czego obawiać, kiedy drzwi pobliskiego domku otwarły się i głos z płaskim yorkshirskim akcentem zapytał:

– Co tam się dzieje?

Przysadzisty mężczyzna trzymał w dłoni świecę. Oświetlała bardziej jego niż ich, mimo to kobieta odwróciła się, by ukryć twarz.

Czyżby posiadała reputację, którą obawiała się stracić?

– Dama została zaatakowana, *sir* – odparł Cate, starając się mówić na tyle wyraźnie, by mężczyzna nie potraktował go jak pijanego. – Łotry uciekły, a ja odprowadzam panią bezpiecznie do domu.

Mężczyzna przyjrzał się Cate'owi, lecz jak na rozsądnego człowieka przystało, nie zamierzał pakować się w kłopoty. A może powstrzymał go arystokratyczny akcent Cate'a?

– Zatem, dobranoc – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Cate odwrócił się znów do kobiety. Nadal wpatrywała się weń przerażona, lecz interwencja kogoś ze znajomego otoczenia sprawiła najwyraźniej, że wrócił jej głos.

– Muszę panu podziękować – powiedziała zdyszana. – Lecz nie ma potrzeby, by tracił pan więcej czas.

Głos osoby dobrze urodzonej. I ani śladu obrączki. Gdzie byli jej ojciec lub brat? Dlaczego pozwolili jej chodzić samej po ulicy?

– Nie jestem być może ideałem dżentelmena, *madame*, nie mogę jednak pozwolić, by dama tak się narażała.

– Mieszkam w pobliżu...

– Zatem nie stracę zbyt dużo czasu, odprowadzając panią.

Gestem nakazał jej, by ruszała. Dowodził mężczyznami w boju. Z pewnością poradzi sobie ze zwyczajną kobietą. I rzeczywiście, poszła przed siebie ulicą, sztywna z niepokoju.

Lub gniewu?

Interesujące. Przyjrzał się jej, wytężając wzrok. W ciemności trudno było ocenić rysy, ale jej twarz i postawa wyrażały... złość. Tak. Złość. Może i miała powód, by się go bać, ale nie złościć. Poza tym ociągała się, idąc, lecz nie pozwolił się zniechęcić.

– W którą stronę, *madame*?

Przyśpieszyła, jakby próbowała go wyprzedzić – chude, zgorzkniałe stworzenie, całe złożone z ostrych kątów i antypatii. Bez wysiłku dotrzymał jej kroku.

– To nierozsądne wychodzić samej o tej porze, proszę pani.

– Chciałam tylko się przejść.

– Nie jestem nigdzie umówiony. Jeśli chce pani pospacerować, mogę pani towarzyszyć. Godzinami.

Jej rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły i to go rozbawiło. Istne błogosławieństwo w tym ponurym dniu.

Dotarli do głównej ulicy miasteczka. Poza nimi nie było tam nikogo, lecz jako że przebiegał tędy również Wielki Północny Trakt, stało przy niej mnóstwo gospód, nadal otwartych w nadziei na zarobek. Powóz zaturkotał na bruku i wtoczył się za łukową bramę Złotego Lwa, najlepszej oberży w mieście.

Po lewej znajdowała się Głowa Królowej, nędzna, źle prowadzona knajpa, gdzie bez sukcesu topił przez cały wieczór smutki. Uciekł stamtąd, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz w marcu powietrze w Yorkshire, choć świeże, było też przenikliwie zimne, a najbliższy powóz do Londynu odchodził dopiero wczesnym rankiem. Potrzebował przyłożyć gdzieś głowę, lecz mógł sobie pozwolić jedynie na łóżko we wspólnej izbie.

Kobieta po prostu tam stała.

– Zapomniała pani, gdzie mieszka, *madame*? – spytał kpiąco.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego.

– A dlaczegóż to *pan* włóczy się nocami po ulicach?

– Mężczyźnie wolno. Zwłaszcza jeśli ma przy sobie szpadę i wie, jak jej użyć.

– Mężczyznom wolno wszystko, a biedne kobiety nie mają żadnych praw.

– Któryż to mężczyzna tak panią skrzywdził? Mam szpadę i wiem, jak jej użyć.

Zaśmiała się krótko.

– Nie wyzwie pan mojego brata.

– Nie chciałby walczyć?

– Tylko w sądzie. Jest adwokatem.

– Najgorszy rodzaj szumowiny.

Powiedział to w sensie ogólnym, jednak kobieta przytaknęła:

– W rzeczy samej.

Czym braciszek adwokat tak się jej naraził? Zrobił coś, za co on mógłby się w jej imieniu zemścić? Skończył już z wojowaniem, jednak akurat w tej chwili trochę przemocy dobrze by mu zrobiło.

– Jego nazwisko i miejsce zamieszkania? – zażądał.

– Jest pan śmieszny.

– Może ma powód, by źle się zachowywać, skoro smaga go pani na okrągło ostrym językiem.

– Pan też by to robił, gdyby... och! – W jej głosie brzmiała czysta rozpacz. – Przypuszczam, że jako mężczyzna będzie pan chciał postawić na swoim. Dobrze więc.

Przeszła przez ulicę, skręciła w zaułek, przy którym stały niewielkie domki i zatrzymała się przy czwartym.

– Dobranoc panu – syknęła cicho.

Nie chciała zatem obudzić sąsiadów, by nie zauważyli jej niestosownego zachowania. Jedyne światło dobiegało zza kilku zamkniętych okiennic, domyślał się jednak, że w domku znajdują się zaledwie cztery pomieszczenia: dwa na dole i dwa na górze.

Sądząc po zachowaniu i sposobie wysławiania się kobiety, musiała nisko spaść na drabinie społecznej.

– Czy brat pani jest w domu? – zapytał cicho.

– Nie, Bogu dzięki.

– Szybko wróci?

– Miałby mieszkać tutaj? Aaron? – zaśmiała się, lecz szybko zakryła usta dłonią.

Coś było nie tak, a jemu zawsze trudno było zostawić kulawe kaczę własnemu losowi. Przekleństwo jego życia.

– Jeśli mnie pani zaprosi, może mógłbym coś doradzić.

– Zaprosić pana? – Rozejrzała się dookoła, zaniepokojona, że ktoś może ich zobaczyć. – Proszę odejść.

– Nie planuję gwałtu. Potrzebuje pani pomocy, a nie możemy rozmawiać tutaj.

– I nigdzie indziej. Proszę odejść, bo zacznę krzyczeć.

– Naprawdę?

– Ty pijany, żałosny... – syknęła gniewnie.

W pobliżu otwarły się jakieś drzwi i męski głos zapytał:

– Kto tam? Co się dzieje?

Stary mężczyzna mówił z tak mocnym akcentem, że Cate ledwie go rozumiał, a przecież urodził się i wychował w Yorkshire. Nietrudno było się jednak domyśleć znaczenia jego słów.

Nacisnął klamkę i wepchnął kobietę do środka. A potem wszedł za nią i zamknął drzwi. Zamarli oboje na chwilę, nasłuchując. Nozdrzy Cate'a doleciał słodki zapach. Zatem kobieta zadawała sobie trud, aby przełożyć ubrania ziołami.

Zaskomlił pies.

Cate odwrócił się, gotów stawić czoło kolejnemu niebezpieczeństwu, jednak zwierzę okazało się spanielem, rasowym i raczej pokojowo nastawionym. Wyłonił się z oświetlonego pokoju w głębi.

Kobieta przepchnęła się obok Cate'a i podeszła do psa.

– Wszystko w porządku, Toby. – Pogłaskała kudłate uszy i zwierzak zamachał ogonem.

Weszli razem do kuchni, a Cate za nimi, instynktownie pochylając głowę. Sufit okazał się co prawda na tyle wysoki, że mężczyzna nie sięgał belek głową, ale niewiele brakowało. Podłogę stanowiło klepisko, w powietrzu unosiła się wilgoć, a we frontowym pokoju stało tylko jedno krzesło z zapadniętym siedzeniem.

Czy reszta mebli została wyprzedana, by umożliwić przeżycie?

O co tu chodzi?

Pochyliwszy się, wszedł do kuchni i omal nie nadział się na nóż, trzymany stanowczo szczupłą dłonią. Był to jedynie krótki nóż kuchenny, ale zapewne wystarczająco ostry, by zadać rany.

Pies, tchórzliwe stworzenie, zaskomlił znowu, jednak kobieta, z nożem w ręku, zdeterminowanym spojrzeniem i błyszczącymi w świetle lampy jasnymi włosami prezentowała się po prostu wspaniale. Cate uniósł dłonie.

– Nie zamierzam pani skrzywdzić. Daję słowo.

– A dlaczego miałabym panu wierzyć? Proszę wyjść. Natychmiast.

– Dlaczego? – zapytał, rozglądając się.

Łojowa świeczka dawała zbyt mało światła i za wiele smrodu, wystarczyło to jednak, aby ukazać nędzę otoczenia. W maleńkiej

kuchni, podobnie jak w reszcie domu, panował przenikliwy chłód. Jeśli w kuchennym piecu gotowano, ogień dawno już wygasł. Nie widział też nigdzie jedzenia.

Jedynymi meblami były: sosnowy stół, dwa krzesła i byle jak sklecony kredens, mieszczący tanie naczynia. Obok nich stało jednak kilka sztuk ładnej porcelany i szkła. Pozostałości lepszego życia, widoczne w sposobie wysławiania się kobiety i jej pełnym godności zachowaniu?

Jak to się stało, że podobna bogini wylądowała w tak trudnym położeniu? Dlaczego była nędznie ubrana i przemoczona?

Suknię miała w nietwarzowym odcieniu czerni, a jej ramiona okrywał wyjątkowo szkaradny, brązowy szal.

Czy naprawdę przemierzała ulice, próbując zarobić trochę grosza w jedyny możliwy sposób?

Jej szczupła figura świadczyła o niedożywieniu, twarz miała jednak godną rzymskiej cesarzowej – wysokie brwi, długi prosty nos, pięknie wykrojone usta i kwadratowa broda. Nie była to twarz, która mogłaby podbić urodą modny światek, ale na Boga, jeszcze trochę, a podbije jego.

– Proszę wyjść! – rozkazała znowu, lecz bez uprzedniego przekonania. Toby zaskomlił, ukryty bezpiecznie pomiędzy jej spódnicami.

Uświadomił sobie, że jego wzrost i potężna sylwetka muszą przerażać, usiadł zatem i położył dłonie płasko na stole.

– Podziwiam odwagę pani, *madame* – powiedział, patrząc jej w oczy – lecz nie odstraszy mnie pani, a gdyby przyszło do walki, mogłaby pani co najwyżej mnie zadrapać. Prościej będzie, jeśli po prostu pani usiądzie i opowie mi, co się jej przydarzyło.

Próbowała podtrzymać w sobie determinację, lecz drżały jej wargi.

*O, do licha!*

Wyjął pośpiesznie z kieszeni skórzaną flaszkę i postawił na stole.

– Proszę się poczęstować.

– Co to takiego?

– Holenderski sposób na odwagę.

– Co?

– Jałowcówka. Dżin.

– Dżin?!

– Nigdy go pani nie próbowała? Poprawia samopoczucie.

Chwyciła mocniej nóż. Cate uniósł się na krześle, gotów do obrony, lecz ona wbiła ostrze głęboko w blat.

– No, no – powiedział po chwili pełnej uznania ciszy. – Proszę usiąść, napić się i opowiedzieć mi o sobie.

– Pan wypił już za dużo, *sir*.

– Póki jestem przytomny, wszystko jest w porządku. Widzę, że ma pani szklaneczki. Możemy napić się wytwornie.

Nagle kobieta zaczęła się śmiać. Był to brzydki dźwięk, lecz rozładował nieco atmosferę. Odsunęła z twarzy opadające kosmyki, sięgnęła po naczynia i postawiła je z hukiem na stole. Podeszła do otwartego kredensu i wróciła z butelką.

– Brandy – powiedziała. – Lekarstwo mojej matki. Przyniosę wodę.

– Żal byłoby rozwadniać dobry trunek. – Cate podniósł butelkę i odkorkował ją. – Mama pani jest na górze?

– Matka nie żyje.

– Wyrazy współczucia.

– Zmarła przed czterema miesiącami.

Cate przeklął swój zaćmiony alkoholem umysł. Podsuwano mu kawałki układanki, lecz nie potrafił złożyć ich w całość.

Kobieta usiadła naprzeciw niego, wyprostowana dumnie.

– Proszę nalać i mnie.

Nóż sterczał z blatu i Cate pomyślał przelotnie o mieczu Damoklesa. Myśl odpłynęła jednak, zastąpiona kolejną, równie mglistą.

Powąchał brandy. Niezbyt dobry gatunek, ale z pewnością się nie otrują. Nalał trunku na centymetr i podsunął kobiecie alkohol, a potem nalał sobie tyle samo. Zwykle nalałby więcej, ale i centymetr mógł sprawić, że dziewczyna osunęłaby się pod stół. Nie chciał jej upić, ale rozwiązać język.

I wziąć w ramiona?

Nie, w jego życiu nie było miejsca na podobne szaleństwa. Pomoże jej wszakże, jeśli będzie w stanie.

Spaniel otarł mu się o kolano i zaskomlił, dopraszając się uwagi i machając ogonem.

– Zmiataj, tchórzu.

– Nie ma potrzeby być okrutnym – zganiła go. – Chodź do mnie, Toby.

Pies umknął i dopiero teraz Cate zorientował się, że zwierzę nie ma tylnej łapy. No pięknie, kulawy pies na dodatek do kulawego kaczęcia – choć do kobiety bardziej pasowałoby porównanie do sokolęcia. Podniósł szklaneczkę i upił łyk brandy, wiedząc, że powinien wyjść, nim się w coś wplącze.

Kobieta spróbowała trunku, skrzywiła się, lecz potem wypiła spory łyk, tym razem w pełni świadomie. Oto niewiasta, chętna poznawać nowe doświadczenia. Kolejna z cech, które mu się w niej podobały.

– Powie mi pani, jak się pani nazywa, *madame*?

– Nie.

– Ja się przedstawiłem.

– Już zapomniałam, jak się pan nazywa.

Zawahał się, ponieważ rodowa siedziba Burgoyne'ów, Keynings, znajdowała się zaledwie o dwadzieścia mil od miasta, uznał jednak, że powinien być szczery.

– Catesby Burgoyne, do usług.

Objęła szkło, jakby mogło ją rozgrzać.

– Dziwne imię, Catesby.

– Nazwisko rodowe mojej matki. Tak, linia pochodzi od Roberta Catesby'ego, papisty, który przewodził spiskowi prochowemu. Próbowali wysadzić w powietrze króla Jakuba I i cały jego parlament.

– Spisek Guya Fawkesa? To dziwne przekazać synowi podobne dziedzictwo.

– Też tak sądzę, matka uważa jednak, że to imię odpowiednie dla kogoś trwającego stanowczo przy swoich przekonaniach.

– Jest pan zatem papistą?

– Nie, i ona też nie, podobnie jak jej rodzice czy dziadkowie.

Uśmiechnęła się kątem ust, a zakryte ciężkimi powiekami oczy zabłysły. Kolejny wabik. A raczej dwa. Błyskotliwe poczucie humoru i piękne oczy. Czy śmiałaby się w chwili namiętności, jak obiecywały jej oczy? To też by mu się podobało.

– Nie twierdzę, że matka jest kobietą logicznie myślącą – powiedział, unosząc szklaneczkę. – Czy imię pani także przywodzi na myśl ponure skojarzenia? Judyta, która ucięła głowę Holofernesowi? Boadicea wiodąca do boju armię przeciw rzymskiemu najeźdźcy?

Ledwie się uśmiechnęła.

– Nadal milczymy? Sam nadam więc pani imię: Hera.

– Żona Zeusa?

– Królowa bogów.

– Tylko za sprawą małżeństwa. Już wolałabym być Judytą działającą we własnym imieniu.

– Jest więc gdzieś mężczyzna, którego chciałaby pani pozbawić głowy?

Upiła łyk brandy, wpatrując się z ponurą miną w nóż.

– Brat pani? Adwokat... i hazardzista?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Ubóstwo.

– Aaron nie jest biedny.

– Zatem pozbawiony uczuć.

Upiła kolejny łyk, jednak nie rozwiązało to jej języka. Dolał odrobinę do szklaneczki kobiety i uzupełnił swoją.

– Ja też mam brata – powiedział, aby zachęcić ją do zwierzeń – lecz to najlepszy z ludzi. Czuły syn, oddany mąż, kochający, chociaż stanowczy ojciec.

– Ma pan więc szczęście.

– Na pewno.

Przechyliła głowę.

– Nie jest do końca taki, jaki się wydaje?

– Przeciwnie, jest.

– Ale ma mu pan to za złe? Ponieważ nie posiada pan żadnej z tych cech?

Miała umysł ostry jak nóż, ale to tylko dodawało jej uroku.

– A brat pani? – powtórzył, domagając się odpowiedzi. – Jak mógł dopuścić, by znalazła się pani w takim położeniu? Od razu widać, że urodziła się pani do lepszego życia.

– Nie wie, jak żyję. Nie odwiedził mnie, odkąd umarła mama, a przedtem mieszkałyśmy gdzie indziej. – Upiła jeszcze łyk brandy i utkwiła wzrok w alkoholu, przyglądając się, jak płomień świecy rozjaśnia płyn i nadaje mu barwę bursztynu. – Sądziłam, że jest czułym synem. I dobrym bratem.

Brandy zaczynała w końcu działać. Cate nie mógł sobie przypomnieć, kiedy tak mała ilość trunku rozwiązała mu język. Dawno, dawno temu.

– Aż do? – podpowiedział.

– Wczoraj. Do wczoraj nadal miałam nadzieję. Dziś otrzymałam ten list. – Spojrzała na leżący na podłodze, rozłożony arkusz. – Przysłał go przez jakiegoś podróżnego. Miło z jego strony, gdyż zaoszczędził mi opłaty pocztowej, jednak list przyszedł późno. Najgorsze rzeczy zawsze zdarzają się nocą.

– Co jest w liście?

– Oznajmia, że wydatki, związane z mającym wkrótce nastąpić ślubem uniemożliwiają mu podniesienie kwoty, jaką przysyła mi na utrzymanie.

– To nie wydaje się takie znów nieuzasadnione.

– Nie? – Ich spojrzenia spotkały się nad blatem i sterczącym z niego nożem. – Przysyła trzy gwinee miesięcznie.

– To bardzo mało – zgodził się z nią.

– Chwaląc się jednocześnie, że będzie miał wkrótce piękny dom, a jego żona powóz i parę koni.

– Ach...

Postawiła szklaneczkę tak gwałtownie, że brandy chlusnęła na stół.

– Jest mi winien przyzwoite życie. I matce, gdyby jeszcze żyła. Wszystko, kim jest, co posiada, zawdzięcza naszej pracy i wyrzeczeniom. Obywałyśmy się bez wygód i luksusów, często zadowalając się tym, co absolutnie niezbędne.

Była tak rozgniewana, że Cate niemal bał się oddychać.

– Mieszkam tutaj – potoczyła dłonią dookoła. – Kiedyś miałyśmy ładny dom, ale... przeprowadzałyśmy się do coraz biedniejszych, żeby go wspierać. Moja kochana matka umarła w biedzie. Wszystko po to, żeby mój brat mógł zdobyć wykształcenie oraz pozycję w zawodzie. Zapewnić matce powrót do przyzwoitego, wygodnego życia. A mnie znalezienie dobrego męża.

– A teraz?

– Teraz wyrzuca pieniądze i mówi, że muszę czekać.

– Dziś wieczorem wybrała się pani go odwiedzić?

– Mieszka w Darlington. – Upiła kolejny łyk i tym razem trunek wyraźnie jej posmakował. – Gdy przeczytałam list, nie mogłam uwierzyć w to, co zawiera: czekaj, czekaj, czekaj. To miejsce miało być tylko na chwilę, zanim minie okres żałoby, a Aaron nie ukończy praktyki. Jest prawnikiem i wkrótce pojmie

za żonę córkę bogatego człowieka. Dlaczego miałabym czekać dłużej? Byłam zaszokowana. A potem zła. Bardzo, bardzo zła. Czułam się... Cóż, ta brandy chyba rzeczywiście pomaga. – Utkwiła wzrok w nożu, jakby rozważała, w jakim morderczym celu się nim posłużyć.

Do licha! Wierzył, że przeżyła szok i łzy byłyby czymś naturalnym, lecz taki gniew to coś zupełnie innego, zwłaszcza wobec wbitego z furią noża. Coś tak nieokiełznanego mogło zaprowadzić ją do domu wariatów, a może nawet na szubienicę.

– Ale dlaczego pani wyszła? Co pani zamierzała?

Zamrugała, patrząc na niego.

– Co zamierzałam? Po prostu nie mogłam zostać w środku. Dusiłam się otoczona ciemnością, wilgocią, dowodami naszego ubóstwa. Wspomniałam czułe obietnice, jakie czynił matce i łzy przy jej grobie, ponieważ jego sukces przyszedł za późno. Częściowo była to wina matki. Zawsze starała się jakoś sobie poradzić, nawet kiedy...

Cate dolał jej brandy, żałując, że nie dokończyła zdania. Nie usłyszał na razie nic nowego. Gdzie sięgały korzenie tej tragedii?

– Zawsze był tak wdzięczny za dodatkowy grosz, który udało się nam uciułać – powiedziała – ale nie zdawał sobie sprawy, jakim kosztem go wspieramy. Kiedy przychodził, zakładałyśmy najlepsze suknie i mama podawała herbatę na kilku ocalałych sztukach porcelany. Miałyśmy też przyzwoite meble, ale musiałam je sprzedać, żeby zapłacić za pogrzeb. Matka zmusiła mnie, bym obiecała, że to nie on poniesie koszty, gdyż potrzebuje każdego pensa, by zaistnieć w zawodzie.

– Zatem wina nie leży wyłącznie po jego stronie.

– Gdyby miał odrobinę rozsądku, gdyby choć raz postarał się dostrzec coś poza własnymi potrzebami... Wiedziałam, jaki jest, nie wyobrażałam sobie jednak... Przeczytałam ten list i nagle wszystko to mnie przerosło. Czułam, że się duszę. Musiałam wyjść, zaczerpnąć powietrza. Spacerowałam po prostu ulicami...

– Póki nie została pani zaatakowana.

– Właśnie.

Gniew ją opuścił. Wyciągnęła dłoń i zaczęła rysować szczupłym palcem wzór w rozlanej na stole brandy. Spracowanym palcem ze złamanym paznokciem. Trzy gwinee miesięcznie. Wystarczyło na czynsz, opał i skromne jedzenie, lecz na nic więcej.

– I co zamierza pani zrobić?

– Zrobić? – Wyprostowała się. – Napiszę do niego ponownie. Jestem winna tego, że podążałam dotąd śladem matki i nie wyjaśniłam mu należycie sytuacji.

– A jeśli nie zareaguje tak, jak pani sobie życzy?

– Musi.

Nie mogła być tego pewna. Nie miała dość amunicji i z pewnością zdawała sobie z tego sprawę. Co z oczu, to z serca i jeśli jej brat zechce nadal zachowywać się samolubnie, będzie żyła w biedzie do śmierci.

Miała w sobie coś, co sprawiało, że najchętniej zabrałby ją z nędznego otoczenia i zapewnił lepsze życie, ale co mógłby zaoferować kobiecie? Nie miał zawodu. Wywarto na niego presję, by sprzedał patent oficerski i zakomunikowano, że nie będzie odtąd w armii mile widziany. Wszystkie inne przedsięwzięcia, jakich się od tamtej pory imał, kończyły się niepowodzeniem.

Brat zapewniłby mu stały dochód, gdyby nie to, że przed kilkoma godzinami omal się nie pobili. Nie mógł wrócić teraz do Keynings.

Jedynym wyjściem zdawało się znalezienie bogatej żony. Nie miał zbyt dużo do zaoferowania kobiecie ze swojej klasy, ale być może fakt, iż jest drugim synem lorda, znaczyłby coś dla bogatego kupca lub kogoś podobnego.

Nie, nie miał nic do zaoferowania Herze.

– Nie byłoby dla pani lepiej, gdyby zatrudniła się pani jako guwernantka albo dama do towarzystwa? – zasugerował.

– Miałabym zostać służącą? Nigdy. Dostanę to, co mi się należy. Będę żoną i będę miała własny dom.

– Boadicea – powiedział, krzywiąc się – poprowadziła armię przeciwko Rzymianom i została zgładzona, a wraz z nią niemal cały jej lud.

– Coś takiego raczej mi nie grozi, panie Burgoyne.

– Mam nadzieję. Musi pani jednak wiedzieć, że świat nie bywa łaskawy dla kobiet, które czegoś się domagają, nieważne, słusznie czy nie. – Dopił brandy i wstał. – Przykro mi z powodu sytuacji, w jakiej się pani znalazła, ale nie mogę zrobić nic, by pomóc.

Ona także wstała – odrobinę chwiejnie i przytrzymując się krzesła.

– Nie oczekiwałam tego, panie Burgoyne. Dziękuję, że przepędził pan tych bandziorów i życzę wszystkiego najlepszego.

Jej dłoń była tak szczupła, a ona taka samotna. Mógł jednak coś dla niej zrobić, pomóc choćby w niewielkim stopniu. Wyjął z kieszeni dwa szylingi.

– Mam jedynie dość pieniędzy, by dotrzeć do Londynu dyliżansem pocztowym, żywiąc się pod drodze najprostszym jedzeniem, ale mógłbym zaoszczędzić te dwa szylingi, gdyby pozwoliła mi pani przespać się tutaj. Zapewniłoby mi to prywatność i uchroniło przed pchłami, a pani podwoiłaby swój dzienny dochód.

Spojrzała na szylingi i oblizała usta. Monety były mu potrzebne, ale w Londynie czekały na niego pieniądze, mógł też zarobić kilka szylingów, a pewnie nawet gwinei, w ten czy inny sposób. Kobieta nie miała takich możliwości.

– A jeśli ktoś się dowie? Moja reputacja legnie w gruzach.

Gdyby był mężczyzną innego pokroju, już to oblizywanie warg mogłoby skłonić go, aby pozbawił ją reputacji. Do licha, nie powinna mieszkać sama, bez męskiej ochrony. Może należałoby odszukać jej brata...

Szaleństwo. Nie znał nazwiska tego człowieka, nie wiedział, gdzie mieszka i nie był w stanie zmusić go, żeby postąpił jak należy. Poza tym, nie pragnął w swoim życiu więcej komplikacji.

– Obiecuję, że wyśliznę się przed świtem – powiedział.

Zagryzła wargę, walcząc z sobą, lecz brandy potrafiła obniżyć morale.

– Doskonale. – Wzięła do rąk świecę. – Zaprowadzę pana do pokoju matki. Niestety, pościel nie była dawno wietrzona.

– Sypiałem już w gorszych warunkach.

Nim wyszli, Cate chwycił rączkę noża i spróbował go wyciągnąć. Odsunęła się natychmiast z lękiem w oczach, lecz on wyciągnął po prostu nóż i go odłożył.

– Lekcja dla pani, Hero. Przekonała się pani, że trudno mi było uwolnić ostrze. Bądź gotowa stawić czoło konsekwencjom swych gniewnych uczynków.

Odwróciła się i poprowadziła go na górę schodami, emanując niechęcią.

Droga nigdy nie bywa gładka dla kobiety odważnej i obdarzonej buntowniczą naturą.

Po chwili znaleźli się, ściśnięci, na malutkim podeście, skąd dwoje drzwi prowadziło do pokojów. Otwarła te po prawej i weszła, a on mógł znowu oddychać. Do licha, od lat nie odczuwał tak nagłego, trudnego do okiełznania pociągu do kobiety.

Zapaliła ogarek świecy i oczom Cate'a ukazał się kolejny niemal pusty pokój. Wąskie łóżko będzie dla niego za krótkie, ale jakoś sobie poradzi.

– Dziękuję. Jeśli wyjdę, zanim się pani obudzi, życzę wszystkiego najlepszego.

– A ja panu... Catesby.

Migoczące światło świec wyczyniało zadziwiające rzeczy z jej rysami i jego umysłem.

– Przyjaciele nazywają mnie Cate – powiedział.

– To pana nie żenuje? Żeńskie imię? – spytała, ujawniając znów błyskotliwe poczucie humoru.

– Mam szpadę i wiem, jak jej użyć, pamięta pani?

– Szczęściarz z pana – odparła, poważniejąc.

Chciał cofnąć się wraz z nią ku czasom, gdy była beztroska i wesoła. Zanim jej rodzina zaznała klęski i ubóstwa. Pragnął zapewnić jej szczęśliwe dni, pełne radości i frywolnego śmiechu.

Niestety, pozostawało to poza jego zasięgiem.

Ociągała się z wyjściem i Cate poczuł, że znowu brakuje mu tchu. Stał, na wpół przerażony, na wpół pełen nadziei. Pożądanie narastało i z tym akurat mógł zrobić bardzo wiele, byłaby to jednak pod wieloma względami katastrofa, zwłaszcza dla niej.

Kiedy uniosła twarz i spojrzała mu w oczy, nadal walczył z pierwotną częścią swojej natury.

– Pocałuje mnie pan?

*Do licha, Cate! Nie rób tego*.

– Sądziłem, że się mnie pani boi.

– Jesteśmy teraz kompanami od kieliszka – odparła nonszalancko, wpatrzona w ścianę. A potem spojrzała znowu na niego. – Widzi pan, nikt mnie jeszcze nie pocałował, a skoro wszystko wskazuje, że to się nigdy nie stanie, pomyślałam...

Jak mógłby się oprzeć takiej prośbie?

– Mężczyźni w Northallerton to głupcy.

Wyjął jej z dłoni świecę i odstawił, a potem objął prawą dłonią twarz dziewczyny. Chętnie wsunąłby palce w rozpuszczone, jasne włosy, lecz Hera była już bardzo spięta, a on owładnięty pożądaniem. Zatem po prostu ją pocałował.

Chwyciła go dłonią za nadgarstek, ale nie zaprotestowała. Zbyt późno zorientował się, iż może wpaść w panikę i oskarżyć go o gwałt. Nie miałby wówczas nic na swoją obronę.

Nie zrobiła tego jednak, a on chciał podarować jej ten pocałunek.

Nie wiedział, na ile chciała się zaangażować, pocałował ją więc znowu, muskając ustami jej wargi, w nadziei że je rozchyli. Przycisnęła mocno usta do jego ust, ewidentnie nie mając pojęcia, co robić.

Mógł posłużyć się kciukiem, by skłonić ją do rozchylenia warg, lecz zamiast tego po prostu pieścił je swoimi. Odprężyła się, ale nie widać było, by miała ochotę na więcej. W końcu przesunął więc usta na policzek dziewczyny, zamierzając skończyć pocałunek.

A potem, poddając się impulsowi, przyciągnął ją do siebie.

Może potrzebował tego równie mocno jak ona.

Stała przez chwilę sztywno – po czym opadła mu nagle na pierś, wyzuta z sił. Gładził jej plecy, wyczuwając sterczące kości grzbietu oraz łopatek. Świadomość, że jest tak chuda, ponieważ notorycznie głoduje, doprowadzała go do furii.

*Nie możesz nic zrobić, Cate*.

Odsunął się delikatnie, upewniwszy się, że dziewczyna stoi pewnie na nogach. Uniosła dłoń, jakby chciała dotknąć nią ust, lecz zamiast tego przygładziła włosy.

– Dziękuję – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

– Powinniśmy uczcić twój pierwszy pocałunek. Pójdę do gospody i przyniosę coś do jedzenia.

– Nie może pan się tak kręcić – wyszeptała przerażona. – Ludzie zauważają tu mnóstwo rzeczy.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – zapytał.

– Przed kilkoma godzinami.

– Nie jadasz wystarczająco dużo.

– Ma pan zastrzeżenia do mojego wyglądu, panie Burgoyne?

Zostało to powiedziane tak wyniosłym tonem, że miał chęć się roześmiać, tylko że nic nie było tutaj śmieszne.

– Chcę pomóc. Powiedz, jak się nazywasz, to przyślę ci trochę pieniędzy z Londynu.

Wyprostowała się gwałtownie.

– Nie zrobi pan nic podobnego. To mój brat ma się mną opiekować, nie inni, a już na pewno nie pan.

– A jeśli nie zechce?

– Do tej pory jakoś sobie radziłam.

Miał ochotę nią potrząsnąć.

– Zatem dobranoc – powiedział jednak tylko.

– Tak. Dobranoc.

Mimo że zabrzmiało to stanowczo, zawahała się i Cate jął się zastanawiać, co by zrobił, gdyby poprosiła o więcej, może nawet o wszystko.

Chwyciła jednak świecę i pospiesznie wyszła, zamykając za sobą drzwi.

A niech ją licho za to, że zachowuje się jak dumna, władcza królowa! Wiedział jednak, że tak jest lepiej. Nie potrzebował pakować się w kolejne tarapaty.

Zdmuchnął cenną świecę, starając się zgasić również wszelkie czułe uczucia. Przyszła Boadicea to nie jego problem.

# Rozdział II

Prudence Youlgrave zgasiła świecę, by ją oszczędzić, lecz potem siedziała przez dłuższy czas na skraju łóżka. Ból i gniew z powodu zdrady brata nadal w niej tkwiły, stłumione przez kojącą słodycz pocałunku.

Wiedziała, że ten gest nic dla niego nie znaczył i że tak jest lepiej. Mimo to koił niczym balsam nałożony na oparzenie. Może jego magia polegała na tym, że był dla niej pierwszy, a może sprawiła to brandy. Jeśli tak, łatwo mogłaby się uzależnić.

A może chodziło raczej o uścisk. Przyjemnie było czuć się bezpieczną, gdy stała wtulona w mężczyznę, a on gładził ją czule po plecach.

Matka przytulała ją tak, gdy była dzieckiem, ale to się skończyło, kiedy podrosła. Mniej więcej wtedy, przypomniała sobie, kiedy wygnano je z raju. Matka zaczęła wówczas traktować pozytywne nastawienie jako broń przeciwko światu. Może uściski osłabiłyby jej determinację?

W ostatnich miesiącach, gdy ją pielęgnowała, oddawała jej wszelką czułość, opiekuńczość i troskę. A kiedy matka odeszła, zaczęła doceniać niezależność. Spędzała czas tak, jak chciała, czytając albo wędrując po okolicy w oczekiwaniu, aż dołączy do Aarona w Darlington.

Teraz musiała stawić czoło prawdzie. Nie była wcale niezależna. Przeciwnie, jej życie zależało w pełni od Aarona i trzech gwinei, które jej przysyłał. Bez nich trafiłaby do przytułku – gdyby miała szczęście. Niechętnie przyjmowano tam zdrowe osoby, więc albo znaleźliby jej jakieś podłe zajęcie, albo wylądowałaby na ulicy, zarabiając w jedyny sposób dostępny kobiecie w jej sytuacji.

Aaron z pewnością by do tego nie dopuścił, lecz z drugiej strony nie spodziewała się przecież, że odmówi jasno wyrażonej prośbie.

Musiała przycisnąć palce do oczu, aby powstrzymać łzy.

Zapewne wywołała je brandy. Rano obudzi się z bólem głowy, nie żałowała jednak pociechy, jaką zapewnił jej trunek. Ani skandalicznego zachowania wymuszonego na obcym mężczyźnie.

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak wrażliwe są jej wargi, a teraz odczuła niespodziewany efekt, kiedy rozchyliła je nieco i oddychali przez chwilę razem. Coś zwiniętego ciasno w jej wnętrzu poruszyło się wtedy w nader niepokojący sposób.

Miała ochotę nacisnąć na niego bardziej, pogłębić pocałunek. Bogu dzięki, Cate się wycofał. Lecz potem wziął ją w ramiona. Och, cudownie było czuć się bezpiecznie po raz pierwszy od dziesięciu lat. A może, w ten szczególny sposób, po raz pierwszy w życiu.

– Niemądra iluzja – wymamrotała, próbując otrząsnąć się z zauroczenia. Biedny, na wpół pijany Catesby Burgoyne nie mógł

zapewnić jej bezpieczeństwa.

Uścisk przypomniał jej wszakże, do czego powinna dążyć.

Musi wyjść za mąż. Było to jej prawo, niewypowiedziany dług, jaki zaciągnął wobec niej Aaron. Zostanie mężatką, szanowaną w przyzwoitym towarzystwie, będzie miała dom, by mogła nim zarządzać, i dzieci, którymi będzie się z miłością opiekowała.

A także mężczyznę, aby ją chronił, całował, kochał i obejmował. Rozsądnego, wartościowego mężczyznę, powtarzała sobie, rozbierając się do koszuli i wślizgując pod pościel. Nie pijanego poszukiwacza przygód. Prawnika jak Aaron. Lekarza albo urzędnika. A niechby i bogatego kupca.

Dżentelmena z towarzystwa, posiadającego majątek na wsi? Dom, w jakim kiedyś mieszkała?

Nie, to byłoby głupie marzenie. I całkowicie nierealne. Te dni minęły. Przyzwoity dżentelmen z Darlington w pełni by jej wystarczył.

* * *

Obudził ją blask słońca, przenikający przez nieszczelne okiennice. Odzyskała świadomość i wzdrygnęła się przerażona własnym szaleństwem. Wpuściła do domu mężczyznę. Pozwoliła mu zostać na noc! Musiała kompletnie zwariować albo się upić.

I było jeszcze coś.

Dotknęła warg, jakby mogły zmienić się przez noc, a potem ubrała się pospiesznie i wyjrzała. Drzwi drugiej sypialni stały otworem, a pokój był pusty. Posmutniała i łzy zakłuły ją pod powiekami.

*Kretynka*!

Pytanie brzmiało: co ukradł? A może właśnie to robił – z dołu dobiegł ją bowiem jakiś hałas.

Zeszła po cichu schodami, uzbrojona w drewniany świecznik, ale nie było tam niebezpiecznego pana Burgoyne'a, jedynie Toby, machający ogonem.

Niespodziewany gość nie tylko jej nie okradł, ale dołożył jeszcze coś do leżących na stole dwóch szylingów. Podniosła srebrną szpilkę do krawata i obróciła ją w słonecznym blasku. Główka miała kształt małego sztyletu.

Przyglądała się klejnotowi, jakby mógł powiedzieć jej coś o właścicielu, lecz jeśli tak było, zaświadczał jedynie o jego upodobaniu do przemocy.

Powinna być na niego zła za to, że zostawił szpilkę, po tym jak odmówiła skorzystania z jego wspaniałomyślności, lecz zacisnęła tylko wokół ozdoby palce – niemal tak, jakby została jej ofiarowana z miłości.

Był hultajem i prawdopodobnie hazardzistą, skoro znalazł się w tak trudnym położeniu, jednak na myśl, że więcej go nie zobaczy, poczuła w piersi ucisk do złudzenia przypominający ból.

Cate Burgoyne.

Nic dobrego, lecz jakże wysoki i silny. Nieustraszony, szybki i sprawny w posługiwaniu się szpadą. Na wspomnienie tego, jak ruszył kobiecie w opałach z pomocą, zabrakło jej tchu. Taki przystojny.

Cóż to jednak oznacza w przypadku mężczyzny? Starannie ogolone policzki, czyste rysy, stanowcze usta. Lecz on miał w sobie coś więcej, znacznie więcej. Na przykład pewność siebie, przebijającą w każdym ruchu.

Powiedział, że brakuje mu pieniędzy, nie nawykł jednak do biedy. Ubranie miał w dobrym stanie i gatunku, z krawatką obszytą kosztowną koronką włącznie. Znała wartość koronek, gdyż zdążyła już wyprzedać te, które należały do niej i do matki. Prawdopodobnie mógłby opłacić podróż do Londynu, sprzedając drobiazgi, które miał przy sobie, i nawet o tym nie wiedział.

Wyparła z pamięci wszelką myśl o nim, schowała szylingi do kieszeni i ukryła szpilkę z tyłu szuflady. A potem rozpaliła słaby ogień i nastawiła czajnik. Zjadła trochę chleba, popiła herbatką z mniszka, a potem wyjęła jeden z ostatnich arkuszy papieru listowego, zaostrzyła pióro i usiadła, aby ułożyć list do Aarona.

Zdążyła napisać zaledwie jedno zdanie, kiedy przez tylne drzwi weszła, nie pukając, Hetty Larn.

– Przyniosłam chleb, panienko Youlgrave.

Prudence odłożyła pióro.

– Dziękuję, Hetty.

– To żaden kłopot, panienko.

Hetty była szczupła i pospolita, lecz miała w sobie urok, który zadziwiał Prudence. Jak można być tak radosną, mieszkając w nędznym otoczeniu White Rose Yard? Może Aaron wyobrażał sobie, że rosną tu wszędzie róże, nawet w marcu, tymczasem nazwa pochodziła od gospody White Rose, Biała Róża. Do jej właściciela należały też grunty, na których stały ubogie domki.

Hetty mieszkała tuż obok, z mężem Willem i dwójką małych dzieci, które uśmiechały się teraz do Prudence, wyglądając zza maminej spódnicy. Toby podszedł do malców, machając ogonem. Dzieciaki przyklękły roześmiane, aby się z nim pobawić.

Matka Prudence miała dobre serce, mimo to nalegała na zachowanie dystansu pomiędzy nimi a biedniejszymi sąsiadami. Prudence nie potrafiła być jednak nieuprzejma. Z tyłu zabudowy znajdował się dostępny ogólnie teren, gdzie niektórzy uprawiali warzywa lub hodowali kurczaki. Wszyscy wywieszali tam też pranie. Gdy było ciepło, frontowe drzwi stały zwykle otworem, a sąsiedzi wchodzili i wychodzili, kiedy chcieli.

W dzień po tym, jak Prudence wprowadziła się do domku przy White Rose Yard, Hetty Larn zapukała do frontowych drzwi. Było to właściwe podczas pierwszej wizyty. Jak widać, zasady etykiety obowiązywały nawet tutaj, w skromnym otoczeniu.

Hetty przyniosła trochę świeżo upieczonego chleba i owsiane naleśniki, które jadano tutaj częściej niż chleb. Prudence, zaskoczona, miała ochotę odmówić, wiedziała jednak, że był to gest życzliwości, przyjęła zatem prezent z podziękowaniem.

Od tej pory jej znajomość z Hetty znacznie się zacieśniła, sprowadzając się jednak do swego rodzaju wymiany usług: Hetty piekła dla Prudence chleb, a w zamian ona opiekowała się od czasu do czasu dzieciakami.

Zaskoczyło ją, że jest przy nich tyle pracy. Wpadła na pomysł, by zająć malców czymś użytecznym – na przykład rozpoznawaniem liter. Ku jej zaskoczeniu polubiły naukę, a chłopiec, Willie, okazał się całkiem bystry. Hetty nie posiadała się ze szczęścia.

Rozłożyła materiały do nauki, które sama zrobiła. Dzieciaki podbiegły ochoczo i wdrapały się na stołki.

– To bardzo uprzejme ze strony panienki, że je panienka uczy.

– A z twojej, że pieczesz dla mnie chleb, Hetty. Jakoś nie miałam okazji się tego nauczyć.

– To proste. Mogę panience pokazać.

Prudence uśmiechnęła się, by zamaskować gniew. Nie musiała się uczyć, jak piec chleb czy cokolwiek innego. Była stworzona do lepszego życia.

– Mogłabym nauczyć cię czytać, Hetty.

– Mnie! Rany, panienko, a po co? Ale na pewno inni rodzice bardzo by się ucieszyli, gdyby zechciała panienka uczyć ich maluchy.

– Miałabym założyć tutaj szkołę?

Hetty wpatrywała się w nią, jakby wiedziała, jak biedna jest jej nowa sąsiadka. Lecz założenie szkoły byłoby jeszcze gorsze niż praca w charakterze guwernantki. Oznaczałoby wieczny niedostatek i staropanieństwo. Klęskę.

– Nie spodziewam się zostać tu długo – powiedziała. – Teraz, kiedy okres najgłębszej żałoby minął, wkrótce przeniosę się do brata w Darlington.

– Och, szkoda, panienko.

Prudence powstrzymała cisnący się na usta komentarz, odwróciła się i rozpakowała paczuszkę z przyborami do nauki. Zawierała niewielkie karteczki z literami i obrazkiem, przedstawiającym przedmiot, którego nazwa zaczynała się na umieszczoną powyżej literę. A także kilka dodatkowych z różnymi wyrazami.

Podała każdemu z dzieci karteczkę i poleciła, aby znalazły litery, z których się składa napisane tam słowo. A potem ustawiła przed nimi brązowe naczynia z grubego fajansu, posypała je mąką i położyła obok patyczek w kształcie pióra. – Kiedy znajdziecie właściwe litery, spróbujcie napisać je w mące.

Willie chwycił patyczek i nagryzmolił pracowicie: „kot”. Hetty przyglądała się temu zachwycona.

– To taka uciecha patrzeć, jak stawiają litery, panienko.

– To mądre dzieciaki. – Co prawda mała Sarah nie przejawiała szczególnej bystrości, przeciwnie niż Willie, który z pewnością mógłby sporo osiągnąć, gdyby urodził się w bogatszej rodzinie.

– Och, miałam zapytać, dobrze się pani czuje po wczorajszej nocy?

Prudence zamarła, a potem odwróciła się do kobiety.

– Co masz na myśli?

– Słyszeliśmy, jak stary pan Brown pokrzykuje na kogoś, by przestał robić to, co robi. Will wyjrzał, ale nikogo nie zauważył. Rano pan Brown upierał się jednak, że widział, jak jacyś ludzie kryją się cieniu naszego domu i szepczą. Pewnikiem coś knuli.

– Naprawdę? – powiedziała, otwierając oczy najszerzej, jak tylko się dało. – Czy się do kogoś włamano?

– O ile wiem, nie, i cieszę się, że nikt panienki nie niepokoił. No, lepiej już pójdę. Niektóre rzeczy o wiele łatwiej robić, kiedy nie trzeba pilnować maluchów. Bądźcie grzeczni, Willie i Sarie!

Wyszła, a Prudence odetchnęła z ulgą. Nie szło jej pisanie listu, ponieważ co rusz wracała myślami do Cate’a Burgoyne’a. Co za szaleństwo! Niewiele brakowało, a straciłaby reputację, to zaś oznaczałoby kres wszelkich nadziei na dobre zamążpójście.

Usiadła z dziećmi, zdecydowana nie myśleć więcej o nocnym gościu. Dokończy list i go wyśle. Aaron uzna, że jej pretensje są słuszne i zaprosi ją, by zamieszkała z nim i jego żoną w Darlington. A potem znajdzie siostrze odpowiedniego męża.

Dobrego, wartościowego mężczyznę o podobnej pozycji, nie wysoko urodzonego nicponia jak Cate Burgoyne.

Od wysłania listu minęły dwa tygodnie i Prudence musiała stawić czoło bolesnej prawdzie: brat go zignorował.

Nie mogła się nadziwić, co skłoniło ją, by uznała, że Aaron postąpi inaczej. Zawsze udawało mu się zapomnieć o niewygodnych zobowiązaniach. Pomyśleć tylko, ile musiała się naprosić, by zechciał odrobić pracę domową!

Nie sądziła jednak, że mógłby całkowicie zlekceważyć jej prośby.

Kiedy przyszedł na pogrzeb matki, ubolewał głośno nad skromnymi warunkami, w jakich żyły przy Romanby Court. Jak by była to wina Prudence. Kiedy uczynił niepochlebną uwagę o meblach, nie wytrzymała i wypaliła wprost, iż lepsze zostały sprzedane, aby opłacić lekarza.

A jego reakcja? Stwierdził, że Prudence powinna była lepiej gospodarować.

Wiedziała teraz, iż należało żądać więcej, a mniej dawać, zbyt jednak nawykła do „inwestowania w jego wykształcenie", jak ujmowała to matka, poza tym była pewna, że okres wyrzeczeń nie potrwa długo...

Przeprowadziła się na White Rose Yard – do najtańszego lokum, jakie mogła znaleźć – aby przeczekać okres najgłębszej żałoby, pewna, że Aaron, który miał wkrótce ukończyć praktykę, zabierze ją do siebie. Nie uważała zbytnio z pieniędzmi, póki brak zainteresowania ze strony brata nie zaczął mocno jej niepokoić.

Toby, zawsze wrażliwy na cierpienie, zaskomlił cicho, ze smutkiem. Nie wiedziała, czy był już taki przed wypadkiem, w którym stracił nogę – właśnie wtedy zapewniła mu dom – lecz

teraz zdawał się oczekiwać tylko najgorszego. Nie będzie tchórzliwa jak Toby. Napisze kolejny list. Aaronowi zawsze trzeba było wykładać wszystko wprost. Wyjęła przybory do pisania, lecz pies zaskomlił znowu, spoglądając na nią żałośnie.

– Masz rację. Jaki sens się powtarzać?

Lecz co innego mogła zrobić? Tkwić dalej przy White Rose Yard za gwineę miesięcznie, albo założyć szkółkę, w której uczyłaby okoliczne dzieciaki podstaw pisania oraz rachunków w zamian za jajka, chleb i kapustę?

– Wszystko w porządku, panienko? – spytała Hetty, jak zwykle radosna.

Prudence otarła łzy.

– Co ty tu robisz, Hetty?

Hetty zamrugała, zdeprymowana ostrym tonem.

– Wpadłam podrzucić trochę warzyw od mojego taty. – W dłoniach trzymała dorodną kapustę.

Prudence już miała odpalić, że nie potrzebuje litości ani kapusty, lecz powstrzymały ją maniery... oraz zdrowy rozsądek. Potrzebowała jednego i drugiego.

– Przepraszam, Hetty. Jestem... zdenerwowana. Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

– To nic wielkiego, panienko. Warzywa dobrze w tym roku rosną. – Przechyliła w bok głowę. – Nie chciałabym się wtrącać, panienko, ale czy nie mogłabym jakoś pomóc?

– Gdzie dzieci? – spytała Prudence, zmieniając temat.

– Mama przywiozła mi warzywa i chętnie z nimi posiedzi. Dostała panienka złą wiadomość?

Prudence chciała zaprzeczyć, uśmiechnąć się, chronić swoją dumę, ale prawda po prostu się z niej wylała.

– Nie było żadnych wiadomości. Brat mnie ignoruje.

– Brat panienki? Ten z Darlington?

– Jest prawnikiem.

Prudence powiedziała to z dumą, lecz zaraz dostrzegła swój błąd.

Hetty otworzyła usta ze zdziwienia.

– To dlaczego mieszka panienka tutaj?

Prudence z ochotą wylałaby przed nią żale, lecz powstrzymała ją duma. – Nie ma teraz u siebie miejsca. Wkrótce się ożeni i zamieszkają w domu, który zapewni im teść.

– Mimo to powinna panienka mieszkać lepiej.

– Żeby zostać adwokatem, trzeba dużo wydatków.

– Zapewne, ale powiedziała panienka, że brat wkrótce się ożeni. Wtedy wszystko będzie dobrze. Zabiorą panienkę chętnie do siebie, zwłaszcza kiedy pojawią się maluchy.

– Chcesz powiedzieć, że przyda im się bezpłatna niania?

– Ktoś z rodziny, żeby pomógł i dotrzymywał towarzystwa – wyjaśniła Hetty.

– A ty byś tak postąpiła? – spytała Prudence.

– Czy zaprosiłabym swoją siostrę albo siostrę Willa, by z nami zamieszkała? Pewnie. Miałabym towarzystwo, gdy Will jest w pracy, no i pomoc w codziennych zajęciach. Niestety, mają już własne domy, wszystkie z wyjątkiem małej Jessie, która jest pokojówką we dworze.

Nie byłaby w stanie wyjaśnić, iż jej życie w domu brata nie wyglądałoby tak prosto. Z ochotą dotrzymywałaby towarzystwa

szwagierce, pannie Susan Tallbridge, ale nie jako uboga krewna, od której oczekuje się wdzięczności i tego, że weźmie na siebie wszelkie możliwe obowiązki.

– To kiedy ślub? – spytała Hetty.

Kolejne niepokojące pytanie. Nie miała pojęcia.

– Wkrótce – odparła z rosnącym podekscytowaniem.

Ślub! Dlaczego o tym nie pomyślała? Aaron będzie musiał przysłać jej pieniądze na podróż i kupno sukni, by nie przyniosła mu wstydu. Ślub wszystko zmieni. Wprowadzi ją do najlepszego darlingtońskiego towarzystwa, ponieważ narzeczona Aarona była córką bogatego kupca.

Nadzieja sprawiła, iż pożałowała wcześniejszej oschłości.

– Możesz zwracać się do mnie po imieniu, Hetty? A ja mogłabym mówić do ciebie Hesther?

Młoda kobieta się roześmiała.

– Raczej nie, panienko, to znaczy, Prudence. Nie wiedziałabym, o kim panienka mówi.

Zaczerwieniła się. Czyżby postąpiła źle, proponując taką poufałość?

– Jeśli sobie nie życzysz..?

– Skąd znowu, ale wystarczy Hetty. – Zachichotała. Była żoną, matką dwojga dzieci, młodszą o cztery lata od Prudence, która liczyła ich sobie dwadzieścia sześć, a mimo to potrafiła chichotać jak dziewczynka. – Wybacz, że o tym wspominam, Prudence – powiedziała, przechylając w bok głowę – lecz jak na damę, masz bardzo zniszczone ręce. Mogę dać ci trochę kremu?

– Kremu?

– Robi go moja mama. To głównie olej i zioła. Trochę cuchnie, lecz doskonale zmiękcza skórę.

– Już dosyć mi dałaś, jak na tę odrobinę, która ja daję wam.

– To z przyjaźni. Jeśli nie pozwalam sobie na zbyt wiele.

Skoro Hetty tak to ujęła, Prudence nie mogła odmówić, poza tym zauważyła, iż dłonie dziewczyny wydają się bardziej gładkie, mimo że pracowała zdecydowanie ciężej.

– Nie, oczywiście, że nie.

Hetty się rozpromieniła.

– Przyniosę trochę od razu.

Gdy wyszła, Prudence uśmiechnęła się, pełna nowych nadziei.

Ślub. Brama do lepszego życia. Kiedy raz znajdzie się w Darlington, już tu nie wróci. Jej życie zmieni się z dnia na dzień.

Będzie potrzebowała nowej sukni, prawdopodobnie więcej niż jednej, niewykluczone wszakże, iż Aaron rzeczywiście nie ma teraz zbyt wiele gotówki.

Gy Hetty wyszła, Prudence wbiegła na pięterko i wyjęła z drewnianego kufra jedyną przyzwoitą suknię, owiniętą starannie w muślin i przełożoną pachnącym potpourri. Przefarbowała wszystkie swoje suknie na czarno, by mieć co nosić podczas żałoby, ale tę jedną, niebieską, oszczędziła.

Jej jedyna porządna sukienka miała już cztery lata.

Rozłożyła suknię na łóżku i obejrzała.

Nosiła ją wyłącznie do kościoła i podczas rzadkich wizyt Aarona, suknia była więc dobrze zachowana. Dół trochę się wystrzępił, lecz wystarczyło nieco skrócić spódnicę i nic nie będzie widać. Podeszła z suknią do okna. Materiał trochę już wyblakł,

choć może nikt tego nie zauważy, a stonowana barwa była z pewnością w okresie żałoby bardziej stosowna niźli jaskrawy błękit. Od śmierci mamy nie upłynęło jeszcze pół roku.

Powinna trzymać się czerni, ale niebieska suknia była skromna, zaś Aaron uznał najwidoczniej, iż okres żałoby się skończył. Może by tak upiększyć suknię? Galony, paciorki i wstążki były drogie, lecz gdyby kupiła nici, mogłaby ozdobić stanik haftem. Na przykład czarnym i w innym odcieniu błękitu.

Jednakże nawet nici i dobre igły sporo kosztowały.

Wyjęła szylingi i zacisnęła je w dłoni niczym talizman. A potem skinęła stanowczo głową, otuliła ramiona szalem i ruszyła na zakupy.

* * *

Trzy tygodnie później wybiegła przez tylne drzwi swojego domku i wpadła do sąsiadki. Tego dnia po raz pierwszy przekroczyła próg domu Hetty. Przedtem nie wyobrażała sobie, iż mogłaby zrobić to nieproszona, ale musiała z kimś porozmawiać.

Hetty klęczała przed balią, atakując zawzięcie stos prania. Zamrugała na widok Prudence i zaczęła się podnosić.

– Nie, nie... – zaprotestowała Prudence, szybko uznała jednak, że Hetty nie powinna klęczeć, gdy ona nad nią stoi, poprawiła się więc pospiesznie: – To znaczy, wstań, jeśli chcesz. Przepraszam. Nie powinnam była przychodzić bez uprzedzenia.

Hetty zdążyła już wstać i wycierała dłonie w fartuch.

– Oczywiście, że powinnaś. Kołdry mogą trochę się pomoczyć.

– Kołdry.

– Mamy ciepły i wietrzny dzień. Idealny na coroczne pranie kołder. Coś się stało, kochana?

Prudence nie przywykła jeszcze, by Hetty zwracała się do niej w ten sposób. Czuła się przez to tak, jakby wrastała głębiej w White Rose Yard, lecz skoro miała wkrótce je opuścić, nie miało to znaczenia.

Przysiadła na stołku przy stole z desek. Było tam tylko jedno krzesło, przeznaczone z pewnością dla Willa, pana domu. Mężczyźni – panowie i władcy wszystkiego.

– Mój brat się ożenił.

Hetty wpatrywała się w nią przez chwilę, nie rozumiejąc, a potem westchnęła zaskoczona:

– I cię nie zaprosił? Dlaczego miałby tak postąpić?

– A dlaczego nie? – odparła Prudence gorzko.

– Tyle się napracowałaś przy sukni.

Prudence pożałowała, że przyszła, że tak się odsłoniła, ujawniła, iż cierpi.

Hetty wyjęła dwa kubki i nalała do nich czegoś z dzbanka.

– To nie dżin, prawda? – spytała Prudence, osaczona wspomnieniami. Wypiła resztę brandy, która miała w domu. Walcząc z poczuciem winy, nalewała sobie szklaneczkę, gdy była szczególnie przygnębiona.

– Dżin? – wykrzyknęła Hetty. – Skąd miałabym go wziąć? To kordiał mojej matki. Podniesie cię na duchu. – Usiadła naprzeciw Prudence i podsunęła jej kubek.

Prudence powąchała trunek. Pachniał mocno ziołami. Upiła łyk i poczuła mdlącą słodycz, lecz już po chwili rozkaszlała się gwałtownie.

– Podniesie mnie na duchu! Rzeczywiście! Chyba tylko na duchu, bo jeśli to wypiję, sama nie zdołam się podnieść!

– To po prostu domowa nalewka matki. Zioła sprawią, że poczujesz się lepiej.

Prudence upiła kolejny łyk.

– Prędzej się upiję.

– Nic podobnego. A teraz powiedz mi, co się stało. Dostałaś list?

Prudence pociągnęła łyk nalewki.

– Nie uwierzysz: od żony mojego brata. Ubolewa, że nie mogłam być obecna podczas ceremonii i z rozkoszą dzieli się ze mną szczegółami szczęśliwego wydarzenia.

– To miło z jej strony.

– Miło! Ależ to czyste szyderstwo! Opisuje gości, eleganckie śniadanie weselne, swoją suknię, nowy strój Aarona, nowy dom... Zupełnie, jakby wbijała mi raz po raz szpilę w serce.

– Och... – Hetty napiła się wina.

– To prawda. Miała najwięcej do powiedzenia w kwestii tego, kto zostanie, a kto nie zaproszony na wesele. I to ona nie chciała mnie tam widzieć.

– Twój brat mógł się jej przeciwstawić, gdyby chciał.

– Niekoniecznie. Panna wnosi suty posag, a jej ojciec posiada w Darlington liczne wpływy.

– A jednak to Aaron jako mężczyzna powinien decydować.

Prudence westchnęła.

– Czyżbym nadal go usprawiedliwiała? Straszny ze mnie głuptas, prawda? – Upiła jeszcze łyk słodkiego trunku. – Widzisz, wiązałam z tym ślubem duże nadzieje. Byłabym traktowana jak dama i mogłabym poznać znajomych brata. Może nawet...

Umilkła na chwilę przed tym, zanim wyznała, iż marzyła, by poznać podczas wesela mężczyznę, który by ją docenił. Zmarszczyła brwi, wpatrując się w kubek.

– Mocny trunek.

– Dobry na przeziębienie i reumatyzm.

A na złamane serce? Jej serce nie było jednak złamane, jedynie obtłuczone i posiniaczone. To jej marzenia legły w gruzach, a szczątków nie da się już poskładać.

Upiła łyk wina.

– Nie chcę tak żyć, Hetty. – Uświadomiła sobie, iż mogło to zabrzmieć obraźliwie. – To znaczy... nie chodzi o miejsce ani o ludzi, lecz pragnę dla siebie czegoś więcej. Pragnę...

– Męża. Każda kobieta tego pragnie, tak jak mężczyzna pragnie żony. Wiem, że dla damy takiej jak ty to niełatwe. Nie możesz poślubić prostego człowieka, a potrzebujesz pieniędzy, by wyjść za dżentelmena.

– Wniosłaś do małżeństwa pieniądze?

– Wniosłam trochę bielizny i nowe ubrania. Lecz jestem zdrowa i nie boję się pracy, podobnie jak Will. Zna swój fach, a ja wiem, jak prowadzić dom i wszystkim się zająć.

– Ja też umiem prowadzić dom.

– Ze służbą – stwierdziła Hetty bez złych intencji.

– Prowadzę ten dom – zaprotestowała Prudence, a potem pomyślała o chlebie, którego nie piekła, kołdrach, których nigdy nie prała, i molach wygryzających w nich spokojnie dziury. Odkurzała i szorowała, nie umiała jednak zrobić kremu do rąk, suszyć mlecza na herbatkę ani hodować kurcząt.

– Rzeczywiście, umiem prowadzić dom, w którym jest służba – przyznała. – Kiedy mieszkaliśmy w Blytheby Manor, pomagałam zajmować się cennymi rzeczami, takimi jak najlepsza pościel, obrusy, szkło i porcelana.

Teraz zostały jej tylko ulubiona waza matki i dwie szklaneczki, z których piła brandy z pewnym beztroskim szelmą...

Hetty wpatrywała się w nią przez chwilę szeroko otwartymi oczami. Napełniła kubki winem.

– Mieszkałaś we dworze?

– Co takiego? Och, Blytheby Manor. Owszem, ale nie było tak, jak myślisz. Mój ojciec był tam bibliotekarzem.

– Więc jak, u licha, wylądowałaś tutaj? Pomyśleć tylko: dwór!

I Prudence myślała. Aż nazbyt często. Wspominała apartament, w którym mieszkała jej rodzina, rozległą posiadłość, gdzie mogła swobodnie się poruszać. Uczucie przynależności, niemal jakby była członkiem rodziny Jenkinsów i przyjaźń z córkami okolicznej szlachty. Postrzegała siebie jako część tej społeczności.

W końcu, chociaż nie urodziła się w Blytheby, nie znała innego domu. Jej rodzice wprowadzili się tam, gdy miała dwa latka. A kiedy sir Joshua przegrał cały majątek i musieli w ciągu kilku dni wyprowadzić się z dworu, było to jak wygnanie z raju.

Nie mogła jednak się zmusić, by o tym mówić.

– Jak się tu znalazłam? – westchnęła. – W wyniku serii niefortunnych wypadków.

– Ile miałaś lat, gdy to się stało?

Katastrofa nie nadeszła w jednej chwili, lecz Prudence odpowiedziała:

– Piętnaście.

Wystarczająco dużo, by widzieć przed sobą szczęśliwą przyszłość, ale nie tyle, by się w niej zadomowić. *Sir* Joshua obiecał wydać dla niej przyjęcie, gdy skończy szesnaście lat. Nie bal, oczywiście, ale przyjęcie z tańcami. Opłacił nawet lekcje tańca...

Napiła się jeszcze wina, przełykając łzy.

– Musiało ci być trudno, kiedy zostałaś pozbawiona tak wspaniałego życia – zauważyła Hetty. – Łatwiej jest żyć tam, gdzie człowiek się urodził.

Prudence nie była przekonana, iż fakt, że ktoś urodził się przy White Rose Yard, godny jest pozazdroszczenia, lecz Hetty miała w pewnym sensie rację. Prudence nie zazdrościła możnym tego świata – książętom i lordom z ich pałacami i rozległymi włościami. Czułaby się wśród nich równie wyobcowana jak Hetty w Blytheby. Pragnęła jedynie wrócić do swego miejsca w społeczeństwie, czyli do klasy średniej, z której wywodzili się jej rodzice. Gdyby była mężczyzną jak Aaron, mogłaby osiągnąć to poprzez odpowiednie zajęcie, dla kobiety nie było jednak innej drogi jak tylko zamążpójście. Poza tym mogłaby zostać jedynie guwernantką lub damą do towarzystwa bez własnego kąta, co stawiałoby ją niewiele wyżej od służby.

– To nie życie dla ciebie – oznajmiła Hetty. – Co zamierzasz?

Prudence westchnęła.

– Może wypiorę kołdry – odparła i wstała.

– Nie o to mi chodzi! Nie chcesz mieszkać przez całe życie tutaj i nie powinnaś. Co więc postanowiłaś z tym zrobić?

– Nie mogę nic zrobić.

– Zawsze jest jakieś wyjście. Mogłabyś pojechać do Darlington i porozmawiać z bratem. Wielu mężczyzn unika, jak tylko może zrobienia tego, co należy, o ile się ich nie zmusi.

Prudence przypomniała sobie, że i jej coś podobnego przemknęło przez myśl.

– To szesnaście mil. Nie mam pieniędzy na dyliżans.

Hetty skrzywiła się, a potem powiedziała:

– Wuj Willa, Frank, jeździ trzy razy w tygodniu do Darlington furmanką. Zawiezie cię tam za kilka pensów.

– Nie mogłabym...

A jeśli Aaron ją odprawi? Nie była pewna, czy zdoła przetrwać taką bezduszność, pogrzebanie wszelkich nadziei.

Lecz nagle przypomniała sobie, jak Burgoyne ruszył jej z pomocą. A potem otworzył szybko drzwi domu i wepchnął ją za próg, by nikt nie zauważył, że szepczą na ulicy.

Odwaga.

Zdecydowanie.

Atak.

Ścisnęło ją w żołądku.

– Postąpię, jak mi radzisz. Pojadę do Darlington. Wyegzekwuję swoje prawa – powiedziała, w duchu przypisując tę odwagę kordiałowi.

Hetty uśmiechnęła się i uniosła kubek.

– Tak to właśnie powinno wyglądać, Pru. Jedź i wszystko im wygarnij.

# Rozdział III

*Darlington*

Przez całą drogę padało. Nie mocno, wystarczająco jednak, aby ubranie Prudence zawilgotniało, a odwaga zaczęła ją opuszczać. Frank Jobson dał jej kilka worków, żeby się nimi okryła, mimo to deszcz zmoczył spódnicę niebieskiej sukni.

Długo zastanawiała się, jak i gdzie stawić czoło bratu. Nie w domu, pod okiem żony. Ani nie w biurze. Z ochotą zawstydziłaby go przed innymi, lecz nie przysłużyłoby się to jej celowi.

W końcu uznała, że najlepiej będzie zaczekać na ulicy, aż Aaron wyjdzie z biura na obiad. Szwagierka pochwaliła się w liście, iż kochany Aaron jada z nią codziennie obiad o pierwszej.

Jeśli będzie chciał ją odprawić, nie zrezygnuje. Odszuka teścia, pana Tallbridge'a, i spróbuje porozmawiać. Jeśli go nie zastanie, zostawi starannie skomponowany list, w którym opisała całą niesprawiedliwość, jaka ją spotkała, i swoje trudne położenie.

Pisząc, starała się unikać gorzkich oskarżeń pod adresem brata, nie omieszkała jednak delikatnie napomknąć, iż fakt, że siostra męża żyje w nędzy, nie przyniesie chluby jego córce.

Choć w pełni przygotowana – zabrała nawet dla podtrzymania na duchu srebrną szpilkę Catesby'ego Burgoyne'a – wolałaby nie stawać do konfrontacji z bratem w wilgotnym ubraniu.

Pożegnała się z furmanem i zapytała o drogę, a potem spacerowała ulicami, rozkoszując się chwilą beztroski i swobody. Nikt tutaj nie wiedział, że mieszka przy White Rose Yard, a jej strój o tym nie świadczył. W oczach przechodniów była godną szacunku kobietą, załatwiającą na mieście godne szacunku sprawy.

Odnalazła wysoki budynek na opadającej stromo ulicy, gdzie mieściło się biuro prawne, w którym pracował jej brat. A potem, ponieważ do pierwszej zostało jeszcze sporo czasu, odszukała jego dom.

Mimo iż był niewielki, a frontowe drzwi wychodziły wprost na chodnik, wydawał się schludny i solidnie zbudowany. Idealny dla młodej pary zaczynającej nowe życie.

Odpowiadałby także Prudence, zwłaszcza że teraz, zanim pojawią się dzieci, wystarczyłoby tam dla niej miejsca. Mogłaby dobrze się odżywiać i odzyskać urodę. A także wejść w darlingtońskie towarzystwo i znaleźć męża. Zwłaszcza gdyby Aaron zapewnił jej posag.

Najwidoczniej nie brakowało mu pieniędzy. Co więcej, po ślubie zarządza też pewnie majątkiem żony.

Zapanowała nad gniewem i skupiła się na myśleniu o przyszłości.

Wróciła na bardziej uczęszczane ulice i jęła oglądać wystawy, dokonując w wyobraźni zakupów do przyszłego domu. Piękna porcelana w kwietny wzór. Pasiaste zasłony. Śliczny dywan do salonu.

Pozwoliła sobie też na większe luksusy – kasetkę na przybory do szycia, zbiór poezji, bukiet kwiatów – rozmyślając o dniu, gdy będzie mogła kupować tego typu rzeczy bez nie poświęcania zbędnej myśli cenie.

Pamiętała czasy, kiedy wyprawiały się z matką do Yorku, zaś ojciec dawał jej kilka monet, by mogła kupić sobie parę ładnych drobiazgów.

Ładne drobiazgi.

Już same te słowa mogły poprawić samopoczucie.

Zatrzymała się na chwilę przed wystawą sklepu z pasmanterią, wiedziona pokusą, by kupić błękitną wstążkę pasującą idealnie do haftu, jakim ozdobiła suknię. Z pewnością jej słomiany kapelusik prezentowałby się wówczas znacznie lepiej. Odwróciła się jednak i odeszła, obiecując sobie, że nie na długo. Powróci do swojej sfery, i to już wkrótce. Nawet chmury zdawały się odpływać, zabierając ze sobą groźbę deszczu. A gdy zaświeciło słońce, odebrała to jako znak, że wszystko odbędzie się, jak przepowiedziała Hetty, i Aaron poprosi ją, by z nimi zamieszkała.

Za kwadrans pierwsza ustawiła się przed kancelarią, próbując nie zwracać na siebie uwagi.

Z budynku wyłonił się przysadzisty dżentelmen w towarzystwie drugiego w podobnym wieku i obaj odeszli. Po nich wybiegło ze śmiechem dwóch chłopców, którzy również się oddalili.

Do biura wszedł odziany w fartuch chłopak, niosąc kosz, przykryty białą serwetą. Ktoś zamierzał zjeść lunch w pracy. Aaron? Nie, z pewnością los nie mógłby być aż tak okrutny.

Kiedy zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans po pierwszej, o mało się nie rozpłakała. Zdobyła się na odwagę, by tu przyjechać, a teraz będzie musiała wrócić na White Rose Yard pokonana.

Nie. Dotknęła wpiętej w stanik szpilki. Zabrała ją, by napełniała jej serce odwagą i przypominała o Catesbym Burgoynie.

*Przestań dygotać, uzbrój się i ruszaj do walki.*

Nie ma broni, lecz się nie podda.

Jeśli nie zastanie Aarona w domu, porozmawia z jego żoną. Tak. Ruszyła raźno przed siebie przekonana, iż Susan Youlgrave potrafi przyjąć rozsądne argumenty, jeśli zostaną jej przedstawione.

Dom wyglądał tak samo, lecz wydał się Prudence, nie wiedzieć czemu, bardziej onieśmielający. Dotknęła znów szpilki, przecięła ulicę i zastukała kołatką. Po kilku chwilach drzwi otwarła nieco wystraszona młoda pokojówka.

– Tak, psze pani?

– Czy pani Youlgrave jest w domu?

Dziewczyna, ewidentnie niedoświadczona, zamrugała.

– Tak, psze pani. Kogo mam zaanonsować?

Dlaczego nie przygotowała sobie odpowiedzi?

*Odwagi!*

– Panna Youlgrave, siostra pana Youlgrave'a.

Pokojówka zamarła na chwilę, zaskoczona, lecz potem dygnęła grzecznie i weszła do najbliższego pokoju. Prudence wsunęła się do wąskiego holu i zamknęła za sobą drzwi, czując głęboką satysfakcję. Była wreszcie w środku, a to, co zobaczyła, tylko umocniło jej postanowienie. Najwidoczniej brat i jego żona wiedli życie wygodne i pełne elegancji. Odtąd z nią będzie tak samo.

Z pokoju wyszła młoda kobieta. Zaciekawiona pokojówka deptała jej po piętach.

– Prudence? Co ty tu robisz?

Jej szwagierka była pospolita – absolutnie i beznadziejnie, o żółtawej, nieczystej cerze, zbyt pulchnej twarzy i wystających zębach. Może dlatego zgodziła się wyjść za mąż poniżej swego stanu, a jej rodzina na to przystała.

Prudence mogłaby współczuć dziewczynie, gdyby nie otaczała jej aura pewności siebie i arogancji. Kremowa suknia w paski, odpowiednia dla młodej mężatki spędzającej popołudnie w domu, była prosta, lecz kosztowała kilkakrotnie więcej, niźli wynosił roczny dochód Prudence. Widać też było, że widok siostry męża ani trochę jej nie ucieszył i nie zamierza tego ukrywać.

– Musiałam załatwić w Darlington pewne sprawy – powiedziała, zdejmując rękawiczki i dziękując w duchu Hetty za krem, który wygładził jej dłonie – więc wpadłam z wizytą.

Twarz Susan wyrażała jasno, że nic nie mogłoby sprawić jej mniejszej przyjemności, wiedziała jednak, iż nie może wyrzucić Prudence. Podejście Burgoyne'a zaczynało się sprawdzać.

– Jem właśnie obiad.

– Wspaniale. Chętnie się przyłączę.

Oczy Susan zwęziły się, z wyrachowania jednak, nie wrogości. Nie była wcale głupia i zaraz to udowodniła.

– Jak miło, siostro – powiedziała, pokazując w wymuszonym uśmiechu wystające zęby. – Przynieś nakrycie, Anno.

Rozkoszując się pierwszym zwycięstwem, weszła za szwagierką do jadalni, niewielkiej, lecz ładnie umeblowanej, ze stołem, przy którym, gdyby go rozłożyć, mogłoby zasiąść osiem osób. Odpowiednie wnętrze dla młodego prawnika, by mógł przyjmować kolegów i miejscowych notabli.

– Jak tu ładnie – zauważyła. – Wybieraliście sami meble?

– Ja z ojcem. Aaron jest zbyt zajęty, żeby zajmować się takimi sprawami.

– Nie ma go dzisiaj? – spytała i usiadła. – Miałam nadzieję się z nim zobaczyć.

– Pojechał do Durham w sprawie jakiejś umowy małżeńskiej – odparła Susan z nutką satysfakcji w głosie.

Jeszcze przed godziną Prudence uznałaby to za tragedię, lecz teraz pomyślała, że tak jest nawet lepiej. Jej szwagierka była zapewne tak samolubna, jaką się wydawała, i z pewnością chętnie odesłałaby Prudence z powrotem do Northallerton, lecz była również wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, że musi zachować się uprzejmie. I, taką przynajmniej Prudence miała nadzieję, odczytać zawoalowaną groźbę.

– Wielka szkoda – powiedziała, kiedy pokojówka wróciła z naczyniami i sztućcami. – Mam nadzieję, że następnym razem bardziej dopisze mi szczęście.

*Uważaj, siostro. Nie zamierzam dłużej się ukrywać*.

Susan zacisnęła wargi na wystających zębach, a potem spytała: – Masz ochotę na zupę? Kazałam odnieść już wazę.

Sądząc po tym, co Prudence miała przed sobą, była to z pewnością pyszna zupa, odmówiła jednak.

– Przyłączę się do ciebie przy głównym daniu, siostro.

Susan wygięła w uśmiechu kąciki ust, spoglądając przy tym szacująco na Prudence.

Ta zaś poczęstowała się rybą, starając się, żeby nie było po niej widać, jak bardzo jest głodna. Węgorz okazał się tak pyszny, że już pierwszy kęs utwierdził ją w postanowieniu, aby się nie poddawać. Wspaniałe, świetnie przygotowane potrawy w pełni się jej należały.

– Macie dobrą kucharkę.

– Jesteś zbyt uprzejma, siostro. To tylko zwyczajna gospodyni. Gdy Aaron zacznie odnosić prawdziwe sukcesy, zatrudnimy kogoś bardziej utalentowanego. Zatem, co sprowadza cię do Darlington?

– Drobne zakupy – skłamała Prudence. – Dziękuję za list opisujący ślub i wesele. Szkoda, że nie mogłam w nich uczestniczyć.

Oczy Susan zwęziły się znowu. Najwidoczniej domyślała się prawdziwego powodu wizyty i potrafiła odczytać kryjącą się za słowami Prudence groźbę, czekała jednak sprytnie, by to Prudence zrobiła pierwszy krok.

*Niech czeka*.

Susan odkryła trzy kolejne półmiski. Kotlety w sosie, gotowany szpinak i – cud nad cudami – groszek. Ileż to czasu minęło, odkąd Prudence ostatnio go jadła?

Nałożyły sobie na talerze, a potem Susan spytała wprost:

– Czego właściwie chcesz?

Prudence uznała, iż najlepiej będzie powiedzieć prawdę. Nie sądziła, by mogły kiedykolwiek się zaprzyjaźnić, ale spokojna koegzystencja wchodziła jak najbardziej w grę. Susan chciała, aby zniknęła z ich życia, a ona była gotowa to zrobić, gdy tylko będzie miała własny dom.

– Chcę wyjść za mąż.

– Masz adoratora?

– W Northallerton trudno spotkać kogoś odpowiedniego.

– Dziwne. Proszę, napij się wina, siostro.

Prudence zawahała się, ponieważ nie piła nigdy prawdziwego wina. W lepszych czasach była na to za młoda, a od śmierci ojca nie mogły pozwolić sobie na zbytki. Próbowała jedynie słodkiego kordiału matki Hetty i, oczywiście, brandy.

Z Cate'em, jak pozwalała sobie o nim czasami, w chwilach słabości, myśleć. Poczuła przypływ niemądrej tęsknoty, stłumiła go jednak i nalała do kieliszka bladozłotego trunku. Catesby Burgoyne mógł przebywać teraz na drugim końcu świata. Dla niej miał tylko stanowić inspirację – żeby być śmiałą. Nieustraszoną. Wygrywać.

Sączyła przez chwilę wino. Było mniej słodkie niż trunek matki Hetty i pozbawione magii brandy.

– Jest jeszcze kwestia posagu – powiedziała.

– Nie masz go?

– Na pewno wiesz, że nie.

Susan skupiła się na jedzeniu.

– Zapewnienie ci tego, co zaniedbał twój ojciec, nie należy do obowiązków mojego męża.

– Nie?

– Aaron nie może sobie na to pozwolić – odparła Susan, pakując do ust jedzenie, jakby uznała sprawę za zamkniętą.

– Ojej... Miałam nadzieję, że lepiej mu się powodzi – zauważyła Prudence, przeżuwając kęs delikatnego mięsa i groszek. – Lecz jeśli próbuje zrobić karierę, tym ważniejsze jest, by jego dobre imię, a także reputacja członków jego rodziny pozostały nieskalane.

Susan zerknęła na nią spod oka.

– Masz nadszarpniętą reputację?

– Jeszcze nie, ale niektórzy mogliby się zdziwić, gdyby usłyszeli, że muszę prowadzić szkółkę dla biedoty, by się utrzymać.

– Aaron posyła ci pensję i wygląda na to, iż dobrze sobie radzisz.

– To moja jedyna przyzwoita suknia, siostro. Trudno pozostać przyzwoitą, żyjąc za trzy gwinee miesięcznie.

– Trzy gwinee? – Susan ukryła pospiesznie szok, za późno jednak. Prudence zorientowała się, iż szwagierka nie ma pojęcia, ile jej mąż wysyła siostrze. Z pewnością nie przysłużyłoby się to jego pozycji, gdyby stało się wiadome, że pozwala siostrze żyć w biedzie.

Susan przełknęła kolejny kęs i zapytała:

– Jakiego męża spodziewałabyś się dostać?

Prudence stłumiła uśmiech, wzniosła jednak w duchu toast za Cate'a Burgoyne'a i upiła łyk wina.

– Nie mam zbyt wygórowanych aspiracji, siostro. Wystarczyłby przeciętny, dobrze sytuowany dżentelmen, zdolny zapewnić mnie oraz dzieciom miłość i utrzymanie.

– Spore wymagania, jak na pannę bez posagu – zauważyła Susan kąśliwie. – I choć Aaron radzi sobie całkiem dobrze, nie stać go jeszcze, aby okazać szczególną hojność.

Prudence jadła, zachowując milczenie.

– Niewykluczone jednak, że mój ojciec mógłby wyłożyć skromną sumkę – powiedziała w końcu Susan – Zważywszy, iż jesteśmy teraz w pewnym sensie rodziną. Jest bardzo zamożny.

Prudence uśmiechnęła się, nie nazbyt szeroko jednak.

– Byłoby to z jego strony bardzo wspaniałomyślne.

Wypiła jeszcze łyk wina i uznała, że jej smakuje. Odtąd będzie je piła co dzień, jadając na pięknej porcelanie, stąpając po puszystych dywanach i ozdabiając kapelusze do woli wstążkami.

Czuła, że świetnie dogadają się ze szwagierką – nie tyle z sympatii, ile z uwagi na interesy każdej z nich. Teraz potrzebowała jedynie odwagi i zdecydowania, aby wyprawa zakończyła się sukcesem.

Odstawiła kieliszek i pomyślała o srebrnej spince.

Wystarczy, by pamiętała o odwadze Burgoyne'a. I zapomniała o całej, związanej z nim, reszcie.

# Rozdział IV

*Londyn, czerwiec*

Do licha, Cate, obawiam się, że będę zmuszony zignorować twoich znajomych.

Cate odwrócił się zaskoczony.

– Perry? Co ty tu, u diabła, robisz?

– Szukałem cię i właśnie znalazłem – odparł czcigodny Peregrine Perriam, rozglądając się z uniesionymi brwiami po pokoju. – Ale że w Bagnigge Wells? Mój ty biedaku!

Cate wiedział, co zobaczył jego przyjaciel – ludzi pośledniejszego gatunku z paroma zubożałymi przedstawicielami wyższych sfer, pijących herbatę lub wody lecznicze, przechadzających się, wymieniających pozdrowienia i plotki.

Przypuszczał, że jego też można byłoby zaliczyć do zbiedniałych przedstawicieli klasy wyższej, chociaż zainwestował ostatnio w kupno nowych ubrań. Błękitny surdut ozdobiony brązowym galonem mógł się wydawać bardziej elegancki niż jedno ze

zwyczajnych, zielonych okryć Perry'ego, lecz ci, którzy znali się na rzeczy, dostrzegliby, jak doskonale zostało skrojone, z jak przedniego materiału uszyte.

Do diabła z Perrym! Pojawił się tu dla rozrywki czy żeby się wtrącać?

– Jestem pewien, że wody mają zdecydowanie zbawienny wpływ na zdrowie – stwierdził chłodno.

– Dokucza ci wątroba?

Nie było szansy ukryć, co robi w uzdrowisku.

– Nie, chodzi raczej o serce. I Georgianę Rumford, dziewczę w różowej sukni, ozdobionej jasną koronką. Ma osiemnaście lat i jest córką Samuela Rumforda, bardzo bogatego kupca handlującego naftą.

Georgiana stała w pobliżu, pogrążona w rozmowie z matką oraz kilkoma innymi kobietami. Zerknęła na Cate'a i spłonęła rumieńcem. Choć nazbyt krągła, była jednak dość ładna. Niestety, wybrała sobie właśnie ten moment, aby pokiwać filuternie paluszkiem w powitalnym geście, a potem odwrócić się i zachichotać.

– Drogi przyjacielu... – wymamrotał współczująco Perry.

– Ma olbrzymi posag, wspomniano też o tym, iż może zostać powiększony, jeśli jej syn odziedziczy tytuł hrabiowski.

– Twój brat może spłodzić dziedzica, teraz albo za dziesięć lat. Ma już córki.

– Zakładam, że Rumford traktuje to jako rodzaj gry: inwestuje z nadzieją, że jego córka może zostać kiedyś hrabiną. Co się zaś tyczy mnie, muszę ożenić się z pieniędzmi. Dobrze o tym wiesz.

– Czyżbym ci to odradzał?

– Zatem, dlaczego przyjechałeś tu za mną i się wtrącasz?

– Nawet przyjaźń dla ciebie, aczkolwiek niezmiernie głęboka, nie skłoniłaby mnie, aby przyjechać do Bagnigge Wells. Przybył jednak posłaniec z Keynings. Nie powiedział, o co chodzi, jedynie, że sprawa jest pilna. Nie był w stanie cię zlokalizować – dodał z odcieniem delikatnej nagany w głosie.

– Nie zdążyłem poinformować rodziny, że wprowadziłem się do ciebie.

Nie komunikował się z krewnymi od czasu awantury poprzedzającej wyjazd. Z pewnością bardzo im to odpowiadało. Dlaczego wysłali zatem posłańca?

– Zapewne stało się coś dramatycznego. Może chodzi o matkę. Zachorowała albo umarła.

Powinien czuć coś więcej, ale nie byli ze sobą blisko, choć nosił jej nazwisko rodowe. A może właśnie dlatego. Czuł się upokorzony, ona zaś uważała, iż syn nie dorasta do standardów Catesbych.

– Mogłeś skierować go tutaj – wytknął przyjacielowi.

– Pomyślałem, że oszczędzę chłopakowi z Yorkshire błądzenia po pustkowiach Islington, więc poświęciłem się i oto jestem. Bagnigge Wells – powtórzył i się wzdrygnął.

Choć było to jedynie przypuszczenie, Cate sądził, że przyjaciel nie zapuścił się w te okolice nigdy przedtem. Jego żywiołem był Londyn: Mayfair i St. James.

– Wspomniałem, że sprawa jest pilna? – zapytał Perry.

– Pożegnam się.

Ruszył ku Georgianie i jej matce, ciesząc się w duchu, iż może wyjechać. Gdyby tylko Rumfordowie interesowali się sztuką,

muzyką lub zabytkami zamiast urządzać niekończące się spotkania towarzyskie z ludźmi podobnego sobie pokroju.

Złapali szybko dorożkę i skierowali się ku widniejącej w oddali chmurze smogu zwiastującej Londyn. Boże, ależ tęsknił za wsią!

Perry utkwił wzrok w doskonale wypolerowanych paznokciach. Przyglądał się im przez chwilę, a potem oznajmił:

– Wiesz, nie chciałbym się wtrącać, ale czy jesteś zupełnie pewny w kwestii panny Rumford?

– Tak.

Perry westchnął.

– Gdzie zatem kupisz majątek?

Cate przedstawił już wcześniej przyjacielowi swój plan, nie miał więc powodu czuć się aż tak poirytowanym.

– Rumford chciałby kupić coś blisko Londynu, lecz duże posiadłości można nabyć taniej na północy.

– Na przykład w Yorkshire?

– Dlaczego nie?

– Wiesz, nadmierne przywiązanie do rodzinnego domu to nic dobrego – zasugerował Perry delikatnie.

– A ty, nie tęsknisz za Herne?

– Nie byłoby w tym za grosz sensu. Jestem czwartym synem, a Pranks ma już kilku własnych.

Pranks był najstarszym bratem Perry'ego. Przysługiwał mu tytuł wicehrabiego Pranksworth, a z czasem także lorda Hernescroft.

– Tak czy inaczej – oznajmił Perry – wieś mnie nudzi, a dwór i Londyn nie.

– Możesz sobie na nie pozwolić.

– Urok synekury. Może brat kupiłby też jakąś dla ciebie.

– Rozstaliśmy się w mało przyjazny sposób.

– Czy tak trudno byłoby ci wrócić? To była tylko gwałtowna kłótnia, nic więcej.

Cate nawet o tym nie pomyślał.

– Do licha, jeśli matka jest poważnie chora, będę musiał pojechać do domu, prawda?

Tak nakazywał synowski obowiązek.

Przy okazji zyska pretekst, by wrócić do Keynings i naprawić stosunki z bratem.

Sebastian, lord Malzard, znany był w rodzinie jako Roe – od rodowego tytułu wicehrabiego Roecliff, który odziedziczył w chwili przyjścia na świat. Roe był starszy od Cate'a o sześć lat i nigdy nie byli ze sobą blisko, mimo to żałował, iż się pokłócili, nie mówiąc już o tym, że musiał trzymać się z dala od ukochanego domu.

Służył przez wiele lat w wojsku i przyjeżdżał jedynie na krótkie przerwy, lecz wiedział, że Keynings gdzieś tam jest, czeka na niego z otwartymi ramionami – nieprzesadnie szeroko otwartymi, ale zawsze.

– Nie wspomniałeś, czego dotyczyła kłótnia – powiedział Perry.

Zostawili za sobą niewielkie poletka i jechali teraz pomiędzy szeregami chat.

– Zawiniła głównie moja duma – odparł Cate. – Po tamtej katastrofie pozwolono mi sprzedać patent, lecz wieści zdążyły się już rozejść. Byłem ponoć notorycznie niesubordynowany i wywołałem burdę, w której zginęły trzy osoby.

– To nie do końca prawda.

– Trzy osoby nie żyją – zauważył Cate bezbarwnym tonem – a nawet gdyby było inaczej, niełatwo byłoby mi przeciwstawić się tego rodzaju opiniom, zwłaszcza że nie wyrażano ich otwarcie.

– Kilku facetów właśnie tak zrobiło.

– Ach, dlatego wyzwałeś Willoughby'ego?

– Przeklęty tchórz cofnął swoje słowa.

– Uciszyło to jednak otwarte komentarze. Dziękuję.

– Ale dlaczego odsunąłeś się od rodziny? Nie mogli chyba uwierzyć...

Cate się roześmiał.

– Przeciwnie. Okazali to, zachowując się z nieznośną wyrozumiałością. Roe zapewnił, że Keynings zawsze będzie dla mnie domem – choć ani przez chwilę w to nie wierzył. Zaledwie się tolerowaliśmy, i to w najlepszym okresie. Jest tak cholernie sztywny. Uważa, że jako głowa rodziny powinien zająć w naszych relacjach miejsce ojca.

Zmusił się, by przerwać tę litanię skarg. Jeśli Roe martwił się o brata, miał po temu powody. Nawet teraz, zalecając się do Georgiany, zdawał sobie sprawę, że poślubienie przezeń kupcówny okaże się dla rodziny dyshonorem. Nie będą zadowoleni, iż muszą utrzymywać stosunki z kimś takim jak Rumfordowie. Czy jego matka potrafi się zmusić, by objąć Georgianę i nazwać ją córką?

– Artemis, moja szwagierka – kontynuował – zaczęła wspominać co rusz o różnych możliwościach zatrudnienia się lub zaangażowania w przedsięwzięcia biznesowe – gorączkowo, jakby sądziła, że nie potrafię sam znaleźć sobie zajęcia. Matka zaś... ach, matka nie była zachwycona, że wróciłem i ma mnie znowu na głowie. Nawet nie starała się tego ukryć.

– Do licha!

– Nie byliśmy nigdy zżyci. Wojsko zaproponowało mi jeszcze inną opcję: wyjazd z regimentem do Indii. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie skorzystałem z tej sposobności, jakby walka była jedyną dziedziną, w której mogę przynieść chlubę jej nazwisku.

– Powiedziała to?

– Jasno i wyraźnie.

– A właściwie dlaczego nie pojechałeś? – zapytał Perry. – Wojna to twój żywioł.

– Drogi przyjacielu – odparł Cate, naśladując rozwlekły sposób mówienia Perry'ego. – Indie to mój Islington, położony o wiele za daleko od wszystkiego, co kocham i cenię.

– Nic dziwnego, że krewni tego nie zrozumieli.

Cate zacisnął zęby. Zdawał sobie doskonale sprawę, iż rodzina nie spodziewa się po nim niczego dobrego. Uważali, że nie potrafi wytrwać w niczym, co przedsięweźmie. I nie było to tak zupełnie nieuzasadnione.

Zaczął studiować teologię, by zostać duchownym, lecz pociąg do kobiet, alkoholu i awanturniczego trybu życia sprawił, że przerwał studia. Zresztą i tak podążył tą drogą jedynie dlatego, iż sądził, że ma szansę zostać kiedyś pastorem u Świętego Wilfreda, w parafii najbliższej Keynings.

Potem ojciec załatwił mu posadę w Kompanii Wschodnioindyjskiej, która zaczęła zyskiwać właśnie na znaczeniu. Spodobało mu się, iż będzie mógł zaznać nieco przygody, lecz kiedy uświadomił sobie, że zostanie wysłany na koniec świata, postarał się, aby go wyrzucono. Oczywiście, miał

rację, zarzucając firmie chciwość oraz bezwzględność, ale posłużył się tym jako pretekstem, by go zwolniono.

Dopiero później odkrył, że ojciec tak to właśnie zaplanował.

Miał dwadzieścia jeden lat, był wolny, odnowił zatem znajomość z Perrym i zaczął używać w Londynie życia – nie mając po temu środków. Kiedy długi o mało go nie pogrążyły, przekonał się, że jest zdany na łaskę ojca.

A ten wyraził się jasno. Nie podobało mu się, że młodszy syn trzyma się blisko rodzinnego domu, jakby miał do niego prawo. Uznał, że to niezdrowe i prowadzi do niesnasek. Starszy syn i dziedzic był już żonaty i spłodził zdrowe dziecko – co prawda, dziewczynkę, lecz w każdej chwili mógł urodzić się syn. Cate musi znaleźć dla siebie miejsce – oznajmił ojciec – gdzieś z dala od Keynings.

Polecono mu, by wstąpił do armii.

Ojciec miał nadzieję, że regiment Cate'a zostanie wysłany do Ameryki, i wcale tego nie ukrywał. Przewrotny los sprawił jednak, że Cate trafił jedynie do Hanoweru i pozostał do końca wojny w Europie. Wydawało się, że to wystarczająco daleko, a kiedy przywykł już do żołnierki, odkrył w sobie talent do przywództwa i walki.

Lecz także, niestety, przemożną awersję do podporządkowywania się obowiązującym w armii regułom.

Może byłoby dla niego lepiej, gdyby wylądował w Ameryce, gdzie zasady postępowania były bardziej elastyczne, zależne od zmieniających się okoliczności. Wykazywał naturalny talent do radzenia sobie bez nich. Co więcej, oficjalne zakończenie wojny nie położyło kresu działaniom. Niezadowoleni mieszkańcy kolonii

mogli w każdej chwili wywołać zamieszki, a miejscowe plemiona buntowały się przeciwko zagarnianiu ich ziem. A gdyby nie wybuchła kolejna wojna, i tak w Ameryce było co podbijać. Nietrudno było też zdobyć ziemię i majątek.

Nie byłaby to jednak Anglia, a żadne włości, choćby nie wiem jak wielkie, nie mogły się równać z Keynings. Może szaleństwem było żenić się dla pieniędzy po to, by stworzyć sobie namiastkę raju, ale mógł zrobić jedynie to.

Wysiedli przed budynkiem na tyłach St. James Square, gdzie Perry wynajmował pokoje, położonym dogodnie w pobliżu klubów, dworu, parków i innych londyńskich rozrywek. Określenie „pokoje" nie oddawało sprawiedliwości rozmiarowi apartamentu. Poza Perrym i Cate'em w domu mieszkali także: lokaj, stangret, kucharz i chłopak do wszystkiego, wyposażenie zaś odznaczało się wyszukanym smakiem i elegancją.

Jak stwierdził Perry, pozwalały na to cuda synekur, z których trzy przynosiły mu niezły dochód.

Posłaniec z Keynings czekał w malutkim holu, ściskając w dłoniach trójgraniasty kapelusz. Zobaczywszy Cate'a, zerwał się pospiesznie.

– Witaj, Jeb – powitał go Cate, próbując nie okazać niestosownego zadowolenia, było bowiem jasne, że wieści nie mogą być dobre.

Z Jebem Littlefairem łączyły go stosunki na tyle bliskie, jakie mogą zaistnieć pomiędzy paniczem a stajennym. Byli w podobnym wieku, bawili się więc razem jako dzieci, a wyprawiali na konne wycieczki jako młodzieńcy. Jeszcze przed dwoma miesiącami, w trakcie fatalnego pobytu w Keynings, Jeb

towarzyszył Cate'owi podczas codziennych porannych przejażdżek, odbywanych w atmosferze zażyłości, kiedy to zwracali się do siebie po imieniu.

– *Sir*! – Jeb przełknął nerwowo ślinę. Tak, wieści musiały być złe. A potem stajenny wykrztusił: – Milordzie...

Cate utkwił w nim wzrok. Chciał wyartykułować wszystkie te idiotyzmy o niemądrej pomyłce, o tym, że to nie może być prawda, a nawet że Jeb kłamie, lecz w głębi duszy wiedział. Jeśli Jeb zwrócił się do niego: „Milordzie", znaczyło to, że Roe nie żyje.

Zmarł, mając zaledwie trzydzieści dwa lata. Zostawił po sobie trzy córki i ani jednego syna.

To zaś oznaczało, że Cate jest teraz lordem Malzard, dziedzicem włości i tytułu.

W tym Keynings...

– Siadaj. – Twarda dłoń naparła na jego ramię, zmuszając, by usiadł. Usłyszał, jak Perry poleca, by przyniesiono brandy.

– Jak? – wykrztusił Cate.

– Nie wiadomo dokładnie, *sir*... milordzie. Wysłali mnie natychmiast i kazali gnać co koń wyskoczy. Słyszałem jednak, że lord upadł i po prostu zmarł.

Poczuł, że trzyma w dłoni szklankę.

Napił się i trunek złagodził nieco szok, przywracając zdolność rozumowania.

– Kiedy? – zapytał zduszonym głosem Cate, pociągając kolejny łyk brandy.

Jeb potarł głowę, jakby musiał chwilę pomyśleć.

– W niedzielę, czyli...

– Cztery dni temu, a ja nic nie wiedziałem...

– Jechałem najszybciej, jak tylko dałem radę, milordzie.

– Na pewno. Konie nie potrafią latać. – Cate osuszył szklaneczkę, próbując zebrać myśli. Jedno było jasne. – Trzeba wyruszyć natychmiast. Spóźnię się na pogrzeb, ale i tak powinienem bardzo się śpieszyć.

– Każę podstawić bryczkę – powiedział Perry. Napełnił szklaneczkę Cate'a i wyszedł.

Cate odwrócił się do Jeba, próbując zrozumieć to, co wydawało się niepojęte.

– Po prostu upadł i zmarł? Jak to możliwe?

– Nie wiem, psze pana. Jego lordowska mość skarżył się, że ciągle boli go głowa. Rano w niedzielę wszedł do stajni, mamrocząc coś o przeklętym bólu głowy i o tym, że przejażdżka go uśmierzy.

Cate zerwał się z krzesła.

– Nikt nie umiera z powodu bólu głowy! – Opanował się. – Przepraszam, nie będę odgrywał się na posłańcu. Ile spałeś?

– Musiałem zatrzymać się co noc na kilka godzin.

– Z pewnością. Odpocznij teraz.

Wyjął kilka monet. Stanowiły większość gotówki, którą w tej chwili posiadał. Tylko że teraz był bogaty. Bardzo bogaty. Chyba że Artemis jest w ciąży... Zganił się duchu za to, iż czułby się takim obrotem spraw rozczarowany.

– Idź do gospody Pod Gwiazdą – powiedział, wręczając Jebowi monety. – To tuż za rogiem, i mają przyzwoite warunki. Odpocznij porządnie, a potem wróć do domu powozem.

– Wolałbym pojechać z panem, milordzie. To znaczy... błagam o wybaczenie, lecz nie powinien pan podróżować sam.

– Uważasz, że nie dam rady? – zapytał Cate gniewnie.

– Skąd znowu, milordzie, ale...

– I nie tytułuj mnie. Nic nie jest jeszcze przesądzone.

Jeb gapił się na niego, nie rozumiejąc.

– Moja szwagierka może być przy nadziei.

Wrócił Perry.

– Pojadę z nim na północ. Odpocznij, człowieku. Zasłużyłeś na to.

Jeb wyszedł, a Cate zwrócił się do Perry'ego.

– Chcesz jechać ze mną? Nie bądź niemądry.

– Nie zniechęcisz mnie, daj więc sobie spokój.

Cate chętnie by zaprotestował, lecz umysł miał jakby zamglony.

– Zjedz.

Spojrzał na to, co podawał mu Perry.

– Placek z dżemem?

– Mój kucharz upiera się, że słodkości są lepsze na szok niż brandy. Jedz.

Cate posłuchał i mgła w jego głowie rozwiała się nieco.

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie mogę uwierzyć. To na pewno nie sen? – Skrzywił się i spojrzał na przyjaciela. – Nie chciałem, by tak się stało. Wiesz o tym, prawda?

– Oczywiście. To okropna strata. Jednakże...

– Artemis może być przy nadziei.

– Owszem, to możliwe. Jakkolwiek wygląda sytuacja, rodzina cię potrzebuje.

– Nie jestem pewien.

– Nie bądź przeklętym głupcem.

Nie chciał o tym rozmawiać, nawet z Perrym, był jednak przekonany, że rodzinę, zwłaszcza zaś matkę i szwagierkę przeraża myśl, iż mógłby przejąć tytuł oraz majątek. I miały prawo się martwić. Co on wiedział o zarządzaniu włościami?

Zawsze był beztroski – albo lekkomyślny, zależy od punktu widzenia. Impulsywny. Stworzony raczej do działania niż rozsądnego reagowania. I przekonany, że Keynings jest bezpieczniejsze pod rządami jego rozważnego, mądrego brata.

– Lepiej ja niż kuzyn Fred.

Nie zamierzał powiedzieć tego na głos.

– Kuzyn Fred? – zapytał Perry.

– Kuzyn ojca, następny w kolejce do sukcesji.

– I nic dobrego?

– Przeciwnie. Solidny, kochający rodzinę facet o dobrym sercu. Lecz gdyby wprowadził się do Keynings ze swoją gromadką, oczekiwałby, że matka i Artemis się wyprowadzą. A to by się im nie spodobało, zwłaszcza matce. To jej dom.

– Zatem dobrze się składa, iż możesz przejąć schedę. Jeśli zajdzie potrzeba.

To „jeśli zajdzie potrzeba” zabolało. Naprawdę nie życzył bratu śmierci, lecz teraz obawiał się, że nie będzie w stanie pokochać jego syna, jeśli ten odbierze mu Keynings.

Nie, nie popełni tego grzechu.

A gdyby nawet pojawił się dziedzic... I tak na długie lata zostałby jego opiekunem i musiałby mieszkać w Keynings, by czuwać nad chłopcem i majątkiem.

– Co z panną Rumford?

Cate o mało nie zapytał: „Z kim?”. Zawstydziło go, że odczuł ulgę, iż Georgiana i jej rodzina nie będą częścią jego życia, lecz taka była właśnie prawda. Zalecał się do niej, by dała mu to, czego pragnął – wiejską posiadłość, która miała zastąpić Keynings. Już tego nie potrzebował, a zatem nie potrzebował też Georgiany.

Pewien był, że nie zdążyła jeszcze go pokochać, choć podobała jej się myśl, iż zostanie bratową lorda. Będzie prawdopodobnie ronić łzy i zawodzić, rozpaczając nad tym, jak niewiele brakowało, żeby została hrabiną.

Zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby go kochała i tak niczego by to nie zmieniło.

Jeśli zostanie lordem Malzard, będzie mógł zrobić tylko jedno – poślubić kobietę, która zostanie idealną hrabiną. Wywodzącą się z jego warstwy społecznej, przygotowaną na to, aby wypełniać obowiązki związane z tytułem i sprawnie zarządzać domem. Kobietę pełną dystynkcji oraz wrodzonej elegancji, z odpowiedniej sfery. A nawet więcej – zdolną pomóc mu w zajęciu właściwego miejsca w skomplikowanej sieci społecznych powiązań i dzielić z nim nowe obowiązki.

Oraz, na ile da się to ocenić, urodzić dziedziców.

# Rozdział V

Musisz coś zjeść – powiedział Perry, gramoląc się z powozu.

Zatrzymali się, aby po raz kolejny zmienić konie. Bogu dzięki, te dostępne tutaj były w o wiele lepszej kondycji niźli chabety, jakie dostały się im w poprzedniej gospodzie, a i droga przed nimi wydawała się w lepszym stanie.

– To już niedaleko – odparł Cate. – Jedźmy.

– I co, wpadniemy tam i zażądamy kolacji? Bądź rozsądny. Lepiej stawić czoło rodzinie z pełnym brzuchem.

Choć mieli do dyspozycji czwórkę koni i lekką bryczkę, podróż zajęła im pięć dni. Powinni byli jechać nieprzerwanie, ale choć Cate sądził, iż będzie mógł spać w powozie, okazało się to niemożliwe. Musieli zatrzymywać się każdej nocy, aby choć trochę się zdrzemnąć. Krótki odpoczynek i zjadane w pośpiechu posiłki nie świadczyły o rozsądku, lecz nie potrafił się zmusić, by postępować inaczej.

Za późno, za późno, za późno.

Tylko że było już za późno, gdy Jeb wyruszył do Londynu.

Zaczynało mu się kręcić w głowie, Perry miał zapewne rację.

Wysiadł, odnotowując, że przyjaciel nadal wygląda nieskazitelnie. Ciemnoszary surdut i spodnie pozostały prawie niezmięte, koszula biała, a włosy porządnie związane. Nawet paznokcie miał wypolerowane. Cate sądził dotąd, iż elegancja Perry'ego to wynik starań jego lokaja, jednak Perry poświęcił się tym razem i zostawił Auguste'a, by podróżował z bagażami i Jebem, a oni mogli poruszać się szybciej.

Przyjaciel miał też na sobie, w przeciwieństwie do Cate'a, strój stosowny w domu żałoby. Cate, polując na bogatą narzeczoną, wyposażył się w modne, dosyć jaskrawe fatałaszki. Perry chętnie pożyczyłby mu coś ze swojej garderoby, ale niestety, był od Cate'a o pół głowy niższy i o wiele smuklejszy.

Cate przywdział zatem najbardziej stonowaną garderobę, jaką posiadał – strój do konnej jazdy. Skórzane bryczesy, brązowy żakiet, zwyczajna, płowożółta kamizelka i wysokie buty nadawały się do noszenia na wsi, ale z pewnością nie na pogrzeb, nawet z czarną przepaską na ramieniu i czarnymi rękawiczkami do kompletu. Może powinien zatrzymać się w miasteczku i kupić coś bardziej stosownego. Zerknął na znak przed drzwiami gospody. Złoty Lew.

Byli w Northallerton.

Wspomnienie sprawiło, że zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i rzeczywiście, była tam wąska uliczka, przy której mieszkała Hera. Lecz może już nie mieszka. Jeśli wszystko poszło dobrze, pewnie przebywa teraz u brata w Darlington.

Ileż to czasu minęło? Sześć tygodni... Nie, więcej...

– Cate? – zapytał Perry.

– Zamów posiłek. Przypomniałem sobie, iż muszę coś załatwić.

Musiał wiedzieć. Przeciął szeroką ulicę, unikając nadjeżdżających powozów. Miał teraz pieniądze. Pomijając odziedziczony majątek, dysponował też dwudziestoma gwineami – wszystkim, co mu zostało. Jeśli Hera nadal tu mieszka i ma kłopoty, może zgodzi się przyjąć choć drobną sumkę.

Wąska uliczka prezentowała się w świetle dziennym zarazem gorzej i lepiej. Dzieci bawiły się pod okiem kobiet pracujących i plotkujących przy otwartych drzwiach, lecz blask słońca uwydatniał nędzę otoczenia.

Który dom należał do Hery? Nie pamiętał dokładnie i zorientował się, że przyciąga uwagę. Pogawędki ustały i poczuł na sobie spojrzenia bacznych oczu.

Jej dom musiał znajdować się nieco dalej, po prawej. Dokonawszy wyboru, zapukał.

– Nikogo tam nie ma, *sir*.

Obejrzał się i zobaczył szczupłą, młodą kobietę. Spoglądała na niego z progu sąsiedniego domku.

– Wyjechała, proszę pani?

Sąsiadka, chociaż wyraźnie zaciekawiona, nie spieszyła się z udzielaniem informacji. Wiedział dobrze dlaczego. Dżentelmen wypytujący o któregoś z mieszkańców, zwłaszcza samotną kobietę, to zapowiedź kłopotów. Żałował, że nie wie, jak naprawdę nazywa się Hera.

– Moglibyśmy porozmawiać na osobności, *madame*?

Oczy kobiety rozszerzyły się ze zdziwienia, lecz potem się uśmiechnęła.

– Proszę wejść, lecz zostawimy drzwi otwarte. Ludzie usłyszą, jeśli wynikną jakieś kłopoty.

– Ostrzeżenie przyjęte. Nie mam złych zamiarów.

Drzwi prowadziły wprost do niewielkiego pokoju od frontu, podobnie jak u Hery, a kuchnia położona była z tyłu. Jednak pod każdym innym względem było tu zdecydowanie przytulniej.

Frontowy pokój został wyposażony w meble – proste, ale wygodne. Był tam nawet dywanik spleciony z gałganków. Wszystko lśniło czystością, a na oknie ustawiono słoik z kwiatami. Cokolwiek gotowało się w kuchni, pachniało smakowicie.

W domu Hery zalatywało klęską, jednak mieszkańcy tego domostwa nie stracili widać nadziei.

Dawno już się przekonał, że biedacy bywają równie bystrzy jak inni członkowie społeczeństwa. Ta młoda kobieta nie była głupia.

– Nazywam się Burgoyne, *madame* – przedstawił się. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś o damie z sąsiedztwa.

Miał nadzieję, że kobieta wypowie jej imię, ta jednak założyła tylko na piersi ramiona i zapytała:

– Dlaczego?

– Kiedy ostatni raz miałem od niej wieści, znajdowała się w trudnym położeniu.

– Jest pan jej przyjacielem?

– W pewnym sensie.

– Nie wyglądało na to, by miała przyjaciół, *sir*.

Dosłyszał w jej głosie przyganę, jakby zarzucała mu, że zaniedbał znajomą, lecz zauważył także, iż kobieta mówi w czasie przeszłym.

– Coś się wydarzyło?

– A czyż nie zawsze tak jest? Ale owszem, wyjechała i mieszka teraz u brata w Darlington.

– Ach, zatem wszystko w porządku.

Stłumił rozczarowanie. Hera napisała do brata, ten zrozumiał, że źle postępuje i wziął ją do siebie. Tymczasem to on, Cate, chciał być dobroczyńcą. Pragnął, aby go doceniła i była mu wdzięczna. Teraz okazało się, że nie jest potrzebny. Nie miał powodu dłużej zwlekać. Perry będzie się martwił.

Jednak coś w twarzy kobiety kazało mu się zatrzymać.

– Mam nadzieję, że u jej brata wszystko w porządku.

– Przyjaźni się pan z nim?

Nacisk stanowił wyraźną wskazówkę.

– Do licha, nie! Prawdę mówiąc, nie mam o Aaronie najlepszego zdania.

Posłużenie się imieniem zmieniło wszystko.

Kobieta opuściła ręce.

– Proszę mi wybaczyć, *sir*, ale kim pan właściwie jest? Prudence nie wspominała, że zna jakiegoś dżentelmena.

Prudence. Imię nie pasowało do niej ani trochę. Nie zdziwiło go, iż ukryła ich znajomość, ale to, że chciała i potrafiła zaprzyjaźnić się z tą prostą młodą kobietą.

– Byłem w wojsku i niedawno opuściłem szeregi armii.

Odpowiedź ją usatysfakcjonowała, mimo to pozostała czujna.

– Napisała do mnie. Z Darlington. Pastor przeczytał mi list.

– Mógłbym go zobaczyć?

Zastanawiała się przez chwilę, ważąc wszystkie za i przeciw, lecz wreszcie otwarła ładne drewniane puzderko i wyjęła cenny

list, złożony tak, jak go otrzymała. Podała mu go niechętnie, wziął więc do rąk kartkę z należytym szacunkiem.

Papier był dobrej jakości. Kolejny znak. Zerknął na adres. Hesther Larn, White Rose Yard, Northallerton. Pismo, staranne i pozbawione ozdobników, znamionowało siłę oraz stanowczość. Taką ją zapamiętał. Rozłożył list i stłumił uśmiech satysfakcji. Na górze, jak miał nadzieję, znajdował się adres zwrotny.

Prospect Place, Darlington.

Wyglądał szacownie.

*Droga Hetty, na pewno ucieszy Cię wiadomość, że mieszkam teraz wygodnie w domu brata i sprawiam sobie, dzięki jego wspaniałomyślności, nową garderobę, tak ładną, jak to tylko możliwe. Wybrałam się z nim i jego żoną na wieczorek muzyczny, a także ze szwagierką na zakupy i przechadzkę po parku.*

*Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś,*
*Twoja przyjaciółka*
*Prudence Youlgrave*

Prudence Youlgrave.

Posiadał już wszystkie potrzebne informacje, lecz nie mógł zrobić z nich użytku. Sądząc z listu, mieszkała o mile od Northallerton i była zadowolona. A on miał na głowie ważniejsze sprawy.

Złożył list i oddał go Hetty.

– Wygląda na to, iż dobrze się jej powodzi. Bardzo mnie to cieszy.

– Przez jakiś czas było jej ciężko, *sir* – wytknęła mu.

– Byłem w armii – przypomniał jej.

– Mamusiu! Mamusiu! – Dwoje małych dzieci wbiegło do pokoju, podekscytowanych tym, co trzymał w dłoni chłopiec. Pod stopami plątał się im nieduży pies.

Przystanęli gwałtownie na widok obcego, lecz Toby wysunął się do przodu, machając ogonem.

– Wygląda na to, że pana zna – zauważyła Hetty.

– Spotkaliśmy się raz. Nie dyskryminuje nikogo. – Hetty najwyraźniej nie zrozumiała, wyjaśnił zatem: – Nie odróżnia wrogów od przyjaciół.

Pani Larn się roześmiała.

– W rzeczy samej, *sir*. Czy oznacza to, że jest pan wrogiem?

– Nie, na honor. Ale Toby nie może przecież tego wiedzieć. Dziękuję za pomoc, pani Larn. – Wyjął kilka monet i oddzielił dwie, warte po szylingu. – Mogę dać je dzieciom?

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem wzięła monety.

– Dziękuję. Nie wybiera się pan przypadkiem do Darlington?

– Nie, lecz jeśli spotka się pani z panną Youlgrave, proszę przekazać jej wyrazy uszanowania. Nazywam się Burgoyne – przypomniał.

– Dobrze, *sir*, tak zrobię.

Opuścił skromny domek, przeciął szeroką ulicę i wszedł pod Złotego Lwa, walcząc z uczuciem rozczarowania.

Znajdowali się zaledwie o dziesięć mil od Keynings, jego raju i jego piekła.

* * *

Prudence utkwiła wzrok w dłoniach – gładkich teraz i wypielęgnowanych.

– Pan Draydale, Susan? – spytała, zachowując kamienną twarz. – Jest trochę za stary.

Poza tym był również tęgi i krzepki, co samo w sobie nie było wadą, tyle że tacy mężczyźni nie byli w jej guście. Przeciwnie niż Cate Burgoyne – smukły, umięśniony, silny i delikatny zarazem. Henry Draydale nie wydał jej się delikatny. Ani trochę.

– Ma niewiele ponad czterdzieści lat, Prudence, i pod każdym względem odpowiada twoim wymaganiom. Dorównuje majątkiem mojemu ojcu, ale przewyższa go pochodzeniem. Jego brat jest baronetem.

Ale to brat posiadał dwór, nie pan Draydale, kupiec z Darlington.

Piły herbatę w małym pokoju, który Susan nazywała swoim buduarem. Prudence mieszkała już w Darlington od sześciu tygodni i musiała przyznać, że Susan dotrzymuje milczącej umowy. Traktowano ją jak siostrę, nie ubogą krewną. Dostała nowe suknie, kapelusze, pantofle i wszystko, co potrzebne, aby wyglądać jak dama.

Chociaż to Aaron płacił rachunki, pieniądze pochodziły od Susan. W małżeństwie wszystko powinno należeć do niego, ale za sprawą jakiegoś prawnego kruczka otrzymywał jedynie pensję. Reszta majątku została zabezpieczona na rzecz Susan i przyszłych dzieci. Czuwali nad nim powiernicy, ale to teść sprawował rzeczywistą władzę.

Prudence współczuła bratu, lecz nie winiła Susan. W niesprawiedliwym świecie kobieta musiała chwytać się

każdego sposobu, aby zachować kontrolę nad swoim losem. Jak uczyniła to sama Prudence.

Henry Draydale nie był jednak wymarzonym kandydatem na męża.

– Owdowiał już dwa razy – powiedziała – i ma czworo dzieci.

– To błogosławieństwo mieć od razu rodzinę, i dowód, że wkrótce na świecie pojawią się też wasze pociechy. Jeszcze herbaty?

Prudence uświadomiła sobie, że zapomniała o herbacie i pociągnęła łyk. Napój był już zimny. To prawda, pragnęła dzieci, lecz Draydale...

– Obawiam się, że on może być trudnym mężem, Susan.

– Trudnym? Nie, jeśli ty będziesz dobrą żoną.

Dobrą znaczy zapewne posłuszną. Prudence zdawała sobie sprawę, że nie jest z natury potulna.

– Jak zmarły jego żony?

– Boże, siostro, nie sądzisz chyba, że to kolejny Sinobrody! Pierwsza zmarła podczas porodu, co zagraża nam wszystkim, a druga na jakąś wycieńczającą chorobę. O ile pamiętam, było to dziwaczne, nerwowe stworzenie, choć pochodziła z dobrej rodziny i wniosła solidny posag. Nic dziwnego, że bardziej niż na pieniądzach zależy mu na tym, aby następna żona była zdrowa.

Być może, pomyślała Prudence, powinnam była oprzeć się pokusie doskonałego jedzenia, jakie podawano w Prospect Place.

– Nie mów, że zastanawiasz się, czy nie odrzucić tak pochlebnej oferty! – wykrzyknęła Susan. – Prawdę mówiąc, siostro, uważam, że poszczęściło ci się bardziej, niż mogłam przypuszczać. Dobre pochodzenie i powiązania, kwitnący biznes i znaczny majątek. –

A kiedy Prudence nie odpowiedziała, dodała: – Draydale mieszka co prawda w mieście, lecz może, jeśli będziesz chciała, zgodzi się kupić w pobliżu niewielką posiadłość.

Najwidoczniej musiała się zdradzić, wspominając cudowne dni w Blytheby Manor. Może Susan zdołała napomknąć o tym Draydale'owi, gdyż podczas ostatniej rozmowy wspomniał mgliście o tym, iż zastanawia się, czy nie kupić domu na wsi.

Należało wziąć to pod rozwagę, i to poważnie. Lubiła życie w mieście, ale jej najpiękniejsze wspomnienia łączyły się z Blytheby. Może, gdyby pozostawała wraz z dziećmi na wsi, nie widywałaby zbyt często męża, który zdawał się być zaangażowany w każde biznesowe przedsięwzięcie.

– Nie rozumiem cię, Prudence – powiedziała Susan. – Czyż nie oferuje ci pozycji szanowanej małżonki dobrze sytuowanego dżentelmena?

– Owszem.

– Liczącej się w miejscowej społeczności?

– Tak.

– Domu, którym mogłabyś zarządzać i rodziny, aby się o nią troszczyć?

– Tak.

– Nadziei na to, że będziesz miała kiedyś własny dworek, choćby niewielki?

– Tak.

– Zatem, dlaczego się wahasz?

Prudence wiedziała dlaczego. Z powodu Cate'a Burgoyne'a. Nie potrafiła o nim zapomnieć i to wpływało na jej osąd.

Ależ była głupia! Nawet gdyby znów się spotkali, on nie byłby nią zainteresowany. A nawet jeśli, nie chciałaby poślubić mężczyzny lekkomyślnego, lubiącego trunki i bez grosza przy duszy. Henry Draydale był trzeźwy, bogaty i solidny.

Musiała też przyznać, że nie pojawił się inny adorator.

Bywała na herbatkach, wieczorkach, tańcach i w teatrze. Poznała kilku odpowiednich mężczyzn i niektórzy wydawali się lubić jej towarzystwo, ale żaden nie poprosił Aarona o rękę siostry. Rozumiała dlaczego. Nawet dobrze odżywiona i zadbana nie była pięknością, a jej wzrost odstraszał co niższych panów. Draydale był od niej ciut wyższy.

A Cate Burgoyne o...

Nie, nie będzie o nim myślała, choć żałowała, że nikt inny się o nią nie starał.

Posag, który zapewnił jej Aaron, a raczej pan Tallbridge, był niewielki. Sądziła, iż pokrewieństwo z Tallbridge'ami zachęci któregoś z kupców, ale najwidoczniej tak się nie stało. Może siostra zięcia – zależnego pod każdym względem od teścia – nie przedstawiała sobą wartości.

Zaprezentowała się na targu matrymonialnym Darlington i pojawiła się tylko jedna propozycja. Jeśli odmówi, przyszłość nie będzie rysować się wesoło. Susan i Aaron z pewnością jej nie wyrzucą, ale nie będą też hojni. W końcu zaczną traktować ją jak ubogą krewną, przed czym tak uparcie się broniła.

Czuła, że podoba się Draydale'owi, co też miało swoją wagę. Przejawiało się to w sposobie, w jaki na nią patrzył, nawet w tym, co mówił. Jego umizgi i słowa czasami wprawiały ją w zażenowanie, lecz powiedziała sobie, że zachowuje się jak

niedoświadczona gąska. Wiedziała, co dzieje się między mężem a żoną, i była na to gotowa.

Tak, Susan ma rację: Henry Draydale, członek szanowanej rodziny z Yorkshire, który wzbogacił się własną pracą, był dokładnie takim kandydatem na męża, o jakiego jej od początku chodziło.

– Doskonale – powiedziała. – Jeśli pan Draydale się oświadczy, zostanie przyjęty.

*A ja nie dopuszczę, by Cate Burgoyne na dobre zagościł w mojej pamięci.*

# Rozdział VI

Stary krzyż – powiedział Cate. – Kiedy wracałem ze szkoły, stanowił znak, że Keynings wkrótce ukaże się moim oczom.

– I chwała Bogu – zauważył Perry. – Cywilizacja, porządne łóżko i koniec obijania się na wybojach.

– Nalegałeś, by ze mną jechać.

– Nie miałem pojęcia, że drogi mogą być aż tak okropne, nawet na północy.

Cate nadal wyglądał przez okno.

– O, jest.

Widziane od południa, Keynings rozsiadło się na wzgórzu nieosłoniętym drzewami. Jeśli nadjeżdżało się z północy, widok odsłaniał się stopniowo, jakby drzewa ustępowały niechętnie polom i łąkom.

– Ładny dom – skomentował Perry – choć prosty. Ktoś goniący za modą dodałby kolumny i palladiańskie wille w parku.

Roe też o tym wspominał, lecz Cate wzdragał się na samą myśl o podobnym świętokradztwie.

Opuścił okno, by widzieć wyraźniej. Dom nad jeziorem, otaczony dzikimi kwiatami, wyglądał dobrze. Obrazu dopełniał śpiew ptaków. Uśmiechnął się, gdyż była to muzyka Keynings.

A potem sobie przypomniał. Jak mógł się uśmiechać? Celebrować życie w obliczu śmierci?

Łzy zakłuły go pod powiekami, i to nie po raz pierwszy. Zapanował nad żalem. Łzy mogłyby mu się przysłużyć, zaświadczając, iż nie triumfuje, ale naprawdę opłakuje brata, lecz niech go diabli, jeśli będzie płakał po to, by sprostać oczekiwaniom. Tak czy inaczej, płacz był spóźniony co najmniej o tydzień. Na grobie Roego ziemia zaczęła już pewnie osiadać.

Może nie powinien był tak się spieszyć z przyjazdem. Zważywszy, że pogrzeb i tak odbył się bez niego, mógł zostać dzień czy dwa w mieście i sprawić sobie żałobny strój. Albo sypiać dłużej podczas podróży i mieć teraz jaśniejszy umysł. Spożywać obfitsze posiłki, by nie burczało mu w brzuchu.

I po co tak pędził?

Naprawić coś, co nie było jego winą? Wypełnić lukę?

– Przyjemny park – mówił tymczasem Perry. – Choć nie przepadam za drzewami o ciemnym listowiu.

Cate wiedział, że uwaga odnosi się do egzotycznej odmiany buków o ciemnych, fioletowoczarnych liściach, z których Roe był tak dumny. To on je sprowadził i pielęgnował. Cate uważał, że ich barwa kłóci się z naturalnym listowiem pozostałych drzew, lecz nie mógł teraz tego powiedzieć.

– Wyglądają stosownie, tak żałobnie. Roe interesuje się... interesował się egzotycznymi drzewami. Będziemy mijać kilka

z jego najbardziej interesujących nabytków. Na przykład miłorząb japoński.

– Czarujące – oznajmił Perry bez entuzjazmu. Czy on również, podobnie jak Cate, uważał listowie obcych drzew za nazbyt jaskrawe? Dlaczego ludzie tacy jak jego brat sprowadzali egzotyczne rośliny i tak się o nie troszczyli, podczas gdy stary, dobry angielski dąb, potrzebny do budowy statków, wymierał?

Było to niepatriotyczne. Przypomniał sobie, że powiedział coś takiego, kiedy przebywał po raz ostatni w Keynings. Teraz podobna myśl trąciła zdradą.

Nie podobała mu się jednak nienaturalna barwa przeklętej żałobnej brzozy.

Spojrzał w drugą stronę, na jezioro i wierzbę płaczącą. *Salix babylonica*. Zapamiętał nazwę, gdyż Roe zacytował Biblię: *Nad rzekami Babilonu – tam siedzieliśmy i płakaliśmy...*[1].

Do diaska! Zamrugał znowu, wstrzymując łzy.

Wierzba, nienawykła do chłodnego klimatu, walczyła o przetrwanie. *Utrzymam ją przy życiu, Roe. Dla ciebie*.

Jakoś.

Teraz, jako właściciel i opiekun, musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystko, co składało się na włości – jezioro, drzewa, zarówno rodzime, jak importowane, zwierzynę płową, starannie zaprojektowane ogrody i każde, przeklęte źdźbło trawy.

Tymczasem Keynings – długa, pełna godności i prostoty budowla z brązowego kamienia – stała pośród ogrodów, będących w pełni wiosennego rozkwitu. Dopiero teraz zauważył, że niebo jest czyste, a słońce świeci jaskrawo. Natura nie uznaje żałoby.

Przekonał się o tym w brutalny sposób podczas wojny, żałował jednak, że akurat nie pada.

– Ile lat liczy sobie dom? – zapytał Perry.

Tak, lepiej porozmawiać o czymś zwyczajnym.

– Większa część, siedemdziesiąt. Fontanna w ogrodzie została zbudowana, by uczcić narodziny Roego.

Może dlatego została wyłączona? Ale czyż nie byłoby bardziej stosowne, by Neptun i jego ryba płakali?

Fontannę otaczał starannie wypielęgnowany ogród, a wokół biegł żwirowy podjazd. Bryczka podążyła nim i zatrzymała się u podstawy szerokich schodów, prowadzących do wysokich frontowych drzwi. Na każdym ze skrzydeł przymocowano herb lorda Malzard spowity kirem.

Nie widział przedtem czegoś takiego. Kiedy zmarł ojciec, przebywał daleko i był zbyt zaangażowany w działania wojenne, by wrócić na pogrzeb.

W stosownej chwili drzwi domu się otwarły i wyszło czterech lokajów, odzianych w zieloną liberię Malzardów, czarne pończochy i rękawiczki, z czarnymi opaskami na ramionach. Zbyt wielu, aby otworzyć po prostu drzwi i zabrać bagaż podręczny oraz dwa małe kuferki, umieszczone z tyłu.

Czy oznaczało to, że uznano go oficjalnie za lorda? A może wszystko tu trwało w zawieszeniu, czekając, co powie Artemis? Kiedy pakował się w pośpiechu w Londynie, wyprawił posłańca z wiadomością do Izby Lordów. Poinformował oficjeli o śmierci brata i poprosił o objaśnienie zasad dziedzictwa. Odpowiedziano, iż od wdowy zależy, kiedy oznajmi, że jest lub nie, w ciąży.

W zależności od tego oświadczenia majątek i tytuł miał przejść na potencjalnego dziedzica.

Zatem: co powiedziała – lub nie – Artemis?

Służący otworzył drzwi. Drugi opuścił schodki. Cate nie miał ochoty wychodzić. Czuł się tak, jakby wstępował na szubienicę. Szlachectwo zobowiązywało jednak, aby zachował się jak na dziedzica przystało. Wyszedł na zewnątrz.

Jeden z lokajów, ubrany na czarno, wysunął się przed innych i skłonił.

– Witamy w domu, *sir*.

Zatem nic nie zostało jeszcze zdecydowane.

Mężczyzna był w domu zarządcą, lecz jak, u licha, brzmiało jego nazwisko? Nie był to Threaves, którego Cate znał ze swoich lat chłopięcych i który mieszkał teraz wygodnie w przydzielonych mu pokojach w północnym skrzydle. Ten energiczny mężczyzna po czterdziestce sprawował już funkcję zarządcy, gdy był tu ostatnio, ale Cate za Boga nie potrafił przypomnieć sobie jego nazwiska.

Żal po stracie brata powinien stanowić wystarczające usprawiedliwienie.

– Dziękuję – powiedział. – Jest ze mną przyjaciel, pan Perriam.

Ruszył schodami, nie oglądając się za siebie. Nie ma potrzeby płacić forysiom. Kamerdyner wszystkim się zajmie. Ani dźwigać bagażu. Czwórka gorliwych lokajów poradzi sobie z nim bez trudu.

Nie musiał też martwić się o Perry'ego. Przyjaciel potrafił się o siebie zatroszczyć.

Uwolniony od wszystkich obowiązków z wyjątkiem najbardziej złowrogiego musiał jedynie pójść, rozmówić się i być... kim?

Lordem czy opiekunem przyszłego dziedzica?

Minął drzwi i wszedł do przestronnego holu. Powinien czuć się tu swobodnie, otoczony wspomnieniami dzieciństwa. Był wtedy szczęśliwy. Jednakże Roe zmienił wystrój domu, unowocześnił go. Zerwano dębową boazerię i zastąpiono pomalowanym na bladoszary kolor tynkiem, ozdobionym pilastrami z imitacji marmuru i ustawionymi w niszach pseudogreckimi posągami.

Kiedy przybył do domu przed dwoma miesiącami, przeżył prawdziwy szok, choć miał nadzieję, że udało mu się to ukryć. Musiał przyznać uczciwie, że wnętrze wyglądało elegancko i nie różniło się od wystroju innych posiadłości, lecz tęsknił za starym Keynings. Podczas lat spędzonych na wojaczce wspomnienie przytulnego, staromodnego dworu z ciemną boazerią i plączącymi się pod nogami psami ojca stanowiło jedyną pociechę w pełnym chaosu świecie.

Matka nie wyszła, by go powitać, lecz nie spodziewał się, że to zrobi. Żadnego okazywania uczuć w obecności służby. Będzie czekała w salonie na górze. Odwrócił się do Perry'ego i kamerdynera, którego nazwiska nadal nie potrafił sobie przypomnieć. Nie wróżyło to dobrze.

– Zostawiam cię w dobrych rękach, Perry. Proszę wszystkiego dopilnować – polecił, zwracając się do kamerdynera i ruszył na górę solidnymi, skręcającymi pod kątem prostym schodami, ciesząc się w duchu, że Roe nie zdążył ich usunąć i zastąpić lżejszymi, skręcającymi półkoliście, o których niedawno wspominał.

Prawdę mówiąc, odkąd był w Keynings ostatni raz, nic się tu nie zmieniło.

A przecież zmieniło się wszystko.

Gdyby tylko nie wyjechał w gniewie.

Drzwi salonu pozostawały zamknięte, ale stojący w pobliżu lokaj pospiesznie je otworzył. Cate wszedł i usłyszał, jak zamykają się za nim.

Salon też uległ metamorfozie, choć z lepszym skutkiem. Jasne ściany i jaskrawe obicia chwytały światło wpadające przez trzy wysokie okna z zasłonami barwy kości słoniowej. Delikatniejsze drewno modnych mebli współgrało z nowoczesnym wystrojem.

Matka siedziała na wyścielanej żółtym jedwabiem sofie w pobliżu okna i trzymała w dłoniach książkę. Wdowa po Roem, Artemis, zwrócona bokiem do okna, zajęta była szyciem. Biała tkanina robótki kontrastowała ostro z czernią żałobnej sukni. Obie kobiety miały na sobie żałobne stroje, a ich twarze zdradzały udrękę ostatnich dni.

Czy na nim żal również wycisnął widoczne piętno?

Podczas jazdy starał się znaleźć słowa odpowiednie do sytuacji. Kondolencje oznaczałyby, że nie odczuwa smutku w tym samym stopniu, co matka i bratowa. A gdyby wyraził żal z powodu odziedziczenia w ten sposób tytułu, postawiłoby je to w niezręcznej sytuacji. Bo jak mogłyby zareagować? Nie spyta przecież Artemis wprost, czy jest przy nadziei.

Skłonił się zatem i powiedział:

– Matko, Artemis, cóż za tragiczna sprawa.

Jego pulchna matka odpowiedziała smutnym uśmiechem... i lekkim skrzywieniem ust na widok garderoby Cate'a. Wyciągnęła rękę. – Rzeczywiście, Catesby, wiemy jednak obie, że zrobisz, co będzie w twojej mocy.

Gdyby tylko nie zabrzmiało to tak, jakby cokolwiek, co zrobi, miało okazać się niewystarczające!

Ujął jej dłoń.

– Przybyłem, jak tylko mogłem najszybciej, matko. – Do licha, czyżby zaczął już się usprawiedliwiać?

– To stało się nagle – wtrąciła spokojnie Artemis. – Ja też mogłam przebywać akurat poza domem. W zeszłym miesiącu zabrałam dzieci do Galgarth Hall...

Odwrócił się i zapytał z wdzięcznością:

– Naprawdę nie było żadnego sygnału? – Do diabła, łzy znowu zakłuły go pod powiekami. – Wybacz. Jestem pewien, że wolałabyś o tym nie mówić.

– Nie, wszystko w porządku – odparła, wydmuchując nos w obszytą czarną koronką chusteczkę. – Lecz proszę, usiądź, Catesby. Jesteś taki wysoki. Zupełnie jak...

„Malzard" zawisło w powietrzu. Przy innych Artemis zawsze zwracała się do męża w ten sposób. Bracia byli podobnego wzrostu, choć Roe nie tak postawny. Prawdę mówiąc, był szczupły pomimo zdrowego apetytu.

Cate przysunął sobie krzesło i usiadł pomiędzy kobietami, poruszony cichym smutkiem bratowej. Jakichkolwiek prób spodziewała się w życiu, z pewnością nie było wśród nich wdowieństwa, i to w tak młodym wieku.

Roe wybrał doskonałą żonę – kobietę nie tyle piękną, ile o miłej dla oka powierzchowności i czułym sercu, posiadającą cechy i umiejętności niezbędne damie o jej pozycji. Pochodziła z możnej i wpływowej rodziny Howardów z Yorkshire, choć nie była blisko spokrewniona z lordem Carlisle'em.

Była również z natury pogodna, co stanowiło doskonałą przeciwwagę dla sztywnego, pozbawionego poczucia humoru męża. Teraz wyglądała, jakby zgasł w niej wewnętrzny blask. Choć wydawała się spokojna, nie sądził, by mogła rozmawiać o śmierci.

– To było coś w jego głowie – stwierdziła szorstko matka. – Powinniśmy byli posłać po lekarza wcześniej, lecz skarżył się jedynie na bóle głowy.

– Nic nie można było zrobić – Artemis spojrzała na Cate'a. – Skarżył się tylko przez kilka ostatnich dni, choć podejrzewam, że cierpiał od jakiegoś czasu. Bóle nasilały się i w końcu nie pomagało już nawet opium. Dopiero to nas zaalarmowało. Wezwaliśmy doktora Selby'ego, lecz zanim przybył... – Zaczerpnęła oddechu, opanowując drżenie. – Naczynie krwionośne w mózgu pękło. Nie było dla Roego ratunku.

– Szkoda, że nie spotkało to mnie.

Natychmiast pożałował wypowiedzianych słów. Na pewno kobiety się z nimi zgadzały, nie mogły wszakże tego przyznać.

– Taka była wola Boga – powiedziała Artemis, wracając do szycia. – Z pewnością będzie wspierał cię w pełnieniu nowych obowiązków. Wysłaliśmy wiadomość natychmiast, gdy to się stało.

Czyżby go przepraszała?

– Wyruszyłem, gdy tylko ją otrzymałem. Niestety, niczyja wola nie potrafi sprawić, by odległości uległy zmniejszeniu, a drogi stały nagle przejezdne.

Mówiąc, zastanawiał się, czy słowa Artemis oznaczają, że nie spodziewa się dziecka. Jak mógłby delikatnie o to zapytać?

Tymczasem szwagierka sama poruszyła ten temat. Zupełnie, jakby była w stanie odczytać jego myśli.

– Nie jestem przy nadziei. – Utkwiwszy wzrok w przestrzeni poza Cate'em, uniosła głowę i dodała zażenowana: – Dostałam miesięcznych przypadłości w zeszłym tygodniu i... nie jestem w ciąży – powtórzyła stanowczo. – Powinieneś przejąć tytuł i związaną z tym odpowiedzialność jak najszybciej.

Cate nie miał pojęcia, czy kobieta może mylić się w takich sprawach, lecz jeśli Artemis nie życzyła sobie trzymać otoczenia w niepewności, potrafił ją zrozumieć. W końcu to nic przyjemnego, gdy domownicy przyglądają się uważnie twoim intymnym sprawom.

– Doskonale. Trzeba powiadomić służbę i sąsiadów.

– Zajmę się tym – powiedziała matka. Sięgnęła do prawej kieszeni i coś wyjęła. – Będziesz ich potrzebował.

Wstał i wziął od niej dwa pierścienie – sygnet rodowy i czarny pierścień ze wzorem wyrytym w srebrze. Każdy dżentelmen, który uczestniczył w pogrzebie, otrzymał podobny klejnot.

Cate nie miał ochoty ich zakładać, ale to zrobił. Artemis zesztywniała. Jakież to musi być dla niej trudne, pomyślał. Przestała nawet szyć. Matka zacisnęła wargi.

W pierwszej chwili pomyślał, że nie sądzą, aby był zdolny wykonywać związane z tytułem obowiązki, lecz potem uświadomił sobie, iż mogło chodzić też o to, że miał teraz władzę nad życiem obu kobiet. Mógł relegować je z dworu, przynajmniej w teorii, i umieścić w dawno nieużywanym wdowim dworku. Lub nawet odesłać z Keynings.

– Wszystko będzie tak, jak sobie zażyczycie – powiedział.

Jego matka zrobiła zbolałą minę. Niech Bóg mu wybaczy. – Miałem na myśli, że nic nie musi się zmienić, jeśli nie będziecie tego chciały.

– Dziękujemy – odparła za matkę Artemis. – Keynings to nadal mój dom, a dziewczynki nie znają innego.

– Jest twój. I ich. Na zawsze.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślny, lecz będziesz musiał wziąć też pod uwagę odczucia swojej przyszłej żony. – Zabrzmiało to tak, jakby tłumaczyła coś osobie niedorozwiniętej.

– Nie jestem żonaty.

– Ale będziesz – wtrąciła matka.

– Tak, ale... zapewniam, że nie poślubię nikogo, kto mógłby przysporzyć rodzinie kłopotów.

Rozmowa okazała się trudniejsza niż przedzieranie się przez bagna pod ogniem nieprzyjaciela.

– Poza tym – dodała Artemis, wbijając wreszcie igłę w materiał – możliwe, że zechcę zamieszkać kiedyś gdzie indziej.

Wyjść ponownie za mąż. Oczywiście. Nie miała przecież jeszcze trzydziestu lat.

– Ożenisz się, Catesby? – Matce udało się sprawić, że pytanie zabrzmiało jak rozkaz.

– To nie...

– Nie jesteś w stanie zmusić się, by zrobić nawet to? – przerwała mu, podnosząc głos.

– Czy mógłbym wpierw przespać samotnie choć jedną noc?

– Nie bądź wulgarny! – prychnęła. – Każdy na twoim miejscu dostrzegłby, że trzeba się spieszyć, skoro los pokazał, jak może być nieprzewidywalny i okrutny.

– Ludzie spodziewają się raczej okresu żałoby. – Opanował się. – Przepraszam, matko, ale doprawdy...

Wpatrywała się w niego przez chwilę z gniewem, a potem westchnęła.

– Masz rację, mój drogi. Ja również przepraszam. Chodzi jedynie o to, że... – Wargi jej zadrżały i zakryła usta chusteczką.

Bardzo się starała. I on także. Podobnie Artemis. Wszyscy starali się wypracować jakiś sposób działania. Uznał, że teraz najlepiej będzie się wycofać.

Wstał.

– Czy powinienem się czymś natychmiast zająć?

Matka uśmiechnęła się z trudem.

– Nie, drogi chłopcze. Wszyscy znają swoje obowiązki. Prześpij się, jeśli chcesz. Musisz być wyczerpany.

Zdecydowanie bardziej teraz, niż kiedy przyjechał.

– Przywiozłem z sobą przyjaciela. Czcigodnego Peregrine'a Perriama. Nie będzie zawadzał.

– Perriama? – spytała matka z iskierką zainteresowania. – Z Perriamów z Worstershire?

– Jego ojcem jest lord Hernescroft.

– Ach.

Cate'owi nie spodobało się, że zyskał aprobatę jedynie z powodu gościa, którego przywiózł. Kusiło go, aby powiedzieć: „Poznaliśmy się w burdelu", co było, w pewnym sensie, prawdą.

W końcu jednak skinął tylko głową i wyszedł. Lokaj o nieruchomej twarzy stał tuż pod drzwiami, Cate zdusił zatem cisnący się na usta grymas i ruszył pospiesznie ku swojej sypialni.

A potem się zatrzymał.

Której sypialni?

Kierował się ku tej, którą zajmował w młodości i która czekała na niego, kiedy pojawił się w Keynings poprzednio. Miło byłoby się tam schronić, lecz jeśli był teraz lordem, czy nie spodziewano się, że zajmie pokoje pana domu?

Zastanawiał się jedynie przez sekundę.

Tak.

Najlepiej chwycić byka za rogi i dokonać wielkiej zmiany od razu. Był pewien, że Artemis wyprowadziła się już z sąsiedniego apartamentu.

Odwrócił się i skierował, acz niechętnie, ku apartamentowi, który nadal postrzegał jako należący do ojca. Otworzył drzwi sypialni, jakby spodziewał się, że ktoś w środku zacznie nagle krzyczeć: „Intruz, intruz!". Drzwi skrzypnęły jednak tylko cichutko. W środku czekał służący – lokaj wyższej rangi w poważnym, eleganckim uniformie.

Lokaj Roego.

Do licha! Czy źle ocenił sytuację? Lecz skoro był teraz lordem, nie powinien przejmować się błahostkami. Nie zamierzał pozwolić, by traktowano te pokoje jak mauzoleum.

Wszedł dalej i zamknął za sobą drzwi.

– Wasze nazwisko?

Mężczyzna skłonił się i odparł:

– Ransom, milordzie. Osobisty lokaj pańskiego brata.

Zatem został już poinformowany. Szkoda. Cate chętnie stoczyłby z kimś bitwę. Odbył potyczkę w szlachetnej sprawie. Taką, jak rozprawienie się z napastnikami w Northallerton, co pomogło mu

rozładować napięcie po kłótni z bratem. Przynajmniej Herze się powiodło.

Prudence Youlgrave.

Jego znużony umysł błądził, podczas gdy lokaj czekał cierpliwie na polecenia. Nie był pewien, jak długo może korzystać z usług Ransoma, lecz potrzebował kogoś od razu. Kogoś, kto będzie w stanie zadbać, aby wyglądał jak na lorda przystało. Kiedy zdobędzie odpowiednie ubrania.

– Woda do mycia, jeśli łaska.

Lokaj skłonił się i wyszedł, a Cate opadł bezwładnie na łóżko.

Potarł dłońmi twarz – i przekonał się, że część włosów wymknęła się z upięcia i zwisa luźno. Musiał przedstawiać widok godny politowania. Zsunął przytrzymującą je wstążkę, podszedł do okna i zapatrzył się na falisty krajobraz. W pobliżu domu dominowała zieleń, przechodząca w mozaikę barw i odcieni, odzwierciedlającą sposób, w jaki użytkowana była ziemia.

Roe wiedziałby dokładnie, co gdzie rośnie i kiedy nadejdzie pora zbiorów. Które pola stanowią część domowej farmy, a które oddano w dzierżawę chłopom z majątku. Znałby nazwiska dzierżawców i szczegóły ich życia. Przygotowywano go do tego od dzieciństwa, praktykę zaś odbył, pracując przez lata ramię w ramię z ojcem.

Spojrzał na dach farmy, a potem przeniósł spojrzenie na smukłą wieżycę kościoła St. Wilfreds. Kiedyś marzył niemądrze, że zostanie tam pastorem. Dalej widniały dachy wioski Holmewell, a za nimi rozsiane wśród pól chaty. Ich mieszkańcy płacili rentę dzierżawną właścicielom. Jemu. Czy niektórzy cieszyliby się,

posiadając taki majątek? On nie potrafił. Nie nienawidził brata. I nie pragnął włości.

*Kłamca!*

Z pewnością nie życzył jednak bratu śmierci. To, Bogu dzięki, było prawdą.

Odwrócił się i zaczął się rozglądać. Rzadko bywał w tym pokoju, i pamiętał go tylko za czasów, kiedy zajmował go ojciec. To dziwne, że w domu rodzinnym były pomieszczenia, których prawie nie znał. Gabinety oraz pokoje zarządcy, czające się na parterze niczym oczekujące go leże drapieżnika. *Terra incognita*.

*Skup się na tym, co teraz*.

Kotary przy łóżku zmieniono. Były teraz z niebieskiego adamaszku, nie, jak za czasów ojca, z jakiegoś starego, spłowiałego materiału obszytego złotem. Ojciec nie dbał zbytnio o modę i nie zmienił zapewne wystroju, odkąd odziedziczył dom w 1731 roku. Ciężkie dębowe łoże pochodziło zapewne z siedemnastego wieku, a może nawet czasów przed wojną domową, podobnie rzeźbiona skrzynia u jego stóp.

Te stare meble zakotwiczały go w przeszłości. Nigdy się ich nie pozbędzie.

Podszedł do drzwi prowadzących do biblioteki lorda, jak nazywano pomieszczenie odznaczające się podobnym do niegdysiejszego wystroju sypialni wyglądem i nieco przykurzoną elegancją. Właściwiej byłoby nazwać je „schronieniem lorda”, gdyż kiedy ów się w nim znajdował, nikt nie śmiał wchodzić tam bez zaproszenia. Cate przypomniał sobie, że został kilkakroć „zaproszony”. Postrzegał to raczej jako audiencję niźli spotkanie ojca z synem.

Otworzył drzwi i zamarł zaskoczony.

– Tu jesteś. Przetrwałeś spotkanie z rodziną? Jak było?

Przez chwilę nie odpowiadał, opanowując gniew na Perry'ego za to wtargnięcie.

– Tak jak można się było spodziewać – odparł, spoglądając na drzwi prowadzące na korytarz, którymi zapewne wszedł Perry. – Będę musiał przejąć tytuł i obowiązki, ponieważ szwagierka zdaje się być pewna, iż żaden syn nie pojawi się, by zmienić sytuację.

Perry ukłonił się przesadnie.

– Zatem, milordzie... – Skrzywił się. – Wybacz, nie ten ton.

– Rzeczywiście. Muszę przywyknąć do wielu zmian. Zapamiętałem ten pokój jako mniejszy. Za czasów ojca boazeria nie była pomalowana i obejmowała także sufit.

Perry rozejrzał się.

– Ładna sztukateria, a bladozielony jest teraz w modzie. Choć osobiście nie jestem zwolennikiem zamalowywania pięknego starego drewna.

– Zastanawiam się, czy można przywrócić je do dawnego stanu.

Natychmiast pożałował swoich słów. Zabrzmiało to tak, jakby chciał zatrzeć wszelki ślad po Roem. Musiałby też zdjąć obrazy, które brat przywiózł z podróży po Europie. Prezentowały się doskonale na tle seledynowych ścian.

– Wygląda na to, że Roe naprawdę studiował we Włoszech sztukę.

– Zamiast oddawać się grzesznym uciechom, jak zrobiłem to ja.

– I jak ja bym postąpił, lecz młodszym synom nie przysługują w naszej rodzinie podobne luksusy.

Wziął bezwiednie do rąk jedną z dwóch leżących na biurku książek, lecz zaraz ją odłożył. Roe musiał czytać je podczas kilku ostatnich dni przed śmiercią, szukając ucieczki od bólu w lekturze i nie podejrzewając, że zbliża się koniec.

– Zajęto się tobą? – spytał Perry'ego, wracając do sypialni.

– Doskonale. A tobą?

– To moje włości, gdzie ja wydaję polecenia.

– Co zatem poleciłeś?

– Nie przejmuj się mną – powiedział Cate szorstko.

– Tej jaskini nie powinieneś penetrować sam.

– To mój dom.

– Co zatem znajduje się tutaj? – otworzył kolejne drzwi. – Ach, ubieralnia, i to jaka.

Zniknął w środku i Cate podążył za nim. Nie pamiętał, by zajrzał choć raz do tego pomieszczenia, ale nad Perrym trudno było zapanować, a jeśli miał być szczery, rzeczywiście wolałby nie zwiedzać domu sam.

Zatrzymał się i rozejrzał z uznaniem.

– To musi być dzieło Roego. Ojciec nie pozwoliłby sobie na luksus posiadania tak olbrzymiej wanny, nie kazałby wymalować na ścianach scen przedstawiających bogów i boginie. Braciszek lubił wygodę.

– Nie ma w tym nic złego. – Perry okrążył wannę ustawioną na podwyższeniu pośrodku pokoju. – I zostawił ci wannę dostosowaną do twego wzrostu. – A to co znowu? – Pochylił się, by czemuś się przyjrzeć. – Kurek do łatwego opróżniania. Woda ścieka do pomieszczenia poniżej. Doskonały pomysł! Będę mógł się wykąpać?

– Jeśli nie boisz się zostać pożartym. Wnętrze udekorowano wyobrażeniami morskich potworów.

Cate jął się przyglądać reszcie wyposażenia: wysokiej komodzie, toaletce z przyborami do golenia, wspaniałej bieliźniarce z drzwiczkami ozdobionymi scenkami myśliwskimi.

Otworzył je od niechcenia i zamarł. Szafa pełna była ubrań. Ubrań Roego. Bóg wie, co sprawia, że czyjś zapach odróżnia się od woni używanych przez niego perfum, ale tak właśnie było i ów zapach nadal tam był.

– Woda do mycia, *sir*.

Odwrócił się i spostrzegł Ransoma. Za nim stał lokaj dźwigający wielki dzban, z którego unosiła się para. Obaj zatrzymali się na widok Perry'ego.

– Mój przyjaciel Perry chętnie by coś przekąsił. Zamów, proszę, na co masz ochotę i zaczekaj na mnie w bibliotece lorda.

Słysząc ton, jakim zostało to powiedziane, Perry uniósł brwi, ale posłusznie wyszedł. Lokaj odstawił dzban i ruszył w ślad za nim. Ransom nalał wody do miski z porcelany.

– Dlaczego ubrania mojego brata nadal tu są? – zapytał Cate.

Lokaj odstawił dzban.

– Wdowa pomyślała, że mogą się panu przydać, *sir*. Byliście z bratem podobnego wzrostu.

– Lecz innej budowy. Szwy popękałyby w ramionach.

– Obawiam się, że pańska matka nie zdawała sobie z tego sprawy, milordzie.

Co zrobić z przeklętymi łachami?

– Proszę kazać wszystko spakować. Niech szwagierka zdecyduje, co chce z tym zrobić. A teraz proszę mnie zostawić.

Ransom przywykł asystować Roemu przy czynnościach toaletowych, jednak Cate chciał zostać sam. Umiał zatroszczyć się siebie, a nawet cerować pończochy i przyszywać guziki, jeśli było trzeba.

Gdy lokaj wyszedł, zdjął surdut, kamizelkę oraz koszulę i umył się, zastanawiając nad tym, dlaczego robi to aż tak dokładnie. Może był to rodzaj chrztu. Czyż nie tak należało rozpocząć nowe życie? Niemowlęta zazwyczaj płakały, gdy polewano je wodą.

Przeszukał walizę w płonnej nadziei znalezienia czystej koszuli, ale niestety, wszystkie były już używane. Do jutra zostaną wyprane i uprasowane, a uszkodzenia naprawione tak umiejętnie, że nikt nie pozna, gdzie się znajdowały.

Wkrótce sprawi sobie nowe koszule. A także buty, zastępując te o przetartych podeszwach i pękniętych cholewkach. Ubrania wszelkiego rodzaju, skromne, ale uszyte zgodnie z wymogami mody z najlepszych tkanin.

Jak ubrania Roego w przeklętej bieliźniarce.

Ruszył ku szafie. Zapewne znalazłby tam mnóstwo koszul, a te miały przecież luźny krój. Może natrafiłby też na nieznoszone do cna buty.

*Nie*.

Może i wejdzie w buty brata, lecz nie dosłownie. Zresztą i tak okazałyby się za ciasne. Skrzywił się na tę mimowolną metaforę, a potem założył najczystszą ze swoich koszul i zawiązał krawatkę.

Ubierał się przed lustrem, starając się nadać sobie możliwie najbardziej szacowny wygląd. Posłużył się zwilżonym końcem ręcznika, by zetrzeć plamę na surducie i drugą na bryczesach, jednak wilgoć sprawiła tylko, że stały się bardziej widoczne.

Powinien założyć pantofle, zdjął więc zabłocone buty do konnej jazdy, a potem zauważył, w jakim stanie są jego pończochy – zafarbowane miejscami i pocerowane. Dlaczego nie pomyślał, by zabrać te bardziej porządne, w których udawał się w zaloty? Utknęły w bagażu, który miał przybyć wraz z Jebem i Augustem.

W bieliźniarce na pewno znajdowało się mnóstwo pończoch, które by na niego pasowały. Wspomniał scenkę na drzwiach, gdzie psy osaczały jelenia i zastanowił się nad implikacjami.

Nie był swoim bratem i nigdy nie będzie.

Był jednak lordem Malzard, właścicielem wszystkiego dookoła, z pończochami włącznie. Co za sens sprzeciwiać się przeznaczeniu?

Otworzył drzwiczki i przeszukiwał szuflady, póki nie znalazł tej z pończochami. Leżały, poukładane schludnie parami, od codziennych, po bardziej eleganckie. Zdjął swoje i założył jedne z codziennych brata, naciągając je nieco na swoich bardziej muskularnych łydkach.

Pierwszy krok – nie wiedział tylko, prowadzący ku zwycięstwu czy porażce.

---

[1] Psalm 137, Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1988.

# Rozdział VII

Wszedł do biblioteki, lecz Perry'ego tam nie było. Przyjaciel taktownie wycofał się z apartamentu, zamówiwszy wpierw jedzenie, dla Cate'a raczej niż dla siebie, ponieważ wybrał to, co wybrałby Cate: świeży chleb, plastry szynki, miejscowy ser i dzbanek piwa.

Cate nie miał jednak apetytu.

Pokój Roego, książki Roego, starannie wybrane przezeń obrazy, wszystko krzyczało: „Intruz!". Nie wątpił, że jeśli brat spogląda na niego z nieba, płacze lub zgrzyta ze złości zębami. Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, gdyby się nie pokłócili i nie wypowiedzieli słów, których nie dało się już cofnąć, słów tym bardziej bolesnych, że zawierały prawdę.

Roe zaprosił Cate'a do siebie, by porozmawiać o jego perspektywach na przyszłość i o zachowaniu.

Cate'owi się to nie spodobało, zwłaszcza zaś przekonanie Roego, że ma prawo, obowiązek nawet, doradzać młodszemu bratu, i że

on tego potrzebuje. Nie zamierzał wywołać awantury, lecz sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Roe zdradził się z tym, co naprawdę o nim myśli. Że jest nieudolny. Samolubny. Lekkomyślny. Niesubordynowany. O tak, wojskowe plotki nieźle się temu przysłużyły.

Odparł atak, zarzucając bratu, że jest pozbawiony charakteru, małostkowy i niezdolny osiągnąć nic, co nie zostało mu podane jako pierworodnemu na tacy.

– Myślisz, że spisałbyś się lepiej? – wypalił Roe. – Skoro tak, zapewne cieszy cię to, że nie mam syna. – Cate zaprotestował, lecz Roe zdawał się nie słyszeć. – Przypuszczam, że upiłeś się z radości, gdy umarł.

Zaskoczył Cate'a, ponieważ wiadomość o śmierci nowo narodzonego dziedzica nigdy do niego nie dotarła. Powiedział o tym bratu, przepraszając i wyrażając współczucie, lecz Roe nie uwierzył. Milczenie Cate'a uznał za wyraz zadowolenia, i to przekonanie tak zapadło w jego świadomość, że w końcu był już głuchy na argumenty. Czy gdyby usilniej starał się go przekonać, dałoby się uniknąć awantury?

Jednak tak się nie stało. Obrzucali się nawzajem coraz cięższymi zarzutami, aż wreszcie Cate wypadł z domu w gniewie. Wziął konia ze stajni, pojechał do Northallerton, mając w kieszeni zaledwie kilka monet i nie odezwał się więcej.

Drzwi otwarły się i do biblioteki weszła matka.

Cate poczuł, że ogarnia go gniew. Niech to, był przecież w sanktuarium pana domu, miejscu, gdzie nikt nie wchodził bez zaproszenia. Jeśli ma być lordem, wymusi na nich przynajmniej tę odrobinę szacunku.

Zaskoczenie widoczne na twarzy starszej damy powstrzymało go przed wybuchem. Wyglądała, jakby dostrzegła niebezpieczeństwo. Stłumił gniew, wstrzymując ostrą reakcję, wiedział jednak, że jeśli się odezwie, słowa, które wyjdą z jego ust, będą paliły niczym kwas.

Matka oblizała wargi i wykrztusiła:

– Kandydatki na żonę – po czym wyciągnęła ku niemu dłoń z kilkoma arkuszami papieru.

Wziął je, zaskoczony dziwaczną sytuacją. Na pierwszej znajdowało się sześć nazwisk, na drugiej dwanaście, a na trzeciej cztery.

– Harem? – zapytał.

– Nie bądź śmieszny – prychnęła. Zapewne ulżyło jej, że wrócili oboje na dobrze znane pole rodzinnej walki. – Wybór, Catesby. Wybór. Przebywałeś przez lata z dala od domu, a wątpię, czy twoje ostatnie przygody powiodły cię ku kręgom, gdzie mógłbyś spotkać odpowiednią pannę.

*Byłabyś zaskoczona, matko. Zwłaszcza gdyby uznać za odpowiednie córki bogatych mieszczan i wdowy po nich*.

– Dlatego sporządziłam listę. – Choć niska i pulchna, sprawiała wrażenie znacznie wyższej. Teraz też wyglądała, jakby połknęła kij. – Na pierwszej kartce znajdziesz panny z okolicy. Znam krewnych każdej z nich, zalety dziewczyny, jej charakter, a nawet rodzinne...

– Księgi rozpłodowe? – podsunął Cate.

Matka zaczerpnęła gwałtownie oddechu.

– Po co owijać w bawełnę? – rzucił. – Chodzi o sukcesję.

– Cóż, rzeczywiście. Spodziewam się, że wypełnisz obowiązek.

– Zapewniam cię, matko, iż zmierzam wypełniać swoje obowiązki w każdy możliwy sposób, widzę jednak, że sprowadzenie do Keynings nieodpowiedniej hrabiny zdenerwowałoby cię bardziej niż mnie.

– Stąd listy. Nie ma na nich osoby, której nie byłabym w stanie tolerować.

*Zamierzasz więc mieszkać tu do śmierci, pomyślał. Nie dla ciebie wdowi dworek*. Obiecał jej to, lecz perspektywa była ponura. Nigdy się z sobą nie zgadzali.

– Na drugiej liście umieściłam nazwiska wielkich dziedziczek w całym kraju – kontynuowała. – Nie szukamy kolejnych włości, ale majątek zawsze się przyda. Jednak znam ledwie kilka z nich. Co za szkoda, że nie było cię w domu, zanim porwano nam Dianę Arradale.

– Hrabinę Arradale? – zapytał, przeglądając listy i kojarząc rodowe nazwiska, lecz nie osoby. – Raczej nie zainteresowałaby się młodszym synem. Kto zdobył w końcu jej rękę i większą część Yorkshire?

– Człowiek z Południa. Markiz Rothgar. – Pogardliwe prychnięcie mówiło jasno, co sądzi o tym mariażu. – Rozpytałam delikatnie o pozostałe. Na trzeciej liście znajdują się damy z rodzin posiadających polityczne wpływy. Oczywiście, kilka nazwisk się pokrywa. Zakładam, iż zamierzasz odegrać należną ci rolę w Izbie Lordów?

– Przypuszczam, że będę musiał, chociaż najchętniej nie wracałbym już nigdy do Londynu.

Matka zmarszczyła brwi.

– Zawsze byłeś dla mnie zagadką, Catesby.

– A ty dla mnie, matko. Musiałaś zacząć sporządzać listę tuż po śmierci Roego.

Jej okrągła twarz jakby się skurczyła.

– Nie natychmiast, ale niedługo potem. Dostrzegam konieczność pośpiechu, nawet jeśli ty jej nie widzisz.

Cate przypomniał sobie, jak ojciec wyjaśniał mu, właśnie w tej bibliotece, czego może się spodziewać jako drugi syn. Zostało to wyłożone jasno, praktycznie i bezlitośnie.

– Pasowaliście do siebie z ojcem – zauważył.

– Rzeczywiście. I było to małżeństwo zaaranżowane przez rodziców, podobnie jak związek Sebastiana i Artemis. Jeśli chcesz...

– Nie! Sam wybiorę sobie narzeczoną, matko. Dziękuję wszakże za pomoc. Przejrzę listy uważnie i zastanowię się, jakie podejście może okazać się najskuteczniejsze.

– Obiecaj, że wybierzesz właściwie – powiedziała z napięciem w głosie.

– A co konkretnie przez to rozumiesz?

– Odpowiednią żonę dla hrabiego Malzard.

– Zatem dokładnie taki mam zamiar.

– To dobrze – odparła, ewidentnie nieprzekonana. Westchnęła jednak tylko i wyszła.

Cate wpatrywał się w zapisane starannym pismem strony. Uświadomił sobie, że go nie rozpoznaje. Nie wiedział, czy listy sporządziła osobiście matka, czy któryś z urzędników. Nigdy do niego nie pisywała. List informujący o śmierci Roego napisał jego sekretarz, niejaki Mount.

Czy odziedziczył także jego? Prawdopodobnie. Z pewnością to jakiś cichy facet w średnim wieku, który trzyma się z dala, póki nie zostanie wezwany.

Na myśl, że schludne, staranne pismo mogło należeć do matki, poczuł odrazę. Przecież, gdy to pisała, jej ukochany starszy syn jeszcze nie ostygł w grobie.

Spróbował spojrzeć na sprawę od drugiej strony. Matka, pogrążona w szoku i rozpaczy po stracie syna, musiała jednocześnie czuć się też zagrożona. Stała się całkowicie zależna od Cate'a – impulsywnego, jak sądziła, lekkomyślnego, niedbającego o nic Cate'a. Wszak mógł ją wyrzucić z domu, w którym mieszkała przez czterdzieści lat.

Jeśli jego ożenek miałby na powrót dać jej poczucie bezpieczeństwa, mógłby to dla niej zrobić, odczuwał jednak dziwną niechęć przed wybraniem panny z którejś z tych starannie przemyślanych list.

* * *

Następnego ranka obudził się w wielkim i bardzo wygodnym łożu lorda. Przewrócił się na plecy i zapatrzył na promienistą słoneczną tarczę wymalowaną na pozłacanej wypukłości baldachimu. Nie był w stanie pojąć, dlaczego brat zawracał sobie głowę dekorowaniem czegoś, co tylko on mógł zobaczyć.

I, oczywiście, Artemis. Ta myśl przywołała przygnębiające wspomnienie list matki. Gdyby można było cofnąć czas i przywrócić Roego do życia, uczyniłby to bez wahania.

Odwiedził grób brata i przeczytał wyrytą na wielkiej kamiennej płycie inskrypcję, próbując oswoić się ze zmianą. W głębi duszy

nadal spodziewał się, że Roe lada chwila wtargnie wściekły do pokoju, zarzucając mu, iż próbuje zająć jego miejsce.

Wstał i podszedł do okna, żeby odsłonić story. Słońce dopiero co wstało. W Londynie życie wyższych sfer toczyło się nocą, czasami aż do świtu, a dzień zaczynał po południu. Ostatniego wieczoru wczesne położenie się spać stanowiło jedyną możliwość ucieczki. Perry szybko poszedł w jego ślady. Cate był na tyle wyczerpany, by przespać kilka godzin, lecz teraz czuł się już w pełni rozbudzony.

Szaleństwem byłoby stracić kolejny wschód słońca.

Stało jeszcze nisko nad horyzontem, lecz niebo rozjaśnił już perłowy blask jutrzenki. Delikatne pasma mgły unosiły się nisko nad ziemią, zacierając kontury odległych drzew i przydając krajobrazowi baśniowego charakteru.

To licha z bajkami! Potrzebował przejażdżki.

Ubrał się, a potem zszedł na dół, niosąc buty w ręku, aby nikogo nie zbudzić.

Oczywiście, dom już nie spał – służący niższej kategorii uwijali się, pracując pilnie, by wszystko było gotowe, kiedy obudzą się państwo. Przywykł do tej niezauważalnej aktywności, kiedy był tu poprzednim razem. Wtedy też często wybierał się rankiem na przejażdżkę, witany pozdrowieniami, a czasem filuternym uśmiechem. Teraz służący kłaniali się albo dygali, odwracając wzrok i mamrocząc pod nosem:

– Wasza lordowska mość...

Był tu panem, a jednak pozbawiono go wszystkiego, co tak spodbało mu się w Keynings ostatnio. Po raz pierwszy uświadomił sobie, co tak naprawdę oznacza akces do świata możnych i wysoko

urodzonych. Odtąd, dokądkolwiek się uda, będzie traktowany inaczej. Nie wejdzie do pokoju niezauważony. A ludzie będą się do niego uśmiechać nie tylko z sympatii, ale w nadziei uzyskania profitów.

Bogu dzięki, stajnie wyglądały tak samo, powitały go zapachem koni i siana. Jeden z gniadoszy zarżał. Był to wałach, na którym jeździł ostatnio. Podszedł i pogłaskał go po chrapach. Galas był wierzchowcem statecznym i zrównoważonym, przeznaczonym głównie dla gości. Mógł dosiąść każdego z rasowych koni brata, wziął jednak Galasa.

Z głębi budynku wyszedł stajenny. Niestety, nie był to Jeb, który nie zdążył jeszcze dojechać z Londynu. Ten kłaniał się zbyt często, powtarzając nerwowo: „Wasza lordowska mość". Cate wolałby osiodłać Galasa osobiście, pozwolił jednak, aby służący wykonał swoje zadanie, a potem uciekł w mglistą dal. Samotnie.

Przez jakiś czas jechał po prostu przed siebie i rozkoszował się spokojem. Przejażdżka w parku nie mogła równać się z jazdą po wiejskiej okolicy. Znał włości doskonale, ponieważ był to świat, który z zapałem badał jako chłopiec. I ten świat niewiele się zmienił. Fale nadal obmywały z cichym pluskiem brzegi jeziora, a na zadrzewionej wyspie pośrodku z pewnością odnalazłby sekretną kryjówkę, gdyby tylko wziął łódź i powiosłował. Stary dąb na wzgórzu wciąż doskonale nadawał się do wspinania. A długi pagórek, opadający łagodnie ku farmie zachęcał do zjeżdżania na sankach podczas śnieżnej zimy.

Z zamyślenia wyrwało go głośne:

– Halo!

Podniósł wzrok i zobaczył Perry'ego. Przyjaciel galopował ku niemu, dosiadając wspaniałego czarnego araba.

– Widzę, że wybrałeś najlepszego konia w stajni – zauważył Cate, kiedy przyjaciel zbliżył się na tyle, by mogli rozmawiać.

– Jeśli ty nie byłeś w stanie dostrzec, co jest wart... – odparł Perry beztrosko. Wiedział, że Cate nie miał na myśli nic złego.

– Ależ dostrzegłem, i to natychmiast, jednak Galas lepiej pasuje do mojej wagi. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– A z Otellem jesteście wrogami?

– Ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. – Koń odsunął się w bok i zatańczył na tylnych nogach, potwierdzając opinię Cate'a na swój temat.

– Chciałbyś go może sprzedać?

– Ja... – Już miał powiedzieć, że musi zapytać Artemis, ale byłoby to śmieszne i nieuzasadnione. Szwagierka dostanie swój udział jako wdowa, ale poza tym może decydować jedynie o osobistych rzeczach, swoich i córek.

– Dlaczego nie. To był miejski koń Roego, przeznaczony do paradowania po parkach, więc w mieście czułby się zdecydowanie lepiej.

– Wiedziałem, że się dogadamy – powiedział Perry, poklepując szyję konia. – Wspaniałe włości.

– Głównie dzięki ojcu. On wszystko zaprojektował... z pomocą armii ogrodników.

– A tam znajduje się przydomowa farma? – zapytał Perry, wskazując kierunek.

– Tak. Z tego wzgórza zjeżdżaliśmy w zimie na sankach.

– Szkoda, że mamy czerwiec.

– Jest tu też dąb, na który można się wspinać...

– To nie dla mnie. Ciesz się. Twoi synowie będą chodzić po drzewach w lecie i zjeżdżać ze wzgórza w zimie, jak kiedyś ty i twój brat.

– Roe był ode mnie starszy o sześć lat. Nie bawiliśmy się razem.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Może ty zaplanujesz to lepiej.

– Nikt nie potrafi zaplanować płci swoich dzieci, inaczej nie byłbym teraz lordem. Ty jesteś w podobnym wieku co twoi bracia, prawda?

– Dzielą nas niespełna dwa lata, co oznacza, że w dzieciństwie tworzyliśmy małe plemię.

Cate wyobraził sobie gromadkę chłopców w zbliżonym wieku i o podobnym usposobieniu, bawiących się i cieszących oczy ojca.

Jego oczy.

Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo by tego pragnął, lecz żeby mieć dzieci, trzeba było wpierw się ożenić.

– Matka przygotowała dla mnie listę kandydatek na żonę.

– Harem?

– Powiedziałem to samo. Nie doceniła żartu. Nie, po prostu kandydatki. Na pierwszej znajdują się nazwiska sześciu miejscowych panien. Właściwie, dziewcząt. Jedna ma zaledwie szesnaście lat.

– Za młoda.

– Tak, lecz jestem pewien, że dla matki oznacza to jedynie, iż będzie mogła dłużej rodzić.

Perry skrzywił się ze współczuciem.

– Znasz którąś z nich?

– Przed ostatnią wizytą nie odwiedzałem domu od lat, a kiedy przyjechałem, nie wystarczyło czasu na rozrywki, zbyt szybko się pokłóciliśmy. Znam trochę rodziny panien, lecz żadnej z nich osobiście.

– Dziwaczne, prawda? W normalnych okolicznościach twoja matka wydałaby bal i miałbyś okazję przyjrzeć się wszystkim panienkom, nie wyróżniając żadnej.

– Bal kilka tygodni po śmierci brata nie wchodzi w grę.

– Powinieneś wrócić do miasta. Wszyscy, którzy choć trochę się liczą, przebywają teraz w stolicy, a z nimi ich dojrzałe do małżeństwa córki. Miałbyś pretekst, by wmieszać się w towarzystwo i którąś wybrać. Musisz zaprezentować się jako nowy lord, zająć miejsce w parlamencie i tak dalej.

Brzmiało to rozsądnie, lecz on miał teraz Keynings. Dlaczego miałby przebywać gdzie indziej niż w miejscu, które ukochał najbardziej?

– Nie mogę wyjechać od razu. Potrzebuję nowych ubrań.

– Dostaniesz je w Londynie. Prowincjonalni krawcy... – Perry wzdrygnął się przesadnie.

– Obiecuję, że oddam się w twoje ręce, lecz teraz potrzebuję czegoś, co mógłbym nosić w okresie żałoby.

– Cóż, doskonale. Wezwij tutejszą imitację krawca, a ja doradzę ci i go dopilnuję.

Cate roześmiał się, zaskakując samego siebie, lecz zaraz przyszła myśl, że tak powinno być. Życie musi toczyć się dalej.

Wzmianka o Londynie przywiodła mu na myśl coś jeszcze.

– Kolejny problem? – zapytał Perry.

– Georgiana. Nie poczyniono żadnych ustaleń, jednak wiadomość o tym, że zostałem lordem, z pewnością wprawiła Rumfordów w euforię.

– Zostaw ich, niech pękną z radości.

– Wolałbym, aby dzieliła nas wtedy cała Anglia.

– Może powinieneś szybko wybrać sobie narzeczoną. To ich ostudzi.

– Pomysł wart rozważenia – odparł Cate i ruszył.

# Rozdział VIII

Cate przebywał już w Keynings od tygodnia i starał się jak mógł.

Oddał się w ręce Flamborougha – teraz już wiedział, jak zarządca ma na nazwisko – i zapoznał z zasadami prowadzenia obszernego gospodarstwa, dziękując w duchu niebiosom, że wkrótce obowiązki te spadną na jego żonę. Oczywiście jeśli zdoła odebrać władzę matce i Artemis, które zawiadywały wszystkim jak doskonale zgrana drużyna.

Poznał trzy odziane w czerń bratanice w wieku od trzech do ośmiu lat, każda powitała go jedynie poważnym dygnięciem. Bóg jeden wie, gdzie dziewczęta się bawiły, ponieważ w ogóle nie było ich słychać.

Zwrócił się do kilku wyższych urzędników zajmujących się włościami i zaczynał powoli orientować się w skomplikowanym systemie powiązań i zależności pomiędzy tak różnorodnymi przedsięwzięciami jak kopalnie węgla i ołowiu, statki i rezydencje w mieście. Głowa pękała mu od nadmiaru informacji.

Wiedział, że wszyscy zadowoliliby się tym, by podpisywał we wskazanym miejscu dokumenty, ale to nie był jego sposób działania. Nie został przygotowany, by zarządzać tak olbrzymim majątkiem i teraz musiał zrozumieć, co i gdzie się dzieje.

Tak naprawdę brakowało mu sekretarza, kogoś, kto orientowałby się w politycznych i biznesowych powiązaniach Roego i mógł prowadzić również osobistą korespondencję. Mount, sekretarz Roego, wyjechał wkrótce po pogrzebie. Flamborough nie palił się, aby wyjaśnić powody tej nagłej ucieczki, lecz Cate nalegał.

– Pan Mount był bardzo oddany bratu waszej lordowskiej mości.

– Podobnie jak Ransom, a lokaj nadal tu jest.

– Pan Mount otrzymał ofertę pracy dla kogoś innego, *sir*.

– Chcesz powiedzieć, że Ransom został jedynie dlatego, że nikt go nie zechciał? Wątpię. Mount nie chciał być moim sekretarzem.

Flamborough utkwił wzrok w przestrzeni przed sobą.

– Sądził chyba, że jest pan zupełnie inny niż brat i nie będzie tu pasował.

Innymi słowy, przetłumaczył sobie Cate, sekretarz go nie lubił. Tymczasem pomiędzy sekretarzem a jego chlebodawcą powinna istnieć silna więź oparta na zaufaniu, bowiem sekretarz jest prawą ręką swego chlebodawcy i sporo wie o jego prywatnym życiu.

Czyżby Mount wierzył – podobnie jak Roe – że Cate ucieszył się, gdy bratu zmarł syn?

Bolało go, że nigdy nie zdoła wyprostować tej sprawy, ale nie miało sensu dłużej się nad nią rozwodzić. Przynajmniej Artemis wydawała się niczego nieświadoma. Zastanawiał się, czy nie

poruszyć tego tematu i nie wyrazić współczucia, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

Co zaś się tyczy sekretarza, został nim w końcu Perry, doskonale się przy tym bawiąc. Był szczególnie przydatny w sprawach ze stolicą i z dworem, posiadał też jednak ogólną wiedzę na temat polityki i spraw międzynarodowych. Omawiali właśnie korespondencję dotyczącą podatków w koloniach, kiedy pojawił się lokaj z informacją, że Cate jest potrzebny w salonie.

– Co znowu? – burknął. Na ogół matka i szwagierka unikały go, co odpowiadało obu stronom.

Wszedł do salonu i zdrętwiał. Pokój był pełen kobiet.

Matka odczekała zaledwie tydzień, a potem zaprosiła niektóre damy z listy. Kiedy je przedstawiała, wydawała się zadowolona niczym kura, która zniosła właśnie złote jajo.

Może zachęciło ją to, że miał już swoje pierwsze porządne ubranie – elegancki czarny surdut z agatowymi guzikami i skromnym srebrnym haftem na kamizelce.

Skrywając irytację, ukłonił się pani Wycliffe i jej córce, Julii. Obok nazwiska dziewczyny matka napisała na liście: „Dobrze wychowana". Jedynym określeniem, jakie przyszło Cate'owi na myśl, było „nijaka". Nijaka płowa sukienka, nijakie brązowe włosy i nijaki, prawie nieobecny uśmiech.

Następne były lady Moregate i lady Corinna Shafto – „żywotna". Uznał, że jest porażająco wręcz wyrazista, zwłaszcza jak na szesnastolatkę. Błyszczące, ciemne loki i oczy, idealnie wymodelowane usta w kształcie łuku Kupidyna i aura niespożytej energii. Jeśli zachowywała się powściągliwie, to chyba jedynie z szacunku dla żałoby.

Zanim został przedstawiony, wiedział, że trzecia panienka to musi być lady Armstrong. Przy nazwisku dwudziestodwulatki matka napisała: „Niezdarna, ale miła”. Panna wydawała się niezdarna, nawet kiedy siedziała. Części jej ciała nie pasowały do siebie, głowę trzymała lekko przekrzywioną, a jej oczy poruszały się niespokojnie. Patrzyła wszędzie, tylko nie na Cate’a. Musiała przybyć z którąś z pozostałych panien, gdyż nie zauważył nigdzie jej matki.

Gdyby miał wybierać spomiędzy tej trójki, wybrałby pannę Wycliffe, ponieważ nietrudno byłoby zapomnieć, że w ogóle istnieje.

Dobre maniery wymagały, by wypił z paniami herbatę i wziął udział w rozmowie, która ani trochę go nie zainteresowała. Lady Corinna przejęła błyskawicznie pałeczkę, zastanawiając się na głos, jakież to wspaniałe imprezy towarzyskie trzeba będzie zorganizować, by uczcić powrót Cate’a.

– Żałoba, kochanie – zganiła ją cicho matka, uśmiechając się z wyrozumiałością.

– A, tak. – Lecz młoda piękność nie dała się zbić z tropu. – Oczywiście, gdy będzie to możliwe, lordzie Malzard – powiedziała, obdarzając go olśniewającym uśmiechem.

Jej żywotność bawiła Cate’a, lecz ani trochę go nie pociągała. Mężczyzna potrzebuje odrobiny spokoju, a z lady Corinne byłoby o to niezwykle trudno.

– W rzeczy samej – przytaknął i powiedział, zwracając się do panny Niezdarnej: – A jakie rozrywki pani lubi, panno Armstrong?

Zamrugała i odwróciła wzrok.

– Związane z muzyką.

– Gra pani?

– Ja? Nie, milordzie, skąd znowu. Niemądra sugestia. Miałam na myśli imprezy muzyczne...

– Przeciwnie. Doskonała sugestia. Wieczorek muzyczny to coś całkiem innego niż bal, prawda, matko?

– Rzeczywiście, Malzard.

– Zatem będziemy mogli wkrótce jakiś urządzić.

– Cudownie! – wykrzyknęła lady Corinna, klaszcząc w dłonie. Po czym zaczęła znów paplać, zastanawiając się głośno, kiedy należałoby ów wieczorek zorganizować, w jaki sposób i kto powinien zagrać. Ona, oczywiście, doskonale radziła sobie z harfą.

Cate wykorzystał chwilę, gdy pannie zabrakło tchu i zapytał trzecią kandydatkę na hrabinę:

– Czy i pani chętnie wybrałaby się na wieczorek muzyczny, panno Wycliffe?

– Z pewnością byłoby miło, *sir*.

– Zagrałaby pani?

– Brak mi umiejętności, milordzie.

– Lecz za to pięknie śpiewa – wtrąciła pospiesznie jej matka.

– Zatem będę wyczekiwał niecierpliwie, by pani posłuchać – odparł Cate. Na samą myśl o tym, że miałby rozmawiać w ten sposób z resztą kandydatek, kusiło go, aby wpakować sobie kulkę w łeb.

Gdy goście wyszli, matka zapytała:

– I co?

– To było wysoce niestosowne, matko.

– Jeśli czegoś nie zrobię, nic się nie wydarzy!

– Czy będziesz też stała nad naszym małżeńskim łożem, popędzała mnie i udzielała rad?

– Catesby!

– Wybacz. Lecz, proszę, daj mi więcej czasu, zanim zorganizujesz kolejne spotkanie.

Sfrustrowana zacisnęła wargi.

– Doskonale. Ale nic złego się nie stało. Poznałeś kilka panien z sąsiedztwa. Każda byłaby odpowiednia.

– Byłabyś w stanie wytrzymać z którąś z nich pod jednym dachem?

Matka odwróciła wzrok, aby po chwili odpalić gniewnie:

– Wytrzymam wszystko, byle w kołysce pojawił się syn.

– Zatem będziesz musiała uzbroić się w cierpliwość, i to na co najmniej rok, choćbym nie wiem jak się starał. Natury nie da się oszukać.

Wymaszerował z pokoju, żałując ostrych słów i tego, że stracił w końcu cierpliwość. Musi wydostać się domu, choćby na chwilę.

Wrócił do swego pokoju i nie wzywając Ransoma, przebrał się w stary strój do konnej jazdy. Na razie nie było potrzeby go wymieniać, a kiedy włożył znajome, znoszone rzeczy, poczuł, że opuszcza go napięcie. Przejażdżka dobrze mu zrobi, ułatwi powrót do kieratu.

Wyśliznął się z pokoju jak chłopiec wybierający się na wagary. Przyszło mu do głowy, aby zaprosić do towarzystwa Perry'ego, lecz musiał pobyć choć trochę sam. Jakoś tak się działo, że w ostatnich dniach bywał sam jedynie w łóżku.

Rozumiał teraz w pełni Herę.

Prudence Youlgrave.

Wybiegła nierozsądnie w noc, ponieważ czuła, że się dusi. Uciekła z małego domku, a Keynings oferowało swobodną przestrzeń. Tylko jego mieszkańcy tłumili w Catesbym niezależnego ducha.

Hera była w Darlington, u brata. Który nie bardzo się o nią troszczył.

Jak jej się wiodło? Czy dobrze jadła i miała w co się ubrać? Czy znalazła męża, o jakim marzyła, i była szczęśliwa?

Chętnie by się dowiedział.

Wszedł do stajni. Jeden z psów podbiegł, by się przywitać. Zdążył się z nim zaprzyjaźnić. Cate zaczął przemyśliwać o tym, by zabrać kilka zwierzaków na pokoje. Roe nie lubił psów w domu, zapewne podobnie miała się sprawa z matką i Artemis, ale to on był teraz lordem.

Nagle przypomniał sobie psa Prudence.

Dlaczego nie zabrała Toby'ego do Darlington?

Mogło być po temu kilka powodów, na przykład taki, że już go nie chciała, lecz nie dawało mu to spokoju.

Darlington było odległe zaledwie o dziesięć mil. Mógłby pojechać tam i upewnić się, że u Hery... Prudence wszystko w porządku. Nie miał w kieszeni ani pensa, wrócił zatem po cichu do domu. Tym razem Ransom był w sypialni, ale nie ośmieliłby się kwestionować poczynań chlebodawcy.

Wysłał lokaja z jakimś poleceniem, po czym otworzył ukryty sejf. Wyjął kilka gwinei, na wypadek gdyby Galas niespodziewanie okulał i trochę monet, by móc zapłacić za posiłek. Nim wyszedł, przypomniał sobie o czymś jeszcze. Otworzył

szkatułkę, w której trzymał prywatne papiery oraz kilka cennych przedmiotów, i wyjął buteleczkę.

Był to śliczny przedmiot z niebieskiego szkła otoczonego misternie kutą srebrną siateczką. Wydała mu się zbyt duża na perfumy, zapytał więc subiekta, do czego jest przeznaczona.

– To flaszeczka dla damy, która lubi mieć przy sobie trochę brandy dla celów zdrowotnych – wyjaśnił. – Doskonale mieści się w kieszeni, a ponieważ jest płaska, kieszeń nie odstaje.

– Ile mieści? Jedną ósmą pinty?

– Coś koło tego, *sir*. Damie nie trzeba więcej.

– Jak której – mruknął Cate i kupił flakonik.

Myślał wtedy o Herze, choć nie zamierzał podarować jej buteleczki. Później zastanawiał się, co z nią zrobić. Georgiana byłaby takim prezentem zaszokowana, nieważne, do jakich celów przeznaczona była brandy.

Czy los wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie?

Zawahał się, lecz schował w końcu flakonik do kieszeni i wrócił do stajni, skrywając radość z powodu wyprawy.

Jeb osiodłał już Galasa.

– Życzy pan sobie, bym z panem pojechał, *sir*?

– Nie, może mnie nie być przez dłuższą chwilę. – Do licha, był teraz lordem. Nie mógł zniknąć bez słowa.

Owszem, mógł. Przynajmniej na kilka godzin.

– Wybieram się do Darlington – powiedział i dosiadł wierzchowca. – Sprawa osobista.

– Ach tak – powiedział Jeb, skrywając uśmiech. Z pewnością uznał, że chodzi o kobietę. I miał rację, choć nie do końca. – Przyjemnej podróży, *sir*.

– Mam nadzieję, że właśnie taka będzie.

Odjechał, a kiedy przekroczył granice włości, uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał Keynings, lecz potrzebował na trochę od niego uciec.

Zsunął z palca sygnet lorda i poczuł się tak, jakby zdjęto mu kajdany. Przez krótką, błogosławioną chwilę miał być znowu Cate'em Burgoyne'em, wolnym i nikomu nieznanym.

# Rozdział IX

Dotarł do Darlington późnym popołudniem. W czerwcu dzień był jednak długi, miał więc mnóstwo czasu, żeby rozpytać o Prudence i wrócić do swego więzienia. Przejażdżka wiejskimi drogami była cudowna, a on rozkoszował się zwyczajnym otoczeniem.

Tu na powrót był Cate'em Burgoyne'em, niezwracającym na siebie uwagi, zwyczajnym mężczyzną w znoszonym ubraniu. Z rozbawieniem zauważył, że kiedy zsiadł z konia na dziedzińcu gospody Talbota przy High Row, stajenny popatrzył na niego z taką miną, jakby wątpił, czy przybysz będzie w stanie zapłacić za obrok.

– Nie zatrzymam się na noc – powiedział. – Ale zostawię tu konia.

Poprawił stajennemu nastrój sześciopensówką i ruszył ku Prospect Place.

W przeszłości stały tu zapewne prymitywne chaty, lecz teraz ulica zabudowana była przyzwoitymi domami o błyszczących

oknach i świeżym tynku. Do wszystkich wchodziło się od ulicy, lecz każdy miał przed drzwiami niewielki, osłonięty ganek, do którego prowadziły schodki.

Znalazł dom brata Prudence, równie szacowny jak pozostałe.

Przyszło mu do głowy, by zastukać i zapytać, czy mógłby zobaczyć się z panną Youlgrave, ale wizyta o tej porze dnia mogłaby wzbudzić podejrzenia i sprowokować niepotrzebne pytania. Najwidoczniej Prudence dobrze się wiodło i nie potrzebowała wsparcia ze strony ledwie znanego sobie mężczyzny.

Ruszył z powrotem ku gospodzie, uśmiechając się ponuro na myśl o tym, iż zaznał znowu rozczarowania. Miał nadzieję zobaczyć, jak Hera triumfuje, tak się jednak nie stało.

Mógłby zostać w Darlington na noc i wybrać się z wizytą następnego dnia. Byłaby to zupełnie inna sprawa. Mógł złożyć wyrazy uszanowania, powołując się na znajomość z Northallerton, co byłoby bliskie prawdy. Prawdopodobnie Prudence Youlgrave, szczęśliwie przywrócona własnej sferze stateczna siostra pana Aarona Youlgrave'a, prawnika, nie wywołałaby nawet cienia emocji, jakie odczuwał tamtego wieczoru.

Zegar na wieży wybił szóstą.

Miał czas, by zjeść, a Galasowi przydałby się odpoczynek. I tak spotka się z naganą, gdy wróci – im później to nastąpi, tym będzie ostrzejsza – nie miało jednak sensu narażać się na nieprzyjemności, będąc zmęczonym i głodnym. Zasiadł do posiłku w ogólnej izbie, przy wspólnym stole, rozkoszując się smaczną zupą i towarzystwem zwykłych ludzi. Kiedy okazało się, że na kolejne dania trzeba będzie poczekać, mruknął coś pod nosem niezadowolony.

– Niechybnie zaraz podadzą – pocieszył go jowialny, krągły dżentelmen, który przedstawił się jako Stimpson, handlarz świec. – Mają przed jutrem mnóstwo roboty i w kuchni aż wre.

– Nie powinno się to odbywać kosztem klientów – stwierdził młodszy mężczyzna o kwadratowej, zaczerwienionej twarzy. Przedstawił się burkliwie jako Brough, górnik. – Nasze pieniądze są równie dobre jak ich.

Poza nimi przy stole siedziała jeszcze tylko starsza kobieta. Trzymała się jednak z daleka, jakby obawiała się, iż przebywanie tak blisko trójki mężczyzn narazi na szwank jej reputację.

– Nie tak dobre jak Tallbridge'a – odparł Stimpson. – To jego córka wychodzi jutro za mąż.

– Tallbridge'a? Szkoda, że to nie ja ją poślubię – zauważył cierpko Brough.

– Nie córka, panowie – sprostował służący, rozstawiając naczynia – lecz siostra jego zięcia.

Cate zatrzymał go i zamówił dwie butelki wina. To miłe móc okazać szczodrość, pomyślał.

Dwaj dżentelmeni przyjęli szklaneczki z wdzięcznością, milcząca dama potrząsnęła jednak tylko głową. Widać było jednak, iż jedzenie smakuje kobiecie nie mniej niż Cate'owi.

– Zatem jutro odbędzie się tutaj weselne śniadanie – zauważył, aby podtrzymać rozmowę.

– W rzeczy samej, *sir* – odparł Stimpson. – Tallbridge ma w Houndgate piękny dom, ale to człowiek ceniący prywatność. Rzadko się zdarza, aby zaprosił kogoś do siebie.

– Urodził się w wiejskiej chacie – wymamrotał Brough – a teraz udaje wielkiego pana.

– Zatem dorobił się wszystkiego sam, co jest godne pochwały – zauważył Cate. – I wyprawia młodej parze przyjęcie. To miły gest.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim Stimpson.

– Oddaje przysługę Draydale'owi – wtrącił młody malkontent. – Widzi pan, Draydale, dla odmiany, pochodzi z dobrej rodziny. Jego brat jest szlachcicem.

– Zatem dama poślubi dżentelmena. Zatem, zdrowie panny młodej!

Wznieśli szklaneczki, lecz Brough powiedział:

– Draydale jest zwykłym kupcem. A ten Youlgrave nie miałby ani pensa, gdyby nie oczarował pospolitej córki Tallbridge'a.

Cate opanował się, by nie okazać zainteresowania.

– *Sir*, to, co pan powiedział, ubliżyłoby każdej damie.

Młody człowiek wpatrywał się w niego przez chwilę z poczerwieniałą twarzą, w końcu odepchnął się jednak od stołu i wstał.

– Lepiej poszukam towarzystwa gdzie indziej.

Cate potrząsnął głową.

– Odrzucony zalotnik?

– Wątpię – stwierdził Stimpson. – Już raczej ktoś, kto nie potrafi znieść, że komuś udało się wyrwać ze swojej sfery, podczas gdy on dalej tkwi tam, gdzie się urodził.

– Jak sądzę, głównie za sprawą niemiłego usposobienia – zauważył Cate, unosząc szklaneczkę.

Zatem Prudence rzeczywiście się poszczęściło. Jutro poślubi wymarzonego mężczyznę, pochodzącego z dobrej rodziny, który sam dorobił się majątku. Po uroczystości będzie zaś świętowała w najlepszej gospodzie w mieście.

– Za pannę młodą – powtórzył, unosząc szklaneczkę, a Stimpson się do niego przyłączył.

Zaczęli rozmawiać na temat Ameryki i kolonistów buntujących się nierozsądnie przeciwko spłaceniu swego udziału w ostatniej wojnie, lecz Cate przebywał myślami gdzie indziej, walcząc z pokusą.

Chciał zobaczyć, jak Hera triumfuje. Dać jej flaszeczkę na brandy, chociaż z pewnością nie był to odpowiedni prezent. Może pojawić się jednak w kościele i dyskretnie przyjrzeć szczęśliwej pannie młodej. Wiedział, że powinien wrócić jak najszybciej do domu, ale pokusa była zbyt silna.

Dowiedział się, że ślub wyznaczono na przyzwoitą godzinę jedenastą i zapytał, jak można wysłać wiadomość do Richmond, miasta najbliższego Keynings. Za godzinę odjeżdżał w tamtym kierunku dyliżans pocztowy, napisał więc kilka słów, wyjaśniając, że zatrzyma się w Darlington na noc i wróci następnego dnia.

– Keynings – powiedział karczmarz, kiedy Cate wręczył mu list i pieniądze. – Zatem musi pan być spokrewniony z Burgoyne'ami.

– Tak.

– To smutne, że hrabia umarł nagle. Taki młody człowiek...

– Rzeczywiście.

Ton, jakim zostało to powiedziane, zamknął karczmarzowi usta i kazał odejść do innych zajęć.

Nie powinno go dziwić, że tego rodzaju wieści szybko rozeszły się po okolicy, ale czy znano szczegóły sukcesji? Miał nadzieję, że nie. Wolałby pozostać przyjemnie anonimowy.

Zapłacił za pokój i zasiadł do gry w wista ze Stimpsonem i z kilkoma miejscowymi. A że stawki były niskie, a towarzystwo

sympatyczne, poszedł spać zadowolony.

Po śniadaniu zapłacił rachunek, ale zostawił konia w stajni i spacerował po mieście do jedenastej.

Kościół Świętego Cuthberta okazał się starym budynkiem, otoczonym drzewami. Zebrało się sporo gapiów, nietrudno więc było wmieszać się w tłum i pozostać niezauważonym. Przystanął w pobliżu grupki kobiet, udając, że zawędrował w okolice świątyni przypadkiem.

– Ślub? – zapytał.

– Tak, *sir* – odparła jedna z niewiast. – Panna młoda pochodzi z domu pana Tallbridge'a.

Z pewnością przydawało to wydarzeniu dodatkowego blasku.

– To jego córka?

– Nie, *sir*. Siostra zięcia.

– A przyszły małżonek?

– Pan Draydale, *sir*.

Czy tylko to sobie wyobraził, czy też w głosie kobiety zadźwięczała dziwna nutka?

– To młody człowiek?

– Nie, po czterdziestce i pochował już dwie żony.

– Biedaczysko.

Kobieta zerknęła na niego spod oka. Dopatrzył się w tym spojrzeniu współczucia raczej dla żon niż dla Draydale'a, lecz było tam coś jeszcze. Czyżby miały zastrzeżenia do pana Draydale'a, dżentelmena, który wzbogacił się tylko dzięki własnej zaradności? Był z pewnością starszy, niż należało oczekiwać.

– Jaki to człowiek? – zapytał.

– Dżentelmen, *sir*. Jego brat to *sir* William Draydale z Draydale Manor.

Zatem, jeśli dopisze jej szczęście, Prudence może zostać pewnego dnia lady Draydale. Coś jednak nie dawało mu spokoju.

*Cate, kobieta nie jest głupia. Dokonała wyboru świadomie. Nawet jeśli ten Draydale nie okaże się idealnym mężem, będzie miała to, na czym jej od początku zależało. Będzie żyła wygodniej, niźli biedując i oszczędzając na wszystkim przy White Rose Yard.*

Pod kościół zajechał powóz ciągnięty przez konie przystrojone dzwonkami, kwiatami i wstążeczkami. Stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwi. Ze środka wysiadł dystyngowany starszy mężczyzna o upudrowanych włosach i odwrócił się, by komuś pomóc.

Panna młoda.

Cate zamrugał. Potrzebował chwili, by poznać w wysiadającej kobiecie Herę.

Miała na sobie modną suknię jasnożółtej barwy, zdobioną haftowanymi wiosennymi kwiatami. Włosy, upięte wysoko, przykrywał fikuśny słomkowy kapelusik o denku otoczonym kwiatami. Nabrała nieco ciała i tylko przejrzysta chusteczka zakrywała wzgórki bujnych piersi, ściśniętych haftowanym stanikiem. Profil miała nadal uderzająco klasyczny, lecz teraz, kiedy policzki trochę się jej wypełniły, zdawała się niemal piękna.

I wyglądała jak posąg z białego marmuru.

Ktoś – a może ona sama – próbował osłabić to wrażenie, rozcierając na wargach i policzkach Prudence trochę różu, lecz kontrast tylko podkreślił ich nienaturalną bladość. Nerwy? Podobno wszystkie panny młode bardzo denerwują się w dniu

ślubu. Mimo to odczuwał nieprzepartą ochotę, by podejść, chwycić ją za ramiona i spytać: „Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?”.

A jeśli powie: „Nie”?

Dlaczego miałaby tak postąpić? Przecież to nie średniowiecze.

Lecz jakim człowiekiem był naprawdę ten Draydale? Mężczyzna, który pochował dwie żony.

To mogło się przytrafić każdemu. I nic nie znaczyło...

Mimo to czuł, że trzeba coś zrobić. Działać...

Pan młody będzie czekał przy ołtarzu.

Odszedł od grupki kobiet i zaczął okrążać kościół w nadziei znalezienia bocznych drzwi.

I rzeczywiście, były tam, do tego niezamknięte. Wsunął się do bocznej nawy oddzielonej od głównej szeregiem masywnych starych filarów. W ławach siedziało około trzydziestu osób, wszystkie wytwornie ubrane. Śmietanka towarzyska Darlington. Kolejny znak, że Hera zdobyła to, czego pragnęła.

Tylko dlaczego wyglądała, jakby miała wstąpić na szubienicę?

Ruszył boczną nawą i zatrzymał się w miejscu, skąd mógł widzieć pana młodego. Z początku co prawda tylko jego plecy – mocno zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, odziany w kasztanowy aksamit. Surdut miał doskonale skrojony i widać było, iż dobrze się w nim czuje. Jego postawa świadczyła jasno, że jest człowiekiem sukcesu, pewnym swego miejsca i siły.

Gdy podszedł bliżej, dostrzegł na piersi surduta błysk złotego galonu i zobaczył profil mężczyzny. Miał mięsistą twarz o wyrazistych rysach, z dużym nosem i wydatnymi wargami. Nic odpychającego. Ot, dobrze prosperujący człowiek interesu o władczym usposobieniu.

W pobliskiej ławie zasiadła czwórka dzieci. Najstarsze miało około dwunastu lat, najmłodsze spoczywało jeszcze w ramionach piastunki. Zatem Draydale szukał matki dla swoich dzieci. W tym też trudno było dopatrzyć się czegoś nagannego.

Drużba przypominał słabszą wersję pana młodego. Prawdopodobnie był nim sir William Draydale, baronet, ulokowany wygodnie w wiejskim dworze.

Sir William wymierzył nagle bratu kuksańca i wymamrotał:

– Ty szczęściarzu.

W tym także nie było nic złego, bowiem Prudence Youlgrave szła właśnie nawą, wsparta na ramieniu młodego mężczyzny, zapewne brata. Było między nimi pewne podobieństwo, choć Aaron włosy miał brązowe. Klasyczne rysy, bardziej stosowne u mężczyzny niż u kobiety sprawiały, że był też niezaprzeczenie przystojny.

Cate spojrzał znowu na pana młodego... i zauważył niepokojący uśmieszek. Nie tyle czuły czy pełen podziwu, ile obleśny. Draydale niemal się ślinił – jak pies na widok apetycznego kawałka wołowiny, zostawionego bez dozoru.

*Nie, Cate*.

Jednak panna młoda nadal nie podnosiła wzroku.

Dziewicza skromność.

Albo strach.

Była przez jakiś czas absolutnie zależna od brata. Czy groził jej powrót do White Rose Yard, jeśli nie zgodzi się poślubić Draydale'a? Czy ktoś korzystał na tym małżeństwie? Sam Aaron, czy jego urodzony w wiejskiej chacie, lecz zadzierający nosa teść?

Nieraz zdarzało się, że rodzina zmuszała kobietę do zamążpójścia dla własnych korzyści.

Czy przybywając do Darlington, Hera weszła dobrowolnie do jaskini lwa? Nie, „jaskinia lwa" brzmiało zbyt szlachetnie. Czy wpadła do psiej jamy?

Gdy zbliżyła się do ołtarza, Draydale skinął głową jej bratu i stojącemu w pobliżu Tallbridge'owi. Zdaniem Cate'a mógłby równie dobrze zawołać: „Dziękuję, panowie. Transakcja zawarta".

Rozpoczęła się ceremonia. Cate założył, że był to stary obrządek, lecz uczestniczył dotąd w niewielu ślubach. Poza tymi zawartymi w polowych warunkach w armii był obecny jedynie podczas ślubu swej siostry Arabelli oraz Roego, ale był wówczas znudzonym nastolatkiem, marzącym jedynie o tym, by ceremonia jak najszybciej się zakończyła.

– Jeśli ktokolwiek wie...

*Ach...*

Nagle serce zaczęło szybciej bić mu w piersi. Zupełnie jak podczas bitwy, kiedy dostrzegał okazję, aby uderzyć i wykorzystywał ją pomimo braku rozkazu.

*Nie, nie...*

Lecz musi przecież coś zrobić, by przerwać tę parodię.

Przyglądał się Herze, starając się zwalczyć impuls nakazujący działanie, kiedy podniosła nagle wzrok i spojrzała ku ołtarzowi z błaganiem w oczach.

– ...o jakiejkolwiek przeszkodzie...

Tak należało postąpić. A on nie potrafił oprzeć cię takiemu przekonaniu ani teraz, ani w przeszłości. Wysunął się z nawy i stanął przed ołtarzem.

– ...albo zamilknie na zawsze...

– Ja wiem – powiedział i omal nie parsknął śmiechem na widok ich min.

– O co chodzi, *sir*? – zapytał pastor zaskoczony.

– Kim ty, u diabła, jesteś, człowieku? – wrzasnął Draydale, czerwieniejąc gwałtownie.

– Catesby Burgoyne, *sir*. – Cate się ukłonił. Teraz, gdy klamka zapadła, odczuwał jedynie spokój. Zawsze tak było. – Niezupełnie do pańskich usług – dodał zgryźliwie.

– Proszę się wynosić! Nie masz tu nic do roboty!

– Panie Draydale – wtrącił uspokajająco pastor. – Dżentelmen zgłosił zastrzeżenie i musi zostać wysłuchany. O co chodzi, proszę pana? Jestem pewien, że wszystko da się wyjaśnić.

Cate odwrócił się do panny młodej. Przedtem była biała jak prześcieradło, lecz teraz jej policzki odzyskały barwę, a w oczach pojawił się błysk emocji.

Nie wiedział tylko jakiej: wściekłości czy nadziei.

Nie odrywając od niej spojrzenia, powiedział:

– Przepraszam za zamieszanie, wasza wielebność, lecz muszę przypomnieć damie, że jest już związana słowem. Ze mną.

# Rozdział X

Głośne westchnienia zebranych rozbrzmiały niczym szum skrzydeł podrywającego się do lotu ptactwa. Policzki Prudence płonęły.

– Panno Youlgrave – powiedział pastor – czy to prawda?

Otwarła usta i znów je zamknęła.

A potem zrobiła to jeszcze raz.

Do licha, czyżby źle ocenił sytuację?

Musisz jedynie zaprzeczyć, powiedział do niej w duchu. Zaprzecz, a nie wyląduję po uszy w tarapatach.

Usłyszał jednak, że Prudence mówi:

– Tak – a potem powtarza stanowczo: – Tak, to prawda.

Teraz wszyscy zaczęli rozmawiać.

– Co takiego? – ryknął Draydale. – Przyrzekłaś wyjść za mnie! Oddałaś mi się, a to unieważnia złożone w przeszłości obietnice.

Prudence spojrzała z niedowierzaniem na niedoszłego męża, a potem krzyknęła:

– Kłamiesz! Kłamiesz!

Draydale zamierzył się na nią pięścią i uderzył tak mocno, że upadła na pobliską ławę.

Cate powalił go, nim brutal zdążył się zorientować, co się dzieje i właśnie przymierzał się, by rozsmarować jego mózg na stopniach ołtarza, gdy któryś z gości uderzył go w głowę, a inni odciągnęli. Uderzenie nie było mocne, wystarczyło jednak, by rozwiać przesłaniającą mu wzrok mgłę wściekłości. Rozluźnił mięśnie i pozwolił, aby go odciągnięto. Nie zdołał się jednak powstrzymać, żeby nie warknąć:

– Wstań i walcz, łajdaku.

Drań jęknął tylko, ogłuszony.

A Hera...

Cate wyrwał się i podszedł ku miejscu, gdzie upadła i siedziała teraz, płacząc i zakrywając dłonią twarz, otoczona wianuszkiem współczujących kobiet. Jedna z nich trzymała się wszakże z boku.

– Doprawdy, Prudence – powiedziała piskliwym głosem – jak mogłaś przynieść rodzinie taki wstyd?

Kobieta o pospolitej, nalanej twarzy musiała być szwagierką Hery. I ani trochę jej nie współczuła.

Jej mąż – brat – wtrącił z naganą w głosie:

– Rzeczywiście, Prudence. Co za okropna sytuacja.

– Z pewnością – powiedział Cate, z trudem powstrzymując się, aby nie zdzielić także i jego.

Jednakże goście weselni przyglądali się im i bacznie przysłuchiwali, a Prudence Youlgrave mogła stracić nieodwołalnie reputację.

– Prudence sądziła prawdopodobnie, że poległem – powiedział, klękając przed nią. – Przepraszam, kochanie, że nie wróciłem

wcześniej.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, przerażona jak w noc, gdy się poznali. Ujął jej lodowatą dłoń, lecz bystry obserwator bez trudu zorientowałby się, że nie jest to spotkanie kochanków. Pomijając szok i horror kilku ostatnich minut, ledwie go znała. A on przed chwilą pobił do krwi jej narzeczonego. I, do licha, nadal miał na knykciach jego krew.

Znowu się wpakowałeś, pomyślał. Nie mógł jednak pozwolić, by to małżeństwo doszło do skutku, a brutalność Draydale'a pokazała, że instynkt go nie mylił. Wstał i pociągnął Prudence za sobą, a potem przytulił, zarówno po to, by zaoferować pociechę, jak ukryć jej spanikowaną twarz.

– Proszę pana! – zaprotestował jej brat.

Cate zignorował go i wyszeptał Prudence do ucha:

– Zaufaj mi.

Bóg jeden wie, co miał na myśli, lecz Prudence odprężyła się nieco, mimo iż nadal trudno jej było złapać oddech. Wspomniał noc, gdy po raz pierwszy ją obejmował. Było to dziwnie miłe doznanie i wspomnienie tej chwili nigdy go nie opuściło.

– Proszę pana – powtórzył brat stanowczo. – Muszę zapytać, jak to się stało, że zaręczył się pan z siostrą bez mojej wiedzy i zgody, zwłaszcza iż żyła przez kilka lat bardzo spokojnie.

Cate spojrzał na niego ponad niemądrym kapelusikiem Prudence.

– Nie interesują pana raczej oszczerstwa, jakimi ten paskudny łajdak obrzucił pańską siostrę?

Youlgrave się zaczerwienił.

– Jestem pewien, że pan Draydale nie miał na myśli... Pan jednak wyraził się jasno.

I teraz musiał podać szczegóły. Tylko jakie? Powinny zgadzać się z tym, co Prudence będzie mogła potwierdzić. Poruszyła się w jego ramionach, więc ją puścił, ale co, u licha, wydarzy się teraz?

Odwróciła się do brata i powiedziała stanowczo, unosząc brodę:

– Mama wiedziała i wyraziła zgodę.

– Co takiego? – wykrzyknął Aaron. – Nic mi o tym nie wspominała.

– Tak rzadko nas odwiedzałeś – powiedziała, a każde słowo było niczym sztylet wbity w serce.

Ma dziewczyna odwagę, pomyślał z podziwem, widział jednak, że jest u kresu wytrzymałości. Otoczył ją zatem opiekuńczo ramieniem.

– Prudence obawiała się, że nie wyrazi pan zgody.

– A miała powód się tego obawiać? – spytała żona o pospolitej twarzy, przyglądając mu się zwężonymi oczami.

– Może i tak, proszę pani. Byłem żołnierzem bez większych dochodów.

Przyjrzała mu się znacząco.

– I chyba nic się w tym względzie nie zmieniło. Uniemożliwił pan bardzo korzystne małżeństwo. Ojcze, zrób coś!

– Uważam, że powinniśmy udać się gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać o sytuacji na osobności, moja droga – odparł jej ojciec z nieodgadnioną miną.

Opanowany człowiek z tego Tallbridge'a, pomyślał Cate, zastanawiając się, czy to dla Prudence dobrze, czy też nie.

Pastor poprowadził ich spiesznie ku zakrystii. Cate otoczył ramieniem talię Prudence, zarówno po to, by dodać jej otuchy, jak i skłonić, by z nimi poszła. Poparła jego kłamstwa, lecz nadal drżała z szoku. Mogła się załamać, choć sądząc po ich ostatnim spotkaniu, także zachować się równie gwałtownie i impulsywnie jak on.

Jeden fałszywy krok i zniszczy jej życie.

Posadził dziewczynę na krześle i dotknął delikatnie jej policzka.

– Przepraszam, że do tego dopuściłem, ale rozczarowany pan młody jest teraz w znacznie gorszym stanie.

– I bardzo dobrze – odparła z mocą.

– Do usług, *madame*, jak zwykle.

Pastor mruknął coś i wyszedł, pozostawiając Cate'a i Prudence z jej przystojnym bratem o rysach zdradzających słabość, jego żoną o ostrym języku i chłodnym, bystrookim panem Tallbridge'em.

Tallbridge był kupcem, innego jednak pokroju niż Draydale i Rumford. Może i urodził się w chacie, ale szczęśliwym zrządzeniem otrzymał od losu szczupłą sylwetkę i szlachetne rysy, tak pożądane na dworze, co podkreślał jeszcze nienaganny strój. Pozbył się też akcentu człowieka z nizin – albo prawie pozbył – co mogło wywierać wrażenie na zamożniejszych mieszkańcach Darlington, lecz nie na kimś wywodzącym się, jak Cate, z wyższych sfer.

– Pan Tallbridge, jak sądzę – powiedział. – Muszę winić pana, przynajmniej po części, za ten stan rzeczy.

– Jak pan śmie!

– Cicho bądź, Susan. Chciałem dla siostry mojego zięcia jak najlepiej – wyjaśnił Tallbridge spokojnie, zwracając się do Cate'a. – Nie wiedziałem, że ma innego zalotnika. Czy pańska sytuacja uległa poprawie?

Cate odczuwał pokusę, aby powiedzieć, że jest teraz lordem Malzard, tylko że nikt by mu nie uwierzył. Nawet gdyby mieszkańcy Darlington wiedzieli, iż lord niedawno zmarł, a tytuł przeszedł na lekkomyślnego młodszego brata, dlaczego mieliby uwierzyć, że jest nim właśnie ten mężczyzna w byle jakim ubraniu i znoszonych butach do konnej jazdy?

Gdyby wyskoczył z czymś takim, Tallbridge mógłby wykorzystać to jako pretekst, by posłać go do więzienia pod zarzutem podawania się za para Anglii. A wtedy Cate musiałby sprowadzić z Keynings kogoś, kto poświadczyłby jego tożsamość i wszyscy dowiedzieliby się, że znów spowodował kłopoty. Prędzej strzeli sobie w łeb.

Sytuacja nie była jednak wesoła.

Przysiągł poślubić odpowiednią kobietę. Obiecał to matce. Teraz, jeśli nie znajdzie sposobu, by się wymigać, będzie musiał poślubić Prudence Youlgrave, najbardziej nieodpowiednią kandydatkę na hrabinę, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Zorientował się, że powinien coś powiedzieć, i to szybko.

– Odziedziczyłem niedawno posiadłość i będę w stanie utrzymać żonę. Odszukałem Prudence tak szybko, jak tylko było to możliwe, lecz omal nie przybyłem za późno. Żałuję, że nie zdołałem oszczędzić wszystkim tej katastrofy.

– Podobnie jak my, proszę pana. Czy naprawdę tego chcesz, Prudence?

Wpatrywała się w niego bez słowa. Doskonale wiedział, dlaczego milczy. W kościele potwierdziła co prawda jego kłamstwa, lecz miała czas się zastanowić i dostrzec czyhające na nią pułapki.

– Prudence? – powtórzył z naciskiem Tallbridge. – Muszę przypomnieć ci, że Draydale wytoczył poważne oskarżenie. Jeśli jest prawdziwe, ma swoją wagę.

Zamrugała, w potem w jej oczach zapłonął gniew.

– Nie jest, panie Tallbridge. Absolutnie. – Zerknęła na Cate'a i odwróciła wzrok. – Oczywiście, że chcę wyjść za pana Burgoyne'a. Ja również przepraszam za to, co się wydarzyło.

– No myślę! – zaprotestowała piskliwie Susan. – Czyż nie przyszłaś do mnie, błagając – domagając się! – żebym znalazła ci męża? Kogoś z odpowiednią pozycją, zdolnego zapewnić dom tobie i dzieciom. Postarałam się, ponosząc znaczne koszty, a ty odwdzięczyłaś się, czyniąc ze mnie pośmiewisko!

Tallbridge westchnął.

– Zabierz ją, Aaronie. Musi tu być tylne wyjście.

– Ale co z moją siostrą, proszę pana? Po tym, co się tu wydarzyło, musi poślubić tego człowieka, a my nic o nim nie wiemy.

Może miał w sobie jednak odrobinę przyzwoitości.

– Jeśli pozwolisz, zajmę się tym osobiście. Dowiem się, kto zacz i później cię powiadomię. Susan! – Na dźwięk ostrego głosu ojca dziewczyna odwróciła ku nim spuchniętą od płaczu twarz. – Lepiej będzie, jeśli przedstawisz to, co zaszło jako romans – połączeni kochankowie i tak dalej – niż cios dla twojej dumy i pogrzebanie planów.

– Ale pan Draydale...

– Okazał się niegodny. Prudence zapewnia, że jego oskarżenia są bezpodstawne, a brutalność, z jaką potraktował narzeczoną, świadczy przeciwko niemu. Zabiorę twoją siostrę do siebie na noc, Aaronie i poczynię przygotowania, by mogła poślubić Burgoyne'a jutro.

Jutro? Zerknął na Prudence i spostrzegł, iż ona także jest przerażona. Nie pozostawiało to wiele miejsca na manewry.

– Tak, proszę pana – odparł Aaron i wyprowadził żonę.

Tallbridge poczęstował Cate'a tabaką, ten jednak odmówił, rozpaczliwie szukając wyjścia z pułapki. Wtedy kupiec sam wziął szczyptę, kichnął z lubością, a potem wydmuchał nos i zapytał:

– Jest pan spokrewniony z Burgoyne'ami z Keynings?

– Owszem. – Czyżby nie docenił wiedzy pana Tallbridge'a na temat spraw wyższej rangi?

– I mimo swego pochodzenia chce pan poślubić kogoś takiego jak Prudence?

– Mam nadzieję, że nie próbuje pan doszukiwać się w niej braku zalet.

Tallbridge uniósł brwi.

– Skąd znowu, *sir*. Oczywiście, że nie. Nie możemy jednak lekceważyć oczekiwań, jakie stawia przed nami własna sfera.

– Osoby z mojej sfery oczekiwałyby, że zabiorę stąd Prudence jak najszybciej.

Gdyby zdołał dokądś ją wywieźć, mógłby zadbać o dziewczynę i się z nią nie żenić. Umieścić u godnej szacunku damy. Zapewnić dyskretnie posag, który umożliwiłby jej zawarcie małżeństwa, jakiego zawsze pragnęła.

– Tacy ludzie oczekiwaliby, że ją pan poślubi, i to jak najszybciej, zważywszy na insynuacje Draydale'a.

– To było coś więcej niż insynuacja.

– A pańska reakcja to więcej niż protest.

– Prudence potrzebuje czasu, żeby otrząsnąć się z szoku po takim pokazie brutalności.

– Panie Burgoyne – powiedział Tallbridge – jest pan dla nas obcy. Ani ja, ani jej brat nie pozwolimy wywieźć stąd Prudence, póki się pan z nią nie ożeni. To chyba zrozumiałe?

Do licha, miał rację! Nie mogli pozwolić na coś takiego, i nawet nie powinni.

– Prudence może sama zdecydować. Jest dorosła.

– Kobiety nietrudno omamić, namieszać im w głowie. To mężczyźni powinni dbać, by były bezpieczne.

Cate odwrócił się do Prudence w nadziei, że dziewczyna go poprze, ona zdawała się jednak wcale nie słuchać. Wpatrywała się w przestrzeń, zakrywała dłonią posiniaczony policzek. Była w szoku albo też sytuacja po prostu ją przerosła.

– Proszę na nią spojrzeć, panie Tallbridge. Jest oszołomiona.

– Małżeństwo dobrze jej zrobi, i to pod wieloma względami. Jeśli będzie pan zwlekał, ludzie pomyślą, iż uwierzył pan w oskarżenia Draydale'a. Zaczną się plotki, a potem wybuchnie skandal.

– Nie dbam ani trochę o to, co będzie się mówiło w Darlington.

Tallbridge uśmiechnął się kątem ust. Nie było w tym jednak wesołości.

– To nie średniowiecze. Dyliżanse odjeżdżają stąd cztery razy w tygodniu, przewożą ludzi i listy. Plotka powstała w Darlington

dotrze na drugi dzień do Yorku. Po tygodniu będzie się już o niej mówiło w Londynie, a stamtąd rozprzestrzeni się na resztę kraju.

– Pospieszny ślub nie sprawi, że ludzie przestaną plotkować. Przeciwnie.

– Pospieszny ślub pasuje do pańskiej opowieści. Ludzie będą zachwyceni romansem godnym pieśni trubadura.

– Czy mam ułożyć balladę? – prychnął Cate, czując, jak na szyi zaciska mu się pętla. Nie była utkana jedynie z wyobrażeń Tallbridge'a, lecz z faktów.

Dramat i przemoc u ołtarza to zbyt smakowity kąsek, by wieść o takim zdarzeniu nie rozniosła się po kraju, zwłaszcza kiedy wyjdzie na jaw, że uwikłany był w nie ktoś z arystokracji. Nawet jeżeli gazety ograniczą się do podania inicjałów zaangażowanych osób, szczegóły takie jak ten, iż bohater skandalu „odziedziczył niedawno tytuł po niespodziewanej śmierci brata i został lordem", szybko ujawnią ich tożsamość.

Nie zaszkodzi mu to zbytnio, ponieważ i tak miał już reputację beztroskiego zabijaki. Lecz jeśli nie ożeni się z Prudence, nieodwracalnie legnie w gruzach reputacja dziewczyny. Tymczasem gdyby się pobrali, ludzie potraktowaliby ją jak heroinę płomiennego romansu.

Ale, do licha, reakcja jego rodziny, rozczarowanych kandydatek na hrabinę i ich rodzin, hrabstwa, kraju, króla, dworu, wszystkich!

– Zgadza się pan? – naciskał Tallbridge tonem człowieka, który wie, że ma w ręku wszystkie atuty.

Bez wątpienia próbował zadzierzgnąć więzy pokrewieństwa ze szlachecką rodziną, ale czy orientował się, że jego córka może być

wkrótce blisko skoligacona z lordem? Tak czy inaczej, był zdecydowany doprowadzić do tego małżeństwa, a poza tym, miał rację. Cate, wtrącając się, ujawnił zamiar poślubienia Prudence Youlgrave i teraz musiał to zrobić ze względu na siebie i na nią.

– Zgadzam się – odparł. – Będziemy potrzebować jednak zezwolenia.

– Biskupstwo w Durham znajduje się niespełna dwadzieścia mil stąd, ale możemy omówić szczegóły, kiedy Prudence znajdzie się już pod opieką mojej kuzynki.

– Pańskiej kuzynki?

– Pani Pollock prowadzi mi dom. To miła kobieta, o dobrym sercu.

Cate wolałby nie zostawiać Prudence pod dachem Tallbridge'a, jako że człowiek ten mógł w każdej chwili przedłożyć interes własny nad dobro siostry zięcia. Nie przychodziło mu jednak na myśl inne miejsce, gdzie Prudence byłaby równie bezpieczna przed Draydale'em. Niedoszły mąż nie należał do ludzi, którzy potrafią opuścić płazem zniewagę i to, że został zdemaskowany jako brutal.

W domu brata nie byłaby tak bezpieczna, poza tym szwagierka na pewno dałaby się jej we znaki.

A nie mógł przecież zabrać jej ze sobą do gospody.

Zerknął znowu na Prudence, zatopioną w myślach i nieobecną.

Tallbridge miał rację. Powinni przedstawić to jako wielkie uczucie, otoczyć mgiełką romantyzmu, pilnując zarazem, by wszystko odbyło się zgodnie z regułami. Od tej pory muszą więc bardzo się pilnować. Nie wolno dopuścić do skandalu. W nieodległej przyszłości cały świat będzie złakniony szczegółów

na temat kobiety, która została – jakże niespodziewanie – nową hrabiną Malzard. Prudence nie będzie miała łatwego życia, nawet bez rzucających cień plotek.

# Rozdział XI

Pora się zbierać.

Prudence spojrzała na Cate'a Burgoyne'a, człowieka, który już drugi raz przybył jej z pomocą, wywołując jednak przy okazji zamieszanie i totalną katastrofę. Tallbridge wyszedł i zostali sami.

Pomógł jej wstać. Zmarszczył brwi na widok spuchniętego policzka.

– Pewnego dnia Draydale za to zapłaci – powiedział.

To, że się o nią troszczył, sprawiło, że się ocknęła. Był szalony, gwałtowny, nierozważny, lecz zależało mu na niej.

– Proszę mnie przytulić – powiedziała.

I właśnie tak zrobił. Zatonęła w uścisku jego silnych, ciepłych ramion jak kiedyś, kiedy nie była nawet w połowie tak wytrącona z równowagi. Nigdy tego nie zapomniała. Trwała tak przez chwilę, czerpiąc otuchę z zapachu jego ubrań. Nie należał do takich, jakie zazwyczaj podobają się kobietom – woń starej wełny i skóry ze śladami dymu oraz minionych przygód – lecz mocno

wbił jej się w pamięć, przywołując wspomnienia domu przy White Rose Yard i rozmowy dwojga zamroczonych nieco brandy ludzi, mających z sobą niewiele wspólnego, a mimo to świetnie się rozumiejących. Był jedyną osobą, z którą czuła kiedykolwiek podobną więź. Na tyle silną, aby poprosić go o pocałunek. Niebezpieczny pocałunek, który doprowadził do czułego, niezapomnianego uścisku.

Takiego jak obecny. Ten prowadził jednak do katastrofy.

Zmusiła się, by się odsunąć i spojrzeć na niego.

– Co teraz?

– Odwiozę cię do domu Tallbridge'a.

Tam, skąd wyjechała rankiem, czując się jak więzień prowadzony na szubienicę.

– Ma kraty we wszystkich oknach na parterze – powiedziała.

– Będziesz więc tam bezpieczna. Chodźmy.

Nie zrozumiał. Ostatniej nocy leżała bezsennie. Rozmyślała o ucieczce, nie wiedziała jednak, jak wyjść bezpiecznie przez okno na piętrze, zaś te na parterze chronione były pięknie kutymi, lecz nader solidnymi kratami. Powiedziano jej, że zarówno we frontowych, jak i w tylnych drzwiach zamontowano alarmy, które zbudzą domowników, jeśli ktoś spróbuje je otworzyć – wszystko jedno: od zewnątrz lub od środka. Celowo czy nie, została uwięziona równie skutecznie jak w więziennej celi.

Teraz miała tam wrócić, nie wiedząc, co ją czeka. Wspomniano o małżeństwie, ale z pewnością nie na poważnie. Cate Burgoyne nie chciał jej poślubić ani ona jego.

Nie naprawdę.

Był obcym – gwałtownym, lubiącym przemoc, nieodpowiedzialnym obcym.

Ale co się z nią stanie? Draydale zniszczył jej reputację. Aaron odetnie się od takiej siostry...

Spostrzegła, że nadal ma na palcu diamentowy pierścionek Draydale'a. Najchętniej by nim cisnęła, zdjęła jednak tylko klejnot i schowała do kieszeni.

Cate wprowadził ją z zakrystii do niewielkiego pokoju, skąd wychodziło się na zewnątrz. Świeże powietrze, widok trawy i drzew sprowadziły ją znowu na ziemię, ale niewiele to pomogło. Pod kościołem stali nadal gapie żądni dramatycznych wydarzeń.

– Uśmiechnij się – zachęcił ją.

Starała się jak mogła.

Nadjechał powóz Tallbridge'a, odarty pospiesznie ze ślubnych ozdób. Tallbridge już w nim siedział, zwrócony plecami do woźnicy. Kiedy skręcili w ulicę, gapie podeszli bliżej, przyglądając się im jak sępy wypatrujące padliny.

– Mam zasłonić okna? – spytał Burgoyne.

– Nie, sugerowałby to, że czujemy się winni lub jest nam wstyd.

– Dzielna dziewczyna. – Ujął jej dłoń i pocałował.

Tallbridge przyglądał im się z uwagą. Byłoby dobrze, gdyby uwierzył w romantyczną opowieść o miłości. Prudence próbowała odegrać swoją rolę, czuła się jednak dziwnie oddalona od wszystkiego, jakby to, co się działo, dotyczyło kogoś innego. Spojrzała na swoją dłoń w uścisku Cate'a. Na skraju mankietu jego koszuli widniała smużka krwi.

Wspominała z rozrzewnieniem tamtą noc, lecz on z pewnością nie myślał o niej w ten sposób. Cokolwiek sprowadziło go do

kościoła w Darlington i skłoniło, by tak niemądrze wtrącił się w jej życie, raczej nie miało romantycznego charakteru.

Co się z nią teraz stanie?

Draydale powiedział coś okropnego, naznaczając ją jako nierządnicę.

Z pewnością ją obmacywał i próbował posunąć się dalej, lecz mu nie pozwoliła. Dlaczego ktoś miałby jednak uwierzyć, że pozostała czysta, zwłaszcza jeśli rzekomy ukochany porzuci ją zaraz po tym, jak ją odnalazł?

Nikt w Darlington nie zechce mieć z nią do czynienia, a wkrótce wieści o tym, co się wydarzyło, dotrą na północ. Jeśli Aaron pozwoli jej zostać pod swoim dachem, zamieszka tam jako okryta hańbą uboga krewna, ledwie ośmielająca się wychodzić z domu.

Może prowadzenie szkółki przy White Rose Yard okaże się dla niej jedyną nadzieją.

Przesunęła nieznacznie dłoń, muskając ukryty za podwiązką nóż, ten sam, którym zagroziła przed kilkoma miesiącami Cate'owi. Uszyła sobie specjalną pochewkę, by móc zabrać go na ślub.

Był to krok symboliczny, a zarazem ostatnia deska ratunku. Bała się nocy poślubnej, a instynkt podpowiadał jej, iż nie będzie bezpieczna także w dzień. Nie spodobało jej się to, czego dowiedziała się o drugiej żonie Draydale'a, tej chorowitej i słabej. Kiedy za niego wychodziła, nie była ani słaba, ani chorowita.

Jeśli sprawy przybiorą bardzo zły obrót, to się zabije.

Może powinna zrobić to już teraz.

– Jesteśmy na miejscu, moja droga.

Powóz zajechał przed Tallbridge House, ładny trzykondygnacyjny budynek niedaleko Houndgate.

Tallbridge wysiadł pierwszy i wszedł do domu.

Cate wyskoczył i pomógł wysiąść Prudence.

Ledwie znalazła się na chodniku, zauważyła, że i tu zgromadzili się gapie. Przyglądali się im, szepcząc. Zastanawiali się po prostu nad tym, co zobaczyli, czy smakowita opowieść o skandalu podczas ceremonii już tu dotarła?

Wsunęła palce w dłoń Cate'a.

Pocałował ją i się uśmiechnął.

Miłość godna pieśni trubadura, kochankowie połączeni wbrew wyrokom losu. Na chwilę zapewni im to ochronę. Odpowiedziała szerokim uśmiechem, a potem weszła pospiesznie do domu i odetchnęła dopiero, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

Pani Pollock natychmiast ją objęła.

– Och, biedactwo! Taka okropna scena. I ta przemoc!

– Może pan wyruszyć od razu do Durham, Burgoyne. Pożyczę panu konia.

– Durham? – spytała Prudence, odsuwając się od Cate'a. Miał ją opuścić? Tak szybko?

– Do biskupa, po zgodę na ślub – odparł Cate.

– Zgodę? – Spojrzała na niego, a potem na Tallbridge'a. – Nie możemy się pobrać.

– Przeciwnie – powiedział kupiec. – Musicie.

– Chciałbym jak najszybciej otoczyć cię opieką – zapewnił Cate.

– Ale...

Ucałował znowu jej dłoń.

– Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze. – Po czym dodał, zwracając się do Tallbridge'a. – Mam własnego konia, niemniej dziękuję. Zostawiłem go u Talbota.

Tam, gdzie czekało weselne śniadanie.

Catesby spojrzał na nią i ściągnął lekko brwi.

– Jeśli poślę po konia do tawerny, będziemy mogli spędzić trochę czasu razem, moja droga. Tyle mamy sobie do powiedzenia!

W rzeczy samej, zważywszy że nie rozumiała, co się właściwie stało.

Tallbridge wysłał lokaja do gospody, a potem wprowadził ich do saloniku.

– Przysłać coś do picia?

Prudence chętnie napiłaby się brandy, ale nie mogła raczej o nią poprosić, potrząsnęła więc tylko głową. Kiedy została sam na sam z Cate'em, poczuła, że uginają się pod nią kolana. Opadła czym prędzej na sofę.

Usiadł obok niej.

– Wolałabyś, by ceremonia nie została przerwana?

Utkwiła w nim wzrok.

– Miałabym poślubić Draydale'a? Nigdy!

– Zatem, dlaczego się zgodziłaś?

Usłyszała w jego głosie cień zwątpienia.

– On skłamał. Nie oddałam mu się przed ślubem.

– To dlaczego w ogóle do niego doszło?

– Mówisz jak inkwizytor. Ponieważ uznałam, że nie mam wyboru! Niełatwo jest dostrzec koniec drogi już w chwili, gdy stawia się na niej pierwszy krok.

– Rzeczywiście – przytaknął. – Musieli być jednak inni kandydaci.

– Nie.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Spojrzała na niego zagniewana.

– Czy mam traktować tę wątpliwość jako komplement, czy obrazić się na ciebie za to, że oskarżasz mnie, choćby pośrednio, o kłamstwo? Nikt poza Draydale'em się nie oświadczył. Mogłam wrócić jedynie do ubóstwa. I powinnam była.

– Brat okazałby się aż tak okrutny?

– Nie. – Westchnęła. – Ma jednak bardzo mało własnych pieniędzy, a Susan nie widziałaby powodu, aby zapewniać mi wygodne życie. Byłabym ubogą krewną, zależną od nich we wszystkim, zobowiązaną okazywać nieskończoną wdzięczność. – Potrząsnęła głową. – Dostałam to, na co zasłużyłam, lecz nie ma powodu wspominać więcej o małżeństwie. Nic cię nie zmusza, byś poświęcił się na ołtarzu mej dumy.

– Nic, z wyjątkiem honoru.

– Honoru?

– Jestem twoim ukochanym, utraconym i odzyskanym. Pamiętasz, zeznaliśmy tak przy świadkach. Jeśli odjadę, napiętnuje mnie to jako najnędzniejszego z łajdaków.

– Zatem, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego ruszyłeś mi znowu z pomocą?

– Żałujesz, że to zrobiłem? Wolałabyś być teraz panią Draydale?

– Tak! Nie. – Wstała i zakryła dłońmi twarz. – Chciałabym znaleźć się z powrotem przy White Rose Yard.

– Naprawdę?

Odwróciła się, spojrzała na niego i zobaczyła, że się uśmiecha.

– Och! Ty... ty mężczyzno! Jestem pewna, że tobie wszystko przyszło łatwo. Odziedziczyłeś majątek, nie kiwnąwszy palcem.

– To prawda. Ale chcę dzielić go z tobą.

– Nie, nie. Nie ma potrzeby udawać. Ledwie się znamy.

– Nie spędziliśmy ze sobą dużo czasu, czuję się jednak tak, jakbym dobrze cię znał. Rozumiem, że możesz nie chcieć mnie poślubić, nie masz jednak innego wyjścia.

– Nonsens – odparła, lecz w głębi duszy czuła, że Catesby ma rację. Nie chodziło jedynie o skandal i Draydale'a, ale o więź, poczucie bliskości, zaprzeczające logice, a przecież bardzo konkretne.

Podszedł do okna.

– Przyprowadzili mojego konia. Podróż do Durham i z powrotem zajmie prawie cały dzień. Może któreś z nas znajdzie drogę ucieczki, jednak na wypadek gdyby się nam nie udało, potrzebuję daty twoich urodzin oraz pełnych imion i nazwisk twoich rodziców.

Pomimo nawału problemów nagle poczuła się zakłopotana tym, iż musi mu wyznać, ile ma lat.

– Urodziłam się dwudziestego szóstego września 1739 roku. Moim ojcem był Aaron Youlgrave, matką Joan Wright.

– Gwoli sprawiedliwości winienem podzielić się z tobą podobnymi informacjami. Urodziłem się czwartego lutego, w tym samym roku co ty, z ojca Sebastiana Burgoyne'a i matki Flavii Catesby.

Już same imiona świadczyły, że pochodzą z różnych światów. Powinien poślubić Flavię, Lidię albo Augustę, nie Prudence.

– Będziesz tu bezpieczna? – zapytał.

– Kraty we wszystkich oknach, pamiętasz? – przypomniała mu.

– Niebezpieczeństwo może wejść drzwiami. Wątpię, aby zawiedziony pan młody był w stanie pozwalającym wedrzeć się tutaj siłą, lecz może poszukać innych sposobów, aby się zemścić.

Zobaczyła twarz Draydale'a tuż przed tym, jak ją uderzył, czerwoną z gniewu, z furią w oczach. Nagle zabrakło jej powietrza, a pole widzenia zaczęło zwężać się po bokach.

Natychmiast otoczył ją ramieniem.

– Prudence?

Wziął ją na ręce i wyszedł z pokoju, wołając o pomoc.

Próbowała protestować.

– Nie ma doprawdy potrzeby...

Lecz zgodnie z instrukcjami pani Pollock wniósł ją jak dziecko do pokoju, który przemierzała niespokojnie w nocy. Posadzono ją na łóżku, a pani Pollock wtykała jej pod plecy liczne poduszki, powtarzając przy tym na okrągło:

– O Boże, o Boże, o Boże...

– Przepraszam – powiedziała Prudence. – Nie jestem zwykle tak słabowita.

– Nawet Boadicea mogłaby się załamać, gdyby musiała przejść przez to, co ty dzisiaj.

– Ty jakoś nie mdlejesz.

Wyglądało na to, że uwaga go rozbawiła.

– Z całego serca przepraszam, lecz to, co spotkało mnie, nie było ani w połowie tak trudne. Posłuchaj, Prudence, jeśli naprawdę chcesz, żebym został...

– Miałby pan zostać? Tutaj? – sapnęła pani Pollock, oburzona. – W tym domu nie będzie kolejnego skandalu, drogi panie.

Niemal wypchnęła go z pokoju.

– Carrie! Carrie! – wołała, jakby wzywała posiłki.

Prudence opadła z powrotem na poduszki i uświadomiła sobie, że nadal ma na głowie kapelusz. Wyjęła drżącymi palcami szpilki i cisnęła kapeluszem przez pokój, aż odbił się od ściany. Kwiatki odpadły.

Co za przeklęta katastrofa!

Nie mogłaby winić Burgoyne'a, gdyby skorzystał z okazji, uciekł i nigdy nie wrócił. Tylko co wtedy stałoby się z nią?

Pani Pollock wróciła spiesznie do pokoju, prowadząc za sobą podstarzałą pokojówkę.

– Och, twój kapelusz! Nieważne, kochanie, przestań płakać...

To ona płacze?

– Ułożymy cię wygodnie i będziesz mogła odpocząć. Co za dzień, co za dzień, a przecież dopiero minęło południe!

* * *

Cate zszedł na parter i poprosił o rozmowę z Tallbridge'em. Gdy gospodarz wszedł, Cate zamknął za nim drzwi.

– Nie wpuści pan Draydale'a do domu, gdy mnie nie będzie.

– Nie podoba mi się pański ton, *sir*, poza tym jestem pewien, że Draydale nie będzie w najbliższym czasie w stanie nikogo odwiedzać.

– Chodzi także o pańską córkę. Nie życzę sobie, żeby zrzędziła Prudence nad głową.

– Chciałby pan zabronić mojej córce odwiedzin w domu jej ojca? Doprawdy, proszę pana... Lecz jeśli pan nalega, zgoda, nie przyjdzie tu dzisiaj.

Cate złagodził ton, gdyż uświadomił sobie, że będzie potrzebował od tego człowieka przysługi.

– Jestem panu bardzo zobowiązany. Przepraszam też za wszelkie niedogodności, lecz troszczę się o narzeczoną, chyba pan to rozumie.

– Oczywiście, to zupełnie zrozumiałe.

Nie było sensu dłużej zwlekać.

– Pozostaje kwestia transportu.

– Transportu? – Tallbridge uniósł brwi i Cate mógłby przysiąc, że niemal uśmiechnął się z zadowoleniem. Instynkt kupca podpowiadał mu zapewne, że Cate będzie czegoś od niego chciał.

– Będę potrzebował powozu, by przewieźć Prudence i jej bagaże. Nie brakuje mi funduszy, lecz nie mam przy sobie zbyt dużo gotówki. Wyjechałem wczoraj, nie spodziewając się podobnych komplikacji.

– Daleko pojedziecie? – zapytał Tallbridge.

Rozsądne pytanie i Cate się go spodziewał.

– Pomyślałem, że zabiorę żonę wpierw do mojego domu rodzinnego – powiedział, niezupełnie mijając się z prawdą.

– Do Keynings? Piękny dom, i znany. Jestem pewien, że Prudence się tam spodoba. Jeśli pan pozwoli, Burgoyne, użyczę panu powóz i służących. Będzie to dla mnie zaszczyt.

O tak, Tallbridge zdecydowanie łaknął jakiegokolwiek związku z lordem. Cate miał co prawda nadzieję, iż pożyczy mu raczej pieniądze. Jeśli pojadą powozem Tallbridge'a, woźnica i stangret

dowiedzą się, kim jest ich pasażer, gdy tylko znajdą się w Keynings.

Niech i tak będzie. Nie może w nieskończoność się ukrywać.

Tylko że, do licha, nie zdążył wspomnieć o tym narzeczonej! Jak zareaguje na wiadomość, iż wychodząc za niego, zostanie hrabiną? Niektórzy uznaliby to za uśmiech losu, lecz Cate wiedział lepiej. Dla niego nagłe wywyższenie okazało się piekłem, a przecież urodził się w tym świecie i znał rządzące nim zasady.

Na razie nie ma sensu o niczym jej mówić. Może po drodze wpadnie na pomysł, jak najlepiej to zrobić.

Podziękował Tallbridge'owi i wyszedł. Dosiadł wierzchowca, zastanawiając się, co trzeba pilnie załatwić. Powinien wysłać wiadomość do Keynings, by wszystkich przygotować, lecz tego nie zrobi. Któreś z nich mogłoby przybyć do Darlington i zgłosić zastrzeżenia podczas ślubu. Dwa razy w ciągu dwóch dni to zdecydowanie za dużo.

Wyruszył w dwudziestomilową podróż, postanowiwszy, że lepiej nie ostrzegać rodziny. Prudence, odziana w nowe suknie i doskonale ułożona, zrobi dobre wrażenie. Niech zadomowi się w Keynings, zanim nieuniknione rewelacje o skandalicznych wydarzeniach w kościele i niefortunnym pochodzeniu świeżo poślubionej żony dotrą do jego rodziny.

Uświadomił sobie, że myśli o ślubie jak o czymś, co się już dokonało i że ta myśl nie sprawia mu przykrości. Pomimo wielu problemów wolał poślubić swoją Herę niż pannę Nijaką, Trzmiela czy Niezdarę.

* * *

Prudence pozwoliła, by pani Pollock i pokojówka rozebrały ją ze ślubnej sukni i pomogły zdjąć pokryty jedwabiem gorset, a potem sobie przypomniała.

Odsunęła pomocne dłonie i uparła się, że resztę odzieży zdejmie za parawanem. Kiedy się tam znalazła, wyjęła zza podwiązki nóż. Zabrała go nie tylko w złowrogim celu, ale by dodać sobie odwagi, tak jak w zdobiony kwiatami stanik, gdzie trudno byłoby ją wypatrzyć, wpięła srebrną szpilę od Burgoyne'a.

Dodać odwagi do czego?

Musiała przyznać przed sobą, że choć związek z Draydale'em ją przerażał, chciała też dopiąć celu – wyjść za odpowiedniego mężczyznę i zaakceptować Henry'ego Draydale'a jako cenną zdobycz.

Czy odwaga zawsze łączy się z głupotą?

Błogosławieni cisi, mówi Biblia. Nadstaw drugi policzek.

– Nocna koszula, panienko.

Na parawanie pojawiła się udrapowana delikatnie i obszyta koronką batystowa bielizna, którą Susan podarowała jej na noc poślubną.

– Poproszę o którąś z tych zwyczajnych – poleciła.

Z braku lepszego miejsca wcisnęła nóż za toaletkę i zdjęła resztę rzeczy. Włożyła zwykłą koszulę, wyszła z kryjówki i pozwoliła, by zatroskane kobiety położyły ją do łóżka. Wypiła coś gorzkiego, co wmusiła w nią pani Pollock.

Kiedy wymamrotała pod nosem, że wolałaby brandy, pani Pollock zacmokała z dezaprobatą, a potem szepnęła do pokojówki, iż ma nadzieję, że od tych strasznych wydarzeń biednej pannie Youlgrave nie pomieszało się w głowie.

Rzeczywiście, były straszne.

Zaciągnięto story i została w końcu sama, jedynie ze wspomnieniami.

Przypomniała sobie, jak przygotowywała się rankiem do ślubu, chora z nerwów i przepełniona wątpliwościami, oszołomiona paplaniną Susan i pani Pollock. Rozprawiały z zapałem o małżeńskich rozkoszach, przyjemności posiadania domu, gdzie jest się panią, i dzieci.

Susan pożyczyła jej broszkę, recytując:

– Coś starego, coś nowego, coś pożyczonego, coś niebieskiego. I srebrna sześciopensówka do pantofelka.

Broszka w wymyślny kwiatowy wzór pasowała do bogato zdobionego stanika sukni.

Prudence poinformowała panie, że srebrna szpilka należała do jej ojca, miała więc coś starego. Niemal wszystko, co na siebie włożyła, było nowe, wetknęła więc tylko do kieszeni niebieską wstążkę. Tę, która tak bardzo spodobała się jej pierwszego dnia w Darlington. Kapelusz okazał się zbyt stary i znoszony, żeby na nowo go przyozdabiać, ale i tak ją kupiła.

Srebrna sześciopensówka była wszystkim, co pozostało z dwóch szylingów Cate'a Burgoyne'a.

Nóż, szpilka, moneta. Czy sprowadziła go w ten sposób niczym za sprawą starożytnego zaklęcia?

Nasenny wywar z maku wyprawiał dziwne rzeczy z jej umysłem, ukazując Cate'a jako otoczonego nimbem świętego, podczas gdy Henry Draydale płonął w jej pamięci ciemnym, demonicznym blaskiem.

Lecz kiedy Cate ujął w kościele jej dłonie, to na jego palcach zobaczyła krew, a Henry Draydale leżał półprzytomny na podłodze. Kto zatem był tu demonem?

Otuliła się mocniej kołdrą, modląc się, by to, co przeżyła od rana, okazało się jedynie złym snem.

A także o szansę, by mogła zrobić wszystko jeszcze raz, inaczej.

# Rozdział XII

Nim wrócił do Darlington, zapadł już zmrok. Wracał, nie znalazłszy rozwiązania. Godziny spędzone w podróży i na wyczekiwaniu w pałacu biskupim dały mu czas, by mógł przemyśleć sprawę, nadal nie widział jednak innego wyjścia, jak tylko poślubienie Prudence Youlgrave.

Rozważył reakcje rodziny i innych, a potem przestał się nimi zajmować, uznawszy, że i tak nie zdoła nic z tym zrobić. Wszystko przebiegłoby jednak bardziej gładko, gdyby uwierzono w bajeczkę o cudownym połączeniu dawno rozdzielonych kochanków. Ich małżeństwo wyglądałoby wtedy na związek zawarty po latach wyczekiwania, nie zaś w wyniku chaosu i totalnej katastrofy.

Wymyślił historię, która powinna zadziałać. Otóż poznał Prudence trzy lata wcześniej, podczas urlopu spędzanego na północy. W rzeczywistości nie miałby wówczas czasu na zaloty, lecz prawdopodobnie nikt nie będzie o tym pamiętał.

Powinny być jakieś listy, lecz sfabrykują je w razie potrzeby. Coś poszło nie tak i Prudence uznała, iż ukochany nie żyje. Listy

często nie dochodziły do adresata, zwłaszcza podczas wojny, tak jak ten, w którym Roe donosił o śmierci syna. List skierowany do żołnierza mógł wędrować miesiącami, a nawet po prostu zaginąć.

Nie wymyślił jeszcze, jak wyjaśnić fakt, że nie kontaktował się z Prudence podczas tygodni spędzonych w Keynings w marcu. Może Prudence się przeprowadziła. Nie sądził, aby mieszkała w domku przy White Rose Yard latami.

Miał zatem przekonującą historię.

Ale czy miał małżeństwo?

Prudence mogła się wycofać z tysiąca powodów, a charakteru jej nie brakowało, by tak postąpić i ponieść konsekwencje. Jego Hera była bowiem kobietą dumną, stanowczą i odważną. Często nie wychodziło jej to na dobre, ale i on ucierpiał raz czy dwa z powodu tych samych cech. Nadal chciał ją poślubić.

Nie wszyscy uznaliby jego wybrankę za piękność, lecz jemu się podobała, i to od chwili gdy ją zobaczył. Była wysoka i silna, a to cenne zalety. Zawsze czuł, że powinien być ostrożny, kochając się z drobnymi kobietami. Sądził, że kiedy Prudence oswoi się z seksem, zbudzi się w niej namiętność. Lubił namiętne kochanki, a posiadanie takiej żony byłoby niespodziewaną nagrodą.

Może potrzebować na oswojenie się więcej czasu, skoro wychodzi za nieznajomego. Chyba że Draydale wykonał za niego robotę i to, co dzieje się w sypialni, nie jest dla niej niczym nowym.

Ta myśl nachodziła go przez cały dzień. Choć bardzo się starał, nie był w stanie odrzucić całkowicie oskarżenia Draydale'a. Czy byłby aż tak podły, by wypowiedzieć podobne kłamstwo przed ołtarzem? Zapewne, nie mógł być tego jednak całkiem pewny. Zdarzało się, iż zaręczone pary nie czekały do ślubu.

Mógł przekonać Prudence, by mu uległa lub nawet ją zmusić. I pewnie by się do tego nie przyznała, zwłaszcza w kościele, stojąc przed zgromadzeniem najbardziej szanowanych członków miejscowej społeczności, którzy mieli być odtąd jej sąsiadami.

Jeśli tak się to odbyło, za nic by jej nie winił. Nie mógł jednak ryzykować, że wniesie w posagu dziecko Draydale'a. Gdyby urodził się syn, odziedziczyłby tytuł i majątek.

Lecz medal ma też drugą stronę. Nawet gdyby był absolutnie przekonany, iż Draydale skłamał, wieści o tym, co powiedział, szybko się rozprzestrzenią, zwłaszcza kiedy okaże się, że kobietą oskarżoną o rozwiązłość jest hrabina Malzard. Wszyscy będą pilnie ją obserwowali, wypatrując oznak ciąży i licząc dni. Ich pierwsze dziecko powinno przyjść na świat po przyzwoitych dziewięciu miesiącach, inaczej zawiśnie nad nim cień niemożliwych do rozproszenia wątpliwości.

Zanim zsiadł u Talbota z konia, miał już rozwiązanie. Nie skonsumuje małżeństwa od razu. Kiedy Prudence dostanie kolejny okres, będą pewni, że minęło dość czasu, a ona nie nosi pod sercem dziecka innego mężczyzny.

Lecz jeśli jest inaczej... Cóż, będzie sobie brać to na głowę, gdy zajdzie potrzeba.

Nim oporządził Galasa i zasiadł do późnego posiłku, został mu do rozwiązania już tylko jeden problem: jak powiedzieć narzeczonej, że wychodzi nie tylko za Cate'a Burgoyne'a, ale i za lorda Malzard? I czy mu wierzy? Mógłby pokazać jej rodowy sygnet, lecz herby bywały do siebie podobne, poza tym mogłaby przecież uznać, że go ukradł.

Skoro nie miał dowodu na potwierdzenie tego, kim naprawdę jest, prawda będzie musiała poczekać.

Z drugiej strony, dziewczyna nie może poślubić mężczyzny, nie wiedząc, kto zacz.

Dopił klaret i uświadomił sobie, że wystygła mu zupa.

Dolał sobie wina, rozmyślając o skromnych marzeniach Prudence: poślubieniu przyzwoitego mężczyzny, posiadającego dosyć środków, aby zapewnić jej i dzieciom wygodne, spokojne życie oraz należne miejsce w lokalnej społeczności.

Zamiast tego dostaje za męża czarną owcę, dom zbyt wielki, by mógł być tak naprawdę domem, niezmierzone bogactwo i miejsce pośród wyższych sfer, do zajęcia którego nie została przygotowana.

Jako hrabina Malzard będzie jedną z wielkich dam Północy. Nawet w Londynie, pośród arystokracji, będą się z nią liczyć. Jego matka była w młodości damą dworu królowej.

Po zupie wniesiono pieczoną szynkę, lecz prawie jej nie tknął, racząc się za to obficie klaretem.

Nie ma co zwlekać. Musi jej powiedzieć i pozwolić, by sama podjęła decyzję.

Zostawił niedojedzony posiłek, zażądał na drogę pochodni i ruszył do domu Tallbridge'a. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że Draydale mógł się na niego zaczaić.

Do diabła z tym! Będzie, co ma być.

Dotarł na miejsce bez przeszkód, lecz okazało się, że pogaszono już światła. Dawało mu do okazję, aby porzucić misję. Nie mógł jednak z niej skorzystać. Nie wierzył, że po takim dniu Prudence jak gdyby nigdy nic zasnęła, lecz jeśli tak było, musi ją obudzić. I wyznać prawdę.

Dom Tallbridge'a rzeczywiście okazał się twierdzą nie do zdobycia. Cztery frontowe okna zaopatrzone zostały w solidne, ozdobne kraty, a przy drzwiach zamontowano jakiś rodzaj alarmu. Zapewne mały ładunek wybuchowy: narobiłby hałasu, gdyby ktoś spróbował nacisnąć klamkę.

I tak nie umiał otwierać zamków.

Okrążył dom i zerknął na taras, starając się zachowywać jak ktoś, kto wrócił właśnie do domu, i rozważając w duchu niemiłą perspektywę schwytania i bycia oskarżonym o włamanie. Parowie byli chronieni przed pewnymi działaniami prawnymi, lecz nie przed konsekwencjami drobnych przestępstw.

Skręcił w uliczkę na tyłach domu i zgasił pochodnię, wciskając jej koniec w piasek, a potem ruszył w ciemności ku tylnej ścianie posesji Tallbridge'a. Żałował, że noc jest bezksiężycowa, chociaż zmniejszało to ryzyko, iż może zostać przyłapany.

Oczy przywykły mu do mroku, mimo to musiał poruszać się, przesuwając dłonią po murze i bacząc, gdzie stawia stopy. Ziemia była tu zryta koleinami wozów dostawczych. Dobiegająca z prawej woń świadczyła, że znajdują się tam stajnie. A stajnie oznaczały obecność stajennych. Któryś mógł być jeszcze na nogach. Nie słyszał żadnych głosów, mimo to zachował czujność.

Poznał dom Tallbridge'a po tym, że mur był tu wyższy, a w bladym świetle połyskiwały umieszczone na szczycie kawałki szkła. Skrupulatny człowiek z tego Tallbridge'a, pomyślał. Ciekawe, czy ogrodu z tyłu domu pilnuje pies? Pożałował, że nie wziął rapiera lub pistoletu.

Podszedł ostrożnie do furtki, lecz była, oczywiście, zamknięta.

Przedostanie się na teren posiadłości stanowiło wyzwanie, a on uwielbiał wyzwania. Jak pokonać zwieńczony szkłem mur? Miał na dłoniach skórzane rękawiczki, nie zapewniały jednak wystarczającej ochrony.

Rozważał przez chwilę różne pomysły, a potem coś przyszło mu do głowy. Być może Tallbridge nie pilnował bocznych ścian tak bardzo jak tej odgradzającej ogród od uliczki. Sąsiedzi mogli nie życzyć sobie szkła na murze oddzielającym posesje.

Odszukał furtkę sąsiedniego domu. Zamknięta. Z następną sprawa miała się podobnie, lecz drewno zdawało się przegniłe. Wystarczył mocny kopniak i skobel wysunął się z deski, wydając głuchy i niezbyt donośny dźwięk. Odczekał chwilę, a potem wszedł na podwórko.

Wyczuwał pod nogami płyty alejki i woń ogrodu. Prawdopodobnie był to ogródek warzywny. Znalazł miejsce, gdzie mógł podejść do samej ściany, wysokiej zaledwie na dwa metry. Na szczycie nie było szkła. Pokonał ją w sekundę i opuścił się na ziemię po drugiej stronie. Ostrożnie, by na coś nie wpaść.

Uśmiechnął się zadowolony. Miał przed sobą mur, za którym już był ogród Tallbridge'a. Mur wyższy, ale bez szkła na szczycie.

Co więcej, namacał dłońmi jakieś dziwne przedmioty. Stos cegieł, kilka drewnianych palet i wysokich skrzyń. Nic zbyt przydatnego, wskazywało jednak, że właściciel domu nie lubi wyrzucać rzeczy albo przygotowuje się do przebudowy.

A skoro tak, w pobliżu mogła być i drabina.

Nie znalazł jej, lecz deska ułożona na kozłach posłuży mu równie dobrze. Po namyśle zdjął ją ostrożnie i przystawił kozły do muru. Teraz mógł już bez kłopotu się wspiąć.

Zatrzymał się na szczycie, nasłuchując, czy nie pojawi się pies i przepatrując ogród, pocięty alejkami wyłożonymi białym kamieniem. W dzień musiały stanowić przyjemny widok. Teraz były po prostu przydatne, gdyż blask księżyca odbijał się od kamienia, rozjaśniając choć trochę mrok.

Opuścił się na ziemię i ruszył ku tyłowi domu.

Jak się spodziewał, kraty broniły okien także i tutaj, chociaż nie były tak ozdobne jak te od frontu. Nie spodziewał się znaleźć dogodnej do wspinaczki gęstwiny bluszczu lub winorośli, a gdyby nawet tam była, i tak rośliny nie utrzymałyby jego ciężaru. Prudence będzie musiała zejść na parter.

Niestety, nie wyglądała akurat przez okno, nawołując szeptem:

– Catesby? Gdzie jesteś, Catesby?

Przypomniał sobie ze szczegółami, jak niósł ją rano do pokoju.

Tamto okno po lewej.

Zebrał nieco żwiru, wycelował i rzucił.

Doskonałe uderzenie.

I żadnej reakcji.

Już miał sięgnąć ponownie po żwir, kiedy zasłony poruszyły się i Prudence wyjrzała przez okno. Dał jej znak gestem, by zeszła.

Podniosła okno i zaprotestowała, potrząsając gwałtownie głową.

Mógł się tylko uśmiechnąć. W skromnej, jasnej koszuli i zawiązanym pod brodą czepeczku wyglądała bardzo apetycznie.

Ponowił gest.

Potrząsnęła znów głową i zmarszczyła brwi.

Rozkoszując się absurdalnością sytuacji, przyklęknął i złożył błagalnie dłonie.

* * *

Prudence patrzyła na niego z góry, wyraźnie oszołomiona.

Co ten szaleniec wyczynia?

Czemu pojawił się pod jej oknem o tej porze? Było już po dziesiątej!

Czy jest pijany?

A potem sobie przypomniała. Powiedział, że muszą poszukać sposobu, aby uniknąć małżeństwa. Nagle zrobiło jej się niedobrze.

Może sprawił to wywar pani Pollock, lecz obudziła się po południu z ciężką głową i dojmującym uczuciem przygnębienia. Zjadła w pokoju obiad, a potem także kolację, coraz dobitniej uświadamiając sobie powagę sytuacji. Była zamieszana w okropny skandal. Jeśli jutro nie wyjdzie za mąż, będzie zhańbiona do końca życia.

Co gorsza, znała Draydale'a na tyle, by wiedzieć, że zechce się mścić. Słyszała opowieści o tym, co zrobił ludziom, którzy weszli mu w drogę w interesach i po części dlatego zaczęła obawiać się małżeństwa.

Jeśli Cate Burgoyne zdezerteruje, kto ją obroni? Nie Aaron, to pewne. Tallbridge? Dlaczego miałby zawracać sobie tym głowę?

A Cate Burgoyne stał właśnie na dole, cały radosny i gotów wyjaśnić, jak mogą uniknąć ślubu.

Gdyby zamknęła okno i schowała się pod kołdrę, musiałby odejść, a rano pojawić się w kościele. Powiedział, że to sprawa honoru. Jednak nie zwykła chować głowy w piasek czy choćby pod kołdrę. Musi się dowiedzieć najgorszego już teraz.

Chwyciła szlafrok, otuliła się nim i wyszła z pokoju. Dom pogrążony był w ciemności. Zeszła ostrożnie po schodach, omijając

skrzypiące deski, a potem zapaliła świecę. Modliła się w duchu, by Tallbridge i pani Pollock jej nie usłyszeli.

Uświadomiła sobie, że gdyby została przyłapana, świeca będzie świadczyć na jej korzyść. Powie, że nie mogła zasnąć i zeszła, aby poszukać książki. Wiedziała, iż nie da rady opuścić budynku. Te drzwi z alarmem... Będą musieli porozmawiać przez okno.

Okna jadalni wychodziły na tył domu, weszła więc właśnie tam. Zasłony były odsunięte, od razu zauważyła więc Cate'a. Stał, spoglądał w górę i marszczył brwi.

Zastukała w szybę i Cate na nią spojrzał.

A potem się uśmiechnął.

Z pewnością by się tak nie uśmiechał, gdyby przyszedł powiedzieć, że ją porzuca.

Chyba że pił.

Postawiła świecę na parapecie i zmagała się przez chwilę z zamkiem. W końcu udało jej się podnieść okno. Dzięki niebiosom i dbającej o dom gospodyni nie wydało żadnego dźwięku. Cate podszedł szybko. Spostrzegła, że jego twarz jest nieco niżej niż jej, co przydawało sytuacji dodatkowego posmaku dziwności.

– Po co przyszedłeś? – spytała szeptem, wsłuchując się w odgłosy domu.

– Nie przejmuj się – powiedział cicho, ale, jak dla niej, nie dość cicho – jeśli zostaniemy przyłapani, schadzka w blasku księżyca doskonale wpisze się w opowieść o romansie godnym pieśni trubadura.

– Dlatego wyciągnąłeś mnie z łóżka? Jesteś szalony.

– Nie. Mieliśmy porozmawiać. Pamiętasz?

Pamiętała aż za dobrze. Przełknęła i wykrztusiła:

– O uniknięciu ślubu.

– Nadal tego chcesz?

Próbowała rozszyfrować wyraz jego twarzy, ledwie widocznej w pełgającym blasku świecy.

– A ty?

– Bawimy się w zgadywanki? Chcę cię poślubić, Prudence, jeśli i ty tego chcesz. Nie wiesz jednak o mnie wszystkiego.

Wiem dość, by przedkładać związek z tobą nad inne możliwości, pomyślała, zdawała sobie jednak sprawę, że musi zapytać:

– Naprawdę będziesz w stanie utrzymać żonę?

– Tak.

– Zaoferujesz mi przyzwoity dom?

Przytaknął, ale czy przedtem odrobinę się nie zawahał?

– Jesteś hazardzistą? – wypytywała dalej. – Przepuścisz wszystko i zostawisz mnie, może nawet z dziećmi, w miejscu takim jak White Rose Yard?

– Na honor, nie! Nie jestem także pijakiem, chociaż potrafię docenić dobry trunek.

– Ja także – odparła z tęsknotą w głosie, gdyż odrobina brandy byłaby w tym momencie istnym darem niebios.

– Jakie to dziwne, że mam dla ciebie akurat taki prezent.

Światło księżyca zabłysło na metalu i szkle. Pokazał Prudence niewielką buteleczkę, pokrytą srebrną siatką, zbyt dużą na flakonik do perfum, ale mieszczącą się w dłoni.

– Jest śliczna – powiedziała, sięgając po flaszeczkę przez kraty. – Do czego służy?

– Zawiera środek podnoszący na duchu.

– Dżin? – spytała.

– Pamiętaj, że teraz lepiej mi się powodzi. Postanowiłem ci się zrewanżować. To brandy. Zakrętka może służyć jako mały kieliszek.

Oszołomiona dziwną sytuacją, otworzyła buteleczkę, nalała do zakrętki odrobinę trunku i wypiła, rozkoszując się posmakiem alkoholu. Po chwili brandy jakby zmieniła się w opar otulający jej umysł niczym woal.

– Zadziwiające – powiedziała.

– Cudowny trunek z miejscowości Cognac, gdzie powstaje najlepsza brandy.

Prudence przyjrzała się flaszeczce.

– Jest zbyt cenna.

– Nic podobnego. Mogę pozwolić sobie na koniak, a flaszka to zwykła ciekawostka, nic więcej. Kupiłem ją w Londynie z myślą o tobie.

– W Londynie? – powtórzyła. – Kiedy?

– Kilka tygodni temu.

Czy mogła to być prawda? Miałaby uwierzyć, że przed kilkoma tygodniami, przebywając w dalekim mieście, myślał o kobiecie, z którą los zetknął go na krótko w biednej dzielnicy Northallerton? Nie, to po prostu niemożliwe. Był miłym mężczyzną, udawał zatem, że przelotnie poznana kobieta znaczy dla niego więcej, niż znaczyła w rzeczywistości.

Interweniował jednak i uchronił ją przed poślubieniem Draydale'a.

Napiła się jeszcze koniaku.

– Jak to się stało, że byłeś akurat w kościele?

– Przyjechałem do Darlington, by sprawdzić, jak ci się wiedzie.

Zabrzmiało to tak, jakby naprawdę mu na niej zależało.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Jakiś tydzień temu przejeżdżałem przez Northallerton. Zajrzałem do twojego domu i porozmawiałem z sąsiadką.

– Z Hetty. Ale dlaczego..?

– Dlaczego przyjechałem do Darlington? Bo chciałem zobaczyć, jak Hera triumfuje.

– Tymczasem zastałeś ją w tarapatach i pospieszyłeś na ratunek.

– Sam o tym zdecydowałem i nie żałuję.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Naprawdę?

– Tak.

Oparła się o kraty i odetchnęła z ulgą.

– Och, Bogu niech będą dzięki. I tobie, Cate. Tak bardzo się bałam, że nie zechcesz się ze mną ożenić. Bałam się konsekwencji. Biedy, ale nie tylko. Także tego, że wylądowałabym na ulicy, potępiana jako kobieta upadła. A Draydale... Wiem, że to z mojej strony słabość, ale on mnie przeraża.

Nakrył dłonią jej dłoń, zaciśniętą na kracie.

– Jesteś teraz moja, Prudence, a ja potrafię obronić cię przed demonami.

– Draydale ma władzę i jest bezlitosny. Mści się na tych, którzy mu się narazili, a nikt nie naraził mu się tak bardzo jak my.

– Nie boję się Draydale'a – odparł spokojnie. – I ty też nie powinnaś. Spróbuj w to uwierzyć, Prudence. Daj mi rękę. Mam dla ciebie pierścionek – symbol wierności i ochrony.

Prudence zamarła, wspomniawszy, jak Draydale wciskał jej na palec zaręczynowy pierścień z diamentem. Kamień był olbrzymi, symbolizował jednak posiadanie, nie ochronę, i dobrze o tym wiedziała.

Gdybyż tylko zwróciła większą uwagę na te odczucia – ale wtedy i tak było już za późno. Przyjmowała zaloty Draydale'a, a inni to zauważyli. Gdyby potem go odtrąciła i tak stałby się jej wrogiem.

Rozmowa z Cate'em miała dziwny przebieg. Czuła, że nie wszystko zostało powiedziane, nie wszystkie wątpliwości rozwiane, jednak liczyło się tylko to, że chciał się z nią ożenić, naprawdę chciał. Przesunęła przez kraty lewą dłoń. Ujął ją i pocałował.

Zwyczajny gest, a przecież sprawił, że zadrżała.

– Nie zabrałem w podróż zbyt wiele pieniędzy, nie mogłem więc kupić pierścionka, na jaki zasługujesz, ale znalazłem w Durham ten, jeśli będzie pasował.

Wsunął jej na palec pierścionek i było zupełnie inaczej, niż kiedy zrobił to Draydale. Owszem, poczuła niepewność, lecz także nadzieję.

Delikatny srebrny pierścionek z niewielkim kamieniem, prawdopodobnie granatem, okazał się za duży, ale to jej nie przeszkadzało. Prosta rzecz, wiedziała jednak, że zawsze będzie dla niej cenna.

– Dziękuję. Jest śliczny.

– Wkrótce się poprawię. Jaki jest twój ulubiony kamień?

– Ten mi się podoba.

– Może topaz. Lub szmaragd.

Potrząsnęła głową.

– Nie ma potrzeby być rozrzutnym.

– Już mnie łajesz? – zapytał, drocząc się z nią. – Obrączka jest równie licha. Zechcesz wymienić ją wkrótce na inną? Wiem, że niektóre kobiety sądzą, iż obrączka, którą zostały poślubione to świętość.

– Zadowolę się tą, którą mi dasz. Lepiej przeznaczyć pieniądze na coś innego.

– Dość o tym. Poproszę Tallbridge'a o pożyczkę i kupię lepszy klejnot.

– Nie – odparła i wiedział, że mówi serio. – Nie proś go o nic więcej. Zażąda rewanżu.

– Mądra kobieta... Lecz zgodziłem się już, aby pożyczył nam powóz i konie. Musimy dotrzeć jakoś do domu.

Wolałaby nieco odczekać, lecz słowo „dom" wymazało w jednej chwili wszelkie wątpliwości.

– Naprawdę będę miała dom? I to już jutro?

– Tak, i uwolnisz się wreszcie od lęku. – Znowu zabrzmiało to tak, jakby coś pozostało niedopowiedziane i go dręczyło.

– Co takiego? – spytała stanowczo. – O co chodzi?

Spostrzegła, że się skrzywił.

– Rozumiesz, że moja rodzina to arystokraci?

– Burgoyne'owie? Tak, chyba tak. Podobnie jak rodzina twojej matki, Catesby.

– To dla ciebie duża zmiana i może być ci chwilami trudno.

Bał się, że przyniesie mu wstyd. W pełni świadoma, że stwarza mylne wrażenie, powiedziała:

– To nie będzie dla mnie tak zupełnie obce. Wychowałam się we dworze.

– Naprawdę? – zapytał, wyraźnie ucieszony. – Sądziłem, że twój ojciec stracił majątek.

– Owszem – przytaknęła, wmawiając sobie, że to w pewnym sensie prawda.

– To dlatego pragnęłaś lepszego życia aż tak bardzo. Odważna z ciebie kobieta, Prudence.

– Odwaga może prowadzić na manowce.

– Podobnie jak tchórzostwo, co zdarza się o wiele częściej. – Zawahał się, a potem powiedział:

– Być może będziemy musieli pojechać do Londynu. A nawet na dwór.

– Na dwór? Po co?

– Jest w zwyczaju składać wyrazy uszanowania, kiedy przebywa się w stolicy.

– Wolałabym nie jechać zatem do Londynu.

– Spodziewam się zostać członkiem parlamentu.

– Och. – Nie pasował jej zdaniem do tej roli, lecz jeśli zechce zająć miejsce w Izbie Gmin, nie będzie stała mu na drodze. – Mogłabym zostać przecież w domu, prawda?

– Mogłabyś, jeśli naprawdę będziesz tego chciała.

Było w tej rozmowie coś dziwnego, ale złożyła to na karb brandy, zmieszanej z wywarem pani Pollock.

– Jeśli to miły dom, nie będę miała ochoty go opuszczać. – Chciała rozproszyć tę dziwną mgłę, dolała sobie zatem brandy. – Powinniśmy wypić za przyszłość. – Upiła łyk i podała zakrętkę Cate'owi.

Wypił.

– Za przyszłość pełną wrażeń.

– Pełną wrażeń?

– Oboje mamy chyba w sobie niespokojnego ducha.

– Ale ja pragnę spokoju, Cate. Naprawdę.

– Zrobię więc, co będę mógł, aby ci go zapewnić. – Oddał jej zakrętkę. – Wypij za szczęście, Prudence, nieważne, jaką postać przybierze.

– Za szczęście – powiedziała i wypiła do dna.

– Nienawidzę tych krat pomiędzy nami. Zupełnie jakbyś siedziała w celi. Ale to tylko na dzisiejszą noc. Jutro będziesz wolna.

– Kobieta nie jest nigdy wolna.

– Nie będę tobą rządził.

– Owszem, będziesz. Taką już masz naturę.

– To pewnie ten oficer we mnie. – Podszedł bliżej krat. – Posłuchaj mnie zatem i przysuń się, bym mógł cię pocałować.

Spojrzała na niego, wspominając poprzedni pocałunek i to, że sprawił jej przyjemność. A jutro Cate zażąda czegoś więcej. Przylgnęła do krat. Ich usta spotkały się i poczuła się tak, jakby przeskoczyła pomiędzy nimi iskra.

– Wymuszona separacja okazuje się niezwykle podniecająca – wymamrotał. – Może powinienem zbudować w kącie sypialni mnisią celę z malutkim okienkiem zaopatrzonym w kraty, przez które moglibyśmy jedynie dotykać się i całować.

Coś poruszyło się we wnętrzu jej ciała.

– Zaszokowalibyśmy służbę.

– Nie przejmowalibyśmy się służbą. Posłuchaj mnie jeszcze raz i rozchyl wargi.

Posłuchała, chwytając się mocno krat. Ciepłe, pachnące brandy oddechy zmieszały się, języki się zetknęły. Przycisnęła się mocniej do krat. Jego dłoń musnęła pierś zakrytą jedynie warstwą cienkiego batystu.

Odsunęła się gwałtownie, zastanawiając, czy go tym nie uraziła.

– Ja nie... Zaskoczyłeś mnie.

– I mam nadzieję zrobić to znowu – odparł z uśmiechem. – Ale w możliwie najbardziej przyjemny sposób. Do jutra, moja panno młoda.

Do jutrzejszej nocy.

Nadal trzymała się krat, ucałował zatem jej palce.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, by twoje życie było odtąd beztroskie i cudowne, Prudence Youlgrave.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy.

– Obiecuję ci to samo, Catesby Burgoynie.

– Zatem nasza miłość warta będzie pieśni trubadura i nikt nie zdoła nas pokonać.

Przyglądał się, jak Prudence zamyka okno i znika.

Nie powiedział jej, ale jak miał to zrobić, skoro tak rozpaczliwie potrzebowała wyjść za mąż? Wiedział, jak jest odważna. Odmówiłaby poślubienia go, gdyby uznała, że nie jest godna, aby za niego wyjść.

Urodziła się jednak i wychowała we dworze, więc jej rodzina nie stała w społecznej hierarchii tak nisko, jak sądził. Szlacheckie pochodzenie utoruje jej drogę, będzie też lepiej rozumiała świat, w który wejdzie, poślubiwszy arystokratę.

Poza tym po prostu chciał się z nią ożenić. Po chwili czułości przez kraty pragnął tego naprawdę mocno.

Martwiło go tylko, że będzie musiał wstrzymać się ze skonsumowaniem małżeństwa, był to jednak winien swemu pierworodnemu.

# Rozdział XIII

Czuła się dziwnie, przygotowując się do ślubu dzień po dniu, do tego z innym mężczyzną. Zaczęła od kąpieli. Uparła się także, by rozczesano wymyślną fryzurę i umyto jej włosy.

– Ale jest taka ładna – zaprotestowała Carrie. – Przetrwa kolejny dzień.

– Nie podoba mi się – oznajmiła stanowczo i pokojówka zrozumiała chyba, że Prudence odrzuca w ten sposób wszystko, co wiązało się z Draydale'em.

– Och, ależ sztywne ma pani włosy, panienko. Fryzjer musiał coś na nie nałożyć, żeby dobrze się trzymały. Pewnie mąż będzie wolał, by były wieczorem miękkie i jedwabiste.

Prudence oblała się rumieńcem, ale nie było w tym niepokoju. Rozmyślała dużo o tym, jak się poczuła, gdy Cate musnął przez kraty jej pierś. Przez resztę nocy dręczyła ją głęboka, nieokreślona tęsknota.

Tylko sobie wyobraźcie!

Dziś w nocy!

To, iż wyczekiwała niecierpliwie cielesnych przyjemności, mimo że jej ambicja doprowadziła dopiero co do katastrofy, wydawało się głęboko niewłaściwe, nie mogła jednak poradzić nic na to, iż czuje się radośnie podekscytowana.

Po kąpieli zasiadła przed kominkiem, przeczesując włosy palcami, by szybciej wyschły.

Weszła pani Pollock, jak zwykle zatroskana.

– Czas ucieka, moja droga. Dlaczego kazałaś umyć sobie włosy, skoro stały ułożone zaledwie wczoraj?

– Ponieważ chciałam, by dzisiaj wszystko było inne.

Twarz kobiety pojaśniała.

– Prawda, dzisiaj poślubisz swoją prawdziwą miłość.

Romans wart pieśni trubadura.

– Tak – odparła Prudence z uśmiechem.

Nie założyła ślubnej sukni. Zamiast niej przywdziała drugą co do świetności, z jedwabiu w kolorze szałwii. Suknia nie miała krynoliny, nadawała się więc do podróży.

Włożyła świeżą koszulę i mniej ozdobny gorset, a potem usiadła przed lustrem, by pokojówka ułożyła jej włosy.

– Po prostu je zepnij, Carrie. Nie mamy za dużo czasu, poza tym i tak założę słomkowy kapelusz.

Kapelusz miał szerokie rondo, ukryje zatem siniak na twarzy. Próbowała zamaskować go pudrem, skutek był jednak żałosny, poza tym świat powinien pamiętać, co zrobił Draydale.

Halka z kremowego jedwabiu ozdobiona została zielonym haftem, pasującym do sukni, którą z kolei wyhaftowano w ciemnokremowe kwiatuszki w odcieniu pasującym do halki.

Całość wyglądała ładnie, choć raczej skromnie. Czy Cate nie uzna, że nazbyt skromnie?

Nie miała jednak nic innego.

Stanik sukni zawiązywany był z przodu na małe kokardki z kremowej wstążki i nieco wycięty, przesłoniła więc dekolt jedwabnym szalem.

– Dobrze ci w tym kolorze – powiedziała pani Pollock – choć strój jest trochę zbyt mało uroczysty. Proszę, oto broszka Susan. Wepnij ją w stanik pomiędzy piersiami. Rozjaśni całość.

Prudence wzięła broszkę, ale nie pozwoliła kobiecie jej wpiąć.

– Zabiorę ją ze sobą – powiedziała. Chowając klejnocik do kieszeni, dotknęła innej znajdującej się tam rzeczy: noża.

Nie wsunęła go dziś za podwiązkę. Zabrała go ze sobą nie ze strachu, ale dlatego że przypominał jej Cate'a. Podobnie jak srebrna szpilka oraz flakonik, ukryte bezpiecznie w drugiej kieszeni. I sześciopensówka w pantofelku.

Talizmany.

Dzisiaj myślała o nich bez lęku. Były jej potrzebne, bardziej nawet niż poprzedniego dnia, ponieważ bardzo chciała, by to małżeństwo okazało się udane dla mężczyzny, który tyle dla niej zrobił.

Założyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który pani Pollock ozdobiła pospiesznie kremowymi wstążkami, i wsunęła stopy w delikatne prunelki na obcasach, uszyte z zielonego jedwabiu. Przeznaczono je do tańca, przetrwają jednak zapewne wyprawę powozem do kościoła.

Pozostałe rzeczy zostały już spakowane do kufra, który wkrótce znajdzie się w powozie.

Pora iść.

Wsunęła pierścionek z granatem na środkowy palec, gdzie zdecydowanie lepiej pasował, i uśmiechnęła się na wspomnienie chwili, gdy Cate go jej wręczał.

Lecz kiedy schodziła ze schodów wsparta na ramieniu Tallbridge'a, czuła serce w gardle prawie jak poprzedniego dnia. Przecież Henry Draydale będzie musiał coś zrobić, aby pokazać wszystkim, że nie warto wchodzić mu w drogę, a Cate Burgoyne zrobił coś znacznie gorszego niż tylko wejście w drogę.

Wiedziała, że Draydale będzie chciał go zabić.

Wsiadła ostrożnie do powozu, wypatrując niebezpieczeństwa i modląc się w duchu, by obrażenia Draydale'a uniemożliwiły mu przedsięwzięcie jakichkolwiek działań jeszcze tego dnia.

Nie poczuje się bezpieczna, póki nie znajdzie się daleko od Darlington, a nawet wtedy będzie mogła jedynie się modlić, by Cate miał rację, sądząc, iż zdoła uchronić ich oboje przed zemstą.

Tym razem ceremonia miała odbyć się o dziewiątej. Prudence liczyła, że o tak wczesnej porze zainteresuje się nią niewiele osób. Lecz kiedy zajechali przed kościół, było ich tam więcej niż poprzedniego dnia. Dlaczego miałoby być inaczej? Wywołała skandal, który dotknął najbardziej poważanych rodzin w Darlington i znalazła miłość, godną pieśni trubadura.

Wolałaby jednak nie stawiać czoła publice. Tallbridge wysiadł pierwszy i podał jej dłoń. Miała wrażenie, że zastygły jej mięśnie, uniemożliwiając ruch.

Ucieczka po raz drugi sprzed ołtarza nie wchodziła jednak w grę. Dotknęła talizmanów w kieszeni i zmusiła mięśnie do działania. Wysiadła z uniesioną wysoko głową, wsunęła

z uśmiechem dłoń pod ramię Tallbridge'a i ruszyła ku wejściu do kościoła.

Towarzyszyły temu przyprawiające o dreszcz pomrukiwania i szepty, lecz w końcu jakaś kobieta krzyknęła:

– Wiwat panna młoda! – Inni jej zawtórowali.

Prudence nie musiała już udawać. Ośmieliła się nawet zerknąć na zgromadzonych i naprawdę się uśmiechnąć.

Lecz nagle jakiś mężczyzna zakrzyknął:

– Przeklęta dziwka!

– Hańba! Hańba! – rozległy się głosy.

Ku przerażeniu Prudence gapie zaczęli się przepychać, wykrzykując na przemian przekleństwa i życzenia.

– Chodźmy – powiedział Tallbridge i wprowadził ją pospiesznie do przedsionka.

Kiedy znaleźli się w środku, oparła się ciężko o ścianę.

– Dlaczego?

– Domyślam się, że to sprawka Draydale'a. Opanuj się. Jeśli to najgorsze, co może zrobić, i tak ci się upiekło.

Spojrzała na niego z gniewem, musiała jednak przyznać, że ma rację. Co więcej, jeśli to Draydale wywołał zamieszanie, nie mogła dopuścić, by triumfował.

Podszedł Aaron, który wyłonił się z głębi kościoła.

– Co to za wrzawa?

– Nieważne – odparł Tallbridge. – Mam na zewnątrz ludzi, którzy się tym zajmą.

Czyżby spodziewał się takich kłopotów? Pożałowała, że jej nie ostrzegł.

Spojrzał na Prudence raz jeszcze i zostawił ją z bratem. Sam wszedł do kościoła.

– Kolejna plama na honorze naszej rodziny – powiedział Aaron.

– Nie z mojej winy, Aaronie – odparła i wyprostowała plecy.

– Jeśli nie chciałaś wyjść za Draydale'a, nie powinnaś była się zaręczać.

Zacisnęła zęby.

– Chodźmy – powiedziała i ujęła go pod ramię.

Lecz kiedy szli nawą, dodał jeszcze:

– Szczytem niewdzięczności było zabronić Susan wejścia do domu ojca.

– Zrobiłam coś takiego?

– Nie ty, lecz Burgoyne. Na jedno wychodzi. Przysporzyłaś wielu kłopotów, Prudence, zwłaszcza mnie.

Zatrzymała się.

– Nic z tego by się nie wydarzyło, gdybyś zachowywał się jak na brata przystało. Nic. Byłabym szczęśliwa, mogąc zająć w twoim domu miejsce należne siostrze.

– Nie rozumiesz, w jakim jestem położeniu. Powinnaś była zaczekać. Znalazłbym sposób.

Może i sam w to wierzył, lecz ktoś otwierał już drzwi.

– Nie kłóćmy się teraz, Aaronie. Mam nadzieję, że w przyszłości lepiej nam się ułoży.

Coś zabłysło w jego oczach, przypominając jej czasy, kiedy z miłością się nim opiekowała i zaganiała do odrabiania lekcji.

– Jesteś pewna, że chcesz za niego wyjść? – spytał. – Kiedy się pobierzecie, nie będę mógł ci pomóc.

– A mógłbyś, gdybym wyszła za Draydale'a? – Zaczerwienił się w poczuciu winy, lecz ona nie miała już ochoty się sprzeczać. – Jestem pewna, Aaronie. To dobry człowiek.

Skrzywił się, lecz poprowadził ją do ołtarza, gdzie czekało tym razem zaledwie kilka osób – pastor, kościelny, Tallbridge, Susan. I Catesby Burgoyne, ubrany najmniej wytwornie ze wszystkich. Pomyślała, że stara niebieska sukienka byłaby może bardziej odpowiednia, lecz kiedy szła nawą, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mimo niedbałego stroju Cate to jedyny barwny ptak pośród gromadki szarych wróbli. Czyż nie nazywają tych ze szczytu drabiny społecznej *haute volée*? Latającymi wysoko?

Przejawiało się to w sposobie, w jaki stał, pochyleniu głowy i spokojnej pewności siebie.

Wysoko urodzony.

Członek arystokracji. Tak powiedział. Wiedziała, kim jest, jednak okoliczności obu ich spotkań nie pozwoliły pewnym cechom się ujawnić. Poczuła kolejny przypływ paniki, przypomniała sobie jednak, że arystokrata i członek parlamentu może prowadzić proste, spokojne życie. Ruszając ku niemu, skupiła myśli na srebrnej szpilce, flaszeczce brandy, pierścionku i wczorajszych pocałunkach.

Proszę, bądź pewny, błagała Cate'a w myślach, badając wzrokiem jego uśmiechniętą twarz. Proszę, nie żałuj, że się ze mną żenisz. Widzisz, że nie jestem ani młodziutka, ani piękna. Do tego biedna i nie z twojej sfery. Jeśli bierzesz mnie za żonę z litości, proszę, przerwij to teraz.

Ale jak mógłby? Dla niego porzucenie kobiety przed ołtarzem byłoby jeszcze bardziej haniebne, niż gdyby sam został porzucony.

Dłoń Prudence była zimna, kiedy ujmował ją w swoją, ciepłą i silną.

Ucałował jej palce, spoglądając z uśmiechem w oczy, a potem odwrócił ich oboje twarzą do pastora.

Prudence udało się, acz nie bez trudu, wypowiedzieć głośno i wyraźnie słowa przysięgi, a potem powstrzymać łzy, kiedy wypowiadał je Cate.

A przecież były to tylko słowa – recytowane zarówno podczas zawierania małżeństw, które nie miały prawa być szczęśliwe, jak i tych zawieranych z miłości. A mimo to piękne i dodające otuchy.

Wsunął jej na palec obrączkę. Jak uprzedzał, była cienka i prawdopodobnie nie ze złota, posłużyła jednak swemu celowi. Byli małżeństwem. Podobnie jak srebrny pierścionek, była też nieco za szeroka, Prudence podkuliła więc palce, by nie zsunęła się i nie zepsuła chwili.

Ceremonia skończona.

Stało się i mogli wyjechać.

Nie od razu jednak. Cate odsunął się od niej i dał pieniądze pastorowi oraz kościelnemu.

Susan prychnęła z pogardą.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, Prudence. Dostał ci się mąż, który ma tylko jedno ubranie.

– Bardzo zadowolona, siostro. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Susan wydawała się zawiedziona, mimo to uśmiechnęła się, pokazując wystające zęby.

– Sądzę, że było warto, skoro jesteś szczęśliwa.

Prudence, zdecydowana podtrzymać atmosferę harmonii i spokoju, zwróciła się do ojca bratowej:

– Panie Tallbridge, dziękuję za gościnność i pomoc. Był pan niezwykle wspaniałomyślny.

Tallbridge pochylił głowę, zachowując charakterystyczny dla siebie, chłodny wyraz twarzy, mogłaby jednak przysiąc, że w jego oczach zabłysło coś... Czyżby aprobata?

– Gdzie będziecie mieszkać? – zapytał Aaron. – Powinienem był spytać o to, zanim pozwoliłem ci za niego wyjść.

Prudence nie chciała przyznać, że nie wie. Choć raz wścibstwo Susan i jej skłonność do wtrącania się posłużyły dobrej sprawie.

– Gdziekolwiek to jest – powiedziała – z pewnością nie będzie ci tam tak dobrze jak w domu pana Draydale'a.

– Poważnie w to wątpię, Susan.

Bratowa zmarszczyła brwi zaintrygowana, a potem Prudence już nie zwracała na nią uwagi, bo Cate był znów przy jej boku, całując dłoń z obrączką.

– Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi, kochanie.

To tylko na pokaz, powtarzała sobie, a przecież jego słowa sprawiły, że zrobiło jej się ciepło w środku. Uśmiechnęła się ze szczerą radością.

On także podziękował wszystkim za pomoc, a potem powiedział:

– Przykro mi, że zabieram cię od rodziny, kochana, ale musimy jechać.

Aaron spróbował znowu.

– A gdzie właściwie będziecie mieszkać, Burgoyne?

– Dzisiaj udamy się do Keynings, do mojego rodzinnego domu. Wiadomość tam wysłana z pewnością do nas dotrze.

Nim Aaron zdążył zadać kolejne pytanie, Cate poprowadził Prudence nawą do wyjścia i do powozu. Awanturnicy zostali usunięci, a reszta gapiów jęła wykrzykiwać życzenia szczęścia, obsypując nowożeńców ziarnem i kwiatami.

Cate wyjął z kieszeni drobne i cisnął je w tłum. Dzieciaki rzuciły się zbierać monety. Prudence się roześmiała, jakby była prawdziwą panną młodą w dniu ślubu, który miał przynieść jej szczęście.

Oby tak się stało, modliła się w duchu. Oby tak się stało.

Powóz czekał, na koźle siedział jednak tylko woźnica. Stajenny dosiadał wierzchowca.

– Foryś? – spytała, skonsternowana. Tylko najbogatsi podróżowali w ten sposób.

– Muszę zabrać jakoś do domu mojego konia.

To zmieniało wszystko. Gniadosz wyglądał równie zwyczajnie jak ubranie Cate'a. Dzięki Bogu, chociaż jej mąż należał do arystokratycznej rodziny, był człowiekiem prostym, który mógł zadowolić się zwyczajną żoną.

Pomógł Prudence wsiąść do powozu, dołączył do niej i konie ruszyły. Prudence pomachała gapiom, naprawdę szczęśliwa. Zostawiała za sobą Darlington i Draydale'a na zawsze.

Cate ujął jej dłoń i spojrzał na obrączkę.

– Tania błyskotka, do tego za luźna. Wkrótce dostaniesz coś lepszego.

– Podoba mi się srebrny pierścionek, i pasuje na środkowy palec.

– Cieszę się, lecz wkrótce będziesz miała ich więcej. Odziedziczyłem trochę klejnotów, ale wybiorę też nowe, specjalnie

dla ciebie.

– Cate, nie ma takiej potrzeby.

– Nadal martwisz się, że trafisz do przytułku? – zażartował.

Dla Prudence nie był to jednak temat do żartów.

– Mam powód, zważywszy, jak niewiele brakowało.

– Obiecuję, że nie skończysz nigdy w przytułku i nie będziesz cierpiała biedy. Już zawsze będziesz miała dach nad głową, ciepło, dobre jedzenie i przyzwoitą odzież.

– Jak możesz być tego taki pewny? Życie potrafi płatać okrutne figle.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem zapytał:

– Jakie spłatało tobie? Opowiedz mi o waszym dworze.

Prudence przełknęła nerwowo. Stworzyła mylne wrażenie i nie była w stanie teraz się do tego przyznać. Opowiedziała mu o końcu Blytheby Manor, pozwalając sądzić, że to jej ojciec przehulał majątek. Reszta pasowała – załamanie i niespodziewana śmierć ojca, rozpaczliwy plan matki mający na celu powrót do przyzwoitego życia.

– Kochałaś swój dom.

– Tak, chociaż czasami wydaje mi się, że on istnieje tylko w mojej pamięci. I gdybym tam wróciła, okazałby się o wiele bardziej zwyczajny, niż go zapamiętałam.

– Mogłoby tak się zdarzyć. Albo i nie. Kochałem mój dom rodzinny i wspominałem go z uczuciem, gdy byłem daleko. A gdy wróciłem, rzeczywistość okazała się jeszcze piękniejsza, pomimo iż wprowadzono kilka zmian.

– Ale nie jest to już twój dom.

Zamrugał, jakby go czymś zaskoczyła.

– To nie stanowi problemu. A twój kapelusz, owszem.

Pociągnął za koniec wstążki, rozwiązał ją i odrzucił kapelusz na siedzenie obok. A potem ją pocałował.

Delikatnie, za co była wdzięczna. Podobałyby się jej inne pocałunki, ale na razie wystarczała czułość. Podobnie jak umoszczenie się w jego ramionach, gdy ostatnie domy Darlington zniknęły w oddali i znaleźli się wśród pól.

– To koniec – powiedziała. Najcięższy okres w jej życiu dobiegał wreszcie kresu.

– Nie, to początek.

Uśmiechnęła się do niego, bo rzeczywiście, przyszłość leżała przed nimi, obiecując więcej, niż śmiała sobie wymarzyć. Może później zrozumie, jak to się wszystko stało, na razie czuła się jednak wolna i szczęśliwa, a wszystko za sprawą tego mężczyzny.

Mężczyzny, którego kochała.

Sądziła, że miłość nadejdzie powoli, podejrzewała jednak, że zaczęła się już tamtej nocy w Northallerton. Z pewnością nie zapomniała nigdy Cate'a.

Wczorajszy dzień zbyt obfitował w wydarzenia, żeby zajmować się bardziej subtelnymi uczuciami, lecz Cate przybył jej na ratunek i ją pomścił. Mogła nie aprobować porywczości i przemocy, lecz jakimś sposobem cechy te sprawiły, że miłość się ziściła.

No i była jeszcze ostatnia noc. Dziwna schadzka przy brandy, podarki i gorące pocałunki przez kraty. Uczucie nadeszło szybko, z ogromną siłą, czyniąc ją rozedrganą wewnętrznie i wrażliwą. Nie może pozwolić, żeby Cate się domyślił. Jeszcze nie teraz, gdyż mógłby uznać, że powinien udawać podobne emocje. Jeśli miłość

się zdarzy, musi być prawdziwa. Czułość i troska w zupełności wystarczą – przynajmniej na razie.

Wyprostowała się i poprawiła ubranie.

– Jak daleko będziemy jechać?

– Około dwunastu mil. Skoro mamy tylko jedną zmianę koni, a drogi nie są w najlepszym stanie, zajmie nam to jakieś cztery godziny. Lepiej jechać wolniej, niż złamać koło lub oś. – Pociągnął za koniec kokardki przy jej staniku. – Nie mam nic przeciwko temu, by się nie spieszyć.

Trzepnęła go w rękę i zaraz poczuła się winna.

– Chyba że wolałabyś wstąpić do Northallerton? – zapytał, pociągając po raz kolejny za wstążkę.

Odsunęła znów jego palce, lecz była to gra. Rozkoszna zabawa.

– Nie, po co?

– Może po trzynogiego psa?

– Och, Toby! Tęsknię za nim, lecz Susan uważa, że kaleki pies w domu to kalekie dziecko w przyszłości, zostawiłam go zatem z Hetty i dzieciakami. Na pewno jest mu tam dobrze.

Zdołał rozwiązać jedną kokardkę.

– Możemy go zabrać, jeśli chcesz.

– Myślałam, że go nie lubisz.

– Nie doceniłem zwierzaka.

– Nie mogę przyjechać do wielkopańskiego Keynings z takim psem jak Toby.

– Jesteś moją żoną. Możesz mieć takiego psa, jakiego zechcesz.

– Jestem nikim bez pensa przy duszy, Cate, i będę potrzebowała całego hartu ducha, jaki tylko zdołam w sobie wzbudzić. Oraz sukni w nienaruszonym stanie.

Rozczarował ją, mówiąc:

– Rzeczywiście – i porzucając kokardki. Opuścił okno i zawołał do woźnicy: – Zatrzymamy się w następnej przyzwoitej gospodzie!

– Tak jest, proszę pana.

– Nie chcę zatrzymywać się tak blisko Darlington – zaprotestowała, kiedy zamknął okno. – I na co miałoby się to zdać? Nie podoba ci się moja suknia? Nie mam lepszej.

– Uwielbiam twoją suknię, zwłaszcza te kokardki, lecz potrzebujesz porządnej obrączki.

– Sądzisz, że zdołasz znaleźć ją w gospodzie?

– Sądzę, że znajdę tam pióro i papier, by móc napisać do przyjaciela.

Prudence pamiętała aż za dobrze, jaki potrafi być porywczy i niecierpliwy.

– A on znajdzie, ot tak, obrączkę?

– Dlaczego nie? Poproszę jednak o pieniądze.

– Cate, nie zaciągaj długów z mojego powodu.

– Już jestem winien Tallbridge'owi za to i owo.

– Nienawidzę długów. Proszę. Wolę żyć skromnie.

– Uspokój się, kochana. Nie jestem biedny. Tallbridge dostanie za kilka dni swoje pieniądze, a te, które przyśle mi Perry, są moje. Z niewiadomego powodu wiejskie gospody i sklepy niezbyt chętnie przyjmują od przyjezdnych weksle.

– Perry?

– Pan Peregrine Perriam, mój dobry przyjaciel. Na pewno mu się spodobasz.

– Wątpię.

Potrząsnął jedynie głową, lecz ona nie ufała ani trochę tak szalonemu zachowaniu.

– Na pewno nie zaciągniesz długu?

– Przysięgam na mój honor. Możesz przeprosić za brak zaufania, dając mi całusa.

– Chcesz, żebym cię pocałowała?

– To byłoby niezwykle przyjemne. – Droczył się z nią, rzucając zarazem wyzwanie.

Doskonale.

Opanowała drżenie, pochyliła się i przycisnęła wargi do jego ust. Pozostał przez chwilę w bezruchu, a potem położył jej dłoń z tyłu głowy i przejął dowodzenie. Całował ją tak, jak zapamiętała, i jeszcze bardziej.

Siedziała, przyciśnięta do niego jak wcześniej do krat, jego ciało było muskularne, ciepłe, a usta gorące. Kiedy zetknęły się ich języki, wzdrygnęła się zaszokowana, ale po chwili entuzjazm zastąpił zaskoczenie. To... przypominało na wpół zapomniane sny. Żar ogarnął jej ciało niczym gorączka, skłaniając, by przycisnęła się mocniej, smakowała dokładniej.

Poruszyła się, by jeszcze bardziej się zbliżyć, lecz Cate się odsunął i zakończył pocałunek, wyciszył namiętność. Boże, znajdowali się w powozie, nie w łóżku z zaciągniętymi zasłonami!

Objął ją znowu i mocno przytulił.

Na razie było to i tak więcej, niż mogła sobie wymarzyć.

Reszta przyjdzie później, lecz teraz i tak czuła się jak w niebie. Jego siła i ciepło zmiękczały ostre krawędzie jej umysłu, łagodziły ból, którym napełniły ją ostatnie lata trudów i potyczek.

# Rozdział XIV

Bliskość żony sprawiała Cate'owi przyjemność. Miło było trzymać ją w ramionach, odzianą w jedwabną suknię, pachnącą lekko perfumami, jego na zawsze, bez konieczności pośpiechu i bezpośredniego zagrożenia. Krew nadal szybciej krążyła mu w żyłach po namiętnym pocałunku, zdołał jednak dać sobie z tym radę, traktując podniecenie jak obietnicę przyszłych rozkoszy. Na razie mieli przed sobą kilka godzin, by lepiej się poznać i po prostu cieszyć się swoim towarzystwem.

Kilka godzin, by znaleźć odpowiednią chwilę i powiedzieć żonie, że jest teraz hrabiną Malzard.

Zrobi to wkrótce, lecz jeszcze nie teraz. Potrzebowała odrobiny spokoju i on także.

Pocałował jej upięte w prosty kok włosy.

– Śliczne.

– Taki nijaki kolor.

– Są jak miód w słoneczny poranek.

Poruszyła się i spojrzała na niego.

– Poezja? Nie spodziewałam się tego.

– Przekonasz się, że jestem pełen niespodzianek. – Było to aż nazbyt bliskie prawdy. Pogładził lok na skroni Prudence. – A może jak jasne satynowe drewno w słoneczny poranek. Matka ma sekretarzyk w tym kolorze.

– Czy w ten sposób nazywasz mnie twardogłową, mój panie?

– Czasami bywasz wystarczająco uparta.

Spojrzała na niego znowu.

– Twoja matka żyje?

– Tak, i cieszy się doskonałym zdrowiem.

– Kiedy będę musiała się z nią spotkać?

Czy nadszedł wreszcie ten moment? Postanowił, że nie będzie kłamał.

– Dzisiaj. Przebywa w Keynings.

Wyprostowała się i przygładziła włosy.

– Boże, dopomóż. Co o mnie pomyśli?

Ujął jej dłoń.

– Na pewno nie będzie zajmowała się twoimi włosami. Oczywiście, przeżyje szok, kiedy pojawię się z żoną, lecz bardzo chciała, bym się ożenił.

– Bogu niech będą dzięki. Niechętna teściowa potrafi uprzykrzyć życie. Będziemy często ją widywać?

Kolejne niebezpieczne pytanie.

– Mieszka w moim domu.

– Mieszka w... – Oparła się o siedzenie. – Boże!

– Przepraszam, że ci nie powiedziałem.

– Nie zniechęciłoby mnie to do małżeństwa i dobrze o tobie świadczy. Jesteś dobrym synem.

– Gdybyż tylko matka sądziła podobnie.

– Nie docenia cię?

– Twoje zdziwienie to istny balsam dla mojej duszy. Chodzi o to, że porównuje mnie z moim doskonałym bratem.

– Ach tak, pamiętam. Idealny syn. Moja matka wolała Aarona ode mnie. Był mężczyzną, jej nadzieją na przyszłość. Jego wygląd i urok też nie pozostawały bez znaczenia.

– Dopraszasz się komplementów? Jesteś śliczna.

– I czarująca? – dodała, rzucając mu wyzwanie.

– Nie, za to interesująca. Warta dziesięciu Aaronów.

Odwróciła wzrok zawstydzona pochwałą. Czyżby słyszała ich dotąd tak niewiele?

– Masz śliczny profil – powiedział. – Nie, nie ruszaj się. Podziwiam. Gdy tylko cię zobaczyłem, zorientowałem się, że masz rysy rzymskiej matrony.

– Tej, która miała w zwyczaju mówić synom, iż mogą wrócić z tarczą albo na tarczy?

– To było chyba w Sparcie.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Niektóre z rzymskich matron podzielały to przekonanie. Na przykład Agrypina.

– Przeciwnie. Rozpieszczała ukochanego synka Nerona do niemożliwości. Widzę, że orientujesz się klasyce.

Policzki Prudence okryły się rumieńcem.

– Musiałam odrabiać lekcje z Aaronem. Pomagać mu.

– Nie ma się czego wstydzić.

– Nie przeszkadza ci to?

– Dlaczego miałoby przeszkadzać?

– Draydale zabronił mi o tym wspominać.

– Jeśli spróbujesz porównywać mnie z tym typem, dojdzie do rękoczynów.

– Och! Nie miałam na myśli...

– Żartuję, Prudence. Zapomnij o Draydale'u. On należy już do przeszłości. – Powóz skręcił i Cate wyjrzał przez okno. – Ach, gospoda. Wylądowaliśmy w objęciach Ramion Mnicha.

– Na długo chce się pan zatrzymać? – zawołał woźnica.

Cate otworzył drzwi i wysiadł.

– Nie, napiszę tylko krótki list. Chyba że – dodał, zwracając się do Prudence – potrzebujesz przerwy?

Zapewniła go, że z nią wszystko w porządku, zatem Cate polecił forysiowi, żeby dopytał się o drogę i wszedł do gospody. Za jednego z nielicznych pozostałych szylingów nabył materiały do pisania i wypożyczył blat. Nie silił się na wyjaśnienia, ale poprosił tylko Perry'ego, żeby przysłał pieniądze i powiedział wszystkim, że jest zdrowy i będzie w Keynings przed zmrokiem. Nie posłużył się do zapieczętowania listu rodowym sygnetem, ale nakapał wosku po prostu ze świeczki.

Wyszedł i podał list forysiowi.

– Jedź co koń wyskoczy do Keynings i daj to panu Perriamowi, który jest tam gościem. Nie oddawaj listu nikomu innemu i nie mów, kto cię przysłał.

– Dobrze, proszę pana. – Wyraz twarzy mężczyzny świadczył jasno, że nie podoba mu się ta misja. – Czy mam tam na pana zaczekać?

– Nie. Powiedz, by dali ci świeżego konia i wróć po swoich śladach z tym, co da ci pan Perriam.

– Jak pan sobie życzy – odparł foryś z równym powątpiewaniem i odjechał drogą.

– A ten dokąd? – zawołał woźnica ze złością. – A jak będzie mi potrzebny, to co zrobię?

– Jeśli będziesz potrzebował pomocy, to dam radę. – Cate wdrapał się do powozu i usiadł obok Prudence. – Ponury typ.

– Wiózł mnie dwa razy do kościoła i nie pochwala zapewne tego, co się wydarzyło.

– Jeśli zachowa się wobec ciebie nieuprzejmie, tylko mi powiedz.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Potrafisz być czasami bardzo władczy.

Cate miał nadzieję, że udało mu się ukryć reakcję na te jakże trafne słowa. – Może to pozostałość ze służby w wojsku.

– A tak, wojsko. Gdzie służyłeś?

Był to bezpieczny temat, opowiedział jej zatem o Brunszwiku i Hanowerze, nie wspominając o zakulisowych działaniach, które przysporzyły mu opinii człowieka odważnego, ale lekkomyślnego i niesubordynowanego. Po godzinie zarządził przerwę dla ludzi i koni.

– Na co masz ochotę? – zapytał, kiedy usiedli w prywatnym saloniku.

– Poproszę herbatę – odparła bez wahania. – Przez długi czas była dla mnie takim luksusem, że teraz wręcz się od niej uzależniłam. Tak jak od czekolady rankiem.

– Możesz mieć całą herbatę z Chin i najbardziej aromatyczną, najsłodszą czekoladę.

– Kolejna ekstrawagancja – zganiła go ze śmiechem.

Odprężona, przejawiała naturalną gracją. Będzie musiała nauczyć się zachowywać bardziej wyniośle, jej maniery były jednak bez zarzutu, toteż przemiana z pewnością nie okaże się trudna. Może łatwiejsza niż dla niego, po tylu latach życia na swobodzie.

Czy nadeszła oto właściwa chwila, by jej powiedzieć?

Przyniesiono posiłek, a Cate zdecydował, że lepiej będzie wyznać prawdę w powozie. Nie zdoła uciec przed jej gniewem, ale i ona nie wypadnie rozjuszona z pokoju i nie wpakuje się w kłopoty.

Kiedy ruszyli jednak w dalszą podróż, dalej nie mógł się zdobyć się na wyznanie. Nie zachowywał się tak tchórzliwie nigdy przedtem. Jednak Prudence odprężała się z każdą milą i była coraz bardziej rozkoszna. A potem skręcili znienacka w wąską drogę, zrytą głębokimi koleinami. Powóz podskoczył, aż Cate zaklął i objął żonę.

– Zaraz coś złamiemy.

– Na przykład nogę? – spytała, poprawiając przekrzywiony kapelusz.

– Mam nadzieję, że jedynie koło, ale i to byłoby wystarczającym nieszczęściem. – Otworzył okno i krzyknął na woźnicę, by jechał ostrożniej. – Nie śpieszy się nam, człowieku!

– Robię, co mogę, *sir*. Jeśli chce pan dotrzeć do Keynings, to jedyna droga!

Cate usiadł prosto, kręcąc głową.

– Nie wolałabyś jechać wierzchem na poduszce za siodłem? Byłoby ci wygodniej, a wcale nie poruszalibyśmy się wolniej.

– Nigdy tak nie podróżowałam i muszę wyznać, że wolałabym nie zjawiać się w wielkopańskim domu twojej rodziny w jednej sukni, w dodatku brudnej i zakurzonej.

– Nająłbym jucznego konia, ale tak, byłabyś zakurzona. Zostaniemy zatem w tym pudle tortur. O czym to ja mówiłem? Aha, o krótkim pobycie w Portugalii...

Prudence słuchała z ciekawością, lecz powóz podskakiwał na wybojach tak gwałtownie, że aż dzwoniły jej zęby, a plecy bolały od ciągłych prób utrzymania równowagi. Kiedy zatrzymali się, aby napoić konie, zrezygnowała z posiłku na rzecz spaceru.

– To i tak niewielka gospoda – powiedział, pomagając jej wysiąść. – Wątpię, czy dostalibyśmy tu coś więcej niż piwo. Przepraszam, że tak wygląda twoja podróż poślubna. Od jakiegoś czasu nie padało i błoto na drogach wyschło na kamień.

Ruszyli przed siebie drogą, lecz szybko okazało się, że muszą wracać.

– Te buty nie zostały uszyte z myślą o spacerach po wiejskich drogach – powiedziała Prudence z żalem. – Oto pudło tortur – wymamrotała na widok powozu, który już na nich czekał.

– Zastanawiasz się, czy nie byłoby lepiej jechać wierzchem?

Rzeczywiście, właśnie o tym myślała. Nigdy nie podróżowała z tyłu za jeźdźcem, ale zapewne byłoby to wygodniejsze niż przebywanie w trzęsącym się powozie.

– A moje rzeczy?

– Powóz pojedzie za nami, będziemy poruszać się wolno, nie na długo więc zostaniesz ich pozbawiona.

Pomyślała znowu o kurzu i brudzie, uznała jednak, że nie warto się przejmować.

– Dobrze więc.

Jednak karczmarz miał tylko jednego nędznego konia. O siodle nie mogło nawet być mowy.

– Bardzo mi przykro, *sir*, gdyż droga jest rzeczywiście bardzo wyboista. Słyszałem ostatnio o kilku wypadkach, i to na drogach, gdzie płaci się myto.

– A gdzie w pobliżu moglibyśmy znaleźć siodło? – zapytał Cate.

– Chyba w Cawthorne, *sir*. Lecz mówię panu, wkrótce zacznie padać. Damie będzie lepiej w powozie.

Prudence westchnęła.

– Ten człowiek ma rację. Wolę przyjechać posiniaczona niż mokra jak szczur.

– Wracamy zatem do pudła tortur.

Kiedy wdrapali się do powozu, Cate pożałował, iż nie może wyrównać drogi dla swej wybranki, pewne rzeczy były jednak niemożliwe nawet dla lorda.

Ruszyli i Prudence jęknęła.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, iż można lubić podróże.

– Niektórzy uważają, że poznawanie nowych miejsc warte jest niewygody.

– Co jest złego w siedzeniu w domu? – spytała.

– Absolutnie nic – odparł. – Ci, którzy utracili dom, dobrze o tym wiedzą.

– Straciłeś dom?

Pora było jej powiedzieć.

– Raj utracony, a potem odzyskany. Widzisz, Prudence...

Powóz szarpnął jednak tak mocno, że Cate prawie na nią wpadł. Uderzył mocno dłonią o ściankę, żeby do tego nie dopuścić,

lecz usta Prudence znalazły się zbyt blisko, aby je zignorować.

Nie zrobił tego.

Żeby mógł wykonać zadanie jak należy, kapelusz musiał pójść precz, a potem powóz przechylił się tak gwałtownie w prawo, że Prudence wylądowała na jego piersi. Przytrzymał ją tam, badając gorące, słodkie wnętrze jej ust. I krągły, jędrny tyłeczek.

Dziś w nocy.

Nie, nie dziś, przypomniał sobie, przerywając pocałunek i starając się ochłonąć. Do diabła!

Spojrzenie miała tak jasne, a policzki ślicznie zaróżowione, że trudno mu było się powstrzymać nawet tu, w powozie, nie wspominając o miłym odosobnieniu prywatnego apartamentu w Keynings.

– Cate? – spytała zmartwiona i pobladła.

Uśmiechnął się i pocałował ją znowu, tym razem szybko.

– Byłaś bardzo zdecydowana, żono.

Odsunęła się pospiesznie, ale przyciągnął ją do siebie.

– To nie był zarzut. Jesteś rozkoszna, ale musimy nieco przyhamować. Na razie.

Zarumieniła się znowu i odwróciła wzrok, zobaczył jednak, że się uśmiecha.

Powóz zatoczył się po raz kolejny i coś głośno zaskrzypiało. Cate posłużył się tym jako pretekstem, by pomóc jej wrócić na przeciwległe siedzenie, a samemu wychylić się przez okno i złajać woźnicę.

– Staram się jak mogę, *sir*!

Mężczyzna nadjeżdżający z naprzeciwka zawołał:

– Okropna droga, proszę pana!

– Piekielna – przytaknął Cate i zamknął okno, by do środka nie przedostawał się kurz. – Przepraszam za wyrażenie, moja droga.

– Nie jestem taka znów delikatna. Zastąpiłabym „piekielna" mocniejszym określeniem. Na przykład „cholerna".

Roześmiał się.

– Boska kobieta! Równie dobrze moglibyśmy pójść dalej piechotą.

– Moje buty – przypomniała mu i wysunęła stopy, aby pokazać jedwabne zielone pantofelki na delikatnym obcasie.

– Prześliczne – odparł, demonstracyjnie wpatrując się w jej kostki.

Cofnęła pospiesznie stopy.

– Mam mocniejsze buty w bagażu. I bardziej odpowiedni strój.

– Będziesz musiała się przebrać podczas następnego postoju. Nawet jeśli tylko część drogi przejdziemy piechotą i tak będzie to spora ulga. – Złapał się uchwytu, gdyż powóz znów mocniej się zakołysał. – Do licha z tym woźnicą! Przepraszam jeszcze raz, ale...

– Nie masz za co. Czy to możliwe, żeby woźnica był pijany?

– Powinienem był o tym pomyśleć. Mógł pociągać z butelki przez całą drogę.

Kolejny podskok, któremu towarzyszyło posępne skrzypienie.

– Możemy zrobić to samo – powiedziała, sięgając do kieszeni. – Mam brandy.

Właśnie w tym momencie rozległ się głośny trzask. Powóz podskoczył i zachwiał się, rzucając Prudence na Cate'a. Przycisnął ją do siebie, starając się uchronić przed obrażeniami.

Coś się złamało w podwoziu, i to coś ważnego.

Woźnica krzyczał, konie szarpały uprząż, a przechył stawał się coraz większy. Musiało odpaść koło, a oni znajdowali się zbyt blisko rowu. Powóz mógł się przewrócić do góry nogami.

Cate był tylko w stanie otoczyć żonę mocno ramionami i przyjąć na siebie uderzenie, gdy powóz przechylił się na bok, a szkło rozprysło dookoła pośród diabelskiej kakofonii krzyku, rżenia i trzasku.

Wylądował na plecach naprzeciw okna i drzwi, a Prudence na nim. Przerażone konie kołysały pudłem, a przy każdym ruchu coś wbijało mu się boleśnie w udo i plecy. Drewno czy szkło?

Oby to, co go zraniło, nie było na tyle długie, żeby wyrządzić poważną szkodę.

A potem powóz ruszył, sprawiając mu kolejny ból. – Trzymaj konie! – krzyknął, zwierzęta musiały jednak ucierpieć w tak poważnym wypadku.

– Woźnico!

Żadnej odpowiedzi. Powóz kołysał się teraz jak statek na wzburzonym morzu. Do licha, czyżby woźnicę zrzuciło z kozła i ranne konie zostały bez nadzoru?

Muszą się natychmiast wydostać.

– Prudence?

– Tak?

– Bogu dzięki. Nic ci nie jest?

– Chyba nie... – Głos miała jednak nieco zduszony. – A tobie? – Poruszyła się, a on jęknął boleśnie. – O co chodzi?

– To chyba szkło – syknął. – Nie ruszaj się.

– Ale musimy stąd wyjść! – powiedziała, chwytając się taśmy nad głową.

– Ciii... – uspokajał ją, próbując zignorować ból i się zastanowić. – Wszystko będzie dobrze, choć nie ręczyłbym za twój kapelusz.

– Mój kapelusz?

– Wylądowałem na nim.

– Martwisz się o mój kapelusz? Uderzyłeś się w głowę?

– Tylko żartowałem, moja droga. Będziesz musiała wysiąść pierwsza.

Nagle usłyszeli dochodzące z zewnątrz wołanie.

– Jest tam ktoś żywy? – Głos młodego mężczyzny z miejscowym akcentem.

– Dzięki Bogu – westchnął Cate i krzyknął: – Tak! Ja i moja żona. Możesz odciąć konie?

– Woźnica już się tym zajął, *sir*. Spróbuję dostać się do państwa od góry.

Powóz zakołysał się znowu i Cate mógł tylko zacisnąć zęby.

A potem ruch nagle ustał.

– Bogu dzięki – powiedział. – Chociaż obawiam się, że biedne chabety muszą być w kiepskim stanie.

– Rzeczywiście, Bogu niech będą dzięki – powiedziała znacznie spokojniej. – Przepraszam, że wpadłam w panikę.

– Miałaś powód. Coś cię w ogóle boli?

– Mam tylko parę siniaków. Ochroniłeś mnie. – Zabrzmiało to tak, jakby zobaczyła nagle cud.

– To przywilej męża. Nie troszczono się o ciebie jak należy, żono, lecz to się teraz zmieni.

Pocałowała go. Był to szybki pocałunek, czuły, a zarazem namiętny. Zrobiła to, nie przyciskając go mocniej do ścianki powozu.

Musiał jednak się skrzywić, ponieważ odsunęła się i zapytała:

– Gdzie cię boli?

– Plecy i biodro, ale to nic takiego.

– Tak czy inaczej, nie dojedziemy dzisiaj do Keynings, prawda?

– Czy to cię bardzo niepokoi?

– Przypuszczam, że muszę stanąć kiedyś przed twoją rodziną, wolałabym jednak, by stało się to później, kiedy zadomowimy się już u siebie.

Co za cholerny bałagan.

– Prawie jestem, proszę pani – zawołał młodzieniec, szarpiąc za drzwiczki powozu, zmienione teraz w sufit.

– Możesz wstać, nie stając na mnie? – zapytał Cate.

Poruszyła się ostrożnie.

– Chyba tak.

Podziwiał sposób, w jaki to zrobiła, opierając się o siedzenie i ściankę powozu. W pewnej chwili zawisła nad nim w bardzo dziwnej pozycji, prezentując bujny biust przesłonięty jedynie szalem, który zdążył się już obluzować. Pomimo niesprzyjających okoliczności poczuł, że budzi się w nim pożądanie.

– Jesteś cudowna, wiesz o tym? – zapytał.

– Naprawdę?

– Przeszłaś dotąd trzy próby i zdałaś je śpiewająco, zachowując chłodną głowę i odwagę w sercu.

Skrzywił się, gdyż powóz znowu się zakołysał.

– Proszę uważać! – zawołała Prudence. – Mąż jest ranny!

Ich wybawca znieruchomiał.

– Przepraszam, *madame*. Poważnie?

– Nie! – zawołał Cate. – Rób, co trzeba.

Powóz zakołysał się znowu, a potem drzwi otwarły się gwałtownie i z góry spojrzała na nich okrągła, przyjazna twarz. – Krwawi pan, *sir*.

– Prawdopodobnie. Możesz pomóc wydostać się mojej żonie?

Przemieściła się tak, że stała z głową wysuniętą lekko na zewnątrz. Młodzieniec czekał, gotów jej pomóc, lecz wyjście nie będzie łatwe, zwłaszcza dla kobiety.

Cate napiął mięśnie ramion i grzbietu. Wyglądało na to, że nie utracił nad nimi władzy, chociaż bolały go jak diabli. Usiadł, ignorując kolejne ukłucie bólu.

– Postaw nogę na moich dłoniach, to cię podniosę. – Odwróciła głowę i spojrzała na niego zatroskana. – Zrób to.

– Jeśli jesteś pewien...

– Raz, dwa, trzy, hop!

Ich wybawca musiał zrobić swoje, gdyż po chwili w powozie widać już było jedynie nogi Prudence. Pomimo bólu widok kształtnych łydek i smukłych kostek okrytych pończochami w różyczki sprawił mu przyjemność.

– Trzymam panią, *madame*! – zawołał młody człowiek, a Prudence spróbowała się podciągnąć, machając rozpaczliwie nogami.

Cate osłonił głowę ramieniem, lecz widok, jaki ukazał się jego oczom, był jeszcze bardziej interesujący. Po chwili Prudence zebrała jednak widać siły, gdyż podciągnęła się zdecydowanie i zniknęła, a pudło powozu znieruchomiało.

Cate dał sobie chwilę, by sprawdzić obrażenia. Usłyszał jakiś hałas i szybko zawołał:

– Nie wchodź mi pomóc, dam sobie radę sam!

– Dobrze, proszę pana!

Najgorzej bolało go w miejscu, gdzie coś, prawdopodobnie kawałek szkła, wszedł w prawe udo. Mogło jednak być gorzej. Znacznie gorzej. Skórzane bryczesy nieco go ochroniły, lecz gdyby odłamek wbił się niżej, Cate mógłby być już martwy. Jest na udzie takie miejsce, skąd krew tryska strumieniem, zabijając delikwenta niemalże w minutę. I tak tracił wszakże sporo krwi. Drugą ranę miał w boku, ale nie wydawała się poważna.

Podkulił stopy i wstał. Poszukał miejsca, o które mógłby się oprzeć, a potem podciągnął się mocno w górę, ignorując ból rozciętego uda. Wystawił z powozu głowę i zobaczył Prudence. Stała na drodze, spoglądając z niepokojem w górę, w przekrzywionym ubraniu i z opadającymi w nieładzie włosami. Wyglądała wspaniale.

Na widok Cate'a jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Odpowiedział tym samym. Niezbyt stosowny moment, aby czuć radość, choć z drugiej strony, dlaczego nie? Przeżyli.

Pozostawało jednak wydostać się i zejść na drogę. Wiedział, że zostanie to okupione bólem. Sięgnął w tył i dotknął rany. Możliwe, że usunięcie odłamka zwiększy upływ krwi, lecz niech go diabli, jeśli będzie się wspinał, mając szkło w sobie.

Odłamek był śliski od krwi, uchwycił go jednak i pociągnął, tłumiąc okrzyk bólu. Poczuł na udzie krew – spływała jednak powoli, a nie tryskała strumieniem, co stanowiło dobry znak.

Da sobie radę.

Prudence już się nie uśmiechała.

– Co się stało? – zawołała.

– Nic ważnego.

Pomacał bok, szukając drugiego odłamka, lecz warstwy odzieży: surdut, kamizelka oraz koszula skutecznie to uniemożliwiały. Nie był w stanie sięgnąć pod spód, żeby wyjąć szkło. Trudno.

Chwycił się framugi drzwi, podciągnął i wysunął z powozu, przeklinając pod nosem. Stamtąd nietrudno już było ześliznąć się na ziemię. Lecz gdy się tam znalazł, świat zawirował mu przed oczami. Musiał oprzeć się o nieuszkodzone koło i poczekać, aż zawroty głowy ustaną.

# Rozdział XV

Prudence podbiegła, zaczęła go dotykać i poklepywać.

– Jak poważnie jesteś ranny? Bryczesy masz ciemne od krwi.

Nagle poczuł się o wiele lepiej. Spojrzał na młodzieńca, który pospieszył im z pomocą. Chłopak dosiadał właśnie kuca.

– Nie mogę zostać, proszę pana. Muszę załatwić coś dla swego chlebodawcy.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc. Możesz powiadomić pierwszą napotkaną osobę, że potrzebujemy transportu?

– Tak zrobię, *sir* – zapewnił i ruszył, kierując się w stronę, z której przyjechali.

– Upłynęło sporo czasu, odkąd mijaliśmy miejsce, gdzie mogą mieć przyzwoite konie, a co dopiero powóz – zauważył.

– Na dodatek wkrótce zacznie padać. Spójrz na te chmury. Chyba dosięgła nas klątwa!

Cate objął ją i przytulił.

– Nic podobnego. To tylko wyzwanie, któremu z pewnością sprostamy. Przeżyliśmy właśnie wypadek, który mógł się okazać fatalny w skutkach.

Odsunęła się i spojrzała na niego.

– Zawsze jesteś takim optymistą?

– Dlaczego nie? Mam ciebie.

Ucieszyło ją to i rozzłościło zarazem.

– Musiałeś uderzyć się w głowę – zaprotestowała. – Przynoszę ci jedynie kłopoty. Na pewno dobrze się czujesz? Zadrapałeś się w rękę...

Nie przestawała mówić, poklepując go, szukając obrażeń lub przejawiając po prostu troskę. Stwierdził, że sprawia mu to zaskakującą przyjemność.

– Przepraszam – powiedziała. – To wszystko moja wina.

– Nonsens, kochanie. Szczerze mówiąc, dzisiejszy dzień dostarczył mi więcej przyjemności niż wiele ostatnich. A tak przy okazji, masz piękne nogi.

– Nogi?

– Podziwiałem je, kiedy wydostawałaś się z powozu.

Otworzyła usta ze zdumienia, a potem uderzyła go mocno w ramię.

– Nie powinieneś był patrzeć!

Roześmiał się, być może trochę zbyt głośno, spojrzała bowiem na niego z obawą.

– Nie, nie – zapewnił ją. – Moja głowa nie ucierpiała. Nie jestem szalony, ale po prostu szaleńczo szczęśliwy. Kawałek szkła wbił mi się w udo, ale już go wyciągnąłem.

– Gdzie? Och... – Wysunęła ręce, gotowa pomóc, nie wystarczyło jej wszakże odwagi, by dotknąć go w tak intymnym miejscu.

Pora przejąć dowodzenie i dopilnować tego, co powinno zostać zrobione. Wyprostował się i, kulejąc, ruszył w stronę koni.

– Broczysz krwią! – zawołała. – Zatrzymaj się. Ranę trzeba opatrzyć, nim zrobisz kolejny krok.

– To naprawdę nic wielkiego, a obiecałem pomóc woźnicy w razie potrzeby.

Mężczyzna zdołał już uspokoić konie, lecz z boku jednego ciekła krew, a drugi trzymał nogę uniesioną. Mimo to wyglądały lepiej, niż się spodziewał.

– Złamana noga? – zawołał do woźnicy.

– Nie, Bogu dzięki, ale i tak biedne zwierzaki mocno ucierpiały. Trzeba się nimi zająć.

– Jak daleko stąd do najbliższej ludzkiej siedziby?

– Nie wiem dokładnie, *sir*, a mapy zawieruszyły się gdzieś w tym bałaganie.

– Czy konie mogą chodzić?

– Chyba tak, *sir*. – Mężczyzna ujął wodze i zachęcił konie, aby ruszyły. Zrobiły to niechętnie, ale nawet ten z obolałą nogą był w stanie się nią posługiwać.

– Ruszaj powoli do najbliższego zasiedlonego miejsca i dopilnuj, aby się nimi zajęto. Jeśli będzie to możliwe, przyślij kogoś po nas. Lepsze dwa powozy niż żaden.

– Racja, *sir*. Chodźcie, moje piękne. Owies i stajnia są już niedaleko.

Cate przyglądał się przez chwilę odchodzącym koniom. Kulały, ale miał nadzieję, że rany nie okażą się poważne. A potem

odwrócił się, żeby przyjrzeć się temu, co zostało z powozu. Złamane koło leżało w kawałkach, a jedna strona pojazdu była zupełnie zniszczona. Dyszel nieco się skrzywił, co uratowało konie, lecz musiało zrzucić woźnicę z kozła.

– Mogliśmy zginąć – powiedziała Prudence.

Odwrócił się i zobaczył, że obejmuje się ramionami, jakby było jej zimno.

– Szok – powiedział. – Wspomniałaś o brandy.

– Ach, tak. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła flaszeczkę. Odkręcając nakrętkę, wyjaśniła: – Wydawało mi się to na miejscu, żeby zabrać ją na ślub jako coś nowego i niebieskiego.

– Masz w bucie sześciopensówkę na szczęście?

– Owszem – odparła, podając mu buteleczkę. – Proszę.

Upił spory łyk.

– Może być nam potrzebna. Wydałem już niemal wszystko, co miałem.

– Bez pensa przy duszy, dokładnie tak, jak podejrzewałam – stwierdziła, napełniając znów nakrętkę. Nie był wcale przekonany, iż Prudence żartuje. Napiła się, a potem podała mu butelkę. – Pora zabandażować twoją ranę.

Znalazła jednak widać w sobie odwagę.

– Wiesz cokolwiek o leczeniu? – zapytał.

– Opiekowałam się matką.

– Często bywała ranna w zadek?

Zaczerwieniła się, lecz się nie poddała.

– Nie, ale jestem najlepszym lekarzem, jakiego masz, więc nie narzekaj. – Wyciągnęła rękę i rozwiązała krawatkę Cate'a. –

Posłużymy się nią jako tamponem. – Zwinęła materiał i podała mu. – Przyciśnij do rany, żeby spowolnić krwawienie.

Zrobił, co powiedziała, podziwiając w duchu jej sprawność i opanowanie.

– Co teraz?

– Muszę zabandażować nogę, żeby utrzymać tampon na miejscu. Oznacza to chyba, że będę musiała poświęcić koszulę.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła nóż w prymitywnej, uszytej z grubego płótna pochewce.

– Chyba pamiętam ten nóż.

Zerknęła na niego spod oka.

– Tak.

To właśnie nim zagroziła mu w domku przy White Rose Yard, a potem wbiła ostrze głęboko w stół. Zapomniał już o przejawie gniewu i frustracji, jakiego był wówczas świadkiem.

Czyżby nosiła broń przy sobie przez cały czas?

Byłoby to nader interesujące.

– Lepiej wykorzystaj moją koszulę – powiedział. – I tak jest poprzecierana.

– Zapewne to twoja jedyna.

– Zapewniam, że nie. – Zdjął surdut i kamizelkę. – Może będziesz w stanie wyjąć też to, co utkwiło mi w boku.

– Masz jeszcze jedną ranę?

– To tylko drzazga lub coś podobnego. – Zabolało go jednak, kiedy zdejmował przez głowę koszulę. – Przeklęte drobne ranki. Często bywają bardziej dokuczliwe niźli te duże. Przynajmniej z początku.

– Często bywałeś ranny? – spytała.

– Byłem żołnierzem, Prudence. Nic poważnego jednak, Bogu dzięki. Proszę. – Podał jej koszulę, lecz Prudence stała, wpatrując się w jego nagą pierś.

Dlaczego przy niej zapominał o takich sprawach? Zupełnie jakby byli starymi kumplami. Lub kochankami. Oblizała wargi, nadal się gapiąc, co nie pozostało bez wpływu na jego stan.

– To jak, mam coś w boku? – zapytał, ponaglając ją.

Podskoczyła.

– Och, rzeczywiście. – Widać było, że wzdraga się go dotknąć.

– Nie ma potrzeby...

– Jeśli cię boli, to owszem, jest. – Znów była szybka i zdecydowana. – Podnieś rękę, żebym mogła dokładnie obejrzeć ranę. – Po chwili zauważyła. – To coś więcej niż drzazga.

Nacisnęła ciało po obu stronach, wyczuwał jednak, że jest zakłopotana. Gdyby była to gra, poczułby się winny, sytuacja wymagała jednak, aby mógł swobodnie się poruszać.

– To spory kawałek drewna i wbił się głęboko. Nie mam jak go uchwycić. Trzeba będzie ciąć.

– Dam radę chodzić z nim przez jakiś czas.

– Nic podobnego. Spróbuję załatwić to delikatnie.

Nie obawiał się bólu, lecz tego, iż zmusza ją, by dokonywała na nim operacji.

Z początku posługiwała się nożem niepewnie, po chwili poczuł jednak szybkie cięcie i syknął z bólu.

– Teraz mogę się do niego dostać – odparła niczym wprawny chirurg.

Bolało, kiedy grzebała w ranie, w duchu błogosławił wszakże jej odwagę.

– Mam. – Wyjęła drzazgę i przycisnęła koszulę do rany. – Krwawienie powinno szybko ustąpić. Rana nie jest głęboka. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci ból.

– Pacjent zawsze doceni szybkość. Twój nóż musi być ostry.

– Jaki pożytek z tępego? – Uniosła koszulę. – Proszę. Nie krwawi zbyt mocno. Przytrzymaj przy ranie tampon, kiedy będę oglądała nogę. – Dotknęła uda i nawet się nie skrzywiła, a przynajmniej niczego takiego nie zauważył. – Bryczesy są okropnie zaplamione, musiałeś więc mocno krwawić. Wątpię, czy rozcięcie da się zaszyć. Masz inne bryczesy?

– Nie, ale mam spodnie. Nie będę musiał chodzić nago po ulicach.

– Ku wielkiemu żalowi kobiet z Yorkshire, jestem tego pewna.

Roześmiał się i pocałował ją szybko.

– Wiele kobiet zemdlałoby na sam widok rany.

– Większość okazuje się zdumiewająco odporna w godzinie próby. Daj mi koszulę. Tak, krwawienie w boku niemal ustało.

Obejrzała koszulę. Jej uwagi nie uszło zapewne, że jest spłowiała i pocerowana. Odczuwał pokusę, aby zapewnić ją znowu, że ma też inne ubrania i nie jest tak biedny, na jakiego wygląda. Nie była to jednak odpowiednia chwila, by wyznać jej, że jest lordem. Nie, póki Prudence trzyma w ręku nóż.

Odcięła mankiet, a potem cały rękaw i skręciła materiał w ciasny tampon.

– Gotowe. Krawatka utrzyma go w miejscu.

– Na bryczesach? – zapytał i rozwiązał tasiemki.

– Przestań! To publiczna droga!

– Może jakaś kobieta z Yorkshire będzie akurat przechodziła i ucieszy ją taki widok.

– Nie możesz się rozebrać...

– Nie ma tu nikogo, kogo mogłoby to zgorszyć, Prudence. Poza tobą, oczywiście. Ale ty jesteś moją żoną.

Wpatrywała się w niego przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a potem powiedziała.

– Doskonale. Masz rację. Opuść je.

Musiał ją ostrzec.

– Nie mam nic pod spodem, a bez koszuli...

– Przecież nikt cię nie zobaczy. Poza, oczywiście, mną – odparła, drocząc się z nim. – A ja jestem twoją żoną.

– I kobietą z Yorkshire – dodał, uśmiechając się szeroko. – Cudowną.

Mimo to odwrócił się do niej plecami, zanim opuścił bryczesy, co okazało się mądrym posunięciem, zwłaszcza gdy poczuł, że się nad nim pochyla. Usłyszał szelest jedwabiu, kiedy przyklękła, by przyjrzeć się ranie, a zapach jej perfum zagłuszył woń krwi.

Dotknęła delikatnie rozcięcia, a potem położyła mu dłoń z przodu na udzie, by ustabilizować swoją pozycję. Jego członek natychmiast zareagował, a Cate zadrżał.

– Sprawiłam ci ból? Przepraszam, lecz w ranie jest jeszcze trochę szkła. Widzisz... Dobrze, że przyszło mi do głowy sprawdzić.

– Tak, proszę pani – odparł potulnie, a potem syknął, gdy nacisnęła i szkło wbiło się głębiej.

– Nie bardzo mam za co chwycić – powiedziała i nacisnęła znów bezlitośnie.

– Na pewno nie jesteś konowałem? – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Nie wierć się. Może gdybym spróbowała czubkiem noża... Już prawie... Mam!

Poczuł, że odłamek wychodzi i wypuścił wstrzymywany od dobrej chwili oddech. Przynajmniej ból sprawił, że nie był już podniecony.

– Inne obrażenia? – zapytał.

– Nie sądzę. Boli, kiedy tak robię? – Przycisnęła mocniej tampon.

Skrzywił się, lecz odparł:

– Nie więcej, niż można się spodziewać. Bandażuj.

– Co tu się wyprawia? – dobiegł ich męski głos.

Cate odwrócił się i zobaczył wpatrującego się w nich wieśniaka. Chłop trzymał w ręku widły. Obok stał mocno zbudowany podrostek, dzierżąc ogrodniczy nóż.

– Stój spokojnie! – zganiła go Prudence. A do mężczyzny powiedziała: – Opatruję mężowi ranę, proszę pana. Jak pan widzi, zdarzył się wypadek.

Stanowczość w jej głosie sprawiła, że wieśniak spuścił z tonu.

– Przykro mi to słyszeć. – Nie mógł mieć wiele więcej jak dwadzieścia lat i nie był tak pewny siebie, jakim chciał się wydawać.

– Może moglibyście nam pomóc – powiedział Cate. – Wiąż szybko, moja droga.

Nie zrobiła tego. Nie zrobiła w ogóle nic. Po chwili zorientował się, że przesuwanie bandaża pomiędzy jego udami to dla niej zbyt wiele.

– Wspaniały moment, żeby odgrywać niewinną panienkę – wymamrotał. – Podaj mi krawatkę, a sama przytrzymaj tampon.

Posłuchała, a on owinął szybko bandażem udo, odsuwając na bok genitalia, czego najwidoczniej nie była w stanie zrobić. Podciągnął spodnie, zapiął je i odwrócił się do mężczyzn.

– Gdzie wasze konie? – zapytał starszy wieśniak.

Czyżby sądził, że przyfrunęli?

– Ucierpiały w wypadku, więc woźnica zabrał je do najbliższego zamieszkanego miejsca.

– Najbliżej stąd do Worsall – powiedział mężczyzna. – Tylko że tam nic nie ma.

– Pójdzie więc z nimi dalej. A kiedy gdzieś dotrze, każe przysłać po nas powóz. Albo on, albo młodzieniec, który pomógł nam się wydostać.

– Zaraz zacznie padać – stwierdził mężczyzna.

– Widzimy. Jest tu w pobliżu miejsce, gdzie moglibyśmy się schronić?

Odpowiedziało mu podejrzliwe milczenie.

– Nie jesteśmy rozbójnikami, proszę pana – zapewniła Prudence – jedynie podróżnymi, których spotkało nieszczęście.

Cate dodał:

– Nazywam się Burgoyne, a to moja żona. Przyjechaliśmy z okolic Richmond.

Żadne z tych oświadczeń nie przesądzało sprawy, wydawało się jednak, że rozwiały nieco podejrzenia.

– Moja farma jest tam, w dole zbocza – powiedział wieśniak. – Możecie u nas odpocząć, jeśli chcecie.

Cate skłonił się lekko.

– Wielkie dzięki.

– Wracajmy zatem. Chodź, Lolly.

Odwrócili się i pomaszerowali drogą, a potem skręcili w lewo i zniknęli z widoku.

– Lepiej się ubiorę – powiedział Cate. – Chociaż zniszczyłaś mi koszulę.

– Ja zniszczyłam...!

– *Pax*! – zawołał, unosząc dłoń. – Żartowałem. To czysta przyjemność droczyć się z tobą. Włożę to, co zostało, i zakryję brak rękawa surdutem.

Podała mu rzeczy, lecz potem się odwróciła. Obrócił ją ku sobie i skradł całusa.

Zaprotestowała, lecz błysk w oczach powiedział mu, że nie był to szczery protest. Jakże była odmienna od tej przerażonej kobiety, która przybyła do kościoła, aby poślubić Henry'ego Draydale'a! Zamierzał dopilnować, by proces odzyskiwania pewności siebie postępował, a iskry w jej oczach zmieniły się w gwiazdy.

Gdybyż nie zmierzali tylko do Keynings i wszystkiego, co się z tym wiąże!

Założył kamizelkę.

– Może powinniśmy uciec.

– Jesteśmy małżeństwem.

Zaczął wkładać surdut i widać bezwiednie się skrzywił, gdyż pośpieszyła mu z pomocą.

– Uciec od życia – wyjaśnił. – Do miejsca, gdzie nikt by nas nie znał i gdzie moglibyśmy pozostać na zawsze porywczy i szaleni.

– To by mi się podobało – stwierdziła, poprawiając mu ubranie, poklepując go i nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Dostałeś

jednak w spadku posiadłość, Cate, i musisz się nią zająć.

*A tobie dostało się więcej, niż sobie uświadamiasz*.

– Prudence, muszę ci coś powiedzieć.

# Rozdział XVI

Nie teraz – odparła, spoglądając na niebo. – Jeszcze chwila i zacznie lać. Znajdźmy lepiej tę farmę.

Był to instynktowny protest. Poważny ton ostrzegł ją, że Cate ma do powiedzenia coś nieprzyjemnego. Pewnie odziedziczona posiadłość jest dużo mniejsza, niż się spodziewała. Albo naprawdę Cate jest bez grosza, pomimo iż tak gorąco temu zaprzeczał.

Nie chciała tego usłyszeć. Nie tutaj. Nie teraz, gdy jej najlepsza suknia pokryta była plamami krwi, kapelusz nie nadawał się do założenia, włosy miała w nieładzie, a stopy otarte od chodzenia w nieodpowiednim obuwiu po twardej drodze. Później, w bardziej normalnych warunkach, kiedy sprawy przybiorą znowu właściwy bieg, zmierzy się z problemem – jakikolwiek by był – i go rozwiąże.

Postąpiła kilka kroków, odwróciła się i powiedziała:

– Potrzebuję mocniejszych butów.

Wrócili do zniszczonego powozu, lecz kufer bagażowy się zablokował, gdy pojazd przewrócił się podczas wypadku. Cate

próbował go otworzyć, lecz nie dał rady.

– Przestań – powiedziała, gdy naparł mocniej. – Rana ci się otworzy.

– A ty skręcisz kostkę.

Stanęła z nim ramię w ramię.

– Możemy kuśtykać, wspierając się wzajemnie.

– Przez życie – powiedział, uśmiechając się do niej.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Chodźmy więc. Wkrótce zacznie się ulewa.

Zaczęło już kropić, ruszyli zatem ku farmie, najszybciej jak się dało. Cate oszczędzał nogę, a buty Prudence protestowały. Kiedy skręcili na ścieżkę prowadzącą w dół zbocza, poczuła, że obluzował jej się prawy obcas.

– Powtarzam sobie, że już nie może być gorzej, tymczasem tak właśnie się dzieje. Spadamy niczym koło staczające się po zboczu. Zaraz zostanę bez butów, moja suknia nie nadaje się do niczego, ty masz ubranie w strzępach...

– Ale zmierzamy ku miejscu, gdzie czekają na nas ciepło, jedzenie i odpoczynek – przerwał jej. – Kiedy przestanie padać, otworzymy kufer i przynajmniej ty będziesz prezentowała się znów jak należy.

– Optymista – powiedziała ze śmiechem.

Przyszłość zapowiadała się obiecująco. Mogła zaczynać teraz życie jako żona Henry'ego Draydale'a. Zamiast tego była panią Catesby'ową Burgoyne, a farma na końcu ścieżki oferowała schronienie przed żywiołami.

Dom był długi, wąski, zbudowany z kamienia i położony ładnie nad strumieniem. Po brukowanym podwórku, dziobiąc pracowicie,

przechadzał się drób i biegało kilka prosiąt. Z tyłu widać było dachy budynków gospodarskich i zagrodę dla owiec. Z komina unosił się dym.

– Wygląda miło i przytulnie – zauważyła.

– Chciałabyś być żoną farmera?

– Chciałabym znaleźć jak najszybciej schronienie. Miejsce wygląda malowniczo, lecz życie na pewno nie jest tu łatwe, zwłaszcza w zimie.

Kiedy dotarli do kamiennego murku, drzwi otworzyły się i zobaczyli młodą kobietę, odzianą w fartuch zakrywający powiększony ciążą brzuch. Pomachała ku nim i zawołała:

– Chodźcie, państwo! Tylko patrzeć, jak lunie.

Posłuchali ochoczo, choć Cate musiał schylić głowę, by nie uderzyć o framugę.

* * *

Chata była równie mała jak dom Prudence w White Rose Yard, tutaj wchodziło się jednak prosto do kuchni, tak ciasnej, że mieściły się tu zaledwie stół, ława ze schowkiem i niski kredens z półkami powyżej. Z tyłu znajdował się długi pokój. Podłoga była z kamiennych płyt, lecz sufit niski. Cate ledwie mógł się wyprostować, a i tak niemal dotykał głową belek.

Po prawej, za ścianą paleniska, nad którym zawieszono kociołek rozsiewający apetyczną woń, musiały znajdować się kolejne pomieszczenia. W kuchni było niemal za gorąco, lecz po tym, jak zmarzli na drodze, z radością powitali ciepło.

– Usiądźcie, proszę, *madame*, *sir*. Jestem pani Stonehouse, a Green Hollow to farma mojego męża – powiedziała z dumą.

Była ładną kobietą o cerze, jakiej mogłaby jej pozazdrościć niejedna dama, i miękkich brązowych włosach, upchniętych pod czepkiem. – Wypadek, powiadacie. Co za okropna rzecz. Mogę nalać wam piwa?

Prudence chętniej napiłaby się herbaty, lecz w chacie z pewnością nie było takich luksusów. Brandy też byłaby mile widziana, gdyby jednak wyciągnęła z kieszeni flaszkę, gospodarze mogliby zacząć podejrzewać, że nie są tak przyzwoici, jakimi chcą się wydawać.

Opadła zatem na ławę, zsunęła pantofle i poczuła się jak w domu, zapewne dlatego że chata przypominała kuchnię Hetty. Hetty, podobnie jak żona farmera, umiała zamienić w przytulny dom najbardziej prymitywne wnętrze. Prudence i jej matka nie były w stanie tego dokonać.

Nie ma co winić za to domu.

Roztarła stopy, westchnąwszy na widok brudnych pończoch. Musiała pogodzić się z tym, że nie potrafi stworzyć przytulnego wnętrza w biednej chacie i z tym, że chata może być wszystkim, co Cate będzie miał jej do zaoferowania. Ludzie nie uwierzyli, kiedy zapewniał, że ma posiadłość oraz pieniądze i mieli prawdopodobnie rację. Jego koszula była poprzecierana i połatana. Dlaczego miałby ją nosić, skoro miał lepsze?

Oczywiście i tak wolała go od Henry'ego Draydale'a, ale czy życie nie mogłoby układać się choć trochę bardziej gładko? Przecież nie prosiła o wiele. Nagle zachciało jej się płakać. Wyjęła chusteczkę, lecz kiedy podniosła ją do oczu, zauważyła, że jest poplamiona krwią.

– Jest pani ranna, *madame*?

Żona farmera stała tuż obok, trzymając w dłoni kubki z piwem.

– Nie. To mąż ucierpiał. Odłamki szkła wbiły mu się w ciało. Mogłabym umyć ręce? Może w strumieniu?

– Nie ma potrzeby – odparła pani Stonehouse. Odstawiła piwo i nalała do miski wody z beczułki. – Zawsze mamy w domu wodę. – Gospodyni powiedziała to z dumą, lecz zaraz przeprosiła, stawiając obok miseczkę z płatkami mydła. – Nie jest wykwintne, takie, do jakiego pani przywykła.

Mydło było szare, zrobione prawdopodobnie z owczego łoju i ługu, lecz jeszcze przed kilkoma tygodniami Prudence używała tylko takiego.

– Mogę umyć nim ręce, a tylko to się liczy.

Gdy to robiła, przyszło jej do głowy, by podarować gospodyni prezent – miseczkę pachnącego mydła, które miała w bagażu.

– Ma pani na twarzy paskudny siniec. Szybko się pojawił.

Prudence osuszyła dłonie, zastanawiając się, czy kobieta coś podejrzewa. Potrafiła zapewne poznać, że siniec nie powstał podczas wypadku. – To wydarzyło się wcześniej – powiedziała i podeszła z uśmiechem do Cate'a, mając nadzieję, iż rozwieje ewentualne podejrzenia, że to mąż tak ją potraktował.

Cate uniósł kufelek w geście toastu. Zauważyła jednak, że stoi.

– Niewygodnie ci siedzieć? – spytała.

– Nawet nie zamierzam próbować. Wcześniej czy później będę musiał znów usiąść, w powozie albo na końskim grzbiecie, nie ma jednak sensu się spieszyć. A jak twoje siniaki? To znaczy, te nowe.

– To nic wielkiego.

Nagle pani Stonehouse zawołała:

– Ależ zaczęło lać! Szybko, okiennice!

Cztery małe okna nie miały szyb, pospieszyli więc je zamykać. Potem pani Stonehouse wybiegła przez drzwi obok pieca i usłyszeli stukot kolejnych zamykanych okiennic. Mały chłopczyk, pierworodny gospodyni, stał jak gdyby nigdy nic pośrodku całego zamieszania i ssąc kciuk, wpatrywał się w Prudence.

– Dzień dobry – przywitała się.

Dziecko wyjęło kciuk i powiedziało:

– Dobry – i wsadziło z powrotem palec do buzi.

Jego matka wróciła.

– Dobry dzieciak z tego naszego Jackity.

– I rezolutny – zgodziła się Prudence, a twarz młodej kobiety pojaśniała z dumy.

Wszystkie matki lubią, gdy chwali się ich dzieci. Choć z drugiej strony, nie pamiętała, aby jej matka okazała choć raz, że jest dumna z córki, a i matka Cate'a zdawała się nie doceniać syna. Przebywała teraz w Keynings i z pewnością nie będzie ceniła go bardziej, kiedy przywiezie tam żonę w brudnej i zakrwawionej sukni, z włosami jak wronie gniazdo.

Wypadek mógł wiele usprawiedliwić, wolałaby jednak pokazać się teściowej z możliwie najlepszej strony. Zanim wyjadą z farmy, będzie musiała zmienić suknię, choćby i na gorszą. Lepszej bowiem nie miała.

Wszedł farmer z głową okrytą workiem.

– Potrzeba nam deszczu – powiedział, jakby spodziewał się, że ktoś zakwestionuje jego słowa. Syn podreptał ku niemu i został z dumą podniesiony: – Oto mój wspaniały chłopak!

– Usiądź i odpocznij, kochanie – powiedziała jego żona. – Upiekę podpłomyki i będziemy mogli zjeść.

– Na pewno będzie wam smakowało – powiedział. – Z mojej Peg jest nie lada gospodyni.

– Widzę, proszę pana. – Cate uniósł kufel. – Dopisało panu szczęście.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim farmer i usiadł.

– Macie tu dobrą ziemię? – zapytał Cate i rozmowa potoczyła się na temat urodzajnych i nieurodzajnych gruntów i tego, jak można zrobić z nich najlepszy użytek. Rozmawiali niemal jak równy z równym, lecz Cate wydawał się, jak na żołnierza, zdumiewająco dobrze poinformowany. Może odziedziczył farmę i teraz uczył się ją prowadzić.

Może to właśnie zamierzał jej wyznać – że nie zamieszkają we dworze, lecz w domu na farmie. Nie przeszkadzałoby jej to zbytnio, tyle że musiałaby wiele się nauczyć. Żona farmera powinna wiedzieć wszystko o drobiu i świniach, o tym, jak robi się masło i ser. Musi też pomagać przy żniwach, robić wino, kordiały i krem do rąk.

Spojrzała nas swoje czyste dłonie, gładkie jak na damę przystało. Lepiej postara się o przepis matki Hetty. Będzie musiała nauczyć się piec podpłomyki na kracie paleniska, ponieważ w domku tak małym jak ten nie będzie zapewne pieca.

A potem przypomniała sobie, że Cate obiecał jej służbę. Nie skłamałby w takiej sprawie, a dobrzy służący będą wiedzieli, jak piecze się chleb, w piecu czy bez pieca. Poradzi sobie. Będzie dla Catesby'ego dobrą żoną i potrafi uczynić jego życie całkiem wygodnym, nawet za małe pieniądze.

Lecz wpierw należało przetrwać wizytę w Keynings.

Nie pojmowała, dlaczego muszą pojechać tam od razu. Może jakiś arystokratyczny obyczaj nakazywał zaprezentować natychmiast nową żonę głowie rodziny. Może Cate powinien był poprosić o zgodę na ślub. Słyszała, że oficerowie muszą występować o zezwolenie do swego generała.

Zaczęła skubać plamy na zielonej spódnicy, jakby mogła je w ten sposób usunąć. Jej następna co do jakości suknia była elegancka, ozdobiona galonami i zapinana na żabki, ale uszyto ją z mało wytwornego materiału, by nadawała się na podróż. Założyłaby ją tego ranka, gdyby nie wydawała się zbyt surowa na ślub.

W bagażu miała poza tym trzy dzienne suknie: białą w żółte paski, kremową w drobny kwiatowy wzór i trzecią z jasnego perkalu. Wszystkie zbyt lekkie jak na tę porę roku i podróż. Była jeszcze stara niebieska, której nie wyrzuciła z uwagi na to, ile pracy włożyła, by ją ozdobić. Suknia była jednak zdecydowanie nieodpowiednia.

– Obiad gotowy – oznajmiła pani Stonehouse. – Zawołaj chłopaka, Jonny.

Nadbiegł parobek i zasiedli wszyscy do stołu. Farmer Stonehouse odmówił modlitwę, po czym jego żona nalała do drewnianych misek gęstego gulaszu. Składał się głównie z warzyw, był jednak bardzo smaczny, a podpłomyki ze świeżym masłem przepyszne. Znalazł się nawet deser w postaci kompotu z gruszek, prawdopodobnie ususzonych poprzedniej jesieni. Gospodarna pani domu była w stanie zaopatrzyć nieźle spiżarnię, mając do dyspozycji tak niewiele.

Ona też nauczy się, jak być dobrą gospodynią.

Przy White Rose Yard i domach, w których mieszkała wcześniej, czuła się inaczej. Nie miała serca uczyć się gospodarowania i czekała tylko, kiedy znów zajmie należne jej w społeczeństwie miejsce. Teraz związała swój los z losem Cate'a Burgoyne'a i miała szczery zamiar uczynić ich życie tak wygodnym, jak tylko będzie to możliwe.

Zaproponowała pomoc przy zmywaniu, lecz pani Stonehouse powiedziała:

– Proszę sobie posiedzieć. Wymyję naczynia później, w strumieniu. Kiedy przestanie wreszcie padać, będziemy mieli ładne popołudnie.

Cate uchylił okiennicę.

– Chyba już się przejaśnia.

Prudence podeszła, żeby zobaczyć to na własne oczy. Rzeczywiście, niebo w oddali jakby pojaśniało. Uświadomiła sobie jednak, jak oddalona jest farma. Z okien nie było widać drogi ani powozu.

– A jeśli ktoś ukradnie mój kufer?

Cate spojrzał na nią. – No to ukradnie, lecz na tak mało uczęszczanej drodze to raczej nieprawdopodobne. No i złodziej musiałby jakoś się do niego dostać.

– Deszcz może wszystko zmoczyć.

– No to zmoczy – powiedział i potrząsnął głową.

– Ale gdy tak się stanie, będę musiała jechać dalej w tej sukni. – Odwróciła się i powiedziała do gospodyni: – Ma pani może trochę soli, bym mogła wywabić plamy?

– Mam, ale czy to nie jedwab? Sól może go zniszczyć.

– Jeśli plamy nie zejdą, suknia i tak będzie do niczego, równie dobrze mogę zatem spróbować.

– Lepiej niech pani ją zdejmie – zaproponowała pani Stonehouse. – Mam zmianę ubrania, jeśli pani chce.

– Na pewno nie będzie pani przeszkadzać, jeśli z niej skorzystam?

– Nie, proszę bardzo, chociaż spódnica okaże się pewnie za krótka.

– To i tak tylko na jakiś czas. Dziękuję.

Szczodrość gospodyni wywarła na Prudence wrażenie. Kiedy ostatnio zaznała podobnej życzliwości? Od Hetty, uświadomiła sobie. Gdy przechodziła przez drzwi obok paleniska, przypomniała sobie, jak Hetty mówiła, że ludzie najlepiej prosperują, trzymając się miejsc, do których przynależą. Może łatwiej było urodzić się w skromnych warunkach i być zadowolonym, pozostając w nich do końca życia. Ona została wychowana we dworze, choćby i cudzym, potem spadła w społecznej hierarchii, została przywrócona swojej klasie, a teraz wylądowała nie wiadomo gdzie.

W sypialni nie było paleniska, panował tam więc mrok. Uchyliła okiennicę. Deszcz nieco zelżał i niebo w oddali pojaśniało, nadal padało jednak mocno i nie zanosiło się na to, by miało wkrótce przestać.

Odwróciła się i rozejrzała po sypialni, która musiała być jedyną izbą mieszkalną poza kuchnią. Za tylną ścianą znajdowały się zapewne pomieszczenia gospodarskie, może obora albo stodoła.

Stały tam dwa łóżka, duże i małe, a w kącie kołyska czekająca na nowego lokatora. Łóżko było prymitywnie wykonane, zapewne

przez samego farmera, ale przykryte kapą z kolorowych ścinków. Podobna zakrywała dziecinne łóżeczko, a trzecia kołyskę. Pomimo biedy i rozlicznych trudności dziecko pojawi się w ładnym otoczeniu i będzie kochane.

Mogłaby postarać się o to samo dla swoich dzieci.

Nie było tu bieliźniarki, tylko haczyki na ścianie i kilka drewnianych skrzyń. Na dwóch haczykach wisiały ubrania przykryte surowym płótnem. Zaciekawiona, uniosła jedno i zobaczyła męski surdut i spodnie z szorstkiej brązowej wełny – strój zarezerwowany zapewne do kościoła i na inne, szczególne okazje.

Pod drugim znalazła żółtą sukienkę, wyhaftowaną w kolorowe kwiatuszki, zapewne przez samą panią Stonehouse. Mogła to być ślubna suknia, także zarezerwowana do kościoła i na specjalne okazje, lecz w dziwny sposób przypominała tę, w której Prudence miała poślubić Draydale'a. Różniły się jakością materiału i wykonania, ta była jednak z pewnością warta o wiele więcej. Została uszyta z miłością, na ślub zawierany z miłości i mówiła o nadziejach na przyszłe szczęście.

Narzuciła ochronne płótno z powrotem na suknię. Jej ślub z Draydale'em nie oferował podobnych nadziei, ale co z tym, który zawarła z Cate'em? Pragnęła być z nim szczęśliwa. Rozpaczliwie.

Spojrzała na obrączkę. Była tandetna, mimo to zamierzała nosić ją do końca swoich dni. Symbolizowała związek na wieki, to zaś było bezcenne, gdyby tylko okazała się warta Cate'a.

I gdyby kiedyś ją pokochał.

Wybrała szybko najskromniejszy strój – spódnicę z jasnoniebieskiego lnu i górę w ciemniejszym odcieniu. Zdjęła

suknię i przyjrzała się halce. Nie była poplamiona, podobnie gorset. Włożyła spódnicę i zawiązała troczki w pasie. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że widać jej kostki. Spódnica była zdecydowanie za krótka, co niespecjalnie by ją zmartwiło, gdyby nie odsłaniała brudnych pończoch i zniszczonych bucików.

Czuła się jak flejtuch, wiedziała jednak, że to tylko na chwilę. Gdyby zdołała doprowadzić do jakiego takiego stanu zieloną suknię, byłaby gotowa na Keynings. A jeśli to się nie uda, pozostaje mieć nadzieję, że jej kufer nadal jest w powozie, nieuszkodzony przez deszcz. Będzie mogła przebrać się w czyste pończochy, mocne buty i rdzawą suknię podróżną.

# Rozdział XVII

Cate stał przy oknie, wpatrując się przez szparę w okiennicy w deszcz. Pogoda nie chciała się poprawić. Wiedział, jak to jest, gdy w Yorkshire pada. Deszcz mógł ustać bardzo szybko albo dopiero po kilku dniach.

Ulewa spowolni też każdy pojazd, który pospieszy im z pomocą. Co powinni zatem zrobić, gdy się przejaśni? Czekać czy ruszyć piechotą? Da radę iść, jeśli będzie musiał, lecz rana w nodze sprawiała, że nie była to przyjemna perspektywa.

A jeśli zjawi się pojazd, jak zapłaci za podróż? Monety, które zostały mu w kieszeni, nie wystarczą, wątpił także, czy Prudence dysponuje większą kwotą. Miał sygnet lorda i pierścień żałobny Roego, lecz odstąpienie ich w zamian za transport nie wchodziło w grę. Żałosne położenie, jak by nie mówić, lecz jego żona warta była każdej ceny.

Impulsywność choć raz mu się przysłużyła. Rozpoznał zalety Prudence Youlgrave już przy pierwszym spotkaniu, a wydarzenia ostatnich dni potwierdziły jedynie, że się nie mylił. Może i nie

urodziła się hrabiną, ale z pewnością wkrótce się nią stanie, i to nie tylko za sprawą zamążpójścia.

Co zrobiłyby Artemis, jego matka, albo panny: Nijaka, Trzmiel i Niezdara w sytuacji, w jakiej się dziś znaleźli? Byłyby przerażone, bezużyteczne i dostałyby histerii, zmuszając wszystkich dookoła, żeby się nimi zajmowali. Tymczasem to żona nim się zaopiekowała. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek ktoś tak się o niego troszczył.

Była szybka, bystra i pod wieloma względami godna podziwu.

A potem wyszła z sąsiedniego pokoju, ubrana jak chłopka, z przewieszoną przez ramię suknią.

– Nie było tam nic lepszego? – zapytał.

Zmarszczyła brwi, zerknęła znacząco na gospodynię i powiedziała:

– To w zupełności wystarczy.

Rozłożyła suknię na stole i zaczęła przecierać materiał mieszanką soli z wodą. Dziecko podeszło, aby dotknąć haftowanego jedwabiu. Pogładziło go i zachichotało. Prudence uśmiechnęła się i zaczęła się droczyć z maluchem, lecz pani Stonehouse podeszła i zganiła synka.

– Niech się bawi, nie narobi szkód – powiedziała Prudence.

– Zostawi ślady rąk.

– Nietrudno będzie je usunąć. Nie jestem pewna co do krwi. Rozcieram tylko plamy.

– Powinna zostać wyprana, ale czy jedwab można prać? – Pogłaskała rękaw. – Taki piękny materiał.

Dziecko wbiegło pod stół, chowając się za kurtynę jedwabiu, a potem znowu wybiegło. Kobiety zaśmiały się rozbawione.

Był to czarujący obrazek, lecz Prudence pasowała tu aż za dobrze. Jego żona powinna mieć pokojówkę, która wiedziałaby, jak wywabić plamy, a ich dzieci własnych służących i nianie, które zajmowałyby się nimi w pokoju dziecinnym. Tak właśnie został wychowany. Rodziców widywał tylko od czasu do czasu i to mu odpowiadało. Jego dzieci też byłyby zadowolone, ale czy Prudence również?

Czuła się swobodnie w miejscu, gdzie jego matka i Artemis nie wiedziałyby, jak się obrócić, ale czy da sobie radę w Keynings? To nie będzie dla niej jedynie nieznany ląd, ale ląd wrogi. Nikt nie pochwali tego małżeństwa, a cechy, takie jak odwaga, zaradność i szczerość będą postrzegane jako niekobiece.

Jednego był pewien – Prudence musi przybyć do Keynings pod bronią: w pięknym stroju i pełna godności. Tymczasem widział, że jej wysiłki uratowania sukni tylko pogarszają sytuację.

– Daj sobie spokój – powiedział. – Kiedy przestanie padać, wydostaniemy coś innego z kufra.

Wrzuciła suknię do miski.

– Co za strata. Była bardzo kosztowna. Może chciałabyś ją zatrzymać, Peg? Spódnica to całe jardy dobrego jedwabiu i może dałoby się jeszcze coś z nich wykroić.

Do licha! Jego hrabina była już po imieniu z żoną farmera, tak jak z sąsiadką w White Rose Yard. Może i urodziła się we dworze, ale przebyła od tamtego czasu długą drogę i stała się inną osobą. Taką, która czuje się swobodnie w biednym otoczeniu, ale z pewnością nie odnajdzie swojego miejsca w kręgu arystokracji.

Co się stało, to się nie odstanie, a on musi pomóc jej przetrwać.

Przede wszystkim należało wyznać prawdę, ale w tym celu potrzebował zostać z nią przez chwilę sam na sam. Rewelacje, jakie miał do przekazania, nie były przeznaczone dla szerszej publiczności.

Prudence uświadomiła sobie, że coś zepsuło mu nastrój. Może chodziło o pogodę lub zniszczenie kosztownej sukni. Na pewno wolałby, żeby zaprezentowała się jego rodzinie w jedwabiu.

Ona też żałowała jedwabnej toalety, lecz w pewnym sensie czuła się teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek, i to od bardzo dawna. Polubiła towarzystwo Peg Stonehouse i psoty jej czarującego synka. Kuchnia Green Hollow, oświetlona ogniem z paleniska, z zamkniętymi okiennicami wydawała się przytulnym schronieniem.

Peg wstawiła do miski dzbanek pełen kwiatów maku.

– Co będziesz z nich robiła? Potpourri?

– Nie, prawie nie mają zapachu. Dodam je do wina z owoców dzikiej róży. Powstanie kordiał, dobry na serce. Nie robisz wody makowej?

Prudence uśmiechnęła się na myśl o licznych winach i innych trunkach, z których żaden nie powstał we Francji.

– Nie, pokaż mi jak.

– Nie ma wiele do pokazywania. Wrzucam kwiaty do garnka, żeby naciągnęły i zostawiam na kilka dni. Potem dodaję nieco suszonych czarnych jagód i zostawiam na jakiś czas na słońcu. Wrzucam trochę zgniecionych ślimaków, przecedzam i gotowe.

– Ślimaków?

– Mają dużą moc uzdrawiającą, nie wiedziałaś?

– Nie – odparła słabo Prudence, zastanawiając się, co też było w winie, którym poczęstowała ją Hetty. Może da się zrobić wodę makową bez ślimaków.

– Na co pomaga taki kordiał?

– Na wiele rzeczy: przeziębienie, dolegliwości żołądkowe, gorączkę, ból. Na żołądek najlepsza jest kreda w kozim mleku, ale w okolicy nie ma jej zbyt wiele.

Prudence zachęciła Peg, aby mówiła dalej, żałując, że nie ma pióra ani papieru.

– A jak robicie tutaj wino? – spytała.

– Potrzeba jedynie słodkich owoców i drożdży z piwa. Zostawia się je na jakiś czas, lekko przykryte, i tyle. Najlepsze jest z jagód i można zrobić z niego dobre kordiały.

Pite dla zdrowia, ale i dla smaku.

Mąż Peg wsunął głowę przez tylne drzwi i powiedział:

– Przestaje padać. Chce pan spróbować otworzyć kufer?

– Jak najbardziej – odparł Cate. – Macie tu jakieś narzędzia?

– Ten tu młotek wystarczy – odparł gospodarz, wywijając trzonkiem.

Prudence zauważyła, że Cate się skrzywił. Jeśli rana się goi, na pewno zaboli, kiedy się ją naciągnie.

– Ja pójdę – powiedziała.

– Nie ma mowy.

– Cate, to spory kawałek, a twoja rana...

– Nie jest poważna.

– Ja też mogę pomóc – zaoferował się Stonehouse.

– Dziękuję, lecz nie ma potrzeby. Jestem pewien, że macie więcej roboty niźli dzień godzin.

– To prawda, *sir*. Jeśli jest pan pewny. – Podał Cate'owi młotek i wrócił do pracy.

Cate ruszył do drzwi, a Prudence za nim.

– Pójdę z tobą.

– Nonsens.

– Nie sprzeczaj się w tej sprawie! – Kiedy odwrócił się do niej, nie ustąpiła. – Byłoby głupotą taszczyć tu cały kufer, a skąd będziesz wiedział, co przynieść?

– Potrafię wybrać odpowiedni strój.

– Ale nie ten, który ja bym wybrała.

– Prudence...

Nagle uświadomiła sobie, że zachowuje się tak jak wtedy, gdy zaganiała brata do odrabiania lekcji i że Cate nie jest zadowolony. Zmieniła zatem taktykę, choć przyszło jej to z niejakim trudem.

– Proszę – powiedziała. – Martwię się o ciebie. Pozwól mi pójść.

Sądziła już, że odmówi, lecz on ustąpił:

– Doskonale. Tylko się nie skarż, jeżeli zniszczysz do reszty buty.

– W bagażu mam inne, mocniejsze – przypomniała mu.

Zrobił wymowną minę. Znów przemawiała jak starsza siostra. Bycie potulną żoną będzie stanowiło nie lada wyzwanie.

Kiedy otworzyli drzwi wejściowe, zawahała się. Ponieważ farma położona była w niecce, po deszczu otaczało ją morze błota. Lecz skoro tak się upierała, nie mogła teraz się wycofać.

Ujęła go pod ramię i postąpiła śmiało w przód.

– Te buty i tak są już stracone, ale przynajmniej spódnica nie będzie się ciągnęła po błocie. Nie wiem, dlaczego w ogóle nosimy je aż tak długie.

– Może by skrócić je do kolan? – zażartował. – Dżentelmeni z pewnością by to docenili.

Poczuła nieodparty impuls, żeby zrobić coś szalonego i uniosła spódnicę, tak że sięgała jej ledwie do kolan.

Wyraz jego oczu stanowił wystarczającą nagrodę. Nagle zrobiło jej się gorąco. Opuściła czym prędzej spódnicę i, ślizgając się, pomaszerowała po błocie. Cate dogonił ją i ujął pod ramię.

Skręcili na drogę. Powóz leżał tak, jak go zostawili, na boku, nie widać też było, żeby ktoś go wymijał.

W mokrym żywopłocie i trawie zaczęły poćwierkiwać ptaki, a na niebie pojawiła się tęcza.

– Moglibyśmy poszukać szczęścia na końcu tęczy – powiedziała Prudence. Miała ochotę zejść na pole i ruszyć, gdzie oczy poniosą. Z Cate'em.

– Mamy więcej, niż nam potrzeba, żono. Postarajmy się przywrócić ci godny wygląd.

Podeszła za nim do powozu, zaniepokojona tym, jak wielką wagę przywiązywał do jej wyglądu. Nigdy nie będzie wyglądała wystarczająco szlachetnie i arystokratycznie.

Młotek miał z drugiej strony długi żelazny łom i Cate posłużył się nim, żeby otworzyć bagażnik. Drewno zatrzeszczało i posypały się drzazgi, ale nie miało to już znaczenia.

– Przytrzymaj pokrywę, a ja podciągnę kufer bliżej – powiedział. – Chyba dam radę go wyprostować, nie wyciągając na mokrą ziemię.

Posłuchała, a on przyciągnął bagaże i ustawił je mniej więcej prosto.

– Kluczyki?

– Bogu dzięki, mam je przy sobie – powiedziała, wsuwając dłoń w otwór w spódnicy i wyjmując klucz.

Nagle usłyszeli stukot podków.

– Ktoś nadjeżdża! – zauważył Cate. – Nareszcie!

Odsunęła się i spojrzała na drogę. Nie zobaczyła jednak powozu.

– Dwóch jeźdźców. Dżentelmen i służący.

Cate podszedł, kulejąc, a potem zawołał:

– Perry! Jak, u diabła, udało ci się tu dostać?

Perry? Jego przyjaciel?

Odziany w pelerynę mężczyzna uśmiechnął się i odparł:

– Z trudem, ty wariacie. Czy to twój powóz?

– To, co z niego zostało. Jesteś jak anioł zesłany z nieba.

– Chyba mógłbym być Rafaelem, tak – odparł mężczyzna zwany Perrym. – Rafael, dusza towarzystwa, który zniżył się do tego, by podróżować z Tobiaszem i zapewnił mu bezpieczeństwo, kiedy pojął za żonę poślubioną wcześniej siedem razy dziewicę. – Uśmiechnął się do Prudence i skłonił. – Czy twoja żona została wcześniej siedmiokrotnie poślubiona?

Poczuła się zobowiązana dygnąć, chociaż maniery nieznajomego wydały jej się przesadnie wytworne, a jej strój nie pasował do dworskiej wymiany grzeczności. Pierwsze spotkanie z kimś z Keynings, a ona musi wyglądać jak chłopka, do tego niechlujna.

– Prudence została poślubiona dopiero raz – odparł Cate, gdy przyjaciel zsiadł z konia. – Skąd pochodzi ten cytat?

– Z *Raju utraconego*. Ale odnosi się do Biblii, gdzie Rafael naprawdę pomaga Tobiaszowi uwolnić piękną Sarę od demona.

– Bardzo stosowne porównanie.

– Jest tu jakiś demon, od którego trzeba cię uwolnić?

– Już nie. Chyba że demon ubóstwa, którego, jak mam nadzieję, zdołasz egzorcyzmować.

– Jak zawsze do usług. – Rzucił przyjacielowi grubą sakiewkę.

Musiała być bardzo ciężka, chyba że zawierała szylingi, lecz jakoś w to wątpiła.

Jeśli można oceniać człowieka po tym, jakich ma przyjaciół, to jak powinna ocenić Cate'a? Pomimo zwyczajnego stroju i peleryny jego przyjaciel maniery miał nader wytworne, podobnie wygląd. Choć niższy od Cate'a i nie tak mocno zbudowany, jakoś nie wydawał się mniejszy.

Prudence zauważyła, że drugi mężczyzna przygląda się jej zaskoczony i zorientowała się, że musi to być stajenny Tallbridge'a, którego Cate wysłał po pieniądze.

– Co tu się stało? – spytał zaskoczony. – Gdzie konie i pan Bandury?

Cate zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło, a jego dziwaczny przyjaciel podszedł do Prudence. Pożałowała gorąco, że nie ma na sobie jedwabnej sukni i uporządkowanej fryzury. Przybysz skłonił się dwornie, wykonując co najmniej cztery obroty dłonią w powietrzu.

– Lady Malzard, jak mniemam. Jestem oczarowany, droga pani!

– Kto? – Osobnik musiał być też niezdrowy na umyśle. – Jestem żoną Cate'a, panią Burgoyne.

Zamrugał, nie przestając się uśmiechać.

– Ach... oczywiście. Błagam o wybaczenie! Ale to tylko zwiększa moją radość ze spotkania, chociaż nie zostaliśmy sobie przedstawieni oficjalnie, jako że mój przyjaciel zaniedbuje

obowiązki. Proszę pozwolić, że naprawię to niedopatrzenie: Peregrine Perriam, *madame* – skłonił się znowu – pani oddany rycerz i sługa. Może pani w pełni mną rozporządzać.

Prudence dygnęła znowu i podziękowała, starając się nie parsknąć śmiechem. Co za nonsens! A potem coś sobie uświadomiła.

Pan Perriam był w najwyższym stopniu zakłopotany.

Spodziewał się, że Cate będzie z kimś innym.

Z lady Malzard.

Mówił coś o pogodzie i Yorkshire. Odpowiedziała w tym samym stylu, starając się nie okazać zdenerwowania.

Cate i inna kobieta, podróżujący tylko we dwoje? To mogło oznaczać jedno: jej mąż miał kochankę, a pan Perriam spodziewał się zastać ich razem.

Lady Malzard musi być zatem kobietą zamężną.

Cudzołożnicą.

Albo wdową.

To byłoby jeszcze gorsze. Z wdową można się ożenić. Czyżby Cate rozpoczął podróż w pogoni za swą prawdziwą miłością, a potem ożenił się z nią, ponieważ jej współczuł? Jeśli tak było, niech Bóg ma ją w opiece.

Milczała nazbyt długo. Należało coś powiedzieć.

– Przepraszam najmocniej, panie Perriam. Jak może pan sobie wyobrazić, wydarzenia dzisiejszego dnia dają mi się we znaki.

Żadne nie było jednak tak stresujące jak ta rozmowa.

Cate przyłączył się do nich.

– Widzę, że już się zaznajomiliście. Przepraszam, że was sobie nie przedstawiłem. Szukaliśmy przyzwoitego ubrania dla

Prudence. Ma na sobie rzeczy pożyczone od żony farmera.

Przepraszał za nią. Lady Malzard na pewno zawsze była ubrana z nieskazitelną elegancją. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, lecz zamiast tego wróciła do kufra:

– Zróbmy to wreszcie.

Usłyszała, jak pan Perriam mówi:

– Cate – jakby chciał przyciągnąć uwagę przyjaciela, a potem: – Do licha, jesteś ranny?

– Nic poważnego. Najpierw kufer.

Przystrójcie świnię w jedwabie...

Lady Malzard musiała być wysoko urodzona i elegancka. Niewysoka, drobna, o delikatnych rysach, nieodmiennie słodka i czarująca. Nie pokrzykiwałaby na kochanka, nawet dla jego dobra.

Prudence otworzyła kufer. A kiedy Cate chwycił za wieko, by je przytrzymać, powiedziała szorstko:

– Dam radę. – Chciała, żeby sobie poszedł, bo wtedy łatwiej byłoby jej zapanować nad emocjami. Powstrzymać łzy, które drżały jej na rzęsach.

– Potrzebujesz drugiej pary rąk. Nie możesz odkładać rzeczy w błoto.

Miał rację, co tylko jeszcze bardziej ją rozsierdziło.

Rdzawy strój leżał na wierzchu i był bardzo odpowiedni na podróż. Lady Malzard z pewnością ubierała się jednak w tiule i koronki, sięgnęła więc głębiej i wybrała suknię w żółte paski.

– Zbyt delikatna na podróż – zawyrokował. – Na pewno masz coś bardziej zwyczajnego.

Zwyczajnego? Doskonale, proszę pana, rzeczywiście miała coś takiego.

Sięgnęła po niebieską suknię, lecz szybko wrócił jej rozsądek. Nie zrobi na złość nikomu, poza sobą. Odłożyła ją i wyjęła rdzawą spódnicę oraz stanik, tworzące strój podróżny, a potem dodała parę zwykłych pończoch.

– Potrzebuję jeszcze torby z czarnymi butami.

Sięgnęła po nią, a gdy się wyprostowała, Cate zapytał:

– O co chodzi?

Najchętniej powiedziałaby mu wprost – albo zdzieliła go przez głowę torbą na buty – tylko na co by się to zdało? Co się stało, to się nie odstanie.

– Jestem po prostu zmęczona.

– Albo chodzi o Perry'ego. Fatalnie się złożyło, że zjawił się, kiedy byłaś w tym stroju, lecz można mu zaufać.

Zaufać, że nie rozpowie, jak okropną i nieodpowiednią żonę wybrał sobie jego przyjaciel.

– Powinniśmy wrócić na farmę – powiedział Cate.

– Zabiorę jeszcze kilka podarków dla Peg.

Wykorzystała to jako pretekst, by się odwrócić i grzebać przez chwilę w bagażu w poszukiwaniu naczynka z mydłem i nowej koszuli obszytej pięknie koronką.

Czegokolwiek Cate pragnął naprawdę, ożenił się z nią, nie z lady Malzard. Należał do niej i tak było lepiej. Wytworna dama nie zniosłaby biedy. Nie wiedziałaby, jak robi się krem do rąk i piecze chleb.

Cóż, ona też tego nie wiedziała, lecz wkrótce nauczy się, jak stworzyć wygodny dom i może wtedy Cate ją pokocha. Ją, nie inną

kobietę.

Lecz jeśli lady Malzard była zamężna, a do tego piękna, elegancka i skłonna zdradzać męża z Cate'em, wytrącało to jej broń z ręki.

Zamknęła wieko, przekręciła klucz w zamku i oznajmiła:

– Jestem gotowa.

Ruszyła ku farmie. Usłyszała głuchy huk, gdy Cate zatrzasnął z rozmachem bagażnik. Świetny sposób, aby rozpocząć nowe życie, emanując złością i rozczarowaniem, lecz jak mogłaby stłumić taki ból i gniew? Jak ktokolwiek mógłby?

Jakież to śmieszne mrzonki snuła, i to jedynie dlatego że Cate był miły i zdawał się jej pożądać? Mężczyźni nie muszą czuć nic do kobiety, by jej pożądać, a mężczyźni tacy jak Cate nie zakochują się w kobietach takich jak ona.

Była bardziej podobna do szwagierki, niż jej się wydawało.

Maszerowała w kierunku farmy, nie czekając na mężczyzn i starając się opanować, nic nie czuć, lecz ból i gniew rosły z każdym krokiem.

Jeśli kochał inną, nie powinien był się z nią żenić, choćby znalazła się w nie wiem jakich tarapatach.

Powinien był zostawić ją własnemu losowi.

Draydale przynajmniej nie złamałby jej serca.

# Rozdział XVIII

Cate odwrócił się i spojrzał w ślad za Prudence. Maszerowała w stronę farmy, sztywna z gniewu. Zostawił Perry'ego i stajennego, aby zajęli się końmi i ruszył za nią.

– Pozwól mi to ponieść.

– Nie jestem delikatną damą. Oszczędzaj nogę.

– Kilka sztuk odzieży z pewnością jej nie nadweręży.

Spojrzała na niego z gniewem, a potem wepchnęła mu w ramiona stos ubrań i ruszyła dalej.

– Prudence, Perry nie będzie robił zamieszania z powodu twojego wyglądu.

Odwróciła się.

– Mojego wyglądu? Przepraszam, że wprawiłam cię w zażenowanie, mężu.

– Nie jestem zażenowany – wycedził. Bolały go rany i nie miał cierpliwości, by znosić kobiece humory.

– Nie? Więc powiedziałeś mu o White Rose Yard? I o tym, że nie mam pensa przy duszy?

– Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek dowiedział się o White Rose Yard.

Uśmiechnęła się bez śladu wesołości.

– Właśnie. Ja z pewnością nikomu nie powiem. W końcu przyrzekłam być ci posłuszną i zamierzam dotrzymać przysięgi. Przynajmniej ja.

Cóż to, u licha, miało znaczyć?

Spróbował ponownie.

– O co chodzi?

Odwróciła się i robiąc przesadnie zdziwioną minę, zapytała:

– A cóż mogłoby być nie tak, zważywszy, jak spokojny wiodę ostatnio żywot?

– Nie wiń mnie za wszystko, co cię spotkało, *madame*!

Dostrzegł w jej oczach błysk cierpienia, nim odwróciła się i pomaszerowała dalej.

– Prudence!

Nagle przyszło mu do głowy, iż nadchodzi być może czas, kiedy rozsądny mąż trzyma język za zębami. Może już zaczął jej się okres. Nawet rozsądne kobiety ponoć zmieniają się wtedy w megiery, a ona wiele ostatnio przeszła. Gdyby rzeczywiście na tym polegał problem, uprościłoby to sprawy i nie trzeba byłoby odkładać skonsumowania małżeństwa dłużej niż o kilka dni.

Szedł za nią w milczeniu, powstrzymując się, żeby wesoło nie gwizdać.

Gdy weszli do kuchni, prychnęła gniewnie:

– Zdejmij buty. Nie chcesz chyba zabłocić Peg podłogi.

Zrzuciła zniszczone pantofle i stała w podartych, brudnych pończochach, z potarganymi włosami i smugami błota na twarzy.

Czy będzie w tak złym humorze co miesiąc? Na dodatek rany uniemożliwiały mu zdjęcie butów bez pomocy.

– Idź się przebrać. Może poczujesz się znowu sobą. – Zabrzmiało to bardziej oschle, niż zamierzał.

Chwyciła ubranie i pospiesznie odeszła.

Przyglądał się, jak wręcza prezenty pani Stonehouse. Żona farmera była w siódmym niebie i rozpływała się z zachwytu nad koszulą i mydłem. Od razu umyła nim ręce, a potem umyła ręce synkowi.

– Zobacz, Jackity, czyż nie pachnie pięknie? Zupełnie jak kwiaty.

Prudence przyglądała się temu z uśmiechem. Lecz potem spojrzała na niego i ściągnęła gniewnie brwi. Odwróciła się i weszła do sypialni.

Do diabła z tą kobietą!

Pozostali dotarli właśnie do drzwi. Perry taszczył, nie wiadomo po co, drewniany kołek.

– Zdejmijcie buty – burknął Cate do przyjaciela, a potem odwrócił się do pani Stonehouse. – Jak pani widzi, *madame*, przyjechał mój przyjaciel i przywiózł stajennego. Czy mogą wejść?

Kobieta nadal pieszczotliwie gładziła koszulę.

– Oczywiście, proszę pana.

Cate polecił stajennemu, aby wypuścił konie na trawę.

– Nie zdejmuj im siodeł. Zapewne szybko wyruszymy. Buty, Perry.

Perry uniósł wysoko brwi, usłyszawszy rozkazujący ton.

– Będziesz musiał mi pomóc. Mają bardzo obcisłe cholewki.

– Zaczekaj na stajennego. Co byś zrobił, gdyby nie miał ci kto pomóc?

– Wolę się nad tym nie zastanawiać. Lepiej pomogę ci zdjąć twoje. Jestem pewien, że gospodyni wpuści mnie za próg.

Buty ześliznęły się z nóg Cate'a bez problemu. Perry potrząsnął głową.

– Zabiorę cię do mojego szewca, gdy tylko wrócimy do Londynu.

– Wolę, żeby dało się je zdjąć bez pomocy, dziękuję bardzo.

– Barbarzyńca.

– Jestem zdumiony skalą twojego poświęcenia. Ruszyłeś przez Yorkshire w deszczu, jakby świeże powietrze mogło pójść ci na zdrowie. W Londynie to rzadsze niż diamenty.

– Podczas gdy tutaj wszystko poza owcami cenniejsze jest niż rubiny.

– Owce są bardzo cenne – zaprotestował Cate. – Bogactwo Anglii zbudowane zostało na wełnie.

– Stajesz się denerwująco prowincjonalny. Ach, oto i wierny sługa.

Zdjęcie Perry'emu butów zajęło kilka dobrych minut, a jego drogie, ozdobione szlaczkiem pończochy nie dotknęły zapewne przedtem równie marnego podłoża, ale nie pozbawiło go to dobrego humoru. Zaczął dziękować gospodyni, jakby była księżną, wykonując ukłon, na którego widok otworzyła usta ze zdumienia.

Po chwili flirtował już w najlepsze, jak mógłby flirtować z młodą księżną na dworze. Policzki pani Stonehouse poróżowiały, a raz nawet, chichocząc, z naganą trzepnęła go po ramieniu. Poczekajmy tylko, aż zjawi się jej mąż z widłami, pomyślał Cate złowróżbnie.

Czy Perry flirtował również z Prudence? O to chodziło? Poczuła się urażona? A może bardzo się jej to spodobało i Cate wydawał się jej teraz zbyt nieokrzesany?

Stajenny także zdjął buty i został poczęstowany piwem. Perry przyjął kufel, jakby zawierał boski nektar.

Farmer Stonehouse wrócił z pola, lecz ucieszyło go, iż goście chwalą piwo żony. A radość, jaką sprawiły jej prezenty, wprawiła go w jeszcze lepszy nastrój.

– To bardzo miło z pańskiej strony, *sir*.

Cate się uśmiechnął.

– Podarunki to zasługa żony, ale podziękowania są od nas obojga. – Wyjął sakiewkę przywiezioną przez Perry'ego i wyłuskał spomiędzy gwinei kilka szylingów. Gdyby ludzie tacy jak Stonehouse'owie weszli nagle w posiadanie złotej monety, mogłoby to wzbudzić podejrzenia, zwłaszcza teraz, gdy było o nie tak trudno.

– Ja zaś chciałbym zaoferować trochę gotówki jako rekompensatę za pańską uprzejmość oraz kłopoty.

Młody człowiek wziął srebrne monety.

– Dziękuję bardzo, ale robiłem jedynie to, co nakazuje chrześcijańskie miłosierdzie.

– Czasami bardzo o nie trudno.

Poczciwy Stonehouse bez wątpienia uznał ten komentarz za dziwny i szybko wrócił do pracy. Pani Stonehouse gawędziła ze stajennym. Prudence się nie pokazała.

Cate uświadomił sobie, iż Perry może w każdej chwili wyjawić, że lord Malzard to on. A przecież sam powinien poinformować o tym żonę. Ale czy mógłby wejść nieproszony do sypialni

gospodarzy, ryzykując, że zastanie ją w bieliźnie? Była w zdecydowanie mało przyjaznym nastroju.

Perry podszedł do niego z piwem w dłoni.

– W co ty się znów wpakowałeś?

– Nic nadzwyczajnego. Po prostu urwało się koło.

– Dlaczego?

– Bo drogi są tu okropne.

Perry spojrzał na pozostałą dwójkę i powiedział cicho:

– Pech czy sabotaż? Ktoś majstrował przy kole. – Podszedł do drzwi, wziął do rąk kołek i wrócił z nim do Cate'a. Była to jedna ze szprych.

– Nacięto ją w kilku miejscach – powiedział. – A potem zamaskowano ślady trocinami.

Cate przyjrzał się szprysze. Perry miał niewątpliwie rację.

– Draydale.

– Czy to najnowsze przekleństwo?

– Demon. Podstępny bękart. Niejaki pan Draydale z Darlington ma powód, by nas nie lubić. Spodziewałem się, że coś zrobi, ale to... wydaje się takie dziecinne.

– Dziecinne? Znałem ludzi, którzy zginęli w podobnym wypadku albo zostali okaleczeni.

– Niech to diabli! – Cate pogładził drewno. – Przypieczętował w ten sposób swój los.

– Miło mi to słyszeć. Pamiętaj, proszę, że anioły doskonale sprawdzają się w walce z demonami.

Cate uśmiechnął się do niego.

– Jak mógłbym pozbawić cię przyjemności?

– A co z twoją żoną?

– Uważaj, Perry. Tak, nie nadaje się z pozoru na hrabinę, lecz jestem przekonany, że poradzi sobie lepiej, niż można by sądzić.

– Nie chciałem jej krytykować, tylko...

Prudence wyszła z sypialni, wyglądała zdecydowanie lepiej. Strój, który miała na sobie, był nowy i modny, choć galon i zapięcie na żabki sprawiały nieco surowe wrażenie. Fryzurę nadal miała jednak w nieładzie, i wiedziała o tym.

– Zapomniałam wyjąć z bagażu grzebień – powiedziała, nie patrząc na nich. – Upięłam włosy najlepiej, jak dałam radę.

Zapewne w sypialni nie było lustra.

– Możesz posłużyć się moim – powiedział Cate, wyjmując grzebień z kieszeni.

Zacisnęła wargi, przypominając mu, że się na niego gniewa. Jeśli potrafiła tak się złościć z błahego powodu, co będzie, kiedy wyzna prawdę o swoim pochodzeniu? Powinien odebrać jej nóż, nim się do tego zabierze.

Wyjęła z włosów szpilki, ułożyła na stole i przeczesała włosy palcami. Były dłuższe, niż mu się wydawało i... jak je opisał? Jasny miód w słoneczny poranek? Zaczęła się czesać, odwrócona do niego plecami. Rozmyślnie? Tak czy inaczej, czynność wydała mu się tak intymna, że miał ochotę wyprosić wszystkich z kuchni, zwłaszcza że mocno dopasowana suknia Prudence nie zostawiała wiele wyobraźni.

Odwróciła się, by wyjrzeć na zewnątrz i sczesała włosy na jedną stronę. Podziwiał czysty rysunek jej szyi ponad rąbkiem białej koszuli wystającej spod sukni. Pozwolił sobie powędrować myślami wzdłuż linii jej kręgosłupa ku krągłym pośladkom

ukrytym pod spódnicą i halką. Była atrakcyjną, dumną, pełną pasji kobietą i pociągała go nawet w gniewie.

Serce zaczęło mu szybciej bić. Najchętniej zaprowadziłby ją do sypialni i zdarł z niej wszystko, by legła naga w pościeli. Chciał całować ją i pieścić, doświadczyć w pełni podszytego namiętnością entuzjazmu, którego zdążył już zakosztować.

Ale czy pozwoliłaby mu się dotknąć, gdyby wiedziała? Może zażąda rozwodu, co okryłoby hańbą imię jego rodziny. Albo unieważnienia. Czy ktokolwiek uwierzyłby, że jest impotentem? We Francji mieli specjalny sąd złożony z matron, które oceniały męską sprawność. Do licha!

Nie chciał kończyć tego małżeństwa. Prudence będzie urażona i wściekła, lecz on znajdzie sposób, aby uleczyć jej rany i uczynić ją hrabiną w każdym sensie tego słowa.

Nagle uświadomił sobie, że Perry bacznie go obserwuje. Odwrócił czym prędzej wzrok, lecz było za późno.

Trudno, to przecież nie grzech podziwiać własną żonę.

* * *

Prudence zwinęła włosy i upięła je w kok. Uznała, że pora zmienić taktykę. Dziecinny gniew nic nie da, pogorszy jedynie sprawę.

Odwróciła się z uśmiechem do Cate'a.

– Tak jest dobrze?

– Prawie – powiedział. Podszedł, wyjął jej z rąk grzebień i poprawił fryzurę. – Teraz.

Dotyk jego palców przyprawił ją o drżenie. Zarumieniła się, żałując w duchu, że nie potrafi ukryć emocji. Jednak uczucia,

których nie potrafiła ukryć, z pewnością były dla niego pochlebne?

– Musimy się jakoś dostać do Keynings – powiedział. – A skoro nie mamy powozu, trzeba będzie pojechać wierzchem.

O Boże! Lady Malzard jeździła zapewne jak amazonka. Nie było jednak sensu ukrywać prawdy.

– Nie jeździłam nigdy konno, poza tym mamy tylko dwa konie.

– Usiądziesz za mną. Nie będziemy się spieszyć.

– Musimy jechać do Keynings już dzisiaj? – spytała. – Nie moglibyśmy pojechać najpierw do domu?

Odwrócił wzrok i zacisnął wargi.

– Musimy.

Czyżby znowu go uraziła?

– Weźcie konie – powiedział pan Perriam. – Stajenny i ja jakoś sobie poradzimy.

– Nie mogę was tu zostawić.

– Zostawiłeś mnie w Keynings.

– Wybacz, nie zamierzałem zostać poza domem tak długo.

– Mam nadzieję. Wywołałeś niezłe zamieszanie, nic tylko domysły i sensacje. Skorzystałem z pierwszej sposobności, by uciec i ocalić życie.

Cate się roześmiał.

– Naprawdę szczerze przepraszam.

– Twój powrót nie uspokoi wzburzonych wód – powiedział Perriam znacząco.

Mówił o niej. O powrocie Cate'a z nieodpowiednią żoną.

Powrocie? Nie zdążyła wcześniej się nad tym zastanowić. Odwiedzał Keynings z przyjacielem i matką. Pojechał do Northallerton i nie wrócił. Stąd niepokój i spekulacje. A teraz

zamierzał wrócić jako świeży żonkoś, nie uprzedzając rodziny i przywożąc żonę, za którą nic nie przemawiało. Nic dziwnego, że wydawał się zagubiony.

– Musimy jechać – powiedział i dał stajennemu trochę pieniędzy. – Wracaj po naszych śladach do Darlington, a gdzieś po drodze natkniesz się na powóz z woźnicą. Jeśli tak się nie stanie, wynajmij go w pierwszym miejscu, do którego trafisz. Przeproś w moim imieniu pana Tallbridge'a i powiedz mu, że przyślę pełny opis tego, co się wydarzyło, gdy tylko będę mógł go sporządzić.

– Jak pan sobie życzy, *sir*.

Kiedy stajenny odszedł, Cate zwrócił się do żony farmera. – Jesteśmy pani niezmiernie wdzięczni, pani Stonehouse.

– Przykro mi z powodu tego, co was spotkało, ale przyjemnie było mieć w domu gości. No i dostałam jeszcze te śliczne rzeczy! Będę wspominała dzisiejszy dzień z przyjemnością.

Cate się uśmiechnął i Prudence dostrzegła w tym uśmiechu szczerą życzliwość.

– Mam nadzieję, proszę pani. To był przyjemny dzień także dla nas.

Prudence pożegnała się ze łzami w oczach. Było jej żal wyjeżdżać. Czuła się na farmie bezpieczna. Przeczuwała, że na zewnątrz czekają kolejne kłopoty.

Cate i pan Perriam doprowadzili konie do drogi. Gdy tam dotarli, Cate oznajmił:

– Muszę ci o czymś powiedzieć, Prudence.

Zamierzał wyznać, że ma kochankę. Wolałaby tego nie słyszeć, spytała jednak:

– O czym mianowicie?

– Ten wypadek nie był tak naprawdę wypadkiem. Ktoś majstrował przy kole. Zakładam, że na polecenie Draydale'a.

Było to tak inne od tego, co spodziewała się usłyszeć, że przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi.

– Draydale'a? Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

– Żeby nas skrzywdzić. Ryzykował, ale miał mało czasu, by zaplanować pierwsze uderzenie, musiał lizać rany. Ktoś taki jak on nie zrezygnuje i wkrótce spróbuje znowu, dlatego musimy dostarczyć cię bezpiecznie do Keynings.

– Naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

– Sam naraziłem się na niebezpieczeństwo, i ciebie także...

– Nie.

– Nie przejmuj się zbytnio. Będziesz dobrze chroniona. Obaj mamy przy siodłach pistolety i zaraz wyjmę z bagażu szpadę.

Otworzył ponownie bagażnik i zanurkował do wnętrza. Kiedy się wyprostował, trzymał w dłoni szpadę. Przypasał ją pospiesznie.

Prudence nie podobały się te przygotowania do użycia przemocy, ale na myśl o Henrym Draydale'u knującym, jak by tu ją skrzywdzić, miękły jej kolana. Mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób najchętniej by się zemścił. Jeżeli jadąc wierzchem, może uchronić ich wszystkich przed niebezpieczeństwem, niech i tak będzie. Lecz kiedy Cate powiedział, aby usiadła za panem Perriamem, zaprotestowała.

– To kwestia wagi. Jesteście najlżejsi. – Pomógł jej wsunąć stopę w strzemię, a pan Perriam podciągnął ją w górę i posadził za sobą bokiem na siodle.

– Proszę otoczyć mnie ramieniem – powiedział. – Poczuje się pani pewniej.

Posłuchała, lecz kiedy Cate dosiadł konia, jego twarz wykrzywił grymas bólu. Zauważyła, że mości się w siodle nader ostrożnie. Pożałowała, iż nie jest w stanie mu pomóc, miał jednak rację. Nie postrzegała już Keynings jako zagrożenia, lecz jako bezpieczną przystań, w której powinni jak najszybciej się schronić.

Dopiero kiedy minęli zakręt, uświadomiła sobie, że nadal nie ma rękawiczek ani kapelusza.

Nie wyglądała bez nich godnie ani przyzwoicie, lecz jakoś przestało ją to obchodzić.

# Rozdział XIX

Jechali wolno poprzez spokojny wiejski krajobraz. Zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nie zauważyła nic groźniejszego nad pasącego się na polu byka, nie zanosiło się też na deszcz, mimo to groźba ataku ze strony Draydale'a zawisła nad nią niczym chmura gradowa i zepsuła nastrój. Cate miał rację: Draydale był typem człowieka mszczącego się bez litości na tych, którzy narazili na szwank jego dumę.

Wmawiała sobie, że próby ataku będą zakamuflowane i niebezpośrednie – jak próba uszkodzenia powozu. Gdyby zaatakowano ich otwarcie, Draydale byłby pierwszym podejrzanym. Lecz gdyby napadli na nich rozbójnicy? Kto powiązałby bandę włóczęgów z Henrym Draydale'em, leczącym obrażenia w Darlington?

Cate ma pistolet i szpadę, powtarzała sobie. Cokolwiek zniewieściały pan Perriam też miał przy siodle broń palną, ale to w mężu pokładała nadzieję, że ją obroni, nawet ranny. Widziała go w akcji.

Odetchnęła spokojniej, dopiero kiedy wjechali do niewielkiego miasteczka zwanego Storborough. Były tu schludne domki i bujne ogrody, a ulicami chodzili zwykli ludzie, zajęci zwykłymi sprawami. Szybko uświadomiła sobie, dlaczego byli aż tak zajęci – w miasteczku odbywał się targ, stąd hałas, zgiełk i zamieszanie.

– Cywilizacja! – oznajmił pan Perriam z emfazą. – Zaczynałem już wątpić, czy nie zniknęła z powierzchni ziemi.

– Musisz czuć się doprawdy okropnie – zażartował Cate – skoro przyrównujesz to miejsce do Londynu.

– Nie wspominaj o Londynie, proszę. Zaraz padnę złożony niemocą. Domagam się przerwy. Muszę się umyć i wzmocnić.

– Wszystkim nam się to przyda. Która gospoda zyskała twoją przychylność?

– Pod Bykiem. Wydaje się dość porządna.

Zatrzymali się przed drzwiami z portykiem, prowadzącymi do nowoczesnego budynku ozdobionego sztukaterią. Natychmiast podbiegli ku nim chłopcy stajenni. Cate zsiadł z konia i pokuśtykał ku Prudence. Nim zdążyła zaprotestować, chwycił ją w talii i zsadził.

– Głuptasie! A twoje rany?

– Są niczym w porównaniu z przyganą z twoich ust. – Dotknęła znów jego głowy i Cate się roześmiał. – Nie mam gorączki.

– Jesteś zatem, jak zawsze przypuszczałam, szalony.

– Od urodzenia – wtrącił pan Perriam. – Możecie sobie tu stać, pogrążeni w marzeniach. Ja potrzebuję jedzenia, trunku i gorącej wody.

Odszedł, lecz żadne z nich za nim nie popatrzyło.

– Co zrobiłem, że tak cię to zdenerwowało? – spytał Cate.

– Nic – odparła przerażona, że zaraz opowie jej o kochance.

Jeśli nie wspomni nigdy o lady Malzard, jeśli będzie tak dyskretny, że Prudence nawet nie usłyszy o tej kobiecie i nigdy się z nią nie spotka, może zdoła pogrzebać piękną, bezwstydną kokotę głęboko w pamięci.

A może nie.

– Nadal chodzi o Keynings? – zapytał.

Uchwyciła się tego.

– Oczywiście. Spójrz na mnie. Nie mam kapelusza!

– Kapelusza? – powtórzył. – Ja także. Leży zgnieciony pod szczątkami powozu, podobnie jak twój.

– Mężczyzna to co innego. Możesz sobie tu jakiś kupić. I rękawiczki. Nie, lepiej załatwić to inaczej. Zatrzymamy się tutaj i poślemy po mój kufer. Wtedy pojawię się w Keynings stosownie odziana.

– Nie – odparł, a potem się skrzywił. – Naprawdę muszę coś ci powiedzieć, Prudence. Wejdźmy do gospody. Na pewno mają tam herbatę.

Herbatę. Sądził, że herbata wszystko załatwi?

– Wolałabym kupić kapelusz – spróbowała, poznała jednak po minie Cate'a, że to próżny trud. Był zdecydowany poczynić wyznanie, więc będzie musiała jakoś to znieść.

Gdy weszli do gospody, pan Perriam podążał już za służącą na piętro, domagając się gorącej wody.

– Ty też chciałabyś się umyć? – spytał Cate.

– O, tak. – Najchętniej poprosiłaby o kąpiel, wiedziała jednak, że na nic by się to nie zdało.

Wkrótce znaleźli się w prywatnym saloniku z przylegającą do niego sypialnią, czekając na zamówioną herbatę oraz gorącą wodę. Na ścianie naprzeciw drzwi dostrzegła lustro. Spojrzała w nie i omal się nie rozpłakała.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że mam na twarzy smugi brudu? A moja fryzura to katastrofa!

– Dla mnie prezentujesz się wystarczająco dobrze.

Wystarczająco dobrze? Była pewna, iż nie powiedział nigdy lady Malzard, że prezentuje się wystarczająco dobrze. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Ty też nie jesteś wzorem elegancji, zwłaszcza w tych poplamionych krwią bryczesach.

– Sprawiłem ci przykrość? Zawiodłem cię? – zapytał poważnie.

To ją przeraziło. Może prawda wygląda gorzej i właśnie zamierzał powiedzieć jej, iż popełnił koszmarny błąd, dlatego zamierza ją zostawić i odjechać ze swoją prawdziwą miłością.

To pewnie przez ubranie Peg Stonehouse. I to, jak zachowywała się na farmie. Peg przypominała trochę Hetty, tylko że ona była teraz żoną dżentelmena. Więcej, dżentelmena, skoligaconego z arystokracją. Zapewne Cate uznał, iż nie może przedstawić jej swoim wysoko urodzonym krewnym, w tym matce. Jak zdoła przeżyć takie rozczarowanie?

Zapukano do drzwi i weszła pokojówka z dzbankiem gorącej wody.

– Pozwolę ci umyć się pierwszej – powiedział i wrócił do saloniku, zostawiając ją w sypialni.

Spojrzała na zamknięte drzwi, zagryzając wargi, żeby się nie rozpłakać. Doprawdy, nie żądała od życia zbyt wiele, tymczasem

wciąż spotykały ją rozczarowania, a komfort i bezpieczeństwo zdawały się teraz równie dalekie jak w White Rose Yard. Powinna była wiedzieć, że Cate Burgoyne nie jest dla niej. Ignorując narastający ból w piersi, zmusiła się, by umyć twarz i uporządkować fryzurę. Czuła się wszakże tak, jakby miała wejść zaraz na szubienicę.

Potem uświadomiła sobie, że czeka, by Cate wrócił, podczas gdy on spodziewa się zapewne, że do niego dołączy. Zebrała się w sobie, wyprostowała i weszła do saloniku.

Stał, wyglądając na ulicę. Czyżby wypatrywał zbirów Draydale'a? Z wahaniem dołączyła do niego przy oknie.

– Dziwne uczucie, gdy wszystko wydaje się tak zwyczajne po dramatycznych wydarzeniach.

– Życie biegnie jak rzeka, obmywając przeszkody. Pamiętam, że dotarłem kiedyś wprost z pola krwawej bitwy do miejsca, gdzie ludzie targowali się jak gdyby nigdy nic o cenę warzyw. – Odwrócił się do niej. – Prudence...

– Chyba widzę tam stragan z ubraniami – powiedziała, rozpaczliwie starając się odwlec nieuniknione. – Nie mam nawet chusteczki.

– Prudence, muszę coś ci wyznać.

– Jesteś biedny? – spytała. – Nie masz domu? Ja...

– Mam dom i nie jestem biedny.

– Nie nazywasz się Cate Burgoyne, tylko się za niego podajesz.

– Co takiego? Nie.

Straciła chęć do walki.

– Masz kochankę.

Przez chwilę wpatrywał się w nią zdumiony.

– Co, u licha, każe ci tak myśleć?

Zakręciło jej się w głowie. Jego zdumienie musiało być szczere. Tylko co mogło być gorszego?

– Jesteś... już żonaty? Popełniliśmy bigamię?

– Oczywiście, że nie. Prudence...

– Popełniłeś przestępstwo i uciekasz przed prawem!

– Z Perrym jako wspólnikiem? – Przewrócił oczami i oparł się o parapet. – Proszę, kontynuuj. Co jeszcze wymyślisz?

Nie był biedny, nie miał kochanki ani żony.

– Więc może... umierasz?

– Na miłość boską. Jestem zdrowy jak koń.

– O co więc chodzi?

Zawahał się, uznała zatem, że zaraz usłyszy coś naprawdę strasznego, tak strasznego, że nawet nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

W końcu powiedział:

– Jestem lordem.

– Co takiego? – Wpatrywała się w niego, starając się dostrzec sens w jego słowach, które wydawały się go zupełnie pozbawione.

– Jestem piątym lordem Malzard, a Keynings, dokąd zdążamy, jest moim domem. To zaś oznacza – dodał, bacznie się jej przyglądając – że jesteś teraz hrabiną Malzard.

Równie dobrze mógłby mówić po grecku.

Tylko że ona znała nieco grekę.

– Hrabiną Malzard? – powtórzyła. – Boże! Boże! To ja jestem lady Malzard!

– Tak. – Przyglądał się jej z troską, jakby postradała nagle zmysły.

Może dlatego że zaczęła niepohamowanie chichotać. Nie było rozpustnej lady Malzard, która chciała ukraść jej Cate'a. To ona była lady Malzard!

– Powinienem był cię uprzedzić, nim za mnie wyszłaś – powiedział, nadal bacznie ją obserwując. – Poszedłem tamtej nocy do domu Tallbridge'a, by z tobą porozmawiać, lecz w końcu uznałem, iż nie mogę ryzykować, że dasz mi kosza.

– Dam ci kosza? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Miałabyś powód, jesteś też wystarczająco silna i bystra, by mnie odrzucić, a konsekwencje byłyby dla ciebie... Mimo wszystko powinienem był dać ci możliwość wyboru.

Przycisnęła palce do skroni.

– Dać ci kosza.

– Uderz mnie, jeśli chcesz.

Posłuchała i zdzieliła go mocno po głowie.

– Sądziłeś, że będę wolała zostać na łasce Draydale'a, niż poślubić lorda?

– Były też inne możliwości. Pieniądze...

– Myślisz, że wolałabym zostać utrzymanką?

– Nie o to mi chodzi. Mogłem urządzić cię wygodnie w godnym szacunku otoczeniu.

– Po tym, jak Draydale mnie oskarżył? Czy byłoby to możliwe? Jednakże...

Popatrzyła na niego, mierząc wymownym spojrzeniem byle jakie ubranie, to samo, które miał na sobie, gdy pierwszy raz się spotkali, a on z pewnością nie miał zbyt dużo pieniędzy.

– Na pewno jesteś lordem?

– Tak.

– Lecz nie masz pieniędzy.

– Po prostu, ilekroć się z tobą spotykam, jakoś nie miewam przy sobie gotówki.

– Pieniądze, które przywiózł pan Perriam... Są twoje, prawda?

– Tak.

– To czemu nadal nosisz to ubranie?

Potrząsnął głową.

– Zostałem lordem dopiero niedawno. Zmieniam garderobę, uznałem jednak, że strój do konnej jazdy może poczekać. Kiedy znajdziemy się w Keynings, z pewnością olśnię cię elegancją. Jestem lordem Malzard, daję słowo, Prudence. Proszę, oto sygnet rodowy.

Ledwie spojrzała na ciężki pierścień.

– Moje suknie! Nic dziwnego, że tak przejmowałeś się tym, co mam na sobie! Nawet najlepsze nie będą dość dobre. I twoja rodzina! Jak mogłeś się ożenić, nic im nie mówiąc?

– Wiesz, jak.

Prudence zakryła dłonią usta.

– Przeze mnie, wszystko przeze mnie. Twoja matka... też jest lady Malzard, prawda?

– Owszem. Podobnie jak wdowa po moim bracie.

– Po twoim bracie – powtórzyła z wolna. Nagle wszystko stało się jasne. – Tym idealnym. Och, Cate, tak mi przykro!

Nie zastanawiając się ani chwili, podeszła i ujęła dłonie Cate'a, a potem objęła go i przytuliła, jak on wcześniej ją przytulał.

– Tak mi przykro – powtórzyła. – Kiedy to się stało?

– Nieważne. Jakiś miesiąc temu. Byłem w Londynie i nie zdążyłem dojechać na pogrzeb.

Przytuliła go mocniej i stali przez chwilę nieporuszeni, czerpiąc siły jedno od drugiego. Tak przynajmniej czuła, uspokajając się z każdą minutą i godząc z rzeczywistością, choć wydawała się tak niewiarygodna i zadziwiająca.

Cate był lordem, a ona jego żoną.

Nie chciał nim być, a ona nie zostałaby z rozmysłem hrabiną, gdyby miała taki wybór. Lecz w każdych okolicznościach chciałaby zostać żoną Cate'a Burgoyne'a. Bez względu na cenę.

– Uczę się – powiedział – ale nie byłem do tego przygotowywany. Wiesz, drugi syn. W swoim czasie dano mi jasno do zrozumienia, że powinienem szukać własnego miejsca w świecie. – Odsunął się i uśmiechnął ponuro. – Tamtego dnia czmychnąłem od obowiązków niczym uczeń uciekający z lekcji. Ty byłaś moją wymówką.

Tylko wymówką. To bolało.

– Nie powinieneś był się ze mną żenić.

– Wiem. Przepraszam.

Wysunęła się z jego objęć.

– Ze względu na ciebie. Powiedziałeś, że nie zostałeś przygotowany do roli dziedzica i głowy rodu. Ja z pewnością nie jestem przygotowana, żeby być damą. Będę dla ciebie ciężarem, nie pomocą.

– Stało się, Prudence. Nie ma odwrotu.

Nie chciała tego powiedzieć, lecz się zmusiła.

– Rozwód?

– Powolne procedury, dużo zamieszania i skandal, który sprawiłby, że twoja reputacja ległaby w gruzach, a ja nie mógłbym ponownie się ożenić i spłodzić dziedzica. Widzisz teraz, dlaczego

przepraszam. Wciągnąłem cię w to bez możliwości ucieczki, i tak już zostanie.

Prudence chętnie otworzyłaby przed nim serce, wyznała, że poślubiłaby go bez względu na to, czy byłby człowiekiem biednym, bogatym, czy nawet przestępcą. I że go kocha. Jednak takie wyznanie tylko pogłębiłoby w nim poczucie winy, powiedziała więc:

– Poślubienie ciebie i tak jest o niebo lepsze niż alternatywa.

– Prudence, czekają cię naprawdę trudne chwile. Chcę, żebyś to zrozumiała.

– Gorsze, niż gdybym została żoną Draydale'a?

– Nie, ale...

– Niż utrata reputacji i hańba?

– Nie, ale...

– Niż White Rose Yard?

– Nie.

– Powiedz mi jedno: czy będę kiedykolwiek cierpiała biedę lub pozostanę bez dachu nad głową?

– Nie.

– Mam bać się następnego ataku ze strony Draydale'a? Boże, nic dziwnego, że wydawałeś się tak beztroski, a jego majątek i wpływy nie robiły na tobie wrażenia.

Chwycił ją za ramiona.

– Prudence, posłuchaj. To nie będzie łatwe ani proste.

– Cate, kiedy traci się wygodny dom i spada wciąż niżej i niżej, kończąc na White Rose Yard, zakłada w zimie na siebie wszystkie posiadane ubrania i mimo to marznie, gdy jada się tygodniami jedynie kapustę i ziemniaki, bo na nic innego nie można sobie

pozwolić, a koszt naprawy butów wydaje się niebotyczny – gdy przeżyje się to wszystko, słowa „łatwe ani proste” nabierają innego znaczenia.

Wpatrywał się w nią bez słowa.

– Co takiego? – spytała. – Czujesz się urażony, że nie dostałam ataku histerii, jak delikatna dama powinna?

Ujął jej dłonie w swoje.

– Nie krzycz na mnie. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Znowu. – Uśmiechnął się i przyciągnął ją bliżej. – Jesteś cudowna, moja lady Malzard, i nie chciałbym innej, lecz nie lekceważ trudności, jakie cię czekają. Spodziewano się po mnie, że poślubię wysoko urodzoną damę i kilka panien z sąsiedztwa nawet robiło sobie nadzieje. Będą rozczarowane i mogą traktować cię źle. Plotki o tym, co wydarzyło się w Darlington, dotrą do Keynings, a mimo romantycznej otoczki fakt, iż ożeniłem się w kilka tygodni po śmierci brata, nie przysporzy mi chwały.

Prudence o tym nie pomyślała.

– To znów moja wina. Teraz wszyscy będą przyglądać się bacznie mojej talii, a jeśli pojawi się dziecko, liczyć miesiące.

– Masz rację, lecz to nie jedyny problem. Pływam na głębokiej wodzie i pociągnąłem cię tam za sobą.

– Wyrwałeś mnie z paszczy potwora.

Uśmiechnął się.

– Jak święty Jerzy albo archanioł Michał? Musisz być jednak pewna jednego – pogładził ją po policzku. – Nie jestem rozczarowany i niczego nie żałuję.

– Naprawdę?

– Tak.

Przyciągnął ją bliżej, by pocałować, i ulga sprawiła, że obudziło się w niej coś dzikiego. Ujęła jego twarz w dłonie i zaczęła całować namiętnie, przyciskając się doń najbardziej jak mogła. Było tak, jakby próbowali stopić się w jedno i ona tego pragnęła. Nie rozstawać się nigdy, nie oddalać nawet na cal.

Nigdy, przenigdy nie być już samotną.

Pukanie do drzwi. Zanim zdążyli od siebie odskoczyć, do pokoju weszła spłoniona pokojówka, niosąc tacę z herbatą.

– Bardzo państwa przepraszam. Mam przyjść później?

Prudence odwróciła się gwałtownie, przyciskając dłonie do płonących policzków.

– Nie – odparł Cate. – Proszę, postaw herbatę. Dziękujemy.

A kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, spytał:

– Napijesz się herbaty, *milady*?

Odwróciła się, a potem parsknęła śmiechem.

– Co też musiała sobie pomyśleć!

– Że się kochamy i pożądamy, a skoro jesteśmy małżeństwem, nie ma w tym nic złego.

Kochamy i pożądamy. Zadrżała z zachwytu, słysząc to, lecz Cate już odsuwał dla niej krzesło. Usiadła przy stoliku, starając się zapanować nad emocjami i wrócić do rzeczywistości.

Nie było to jednak łatwe, zważywszy, czego się przed chwilą dowiedziała. Nie ma kochanki, jest tylko ona.

Niewiarygodne – została hrabiną Malzard i będzie musiała stawić wkrótce czoło zaszokowanemu i niechętnemu światu.

Lecz Cate należał do niej. I powiedział, że jest z tego zadowolony. Sprawdziła herbatę w dzbanku, a potem powiedziała:

– Nic dziwnego, że pan Perriam tak się zmieszał, gdy nazwał mnie lady Malzard!

– Tak? Kiedy?

– Tuż po tym, jak się poznaliśmy. Poprawiłam go i powiedziałam, że jestem pani Burgoyne, a on pokrył zmieszanie, wygłaszając mnóstwo nonsensów.

Cate się roześmiał.

– Wyobrażam sobie. Nie domyśliłaś się?

– Że lady Malzard to ja? Jak mogłabym? – Nalała herbaty do filiżanki Cate'a, a potem na niego spojrzała. – Pomyślałam, że masz kochankę. Wytworną, arystokratyczną damę, która nigdy nie popadłaby w tarapaty. Nie tego rodzaju, jakie spotkały mnie.

– Ach, teraz rozumiem, dlaczego byłaś rozdrażniona. – Wrzucił sobie do filiżanki kilka kawałków cukru. – Zapewniam, że nie mam kochanki.

– Dobrze, lecz widzę, że cukier będzie stanowił znaczący wydatek w naszym budżecie.

– Lubię wszystko, co słodkie.

Jakoś udało mu się sprawić, że zabrzmiało to dwuznacznie, lecz Prudence zaczerwieniła się także z innego powodu. Jakie to nieeleganckie wspomnieć o wydatkach na cukier, kiedy Cate był bogaty i mieszkał we dworze.

Upił łyk herbaty.

– Jak miło. Żadnych sekretów pomiędzy nami.

– Mąż, żona i dzbanek herbaty.

To go otrzeźwiło.

– Prudence, Keynings jest zupełnie inne.

– Z pewnością, ale czy nie będziemy mogli napić się od czasu do czasu herbaty tylko we dwoje w którymś ze skromniej urządzonych pokojów?

Uśmiechnął się znowu.

– Owszem, dlaczego nie. Będziesz miała buduar. Doskonale nada do tego celu.

– Widzisz, wszystko da się zorganizować. Masz inne domy?

– Mamy rezydencję w stolicy. I kilka włości, lecz wszystkie zostały wydzierżawione.

– Ile?

– Chyba osiem.

Osiem! Rozpaczliwie starając się utrzymać lekki ton, powiedziała:

– Moglibyśmy wyrzucić dzierżawców i żyć, przenosząc się od jednej posiadłości do drugiej jak nasi średniowieczni przodkowie.

– Ciągnąc za sobą na wozach łóżka, meble i okna? Cieszy mnie, że masz tak bujną wyobraźnię, lecz pomyśl tylko o drogach. To byłaby tortura.

Słowo „tortura” zdecydowanie wybiło Prudence z beztroskiego nastroju, przypominając o tym, co ją czeka.

– Nie sądzisz, że powinniśmy opóźnić nieco nasz przyjazd? Jeśli mam pojawić się jako twoja żona, potrzebuję kilku rzeczy. Nie mam nawet bielizny i pończoch na zmianę. Ani szczotki do włosów. Czy choćby koszuli nocnej. Miałbyś też czas zawiadomić rodzinę.

– Kusząca propozycja, mam jednak obowiązki, no i myśl o Draydale’u nadal nie daje mi spokoju. Chcę mieć cię w Keynings, gdzie będę mógł wykorzystać autorytet lorda.

Powiadomimy rodzinę o wypadku z powozem i to usprawiedliwi wszelkie braki.

– Prawda. Może ktoś ukradnie cały mój dobytek. Tak byłoby najlepiej. Jestem pewna, iż żadna z nich nie pasuje do statusu damy. Daydale także mnie martwi, ale co możesz zrobić? Za nic nie udowodnisz, że to on kazał uszkodzić koło.

– Najchętniej spuściłbym mu solidniejsze lanie, lecz będę musiał uciec się do bardziej subtelnych metod. Jak myślisz, prowadzi interesy w sposób całkowicie zgodny z prawem?

– W żadnym razie – odparła. – Słyszałam, jak Tallbridge o tym wspominał.

– Doprawdy? Dziwne, że w ogóle się z nim zadaje.

– Interes przede wszystkim? – zasugerowała. – To właśnie tak mi się nie podobało w tamtym świecie.

– Wątpię, czy dwór i politycy są pod tym względem choć trochę lepsi.

Dwór i politycy?

– Jeszcze herbaty? – spytała i napełniła filiżanki.

– Jestem pewien, że Draydale macza palce w podejrzanych, a może nawet nielegalnych przedsięwzięciach – powiedział, wrzucając znów do herbaty parę kawałków cukru. – A ja zatrudniam chyba mnóstwo ludzi, którzy idealnie nadają się, żeby to ujawnić. – Upił łyk słodkiej herbaty. – Zamierzam puścić go z torbami.

Prudence wpatrywała się weń przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– To byłaby najlepsza kara, prawda? Uczynić go biednym i pozbawionym władzy.

Uniósł filiżankę, jakby wygłaszał toast.

– Jak zwykle, doskonale się zgadzamy.

– Jak zwykle?

– Częściej, niż jesteśmy przeciwnego zdania. Nadal będziemy musieli dużo się o sobie dowiedzieć, co uważam za bardzo przyjemną perspektywę, zwłaszcza jeśli część tej nauki będzie odbywała się w łóżku. – Wziął z tacy kawałek placka z dżemem i podał go Prudence. – Bardzo dobre na szok, jak mnie poinformowano.

– Nie jestem zaszokowana – odparła, przyjmując ciasto. – Już raczej pełna oczekiwań.

Ugryzła kawałek, a potem szybko przesunęła po wargach językiem, pozbywając się okruchów.

Cate uśmiechnął się szerzej. Odebrał jej ciasto i ugryzł w tym samym miejscu.

– Obliż jeszcze raz wargi.

– Nie, ty to zrób.

Zlizał z warg okruch ciasta. Powoli.

Prudence poczuła nagle, że robi jej się gorąco.

– Chyba jestem zaszokowana.

– Lub pełna oczekiwań.

Tuż obok była sypialnia, a oni byli małżeństwem...

Wsunął do ust resztę placka i wstał.

– Chodź. Znajdziemy ci lepszą obrączkę.

– Co takiego..?

– Obrączkę. – Ujął dłonie żony i pociągnął ją za sobą. – Musimy wrócić do Keynings, moja droga, a wypadek drogowy nie usprawiedliwi tandetnej obrączki.

– Ale co z panem Perriamem? – spytała, kiedy prowadził ją ku drzwiom.

– To uosobienie taktu i życzliwości.

– Niebezpieczeństwo? – przypomniała mu.

– Mam szpadę i wiem, jak jej użyć.

Roześmiała się. Zbiegli po schodach i wyszli na ulicę.

# Rozdział XX

Prudence kręciło się z radości w głowie, a gwar panujący na targu jeszcze to odczucie potęgował. Wszystko jej się podobało: nawoływania przekupniów, ballady ulicznych śpiewaków, stosy zieleniny i kobiałki wczesnych truskawek, przesycających wonią powietrze.

Cate kupił kilka owoców i wrzucił Prudence jeden do ust. Zrobiła to samo dla niego.

Przystanęli, uśmiechając się do siebie.

– Obrączka – przypomniał jej. – Nie mamy czasu na figle, dziewko.

Wydęła usta, czując się jak dziewczyna. Dziewczyna, którą nigdy nie była.

Cate zapytał o złotnika, po czym wyszli spomiędzy straganów, kierując się ku sklepom.

Złotnik okazał się zegarmistrzem, w sklepie był jednak niewielki wybór obrączek. Tylko jedna pasowała. Na szczęście była ze szczerego złota. Cate wsunął ją Prudence na palec jak

podczas ceremonii, a ona poczuła się, jakby dopiero teraz została mu poślubiona: w radości, uczciwie i z nadzieją na przyszłość, nie pośród zamętu i wątpliwości.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na inne klejnoty.

– Twoje kolory, jak sądzę – powiedział, sięgając po pierścionek z jasnożółtym kamieniem otoczonym perłami. – I brosza ze sztyletem pośrodku.

– Przestań. Wystarczy!

– Dopiero zacząłem. W końcu widzę, na co może przydać mi się bogactwo. – Dodał jednak tylko krzyżyk na srebrnym łańcuszku, a potem zapłacił przerażająco wysoką kwotę. Przypiął jej broszę na środku stanika. – Powinnaś być uzbrojona – powiedział i zawiesił na szyi krzyżyk, „bardzo skuteczny przeciwko demonom i potworom".

– To gdzie masz swój? – spytała, gdy wyszli ze sklepu.

– Ja mam rękojeść szpady.

Prudence rozejrzała się.

– Chciałabym też coś ci kupić.

Wyjął jak gdyby nigdy nic sakiewkę i wytrząsnął jej na dłoń kilka monet.

– To za dużo – zaprotestowała.

– Nonsens. Gdy tylko znajdziemy się w domu, ustanowię dla ciebie pensję, żebyś miała środki do dyspozycji.

„Pensja" powinna zelektryzować Prudence, ale to słowo „dom" skupiło na sobie całą jej uwagę. Keynings nie było jej domem, lecz należało do Cate'a, zrobi więc wszystko, by stało się dla nich przytulnym schronieniem. I to pomimo wyzwań i kłopotów, którym będzie musiała stawić czoło.

Teraz powinna znaleźć dla niego jakiś prezent, lecz trudno jej było zebrać myśli.

– Kapelusze! – powiedziała, ciągnąc go w stronę wystawy z damskimi nakryciami głowy.

– Podoba mi się ten z piórami – powiedział.

– Na podróż? I do tej sukni?

– Psujesz zabawę. Doskonale, kup sobie coś nudnego.

Weszli do niewielkiego sklepu. Cate opowiedział sprzedawczyni o wypadku i o tym, iż żona została bez kapelusza.

– Słomkowy, *madame*? Mogę ozdobić go wstążką pod kolor sukni.

Prudence zmarszczyła brwi.

– Słomka nie pasuje do stylu militarnego.

– Nosiłem swego czasu słomkowy kapelusz – wtrącił Cate. – W Portugalii słońce praży niemiłosiernie. A może ten? – Wskazał płaski brązowy dysk, ozdobiony wzdłuż rondka jedwabną riuszką.

– Widzę, że w kwestii mody lepiej na tobie nie polegać – powiedziała.

– Rzeczywiście. Do tego znacznie lepiej nadaje się Perry – zauważył.

– To może ten, *madame*? – Modystka wyjęła kapelusz z niewielkim denkiem, pokryty czarnym jedwabiem i ozdobiony węzełkami z czarnej wstążki. – Pasuje do czarnego galonu na sukni, mogłabym też dodać rdzawą wstążkę.

Kiedy kobieta odeszła, Prudence zauważyła:

– Jestem pewna, że to najdroższy kapelusz w sklepie.

– Tak myślisz? Nie wyglądam raczej na bogacza.

– Masz w sobie coś wielkopańskiego.

Kobieta wróciła z trzema wstążkami i wybrała tę, która najbardziej pasowała do sukni. Zręcznie ozdobiła nią kapelusz.

– Proszę, *madame*. Będzie pani potrzebna też szpilka. – Wybrała zwyczajną, lecz Cate wypatrzył inną, ze złotą główką.

Ileż to czasu minęło, odkąd ktoś rozpieszczał ją prezentami? Pomyślała, że to się chyba nigdy nie zdarzyło, gdyż nawet w najlepszym dla nich okresie rodzice nie tolerowali ekstrawagancji.

Kiedy włożyła kapelusz, musiała przyznać, że wygląda doskonale. Starała się nie myśleć o kosztach, powtarzała sobie w duchu, że Cate jest przecież bogaty. Po prostu nie była w stanie przezwyciężyć nawyków nabytych przez lata rozpaczliwego oszczędzania. Wydanie sporej kwoty na biżuterię można było usprawiedliwić, ponieważ klejnoty miały wartość. Płacenie wygórowanej ceny za kawałek filcu ozdobionego jedwabiem wydawało się trwonieniem pieniędzy.

– Z powrotem do gospody – zarządził, kiedy opuścili sklep i wmieszali się na powrót w tłum na rynku.

Prudence zatrzymała się przy straganie z bielizną.

– Potrzebuję koszuli nocnej, na wypadek gdyby mój kufer nie dotarł dzisiaj do Keynings.

Na froncie straganu wyłożono koszule zwyczajne i z płótna, z tyłu wisiały jednak cztery bardziej wyrafinowane, z dala od brudnych palców oraz złodziei. Nie były tak ładne jak te, które miała w kufrze, pomyślała jednak, że skoro wybiera koszulę z Cate'em, i tak będzie miała dla niej szczególną wartość. Kiedy sprzedawczyni pakowała zakup, pomyślała o nadchodzącej nocy i zagryzła wargi, aby powstrzymać nieskromne myśli.

Przypomniała sobie, że chciała kupić Cate'owi prezent i zobaczyła stos krawatek. Zdobiąca je koronka nie była dobrej jakości, wybrała jednak najlepszą i zapłaciła jedną z monet, które jej dał.

– Tak czułem, że się mnie wstydzisz – zauważył.

Owinęła mu krawatkę wokół szyi, a potem skrzyżowała z przodu końce, tworząc luźny węzeł. Wyjęła z kieszeni srebrną spinkę i umieściła ją na właściwym miejscu.

– Dałem ci spinkę, żebyś miała za co kupić jedzenie i opał – powiedział.

– Zatrzymałam ją na czarną godzinę, która szczęśliwie nie nadeszła. Proszę. Jeśli pominąć zakrwawione bryczesy i brak kapelusza, wygląda pan nobliwie, milordzie.

– A pani po prostu rozkosznie, *milady*. – Pocałował ją przelotnie.

– Nie zapomnij o koszuli i pończochach – przypomniał, widząc, jak jest oszołomiona.

Szybko dokonała wyboru, lecz kiedy wracali do gospody, powiedziała:

– Jeszcze niedawno o nowej koszuli mogłam tylko marzyć.

– Obdarzać wszystkimi ziemskimi dobrami... – zacytował fragment przysięgi małżeńskiej. – Co byś jeszcze chciała? Wiadro. Przybory do kominka. Gęś w koszyku?

– Wariat! – zaśmiała się. – Nie mamy czasu na żarty.

– Zamierzasz pouczać mnie w kwestii moich obowiązków. Jak cudownie. Odszukajmy Perry'ego.

* * *

Znaleźli pana Perriama usadowionego wygodnie w salonie. Odzyskał „cywilizowany wygląd” dzięki kąpieli i zmianie bielizny, którą zakupił na rynku.

– Widzę, że zajmowaliście się podobnymi sprawami – powiedział. – Czarujący kapelusz, *madame*, no i zakryła pani Cate’owi bezwstydną szyję. W nagrodę proponuję zimny pasztet, wino i miejsce przy stole.

– Ach, prawdziwe jedzenie – westchnął Cate i uśmiechnął się do Prudence. – Cudownie, choć placek też spełnił swoje zadanie.

– Wydajesz się bardzo zadowolony – zauważył Perriam.

– A ty zastanawiałeś się, jak długo jeszcze będziesz musiał mnie kryć. Dzięki, ale powiedziałem wszystko Prudence.

– I nadal masz głowę na karku. – Perriam zwrócił się do Prudence. – *Enchanté*, lady Malzard.

– Dziękuję, panie Perriam. I za dyskrecję także.

– To jedna z moich zalet, *madame*.

Cate wziął kolejny kawałek pasztetu.

– Próbowałem wytłumaczyć Prudence, że najbliższa przyszłość nie będzie łatwa.

– Ma rację – przytaknął z poważną miną Perriam. – Znielubią panią za to, że przechwyciła pani główną nagrodę. – Cate prychnął, lecz Perry dodał: – Mógłbyś mieć nogi krzywe jak obręcze i twarz pełną brodawek, a i tak byłbyś wart wszelkich starań.

– Bycie lordem to nie nagroda.

– Dość tych głupstw – zganił go Perriam, machnął dłonią. – Zastanawiałeś się już, jak ułatwić żonie zaadaptowanie się?

– Uznałem, że najlepiej zawieźć Prudence do Keynings i pozwolić, by przemówiły za nią jej zalety. Możliwie szybko, nim dotrą tam plotki.

– Dobry plan, pomogłoby jednak sprawie, gdybyś uzyskał poparcie matki i Artemis.

– Matka... – Cate wzruszył ramionami. – Będzie zadowolona, że się ożeniłem albo zgorszona sposobem, w jaki to się stało. Trudno przewidzieć, co wybierze.

– No i rozczarowana panną młodą – wytknęła mu Prudence.

– To ja cię wybrałem – odparł. – Każdy, kto cię obrazi, pożałuje tego. Mam nadzieję, że Artemis będzie cię wspierała. Ma dobre serce. – Dokończył pasztet i wstał. – Chodźmy, odbierzemy zamówiony powóz i konie.

– Moje pakunki – powiedziała Prudence, rozważając w duchu aroganckie: „To ja cię wybrałem". Pokazywało inną stronę charakteru Cate'a, sprawiając, że wydawał jej się bardziej obcy i bardziej... pański.

* * *

Cate zdawał sobie sprawę, że zachowuje się zbyt szorstko, lecz nagle stał się bardzo wrażliwy na wszystko, co mogło zakłócić spokój ducha żony. Prudence była jak drzewo w pąkach, które dopiero zaczynały się otwierać pod wpływem pierwszych wiosennych promieni. Mróz nadal mógł je zwarzyć, a on chciał, by Prudence rozkwitła.

Perry wstał i pozbierał pakunki.

– Mogę odgrywać zarówno rolę twego sekretarza, jak anielskiego posłańca, milordzie. Jestem pewien, że dałbym radę

też jako lokaj, *milady*.

– Będzie pan musiał zwracać się tak do mnie przez cały czas, panie Perriam? – spytała zaskoczona. – Stwarza to dystans, a przeżyliśmy już razem coś na kształt przygody.

Uśmiechnął się.

– Odtąd jesteś Prudence, a ja Perry... Jeśli twój pan i władca pozwoli.

Cate nie był pewien, czy się zgodzić.

– Tylko na osobności – zdecydował w końcu.

– Pozwolisz mi przebywać na osobności ze swoją żoną? – zapytał Perry z szelmowskim błyskiem w oku.

– Uważaj, aureola ci się obsuwa. Lecz tak, zaufam ci. W granicach rozsądku, oczywiście.

– Jestem zdecydowanie *aux anges*! – odwrócił się do Prudence i dodał: – W obecności innych nie wolno ci zapominać o etykiecie. Moja reputacja mogłaby na tym ucierpieć.

Zaśmiała się, rozbawiona, a Cate zazgrzytał zębami.

Gdy wyszli na podwórzec, spytała Perry'ego:

– To jak mam zwracać się przy innych do Cate'a? Mężu?

– *Déclassé* – oznajmił stanowczo Perry. – Nie jesteście sklepikarzami.

– Uważaj, co mówisz – prychnął Cate, nim zorientował się, że Perry nie wie, co musiała wycierpieć w niedalekiej przeszłości Prudence. – Przepraszam. Jestem wyczerpany nerwowo. Zakończmy wreszcie tę podróż.

Wiedział, że powinien powiedzieć przyjacielowi o wszystkim, co dotyczyło jego żony, miał jednak nadzieję, że uda się utrzymać w sekrecie przynajmniej jej pobyt na White Rose Yard.

Powóz czekał przygotowany, a on wahał się, nie mając ochoty rozpoczynać podróży, która doprowadzi ich do nieuniknionych kłopotów w Keynings.

– Widzę, że będę musiał znów jechać wierzchem – oznajmił Perry z przesadnie zbolałą miną.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Prudence. Wygrywa wyścigi terenowe z przeszkodami i będzie mu zdecydowanie wygodniej niż nam.

– Pudło tortur – westchnęła. – Nie przepadam jednak za jazdą wierzchem i nie chcę uszkodzić kapelusza. Ty możesz jednak dosiąść wierzchowca.

– Wolę być z tobą.

Pomógł jej wsiąść, a potem sprawdził dokładnie wszystkie koła.

– Jesteś bardzo ostrożny – zauważył Perry.

– Mam wiele do stracenia.

– To wyjątkowa kobieta.

– Wiem.

Nie znaczyło to jednak wcale, że najbliższa przyszłość nie okaże się piekłem.

# Rozdział XXI

Jechali przez chwilę w milczeniu i Prudence nie wiedziała, jak je przerwać. Niebaczny komentarz pana Perriama nadal ją bolał. Nie była nigdy sklepikarką, jednak kobiety z White Rose Yard często zwracały się do swoich towarzyszy życia „mężu", zamiast posłużyć się imieniem. Tak jak jej matka, jeśli już o to chodzi.

Jak wiele rzeczy, które jej wydawały się normalne, było *déclassé* albo po prostu staromodne? Ogarnęło ją znużenie, zastępując odczuwaną tak krótko radość oraz beztroskę. Była mężatką i tak już zostanie, kochała męża i była zupełnie nieprzygotowana do tego, by zająć miejsce należne żonie lorda, a Cate, choć miły i opiekuńczy, nie kochał jej.

Nic dziwnego, że czuła się zmęczona. Rankiem wypowiedziała słowa małżeńskiej przysięgi, lecz było to ukoronowanie kilku dni wypełnionych niespokojnymi myślami oraz bezsennych nocy.

Zerknęła na Cate'a i zobaczyła, że on również wydaje się znużony. Odbył podróż do Darlington, a wczoraj do Durham i z

powrotem. Został ranny i stracił sporo krwi. Utykał co prawda nieznacznie, lecz rany musiały mu dokuczać.

Sama była nieźle posiniaczona i twarz nadal ją pobolewała. Przypuszczała, że również ten siniak będzie mogła złożyć na karb wypadku i tym samym podłość Draydale'a czemuś się przysłuży.

Wyjrzała na zewnątrz, zastanawiając się, czy Draydale zaryzykuje otwarty atak. Z pewnością nie. Podróżowali z trzema forysiami i dwoma uzbrojonymi dżentelmenami, a Cate sprawdził, czy pojazd nie został uszkodzony. Widziała, jak to robi. I choć ze strony Draydale'a nic im prawdopodobnie nie groziło, wzdragała się na myśl o tym, co czeka ją u kresu drogi.

Dom Cate'a. Rodzina Cate'a. I jego matka.

Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, jak, u licha, ma stać się prawdziwą hrabiną?

Widziała kiedyś na ulicy w Northallerton hrabinę Arradale zdążającą do lub z Londynu albo do swoich posiadłości w górskich dolinach. Choć była ubrana w prostą podróżną suknię, widać było, że każdy szew to dzieło sztuki, nosiła ją zaś z taką gracją, jakby była stworzeniem z innego świata.

Prudence stłumiła śmiech.

– O co chodzi? – zapytał Cate, ocknąwszy się z zamyślenia, a może z drzemki.

– Myślałam o hrabinie, którą kiedyś widziałam.

– Ja też myślę czasami o innych lordach. Która to była?

– Hrabina Arradale.

– Do licha, nie porównuj się z nią. Ma tytuł, który przysługuje jej osobiście i została urodzona do splendoru. Na dodatek poślubiła kogoś przewyższającego statusem nawet ją. Markiza.

– Zatem nikt nie spodziewa się, że będę jak ona?

– Nie.

– Dzięki ci, Boże. Mimo to lepiej zacznij uczyć mnie tego, co będzie mi potrzebne. Najwyższy tytuł to książę, prawda? A po nim markiz i lord?

– Później mamy wicehrabiego i barona.

– Zatem przewyższasz pozycją szlachetnie urodzonego pana Lolingforda.

– Któż to taki?

– Najważniejsza osobistość w okolicy Blytheby. Był baronem. Wszyscy go podziwialiśmy.

– A teraz odkryłaś, że to najmniej znaczący z tytułów – powiedział z uśmiechem. – Jeśli kiedykolwiek go spotkasz, możesz spoglądać na niego z góry i to nie tylko z uwagi na wzrost.

Żartował, mimo to zrobiło jej się nieswojo.

– Nie będę musiała tak się zachowywać, prawda? Czułabym się okropnie.

– Nie, lecz ludzie mają oczekiwania i robią się niespokojni, jeśli ich nie spełniamy. Służący w Keynings, którzy traktowali mnie z sympatią i pobłażaniem, gdy byłem zwykłym Cate'em Burgoyne'em, teraz trzymają się na dystans. I nie z obawy. W grę wchodzi raczej ich poczucie tego, co jest, a co nie jest słuszne. Dobrze, że chociaż Jeb się nie zmienił – przynajmniej kiedy jesteśmy sami. To jeden ze stajennych, ale jesteśmy w podobnym wieku i bawiliśmy się razem jako chłopcy.

– Ja bawiłam się z córkami ogrodnika, lecz matka nie patrzyła na to przychylnym okiem. Kiedy skończyły dwanaście lat, poszły na służbę.

– Miałaś później jakieś przyjaciółki?

Prudence zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Jest Hetty, ale nie mogę uważać jej za przyjaciółkę, choć w innych okolicznościach pewnie byśmy się zaprzyjaźniły. Czy to ma sens?

– Absolutnie. Spotkałem w wojsku mężczyzn, z którymi chętnie bym się zaprzyjaźnił. Byli jednak niżsi rangą i pewnie naruszyłoby to równowagę we wszechświecie. Spróbujmy przygotować cię, by nic podobnego się nie wydarzyło.

Prudence słuchała uważnie, starając się uchwycić naturę Keynings, domu i włości. Nie była dotąd nigdy w domu większym niż Blytheby Manor, a ewidentnie Keynings diametralnie się od niego różniło.

– Ile jest tam pokoi? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Może pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt!

– Tak tylko zgaduję. Dlaczego ma to znaczenie?

– Trzeba o nie dbać. Po co wam aż tak dużo? Nie używacie z pewnością wszystkich.

– Nie na co dzień, potrzebujemy jednak sypialń na czas przyjęć i położonych w amfiladzie salonów, które tworzą w razie potrzeby salę balową. Co się zaś tyczy pozostałych, ze zdumieniem przekonałem się, że są tam pomieszczenia, w których nie postawiłem dotąd stopy.

– Na pewno się zgubię.

– Dom został przejrzyście zaprojektowany, więc raczej to ci nie grozi, lecz gdyby zaszła potrzeba, ktoś z licznej służby wskaże ci drogę.

– Doskonale. Opowiedz mi o służbie.

– Jest ich cała armia. Zacznijmy od generała – zarządzającego domem pana Flamborough...

Przerwali na chwilę naukę, kiedy zmieniano konie, a potem ją kontynuowali. Nim zatrzymali się na kolejny popas, w głowie huczało jej od informacji. Przyjęła z ulgą propozycję wypicia herbaty i próbowała skupić uwagę, kiedy Cate i Perry rozprawiali o zawiłościach etykiety, zwłaszcza o rozróżnianiu pomiędzy trzema lady Malzard.

– Jesteś lady Malzard – powiedział Perry. – Podobnie szwagierka Cate'a, Artemis. Tylko jego matka jest hrabiną wdową.

– Nie mogę zwracać się do niej na co dzień Artemis lady Malzard.

– Nie musisz. Jeśli zapytasz, gdzie jest lady Malzard, będzie wiadomo, że nie chodzi o ciebie ani o wdowę. Z pewnością byłoby jednak prościej, gdybyście mogły zwracać się do siebie: siostro.

– Chciałabym mieć siostrę.

– Mam więc nadzieję, że tak się stanie – powiedział Cate. – Jednak Artemis opuści zapewne wkrótce Keynings. Nie będzie czuła się tam dobrze.

Lecz jego matka zostanie. Flavia, owdowiała hrabina Malzard. Kiedy wrócili po ostatnim popasie do powozu, Prudence spytała:

– Jak zareaguje na nasze pojawienie się twoja matka?

– Będzie, jak przypuszczam, w szoku.

– Nie mów tak, jakby nie miało to znaczenia! Powinieneś był ją ostrzec.

– To nic by nie zmieniło.

– Miałaby czas się przygotować.

– Załadować broń, zapewne chciałaś powiedzieć.

– Cate!

– Przepraszam, ale to jej się z pewnością nie spodoba, już choćby dlatego, że poślubiłem cię bez jej wiedzy.

– To zrozumiałe, że będzie tak czuła. Zabolało mnie, kiedy nie zaproszono mnie na ślub brata.

– Nie zostałaś zaproszona?

– Nie, ale wróćmy do teraźniejszości. Matce będzie przykro.

– Być może. Powiem ci jednak prawdę. Chce, żebym się ożenił. Jeśli okażesz się płodna, zwłaszcza jeśli urodzisz synów, wszystko nam wybaczy.

Prudence wzdrygnęła się, przerażona tą perspektywą.

– A jeśli nie?

– Będziemy musieli wszyscy jakoś z tym żyć. Nie będzie to takie straszne, jeśli ją przeżyję. Bo widzisz, jeśli umrę, nie pozostawiwszy dziedzica, mój następca będzie oczekiwał, że matka opuści Keynings. A to złamałoby jej serce.

Prudence rozumiała, że strata domu może złamać serce, Cate malował jednak ponurą przyszłość.

– Ile ona ma lat?

– Pięćdziesiąt pięć, jak sądzę.

Hrabina wdowa może żyć zatem jeszcze trzydzieści lat. Trzydzieści lat lub więcej i pewnie będzie ją traktowała z dezaprobatą, nawet jeśli pojawią się dzieci. A jeśli nie, będzie obserwowała bacznie talię Prudence, póki nie zgaśnie wszelka nadzieja.

– Rozumiem – powiedziała jednak. – Mojemu ojcu złamało serce to, że musiał opuścić Blytheby.

Ujął jej dłoń.

– Pewnie tobie również.

– Tak, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie wtedy. Ojciec odczuł to najmocniej. Mieszkał tam czternaście lat i stworzył kolekcję antyków dosłownie z niczego...

Już miała powiedzieć prawdę – że właściciel zmarł i Blytheby zostało zlicytowane na poczet jego długów – lecz przypomniała sobie o oszustwie. Że dała Cate'owi do zrozumienia, iż jest panienką ze dworu. I że był z tego zadowolony.

– Kiedy musieliśmy wyjechać – powiedziała zatem – matka i ja próbowałyśmy jakoś się dostosować, lecz ojciec pragnął tylko jednego: wrócić. A kiedy przyjął wreszcie do wiadomości, że to się nigdy nie stanie, umarł. Unicestwione marzenia mogą łamać serca. Ale podobnie ma się sprawa z tymi, których trzymamy się kurczowo, mimo iż nie ma w tym za grosz sensu.

Podniósł do ust jej dłoń i ucałował.

– Będziemy mieli tylko umiarkowanie wygórowane marzenia, których nic nie unicestwi. Będziemy dobrymi towarzyszami, spełniającymi obowiązki bez zarzutu.

Intymny pocałunek sprzed chwili przeczył słowom Cate'a. Nie chciała być jedynie towarzyszką lub wykonywać obowiązki, lecz było to prawdopodobnie wszystko, o czym mogła marzyć. Cate był dobry, miły i nie kochał innej. Niestety, nie kochał także jej.

Postara się sprawić mu najmniej kłopotów, jak tylko będzie to możliwe.

– Opowiedz mi o rodach z okolicy.

– Tu bardziej przyda ci się matka. Ja mogę powiedzieć zaledwie parę słów. – Zaczął wyliczać rodziny szlacheckie i ich domy.

– Powtórzysz to wszystko, gdy będę miała na podorędziu pióro i papier – powiedziała Prudence, gdy skończył. – Głowę mam tak wypełnioną informacjami, że chyba brakuje miejsca na nowe.

– Matka zapewne i tak wszystko dla ciebie spisze. – Zdawało się Prudence, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz dotknął tylko jej czoła. – Czy ta nabita głowa sprawia, że czujesz się bardziej swobodnie?

– Nie.

Przyciągnął ją do siebie.

– To będzie trudne, Prudence, ale nie aż tak straszne.

– Czyżby? Nie wydałam nigdy polecenia służącej. No, może posługaczce, gdy je mieliśmy, ale to nie to samo.

– Przeciwnie. Twój kapelusz znów mi zawadza.

Uśmiechnęła się, przechyliła głowę i została pocałowana.

– Tylko nie zrzucaj mi go beztrosko z głowy, drogi panie. Chcę dotrzeć do Keynings, prezentując się możliwie najlepiej.

– Skoro nalegasz. A co się tyczy służby, po prostu wydawaj jasne polecenia i nie toleruj bezczelności ani wymigiwania się.

– Podejrzewam, że to tylko wydaje się proste. Wkrótce dowiedzą się o mnie wszystkiego. O skandalu w Darlington. Moim pochodzeniu. Może nawet o White Rose Yard.

– Ale nie będą tego wiedzieć, gdy przyjedziemy. Dlatego pierwsze wrażenie jest aż tak ważne.

– Dzięki ci, Boże, za kapelusz.

Roześmiał się.

– Wspaniały fragment zbroi. – Przechylił Prudence głowę i pocałował ją znowu. Wsunął palce we włosy za uszami.

Odsunęła się.

– Uważaj.

– Całowanie tak, by nie naruszyć damie fryzury i nie przekrzywić kapelusza, wymaga nie lada umiejętności.

– Twoje włosy wymykają się ze wstążki.

– Zawsze tak się dzieje. Jestem pewien, że potrafisz związać je mocniej. – Odwrócił się do niej plecami.

Nie wiedziała, dlaczego szerokie barki i spięte luźno włosy mogą być tak niepokojące, póki nie pociągnęła za wstążkę. U mężczyzny puszczone swobodnie włosy wydawały się tak... swobodne. Przypomniały jej nagie plecy Cate'a, kiedy opatrywała mu ranę, szerokie ramiona, długą linię kręgosłupa, mocne pośladki... Choć wszystko to było teraz zakryte, miała ochotę przesunąć dłonią w dół surduta, rozmyślając o tym, co znajdowało się pod spodem.

Przełknęła jednak tylko ślinę.

– Twój grzebień?

Wyjął go z kieszeni i podał.

Przeczesała ciemne włosy, czuła, jakie są niesforne, jak próbują wydostać się na wolność. Zupełnie jak Cate, pomyślała.

– Przykro mi, że musiałeś zostać lordem – powiedziała.

– Wiem, że wolałabyś być zwykłą żoną.

Włosy miał już gładkie, mimo to nie przestawała przeciągać po nich grzebieniem.

– Nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Nie chciałeś takiej odpowiedzialności.

– Byłem oficerem w armii.

Nie wydawał się urażony, a luźna postawa i brak napięcia mięśni jeszcze to potwierdzały.

– Tytuł to co innego. Jest na całe życie i stawia wymagania, przed którymi nie można się uchylić.

– Mądra kobieta. Rzeczywiście, zażądano ode mnie, abym natychmiast się zmienił. Podobny los czeka ciebie. – Po chwili dodał: – Zawsze jednak pragnąłem Keynings. Bardzo. Nie przyznałem się do tego nikomu poza tobą.

Prudence wstrzymała oddech, nie zaprzestając długich, powolnych pociągnięć grzebieniem.

– Czasami kochamy niemądrze, lecz aż za mocno – powiedział po chwili.

– Otello – skomentowała. A potem zaryzykowała pytanie, które natychmiast przyszło jej na myśl: – Byłeś zazdrosny o brata?

– Nie o to, że został lordem. Lecz kiedy podrosłem, uświadomiłem sobie, że on zostanie w Keynings, a ja będę musiał je opuścić. Uznałem wtedy, że to nie w porządku. I postanowiłem zostać duchownym.

Roześmiała się.

– Ty? Księdzem?

– Rzeczywiście, znam niewiele osób, które mniej by się do tego nadawały, miałem jednak nadzieję, że obejmę parafię w pobliżu Keynings. Blisko domu.

Zebrała mu włosy, muskając ciepłymi palcami szyję.

– Zatem ty także straciłeś dom.

– Tak. Lecz nie życzyłem bratu śmierci. Gdybym mógł, przywróciłbym go do życia, nawet gdybym musiał wyjechać potem

do Ameryki czy Indii.

– Wiem o tym – zapewniła go, związując wstążkę najmocniej, jak tylko się dało. Nie zdołała się przy tym powstrzymać, by nie musnąć ustami skrawka nagiej skóry pomiędzy włosami a krawatką.

Odwrócił się i pocałował ją.

– Znasz wszystkie moje sekrety.

– I żaden nie przemawia przeciwko tobie.

– Mam nadzieję, lecz jest coś jeszcze.

Powóz zmienił kierunek i Cate wyjrzał.

– Dojeżdżamy. To skomplikowana historia. Opowiem ci później, wiedz jednak, że popełniałem błędy. Nie dotyczy to w żaden sposób ciebie, poza tym, że poślubiłaś człowieka, który nie cieszy się w pewnych kręgach najlepszą opinią.

– Cokolwiek to jest, wiem, że nie zrobiłeś nic złego.

– Tak bardzo we mnie wierzysz?

– Tak.

– Nasza znajomość jest krótka...

– ...ale dogłębna.

– Kolejne mądre słowa. Przebywałem z niektórymi ludźmi przez lata i nie poznałem ich tak dobrze jak ciebie, Prudence Malzard.

Zmarszczyła brwi.

– Nie Prudence Burgoyne?

– Żona para posługuje się tytułem jako nazwiskiem.

– Proszę cię. Nie wiem nawet najprostszych rzeczy. Jak dam sobie radę?

– Dasz. Jesteś najsilniejszą, najdzielniejszą i najbardziej zaradną kobietą, jaką znam, do tego uprzejmą i miłą. Zatriumfujesz, moja królowo wojowniczko.

– Pamiętaj, co spotkało Boadiceę.

– Pomyśl zamiast tego o królowej Elżbiecie zagrzewającej wojska do walki z hiszpańską armadą.

– „Wiem, że mam ciało słabej kobiety, lecz serce i odwagę króla". Zawsze mi się to podobało.

– Na pewno. Może kupię ci nowy nóż. Włoski sztylet ze złotą rękojeścią, wysadzany perłami, ponieważ cała jesteś ze stali, złota i z pereł.

– Kolejna ekstrawagancja, proszę pana! – zaprotestowała. Widać było jednak, że komplement sprawił jej przyjemność.

– Przysięgłaś być mi posłuszna, a ja rozkazuję ci przyjmować moje prezenty bez protestu.

– Dziękuję zatem za broszę i krzyżyk.

– Masz sporo wspanialszej biżuterii, jeśli matka i Artemis zbytnio się do niej nie przywiązały.

To rozwiało mydlaną bańkę szczęścia. Zmierzała ku domowi rządzonemu już przez dwie kobiety, z których każda przerastała ją doświadczeniem i wiedzą zdobywanymi od kolebki.

A potem Cate wyjął dwa pierścienie i wsunął je sobie na palec – ciężki złoty sygnet i czarno-złotą obrączkę. Pierścień żałobny.

Podczas pogrzebu ojca Prudence rozdawano uczestnikom żałobne pierścienie i rękawiczki, chociaż nie mogli sobie na to pozwolić. Kiedy grzebano jej matkę, nie było mowy o podobnych wydatkach.

Cate miał też czarną opaskę.

– Możesz zawiązać mi ją na ramieniu?

Zrobiła to, choć drżały jej dłonie.

– Dlaczego zdjąłeś oznaki żałoby?

– Uciekałem. Może nawet od świadomości, że Roe naprawdę nie żyje. Nie zrobię tego więcej.

Zawiązała mu końce czarnej wstążki pod pachą, czując, że zamiera w niej serce.

– Cate, przyjeżdżamy do domu żałoby, a ja mam na sobie czerwony strój!

Zauważyła, że powstrzymuje cisnące się na usta przekleństwo.

– Jak mogłem o tym nie pomyśleć? To także dzień twego ślubu, ale... Te wstążki. Odwróć się, szybko.

Posłuchała, zgadując, o co chodzi. Poczuła, jak odcina wielobarwne wstążki przymocowane z tyłu do kapelusza. Bez nich nakrycie głowy było zdecydowanie skromniejsze. Bardziej odpowiednie.

Zmagał się z węzłem, wyręczyła go zatem i odpięła także rdzawą wstążkę.

– Rozepnij mi łańcuszek – powiedziała, zdejmując broszę i chowając ozdobę do kieszeni.

Galony na sukni były czarne, a rdzawy kolor nie tak fatalny, jak byłaby jaskrawa czerwień. Zdjęła krzyżyk z łańcuszka i zastąpiła ten ostatni kawałkiem czarnej wstążki. Odwróciła się.

– Zawiąż ją.

– Zadziwiasz mnie – powiedział. – Srebrny krzyżyk na czarnej wstążce. To zmienia postać rzeczy. Poczekaj, zawiążę ci pozostałą część wokół rękawa. Zwykle postępuje się tak w przypadku mężczyzn, ale lepsze to niż nic.

Prudence zdjęła pierścionek z żółtym kamieniem, a potem także ten skromniejszy, srebrny. Zostawiła jedynie obrączkę. Zatarła nerwowo dłonie.

– Nic więcej nie możemy na razie zrobić – powiedziała. – Ale co będzie jutro? Nie mam żałobnych strojów. – Roześmiała się. – Jeszcze niedawno miałam wyłącznie takie, gdyż ufarbowałam po śmierci mamy wszystkie suknie. Wszystkie poza niebieską. Mogłabym ufarbować ją teraz. – Spojrzała na niego. – Czy hrabina może ufarbować suknię?

– Może polecić to praczce albo zamówić sobie nową. Nie trzeba będzie długo na nią czekać.

Przyłożyła dłonie do twarzy.

– Tyle rzeczy będą musieli nam wybaczyć, a teraz jeszcze i to.

– Zrozumieją. To także twój dzień weselny. Ach – dodał – widać pręgierz. Wjazd do parku jest tuż za zakrętem.

Usłyszała w jego głosie radość i może to sprawiło, że ponury widok nie wydał jej się aż tak straszny. Mimo to skrzywiła się, kiedy mijali żelazną klatkę, w której skazany przestępca mógł zostać powieszony jako ostrzeżenie dla innych.

Na razie klatka była, dzięki Bogu, pusta. Prudence pomyślała jednak, że to nie najszczęśliwszy omen.

# Rozdział XXII

Powóz wtoczył się z wolna pomiędzy słupki bramy i Prudence wyjrzała, obawiając się zobaczyć dwór tuż przed sobą. Ujrzała jednak tylko żwirowaną drogę wijącą się poprzez krajobraz zbyt piękny, by mógł być dziełem wyłącznie natury. Była w starannie utrzymanym parku arystokraty i z jakiegoś dziwnego powodu rzeczywistość uderzyła w nią ze zdwojoną siłą.

Cate był arystokratą.

A cała ta doskonałość jego własnością.

A on poślubił ją, Prudence.

– Nie zobaczysz Keynings jeszcze przez chwilę. Drogę zaprojektowano tak, by ukazywała całe piękno zadbanego parku. Głównie jest on dziełem ojca, choć i mój brat był wielkim miłośnikiem egzotycznych drzew.

Serce biło jej tak mocno, że ledwie go słyszała.

– Co oni sobie pomyślą, Cate? Co powiedzą?

Po chwili Cate opuścił okno po swojej stronie i skinął na Perry'ego.

– Może pojedziesz przodem i utorujesz nam drogę? Zapowiesz szczęśliwy powrót syna marnotrawnego?

– Z żoną? – zapytał Perry, zbliżając się do powozu.

– Z żoną.

– Na twoją odpowiedzialność – zaśmiał się Perry i odjechał.

– Dlaczego się zaśmiał? – spytała Prudence.

– Ponieważ posłańcom przynoszącym złe wieści obcinano głowy.

– Złe wieści... – powtórzyła.

Odwrócił się ku niej.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

– Nie próbuj mnie pocieszać. Ja w charakterze żony to naprawdę złe nowiny.

– Tylko zaskakujące.

– Twierdziłeś, że lepiej ich nie ostrzegać.

– Miałem na myśli dni albo godziny. Kilka minut powinno złagodzić jedynie szok.

Nie zostawił rodzinie dość czasu, żeby zdążyła załadować broń. Opanują jednak na tyle gniew, by móc zachować się grzecznie. Jeśli to zadziała i tak będzie zadowolona.

Wyjrzał znowu.

– Ach, już widać dom.

Spojrzała, lecz tak, jak ktoś mógłby spoglądać na zbliżające się mury więzienia. Środkową część kamiennej budowli zasłaniały częściowo drzewa. Jak powiedział Cate, widok został starannie zaplanowany. Keynings było klasycznym, trzykondygnacyjnym budynkiem z odchodzącymi zapewne w bok skrzydłami, których z drogi nie było wszakże widać. Pośrodku stał jasny posąg.

W miarę jak się zbliżali, kurtyna drzew zdawała się rozsuwać, ukazując coraz to więcej szczegółów.

Pierwsze określenie, jakie przyszło jej na myśl, brzmiało: zwyczajny.

Lecz kiedy zobaczyła go w całości, uznała, że jest doskonały.

Jakże niepodobny do niej.

– Czytałaś *Raj utracony* Miltona? – zapytał.

Odwróciła się. Zastanawiała się, czy przegapiła coś, co powiedział wcześniej.

– Tak.

– Pamiętasz Pandemonium?

– To główne miasto. Siedziba Lucyfera. Cate...

– Właśnie – przerwał jej. – Miasto demonów. Określenie nie pasuje raczej do Keynings, tyle że nazwa nabrała z czasem innego znaczenia. Teraz określa się tak zamęt i absolutny brak porządku. Temu właśnie stawimy zaraz czoło. Będziemy mieć jednak po swojej stronie anioły.

Przypomniała sobie o obrażeniach męża i dotknęła jego głowy.

– Daj spokój. – Odsunął jej dłoń i ucałował ją. – Perry mianował siebie Rafaelem, posłańcem. Ja będę zatem Michałem, pogromcą wszystkich demonów. Ty możesz być dobrą królową Bess, popychającą nas do zwycięstwa.

– Draydale to rzeczywiście demon, ale nie twoja matka i szwagierka.

– W rzeczy samej. Pomyśl jednak o oczekiwaniach, Prudence. Mogą być iście diabelskie. Jesteśmy.

Pomimo ostrzeżeń w jego głosie dało się słyszeć czułość. Kochał to miejsce. Chciał, żeby stało się jego domem. A ona miała mu

w tym pomóc.

Powóz wjechał na podjazd i zatrzymał się przed schodami prowadzącymi do imponujących drzwi frontowych z zawieszonymi na nich żałobnymi wieńcami.

Czterech lokajów w upudrowanych perukach czekało w gotowości. Mieli na sobie ciemnozieloną liberię ze złotymi galonami, a do tego czarne pończochy, rękawiczki i czarne opaski na ramionach. Byli lepiej przygotowani do żałoby niż ona czy Cate.

W otwartych drzwiach czekał bardzo dystyngowany mężczyzna, odziany od stóp do głów w czerń. Strażnik wrót. Czy mógłby zabronić jej wstępu?

– Kto to? – spytała szeptem, kiedy zbliżyli się do nich lokaje.

– Flamborough, zarządca. Opowiadałem ci o nim.

Rzeczywiście, lecz teraz nie pamiętała już niczego. Informacje jakby wyciekły jej z głowy.

Jeden z lokajów otworzył drzwiczki powozu.

Kolejny schodził właśnie po schodach.

Cate wysiadł i odwrócił się, aby jej pomóc, lecz serce Prudence biło tak szybko, że zastanawiała się, czy zdoła wysiąść z godnością, a jeśli nawet, czy będzie w stanie iść prosto. Wątpiła też wielce, czy uda jej się mówić składnie. Czuła się podobnie, kiedy przybyła do kościoła poślubić Draydale'a. Dalej, powiedziała sobie i zaczerpnęła głęboko oddechu. To ukochany dom Cate'a. Ze względu na niego musisz poradzić sobie idealnie.

Przynajmniej u szczytu schodów nie czekał na nią demon Draydale.

Zmusiła się, aby wysiąść, skorzystała z pomocy Cate'a. Wsunął sobie dłoń żony pod ramię i poprowadził ją ku schodom.

– Witaj w Keynings, moja droga. – Wydawał się swobodny, czuła jednak, że jest zdenerwowany i spięty.

Pandemonium.

Usłyszała turkot kół, któremu towarzyszył stukot podków. Obejrzała się i zobaczyła, że powóz odjeżdża. Poczuła się tak, jakby straciła właśnie ostatnią możliwość ucieczki.

– Witamy w domu, milordzie.

Odwróciła się.

– Moja droga – powiedział Cate – oto pan Flamborough, nasz zarządca. Oto moja hrabina, Flamborough.

Mężczyzna skłonił się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– *Milady*.

– Chodź, pokażę ci nasz dom.

Wiedziała, że było to przeznaczone dla uszu zarządcy.

Weszli do przestronnego holu z szarymi ścianami i pilastrami. Wzdłuż bocznych ścian stały w pomalowanych na niebiesko niszach klasyczne posągi, niektóre prawie nagie. Kilkoro służących kręciło się w pobliżu, ale podeszła tylko kobieta w głębokiej żałobie, średniej tuszy i wzrostu, o gładkich brązowych włosach zakrytych czepkiem. Gospodyni? Pani Ingleton?

– Witaj w domu, Malzard. – Odwróciła się do Prudence. – Jestem Artemis, lady Malzard. – Mówiąc, wpatrywała się w policzek Prudence.

– Nasz powóz się przewrócił – wyjaśniła Prudence. – Dziękuję za powitanie... – Nie pozostało jej nic innego jak dodać: – Artemis.

Artemis odwróciła wzrok.

– To już nie moja rola witać cię w Keynings, siostro, lecz zrobię to.

Czy była to subtelna przygana? A jeśli tak, czy zamierzona?

W rzeczy samej, z pewnością.

Mimo to Prudence nieco się odprężyła. Szwagierka była chłodna w obejściu, ale życzyła sobie, aby nazywać ją siostrą. Może zechce udzielić jej wsparcia, a kto wie, z czasem obdarzyć nawet przyjaźnią? Zaczęła się uśmiechać, uświadomiła sobie jednak, że to niestosowne w domu żałoby.

– Proszę, przyjmij kondolencje z powodu straty, siostro.

– Dziękuję – odparła Artemis, spoglądając z uniesionymi brwiami na bryczesy Cate'a.

– Zraniło mnie szkło podczas wypadku. Perriam chyba o nim wspominał?

– Krótko. Czy rana jest poważna?

– Ani trochę. Gdzie matka?

– Położyła się. Nie czuje się dobrze.

– Rozumiem.

Zatem hrabina wdowa usłyszała nowiny i schroniła się w swoim apartamencie albo z powodu szoku, albo po to, aby uniknąć spotkania z niechcianą i niemile widzianą synową.

– Chodź, moja droga – powiedział Cate. – Zaprowadzę cię do twoich pokoi.

– Może wpierw starsi rangą spośród służby mogliby poznać swoją nową panią? – wtrąciła Artemis.

Przesadnie cierpliwy ton, jakim zostało to powiedziane, sprawił, że Prudence miała ochotę spoliczkować kobietę, przypomniała

sobie jednak, że dla szwagierki pojawienie się nowej hrabiny musiało także być szokiem, zwłaszcza tak niedługo po śmierci jej męża.

Prudence podeszła, by poznać pełną godności, szpakowatą kobietę, właściwą gospodynię, oraz pulchnego mężczyznę, niejakiego Belshawa, urzędnika kuchennego. Trudno jej było sobie wyobrazić, na czym może polegać jego zajęcie, doszła jednak do wniosku, iż dba zapewne o zaopatrzenie w produkty spożywcze dla rodziny i służby. Ewing, kamerdyner, choć szczupły, miał czerwony nos, co pozwalało się domyślać, że zagląda do piwniczki nie tylko po to, aby dostarczyć wino na stół chlebodawcy.

Obrzucił ją ostrym, szacującym spojrzeniem, lecz reszta zachowywała się z obojętną grzecznością. Prudence była pewna, że będą mieli mnóstwo do powiedzenia, kiedy już znajdą się z dala od oficjalnej części domu, nie sądziła jednak, by powiedziała albo zrobiła coś, co wywołałoby pandemonium już na początku.

Kiedy i ta próba dobiegła końca, Cate poprowadził ją masywnymi drewnianymi schodami na piętro. Były wspaniałe, nie pasowały jednak do nowoczesnego, utrzymanego w lżejszym tonie holu. Nie skomentowała tego, lecz kiedy znaleźli się na piętrze, zauważyła, że schody pasują do wyłożonego boazerią korytarza.

Dziwny efekt.

Przeszli kawałek korytarzem, lecz potem Artemis powiedziała:

– Musisz się przebrać, Malzard. Zaprowadzę twoją żonę do jej pokojów.

– Dziękuję – powiedział, a potem dodał, zwracając się do Prudence: – Nie masz nic przeciwko temu, moja droga?

Wolałaby się z nim nie rozdzielać, lecz było to dziecinne.

– Oczywiście, że nie. Musisz opatrzyć też ranę.

– W rzeczy samej – wtrąciła Artemis. – Mogłeś zginąć.

– Tylko przy wyjątkowym pechu.

– A ty nie ucierpiałaś? – spytała Prudence.

– Jestem tylko posiniaczona. No i miałam okazję zmienić ubranie. Mój kufer jeszcze nie dotarł. Przepraszam, że nie jestem w żałobie, siostro, ale... – Zamilkła, gdyż nie wiedziała, jak szybko wyjaśnić okoliczności.

– Trzeba się będzie tym zająć – powiedział Cate. – Ale to także dzień naszego ślubu. – Pocałował Prudence w rękę i wszedł do pokoju.

– Tędy – powiedziała Artemis i sztywno wyprostowana weszła do następnego pomieszczenia. Była to dla wszystkich trudna sytuacja, lecz Prudence nie wiedziała, jak mogłaby rozładować napięcie. Artemis wydawała się uprzejma, lecz to małżeństwo musiało być dla niej obrazą.

– Twoja sypialnia – powiedziała Artemis, wchodząc do kolejnego pomieszczenia. – Tu są drzwi prowadzące do sypialni lorda.

– Jest śliczna – zauważyła Prudence szczerze.

Ściany udekorowano, malując na nich wzór delikatnych, spowitych kwieciem gałązek, pośród których polatywały kolorowe ptaki. To musiała być chińska tapeta, o której tyle słyszała. Sufit był niebieski jak niebo latem. Podobny kolor pojawiał się też w draperiach i grubym dywanie.

Odwróciła się, żeby powiedzieć coś pochlebnego i zobaczyła, że twarz Artemis jakby się skurczyła. Boże w niebiesiech! To musiała być jej sypialnia, może urządzona według jej gustu,

z której wypędziła ją śmierć męża. Prudence najchętniej by przeprosiła, a nawet zaproponowała, że zrezygnuje z pokoju, lecz było to niemożliwe. Zamiast tego zaoferowała wyrazy współczucia.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego męża...

Sztywność zmieniła się w dezaprobatę.

– Nie będziemy oszukiwały się wzajemnie, kiedy jesteśmy same. Musisz być zadowolona, że mój mąż umarł, ponieważ mogliście się dzięki temu pobrać.

– Co takiego? Nie...

– Nie próbuj robić ze mnie idiotki. Nie miał przedtem ani pensa.

– Wiem, ale...

– I poślubił cię nieprzyzwoicie szybko. – Artemis zaczęła przemierzać pokój niczym zwierzę w klatce. – Musieliście usychać z tęsknoty przez lata. O ile w ogóle zaczekaliście, by zaspokoić pożądanie.

Prudence westchnęła, zaszokowana.

Aremis odwróciła się, by na nią spojrzeć.

– On zawsze pragnął Keynings! Czułam to. Wiem, że ucieszył się... Ucieszył! Gdy umarł mój synek!

– Na pewno się mylisz.

– Wyjaśnijmy to sobie. Twój mąż zamordował mojego i jeśli jest na świecie sprawiedliwość, jego rana zacznie się paskudzić i zakażenie go zabije.

Pod Prudence ugięły się nogi. Opadła na ławę u stóp łóżka.

– Jak możesz mówić coś takiego?

Artemis przyglądała się jej przez chwilę, całkowicie opanowana.

– Czy to możliwe, żeby i ciebie oszukał?

– Znam go i wiem, że twoje aluzje nie mają nic wspólnego z prawdą.

– Aluzje? Zapytaj go. Nie może zaprzeczyć, że przybył tu zhańbiony i mój biedny mąż zamartwiał się tym, jak odbije się to na dobrym imieniu rodziny...

Zhańbiony?

– Ani temu, że sprowokował awanturę, która wywołała u niego wylew!

– Proszę, Artemis...

– Nie pozwoliłam ci zwracać się do mnie po imieniu!

Choć zaschło jej w ustach, spróbowała uspokoić szwagierkę.

– Lady Malzard, to, co pani myśli, nie może być prawdą. Jeśli zna pani Cate'a choć trochę, musi pani wiedzieć, że nie jest zdolny do tak wyrafinowanej podłości.

Kobieta zaśmiała się ponuro.

– To ty go nie znasz. Mój mąż wiedział, jaki naprawdę jest jego brat – zmienny, lekkomyślny, ponoszący klęskę we wszystkim, do czego się weźmie. Obawiam się, że przekonasz się o tym na własnej skórze. Jeśli już tak się nie stało.

Spojrzała wymownie na posiniaczony policzek Prudence.

– Cate tego nie zrobił – zaprotestowała Prudence.

Artemis wzruszyła ramionami, a potem odwróciła się gwałtownie ku drzwiom i je uchyliła.

– Masz tam buduar. – Nie weszła do pokoju, ale otwarła kolejne drzwi. – A tutaj ubieralnię. Niestety, jest mała. Mieliśmy zamiar ją powiększyć, ale... – Zamilkła, a potem opanowała się i zapytała: – Masz pokojówkę?

– Nie.

– Przyślę ci kogoś. – Rozejrzała się dookoła, opanowana do ostatniej chwili, a potem wyszła i zamknęła za sobą drzwi z cichym, stanowczym kliknięciem.

# Rozdział XXIII

Prudence została tam gdzie była, obejmując się ramionami, jakby było jej zimno.

Dwulicowa. Dystyngowana w towarzystwie, zgorzkniała na osobności.

Ale nie, to nie byłoby sprawiedliwe. Artemis naprawdę była dystyngowana i należała do kobiet, które nigdy nie zachowałyby się niestosownie w obecności służby. Zapewne wierzyła we wszystko, co powiedziała o Catesbym.

Myliła się jednak. Całkowicie.

Cate nie cieszyłby się ze śmierci dziecka ani nie intrygował, by zabić brata. Czuła to w głębi serca, umysł ostrzegał ją wszakże, iż Artemis miała rację przynajmniej w jednym – Prudence nie znała swojego męża prawie wcale. Miło ze strony Cate'a, iż powiedział, że ich znajomość była dogłębna, nie zmieniało to jednak faktu, że również bardzo, bardzo krótka.

Jaką hańbę ściągnął na swoją rodzinę? Wspomniał coś o tym, kiedy zbliżali się do Keynings.

O co tak bardzo kłócili się z bratem? Awantura mogła wywołać wylew, ale z pewnością nie sposób było coś takiego zaplanować. A już na pewno nie mógłby tego zrobić Cate. Działał pochopnie, owszem, ale nie z premedytacją.

Mimo to... przyznał, że zawsze pragnął Keynings.

Westchnęła i pokręciła głową, by zmniejszyć napięcie.

Pandemonium, w rzeczy samej. Nie tylko z powodu diabelskich oczekiwań, ale i mrocznych podejrzeń.

Najchętniej pobiegłaby do Cate'a i o wszystkim mu opowiedziała, lecz najwidoczniej nie miał pojęcia, że szwagierka aż tak go nienawidzi. Będzie trzymała to przed nim w tajemnicy, jak długo się da. Musiała jednak się zastanowić, czy Artemis byłaby w stanie zrobić mu krzywdę.

Nie sądziła, by posunęła się do czegoś więcej niż złe życzenia. W końcu, gdyby chciała go otruć, mogła zacząć już przed kilkoma tygodniami. Prudence pomodliła się w duchu, aby szwagierka zechciała wyjechać z Keynings, skoro pojawiła się tu nowa pani domu.

Zapukano do drzwi i weszła pokojówka. Młoda, pyzata, onieśmielona. W porównaniu ze wspaniałą liberią lokajów jej strój był nędzny. Suknię miała bezkształtną i czarną, zakrytą niemal w całości fartuchem z szorstkiego płótna. Czepeczek i pończochy także czarne, jednak pończochy zwisały jej luźno wokół kostek, a czepek wydawał się za duży. Jeśli i pozostałe służące chodziły w Keynings tak ubrane, będzie musiało się to zmienić.

Niosła wielki dzban gorącej wody i niemal ją rozlała, próbując wykonać dyg.

– Jestem Karen, wasza lordowska mość. Przysłano mnie z wodą, wasza lordowska mość. I żebym pomogła.

Co powiedziała dziewczynie Artemis, że aż tak się bała? Że nowa hrabina będzie srogą panią?

Prudence uśmiechnęła się i wstała.

– Dziękuję, Karen. Masz niezwykłe imię.

– Właściwie nazywam się Karenhappuch, *milady*. To imię wzięte z Biblii.

– Naprawdę? Skąd konkretnie? – Dziewczyna stała jednak, milcząc, zrezygnowała zatem z rozmowy i poleciła: – Nalej, proszę, wody.

Karen pospieszyła napełnić porcelanową miskę.

– Z *Księgi Hioba*, wasza lordowska mość. Karenhappuch była jedną z jego córek, urodzoną po tym, jak skończyła się jego niedola.

Prudence uświadomiła sobie, że nadal ma na głowie kapelusz, więc go zdjęła. Może uśmierzy to nieco ból głowy. Bo ciągły strumień „waszych lordowskich mości" jakoś nie pomagał. Uznała, że najlepiej od razu położyć temu kres.

– Proszę, Karen, zwracaj się do mnie: *milady* – powiedziała, podając dziewczynie kapelusz. Podeszła do umywalni, a potem się rozejrzała. – Jest tu gdzieś mydło?

– O, tak, wasza lordowska mość! To znaczy, *milady*. – Dziewczyna położyła kapelusz na łóżku i sięgnęła do kieszeni. Wyjęła chińską szkatułkę i postawiła ją obok miski.

Prudence podziękowała znowu, uświadomiła sobie jednak, że Karen nie została przyuczona do posługi. Z pewnością zarówno

wdowa, jak i Artemis miały dobrze wytrenowane pokojówki, lecz nie przysłano żadnej, by jej pomogła.

Zaczęła myć dłonie i zapytała:

– Czym się zwykle zajmujesz, Karen?

– Jestem jedną z posługaczek, wasza... *milady*.

Przysłanie kogoś takiego stanowiło obrazę.

Myjąc twarz, zastanawiała się, co powinna zrobić. Cate ostrzegł ją, by nie tolerowała braku szacunku ze strony służby. Nie wspomniał jednak nic o rodzinie. Mogłaby zażądać innej pokojówki, lecz biedna dziewczyna uznałaby zapewne, że ją czymś uraziła. Jeśli nie zrobi nic, reszta służby i domownicy pomyślą, że jest tak niskiego pochodzenia, iż nie zorientowała się w sytuacji albo że boi się zareagować. Chętnie poradziłaby się Cate'a, jednak sprawy domowe będą należały odtąd do niej i musi jak najszybciej stanąć na własnych nogach.

Osuszyła twarz i odwróciła się.

– Powinnam zatrudnić wkrótce osobistą pokojówkę, Karen, ale do tego czasu możesz pełnić tę funkcję.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Miałabym być pani pokojówką, *milady*?

– Czy nie tym się w tej chwili zajmujesz?

– Ja... po prostu przysłano mnie z wodą, *milady*, i żebym pomogła.

Prudence pomyślała, że chyba popełniła błąd, lecz teraz nie mogła się już wycofać.

– To właśnie robią pokojówki. Ktokolwiek cię przysłał, musiał uznać, że się nadajesz, zatem stanowisko jest twoje. Tymczasowo.

– Tymczasowo, *milady*?

– Tylko na kilka dni, gdyż nie posiadasz niezbędnych umiejętności. – Nagle uświadomiła sobie implikacje takiego stanu rzeczy. Nic dziwnego, że dziewczyna wydawała się oszołomiona. – Otrzymasz też odpowiednią zapłatę. Za te kilka dni, kiedy będziesz dla mnie pracować.

– Tak, *milady*! Czego pani sobie życzy, *milady*?

Zobaczyć Cate'a! Nie mogła biegać jednak do niego z każdym głupstwem.

– Herbaty – powiedziała. Żałowała, że nie może zażyczyć sobie też brandy.

Dziewczyna dygnęła i wyszła.

Prudence potarła dłońmi twarz, wdychając słodki zapach mydła. Przynajmniej tego jej nie poskąpiono, a ręczniki uszyte były z najdelikatniejszego lnu, jakiego kiedykolwiek dotykała.

Poza tym, miała przecież brandy.

Wyjęła flaszeczkę, przypominając sobie nagle, że Cate kupił ją w Londynie z myślą o niej. Nie oznaczało to, że ją kocha, ale przynajmniej o niej myślał. Zawsze to coś. Upiła odrobinę, ponieważ w butelce niewiele zostało, a pomyślała, że wkrótce alkohol znów może być jej potrzebny.

Holenderski środek na odwagę, powiedział Cate o dżinie. Może brandy była środkiem francuskim. Czymkolwiek była, pora rozgościć się w apartamencie.

Weszła do buduaru – jasnego pomieszczenia z delikatnym chińskim dywanem pośrodku podłogi. Na niebieskich ścianach wisiały obrazy przedstawiające kwiaty.

Przed kominkiem ustawiono sofę i dwa wyścielane fotele, a obok okna niewielki stół. Przy ścianie stały pusta biblioteczka

i sekretarzyk.

W pokoju nadal czuło się obecność innej osoby. To był prywatny pokój Artemis, miejsce, gdzie czuła się u siebie. Kolejne, z którego przegnała ją śmierć. Jakież to wszystko skomplikowane!

Sekretarzyk był piękny. Przesunęła palcem po wieku ozdobionym kwietną intarsją. Kiedy uniosła pokrywę, zobaczyła skórzaną podkładkę do pisania obramowaną złotem. Wnętrze pokrywy zdobiły sceny miłosne z pasterkami i pasterzami.

Dlaczego Artemis nie zabrała sekretarzyka i innych przedmiotów mających dla niej wartość tam, dokąd się przeniosła? Czy gdyby jej to zaproponowała, wpłynęłoby to na ich stosunki? I czy poczułaby się urażona, gdyby Prudence usunęła wszystko i zastąpiła meble innymi?

Może Artemis zostawiła je, ponieważ kochała Keynings równie mocno jak Cate i nie chciała go opuszczać. Może, podobnie jak ojciec Prudence, czepiała się uparcie nadziei, że coś się zmieni i wszystko znów będzie jak przedtem.

A co z matką Cate'a? Czy również modliła się, by jej ukochany starszy syn, ten dobry, wstał z grobu niczym Łazarz?

Prudence westchnęła i wysunęła płytkie szufladki. Były puste. Będzie potrzebowała papieru listowego, piór, atramentu, wosku do pieczętowania...

Pieczęci takiej, jaką miał Cate?

Zbyt wielu rzeczy musiała szybko się dowiedzieć. Za dużo mogła popełnić błędów. Takich, na jakie miała nadzieję Artemis.

Spojrzała tęsknie na drzwi sypialni Cate'a, odwróciła się jednak i weszła do ubieralni.

Jak powiedziała Artemis, pomieszczenie było niewielkie, a ładna bieliźniarka zbyt duża jak na tę przestrzeń. Otwarła ją i przekonała się, że choć jest pusta, jak się spodziewała, przynajmniej pozostał w niej zapach perfum poprzedniej właścicielki. Wyczuła lawendę i różę. Szeptały o ogrodach, śmiechu i dniach pełnych szczęścia.

Odkąd się skończyły, minęło przecież zaledwie kilka tygodni.

Już miała zamknąć drzwi do tych zdruzgotanych marzeń, ale się rozmyśliła. Otworzyła je szeroko, podobnie jak okno.

Co się stało, to się nie odstanie.

Trzeba zaprowadzić nowy porządek.

Usłyszała dziecięcy śmiech.

Wychyliła się i zobaczyła dwie dziewczynki bawiące się w zalanym słońcem kwiatowym ogrodzie. Towarzyszyła im służąca. Czarne sukienki kontrastowały z zielenią trawy i barwnymi kwiatami, dziewczęta biegały jednak wokół tyczek podtrzymujących rośliny, pokrzykując radośnie, a czarne wstążki powiewały na wietrze.

Dzieci Artemis. Gdyby jedno z nich było chłopcem, wszystko wyglądałoby teraz inaczej.

Usłyszała jakiś dźwięk i wróciła do buduaru. Inna służąca rozstawiała na stoliku serwis do herbaty. Była dobrze po trzydziestce i o wiele lepiej ubrana.

– Gdzie Karen? – spytała Prudence.

– Wróciła do zwykłych obowiązków, *milady*. Życzy pani sobie czegoś jeszcze?

– Kim jesteś?

– Rachel, *milady*. Osobista pokojówka Artemis, lady Malzard. – Kobieta była bardzo grzeczna. Zbyt grzeczna. Chociaż jej zachowaniu nie dało się nic zarzucić, Prudence czuła, że w głębi duszy służąca nią pogardza.

– Dziękuję, Rachel, lecz nie chciałabym dokładać ci pracy. Karen doskonale da sobie radę, póki nie zatrudnię własnej pokojówki.

– To nie byłoby odpowiednie, *milady*.

Prudence przygwoździła ją spojrzeniem.

– Ja decyduję, co jest odpowiednie. Zabierz tacę i poleć Karen, by ją przyniosła.

Pierś Rachel uniosła się, jakby pokojówka miała ochotę zaprotestować, powstrzymała się jednak, ustawiła naczynia z powrotem na tacy i wyszła.

Prudence czekała, przygotowując się w duchu na kolejną batalię, ale po chwili Karen wróciła, zmagając się z tacą, być może dlatego, że niemal trzęsła się ze strachu.

O, nie...

– Przysporzyłam ci kłopotów? – spytała Prudence.

– Nie, *milady*! Chociaż – dodała, stawiając tacę – niektórym to się z pewnością nie spodoba.

Odsunęła się o krok, lecz Prudence poleciła:

– Ustaw wszystko na stoliku.

– Przepraszam, *milady*, ja...

– Nie oczekuję, że będziesz wszystko wiedziała, Karen, tylko że zechcesz się uczyć.

– Tak, *milady*. – Mimo to ręce drżały jej, kiedy stawiała na stole czajniczek, dzbanek z wodą, filiżankę, spodek, cukier, pojemnik

na śmietankę i talerz ciasteczek. Odsunęła się, przyciskając kurczowo tacę do piersi.

Prudence usiadła, świadoma tego, iż odczuwa pokusę, by zaprzyjaźnić się z dziewczyną. Nie była aż tak bardzo podobna do Hetty – już choćby dlatego, że nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat – podobieństw było wszakże wystarczająco dużo, by Prudence się o nią troszczyła. Wiedziała jednak, że musi utrzymać dystans – dla dobra ich obu.

Herbata została już zaparzona, co sprowadziło jej myśli na inne tory. Kto pilnował zużycia cennych liści? W Blytheby jej matka strzegła puszki niczym cerber. Susan robiła to samo w Darlington.

– Herbata jest doskonała – powiedziała. – Kto ją przygotował?

– Pani Ingleton, *milady*.

Prudence się odprężyła. Nie będzie musiała walczyć o to z Artemis.

– Lecz lady Malzard... – zaczęła Karen – mam na myśli tę drugą lady Malzard, i wdowa mają własne puszki.

– Szwagierkę mojego męża powinno się tytułować Artemis, lady Malzard – pouczyła ją Prudence, zastanawiając się, czy naprawdę sama dopiero co uzyskała potrzebne informacje. To dlatego Karen przypominała jej Hetty. To, iż była młoda i niedoświadczona, nie świadczyło jeszcze, że jest też głupia.

– Wkrótce ja też będę miała własną – odparła, sięgając po ciasteczko. Było lekkie, o smaku cytrynowym, przepyszne. Ledwie zdołała się powstrzymać, by nie poczęstować Karen.

Z drugiej strony, być może osobista pokojówka może korzystać z tak drobnych przyjemności. Będzie musiała się dowiedzieć.

Tylko od kogo? Nie ufałaby niczemu, co powie Artemis, a Cate zapewne nie wiedział. Może więc Perry?

Karen mogła posiadać jednak inne przydatne informacje.

– Kiedy powiedziałaś, że niektórym to się może nie spodobać, miałaś na myśli służących wyższej rangi, którzy uznają, że to ktoś z nich powinnien zostać wybrany.

– Tak, *milady*, ale chodzi tak naprawdę o wszystkich. – Uniosła wyżej brodę. – Widzi pani, teraz stoję wyżej od nich.

– Naprawdę? Jakim sposobem?

– W hierarchii, *milady*! Każdy służący ma w niej swoje miejsce, lecz osobiści słudzy, tacy jak pan Ransom i panna Gorley, otrzymują tytuł po swoim chlebodawcy. I tak pan Ransom to milord albo lord Malzard, a panna Gorley *milady* lub lady Malzard. Przypuszczam, że teraz będziemy zwracać się do niej Artemis, lady Malzard. Jak pani widzi, będą musieli zwracać się teraz do mnie: *milady*!

Oczy dziewczyny zabłysły, mimo to nadal ściskała kurczowo tacę.

Prudence opróżniła filiżankę, a potem znowu ją napełniła. Cytrynowe ciastko utknęło jej w przełyku. Nagłe wywyższenie nie było wyłącznie błogosławieństwem. Wiedziała o tym, podobnie jak Cate.

– Wolałabyś nie zajmować tego stanowiska, Karen?

Dziewczyna zagryzła wargi.

– Sama nie wiem, *milady*. To podniecające i będę mogła śmiać się zazdrośnikom w twarz, lecz nie wydaje się słuszne.

Prudence odstawiła filiżankę. Dłonie drżały jej tak bardzo, że zadźwięczała porcelana. Cate ostrzegał ją, że służba ma bardzo

silnie ugruntowane przekonania, co jest słuszne, a co nie, a ona wywróciła wszystko do góry nogami. Wina leżała głównie po stronie Artemis, lecz konsekwencje poniesie ona, Prudence. Poza tym nie wiedziała, jak uwolnić się od tego dziecka, nie powodując jeszcze większego zamieszania.

Najchętniej odesłałaby Karen i spokojnie się zastanowiła, ale czy inni służący nie będą wobec niej okrutni? Znali z pewnością sposoby, aby się na dziewczynie odegrać.

Musi znaleźć dla niej zajęcie.

– Jak zapewne słyszałaś, lord i ja ucierpieliśmy w wypadku powozu. Musiałam zostawić bagaż, ale powinien wkrótce tu dotrzeć. Po drodze kupiliśmy jednak kilka najpotrzebniejszych drobiazgów.

Co się z nimi stało? Któryś z lokajów wyjął zapewne pakunek z powozu.

– Jest tam nocna koszula i kilka innych rzeczy. Znajdź je, proszę, i przynieś do ubieralni. Zanim włożysz coś do bieliźniarki albo komody, wytrzyj z kurzu szuflady.

Jeśli Artemis Malzard poczuje się tym urażona, niech się udławi.

– Tak, *milady*! – odparła Karen i pospiesznie wyszła.

Prudence opuściła głowę na dłonie, walcząc ze łzami i szukając drogi wyjścia z sytuacji, którą sama spowodowała. Po chwili odsunęła się od stołu Artemis i opuściła śliczny buduar Artemis.

Sypialnia nie przedstawiała się lepiej. Wystrój musiał być w całości zaaranżowany przez szwagierkę. Czy zdoła się zmusić, by spać w jej łóżku?

Załamana, podbiegła do drzwi następnego pokoju i otwarła je gwałtownie.

– Cate!

Odwrócił się, ubrany jedynie w szary szlafrok. Tuż za nim stał odziany w czerń lokaj. Obrzucił Prudence nieprzychylnym spojrzeniem, lecz Cate już ku niej szedł, wyciągając dłonie:

– O co chodzi? Co cię zdenerwowało?

Uścisnęła jego dłonie, ale zerknęła na emanującego dezaprobatą lokaja.

– Możesz odejść, Ransom – powiedział Cate, nie odwracając się.

Prudence odczekała, aż za mężczyzną zamkną się drzwi.

– Przepraszam. Nie dam rady. Wywołuję katastrofę, gdziekolwiek się obrócę! – próbowała zachować godność, ale opadła na pierś Cate'a, zanosząc się szlochem.

Przytulił ją, mówiąc coś, czego nie mogła usłyszeć, gdyż płacz zagłuszał wszystko. Próbowała go powstrzymać – dlatego że niepokoił Cate'a, a jej sprawiał ból, a także dlatego iż sądziła, że nigdy nie będzie w stanie przestać, zapłacze się na śmierć.

A potem strumień łez wysechł, pozostawiając ją osłabioną, wyczerpaną, zdolną jedynie leżeć.

Leżeć?

Na jego łóżku. W jego ramionach.

Jego cudownie silnych, niosących pociechę ramionach.

– To był trudny dzień, prawda? – zauważył.

Roześmiała się, umilkła jednak, nim śmiech obezwładnił ją jak wcześniej płacz. Podobno wariaci potrafią śmiać się niepowstrzymanie godzinami. Z łatwością mogła to sobie wyobrazić.

– Naprawdę wywołałam katastrofę – wymamrotała w wełniany materiał jego szlafroka.

– Też mi się to przydarzyło raz czy dwa.

Spojrzała na niego.

– I co zrobiłeś?

– Chyba się upiłem. Mam brandy...

– Lepiej nie, bo jeszcze się przyzwyczaję.

Przesunął palcem po jej policzku, ocierając łzy.

– Tym, czego naprawdę teraz potrzebujesz, i ja także, jest sen. Możemy trochę się przespać, żono?

Nie. Nie mogłaby sprostać małżeńskim obowiązkom. Nie teraz.

Musiał odgadnąć, o czym myśli.

– Przespać – powtórzył bowiem. – I nic więcej.

– Karen...

– Karen?

– Karenhappuch. Córka Hioba.

– Jestem pewien, że to, co mówisz, ma sens, lecz teraz – posadził ją – pomogę ci wydostać się z sukni i gorsetu, a potem się prześpimy.

– Twój lokaj wróci.

– Nie, póki nie zostanie wezwany.

– Karen...

– Jeśli jest twoją pokojówką, zachowa się podobnie. Mamy pewne przywileje, żono, na przykład taki, aby móc położyć się spać o ósmej w letni wieczór.

– Nocna koszula...

– Ta, którą masz na sobie, wystarczy.

Rozpiął jej stanik, lecz zdjęła go sama, podobnie spódnicę, a potem odwróciła się, by pomógł jej rozwiązać troczki gorsetu. Intymność tych gestów nieco ją peszyła, była jednak za bardzo zmęczona, by się przejmować.

Bóg wie, co ludzie sobie pomyślą.

Lecz byli małżeństwem i mogli robić, co chcieli.

To była jej noc poślubna!

Zdjęła gorset i pończochy, odwrócona skromnie do Cate'a plecami. Podczas miesięcy spędzonych w White Rose Yard często sypiała w koszuli, by zaoszczędzić nocną bieliznę, lecz teraz uświadomiła sobie, że koszula sięga jej tylko do łydek i ma dekolt tak głęboki, że ledwie zakrywał uwolnione z gorsetu piersi.

Włosy miała nadal upięte, wyciągnęła więc szpilki, oglądając się za siebie.

Cate'a w sypialni nie było. Po chwili wrócił jednak ubrany w koszulę nocną i szlafrok, zakrywający go od stóp po szyję. Opuścił brokatowe kotary w oknach, odcinając dopływ światła. W pokoju zrobiło się niemal ciemno. Mimo to zauważyła, że oszczędza zranioną nogę.

– Jak rana?

– Goi się. Ransom postarał się o cudowną maść pani Ingleton i posmarował nią także mój bok. Doskonale się sprawdzała, gdy byliśmy z Roem chłopcami, lecz ranom nie zaszkodzi z pewnością, jeśli spokojnie poleżę. – Odsunął przykrycie i odwrócił się do Prudence. – Chodź do mnie i odpręż się, moja droga.

Odrobina spokoju, aby rany mogły się zagoić. Z pewnością jej ranom też by się to przydało, chociaż nie były fizycznej natury.

Po obu stronach łoża przystawiono schodki, wdrapała się więc na materac i wtuliła pomiędzy chłodne, pachnące słodko prześcieradła, a potem szybko naciągnęła je pod brodę i przyglądała się, jak Cate zdejmuje szlafrok.

Naprawdę nie zamierza nic zrobić?

Wspomniała dotknięcia i pocałunki i poczuła przypływ pożądania, lecz jej zmęczone ciało mówiło „nie". Miała nadzieję, że nie będzie musiała wyrażać odmowy słowami. Cate okrążył łóżko i zaciągnął wokół niego zasłony, odcinając ich od świata. Nagle stało się miejscem, gdzie mogli spać, po prostu spać. Po tygodniach pełnych niepokoju, bezsennych nocy i długim, wyczerpującym dniu znalazła wreszcie spokój, bezpieczeństwo i możliwość odpoczynku.

Poczuła, że Cate układa się obok niej.

– Nie dzieliłam nigdy z nikim łóżka – powiedziała. – To bardzo przyjemne. I dodaje otuchy.

– Ja też nie dzieliłem z nikim łóżka w ten sposób – zapewnił. – Masz jednak rację. To rzeczywiście przyjemne.

Najchętniej przysunęłaby się bliżej, wtuliła w jego ramiona, powiedział jednak, że będą tylko spać i tak naprawdę tego właśnie pragnęła. Ale musiała jeszcze coś wyznać, nim będzie mogła odpocząć.

– Spowodowałam katastrofę, Cate. Zapewne kolejne pandemonium...

Odszukał jej dłoń i ją uścisnął.

– Czy sytuacja pogorszy się do rana?

– Nie sądzę, ale...

Przysunął się bliżej i pocałował ją.

– Śpij zatem, moja żono. Rankiem stawimy czoło gniazdu demonów. – Pocałował ją znowu, bardzo czule, a potem się odwrócił.

Prudence uśmiechnęła się w ciemności i pozwoliła, aby ogarnął ją sen.

# Rozdział XXIV

Cate obudził się. Przywykł już na tyle do wielkiego łoża, by zastanawiać się od razu nad wyzwaniami, jakie przyniesie mu dzień. A potem przypomniał sobie o leżącej przy nim kobiecie.

O swojej żonie.

Rozsunął ostrożnie kotary przy łóżku, wpuszczając stłumione światło. Prudence leżała na boku, odwrócona do niego plecami, z rozrzuconymi bladozłotymi włosami.

Uśmiechnął się, zwalczył pokusę, by dotknąć tych włosów, przygładzić je. Jednak przemożna chęć, by pocałować wyłaniający się spod nich kawałek nagiej skóry na karku wynikała z potrzeby znacznie głębszej. Nagie ramię Prudence kusiło, podobnie krzywizna biodra i zagłębienie talii. Czuł jej zapach – świeży, pociągający... i zabroniony.

Nie wolno mu pójść tam, dokąd zaprowadziłoby go dotykanie jej, całowanie szyi, gładzenie nagiego ramienia. Nic nie wskazywało, by miała okres, a nie życzył sobie, aby nad

pochodzeniem ich pierwszego dziecka zawisł choćby cień wątpliwości.

Dzięki Bogu, nie będzie miała nic przeciwko zwłoce. Dała mu to jasno do zrozumienia poprzedniej nocy. Nie było w tym nic dziwnego. Prawie się nie znali. Nie czuł się co prawda, jakby Prudence była kimś obcym, ale tak właśnie było, a zwłoka pozwoli mu zabiegać o jej względy i uwodzić ją tak, jak powinna być uwodzona i czego dotąd los jej odmawiał.

Przewrócił się na plecy i spojrzał na przeklęty wschód słońca. Zaczął myśleć o Ludwiku XIV i o tym, co francuski król mógł mieć wspólnego z Keynings – przynajmniej z Keynings jego młodości.

Zapomniane przez noc problemy zaczęły wracać. Najchętniej zaciągnąłby na powrót kotary i odciął się od gniewnego, potępiającego świata. Nie mógł jednak tego zrobić. Należało stawić czoło rodzinie, a podwładni też pewnie przestępują już z nogi na nogę, wyczekując chwili, gdy będą mogli zapędzić go do obowiązków.

Matka musi być wściekła. Jeśli nie wyjdzie ze swoich apartamentów i nie okaże się łaskawa, trzeba będzie z nią porozmawiać. Dzięki ci Boże, za Artemis, pomyślał. Okazała Prudence uprzejmość, zapewni jej więc zapewne towarzystwo i pomoże przetrwać najgorszy czas. Artemis opuści jednak wkrótce Keynings i kogo będzie wtedy miała nowa hrabina?

Jego, tylko że musiał jeszcze tyle się nauczyć! Będzie zajęty od świtu do zmierzchu. Co więcej, wkrótce powinien udać się do Londynu, przedstawić na dworze i dopełnić formalności związanych z zajęciem miejsca w parlamencie. Czy powinien zabrać ze sobą Prudence? Wprowadzić żonę w świat, który

z pewnością okaże się dla niej jeszcze bardziej przerażający? A może zostawić ją w Keynings samą?

Do licha! Nie mógł zachować się inaczej w kościele ani potem. A może i nie chciał.

Spojrzał na nią znowu. Pociągała go od pierwszej chwili i nie pozwoliła o sobie zapomnieć. Kupił jej prezent, choć nie spodziewał się Prudence więcej zobaczyć. Myślał o niej, martwił się o nią. I nadal czuł, że jest kobietą, która powinna była zostać jego żoną, dzielić z nim łoże.

A potem przypomniał sobie dziedzica Trenta i wdowę po właścicielu gospody. Małżeństwo wywołało przed dziesięcioma laty skandal towarzyski w okolicy. Ze zdumieniem przekonał się niedawno, że afera nie została zapomniana, a pani Trent nie przyjmowano w co lepszych domach.

Oczywiście, z Prudence sprawa miała się inaczej – urodziła się we dworze. To, jak spędziła ostatnie lata, z pewnością obróci się przeciwko niej, jeśli tylko wyjdzie na jaw, a wydarzenia w Darlington mogą naznaczyć ją na zawsze.

Nie dopuści do tego. Jest przecież lordem Malzard! Okoliczna szlachta będzie musiała zaakceptować jego żonę albo polecą głowy.

Za trzy dni wypadała niedziela, a Malzardowie z Keynings szli zawsze wtedy na mszę do wiejskiego kościoła razem z przedstawicielami co bardziej znaczących rodzin z sąsiedztwa. To będzie pierwszy test i lepiej, by zdali go na piątkę.

Wstał i rozpoczął pracowity dzień, żałując pocałunku, którego nie złożył na kremowej skórze karku żony.

* * *

Prudence budziła się z wolna w wygodnym łożu. Czuła się tak dobrze jak chyba nigdy przedtem. Komfort, bezpieczeństwo i całkowite odprężenie.

Lecz potem przypomniała sobie niepokojące sny – przy czym nie wszystkie były koszmarami.

Draydale w kościele, z poczerwieniałą z gniewu twarzą.

Szokująco bolesny cios.

Przerażający wypadek spowodowany przez Henry'ego Draydale'a po to, by okaleczyć ich lub zabić.

Może najgorszy był jednak czas, kiedy sądziła, że Cate kocha inną – śliczną, doskonałą lady Malzard.

Odwróciła się do niego, w ciemności nie mogła jednak zobaczyć, gdzie jest. Wyciągnęła z wahaniem dłoń, szukając męża.

I nie znalazła.

Usiadła i rozsunęła story.

Była sama w łóżku. Która też mogła być godzina? Przesunęła się, rozchyliła kotary z drugiej strony, żeby spojrzeć na zegar i zobaczyła Cate'a. Stał, ubrany w szlafrok i uśmiechał się do niej. Wyglądał cudownie: wysoki, o szerokich ramionach, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami.

– Dzień dobry – powiedział.

Prudence cofnęła się nieco i naciągnęła pospiesznie kołdrę na piersi, a potem przygładziła potargane włosy.

– Która godzina?

– Trochę po ósmej. Nie dasz się raczej skusić na przejażdżkę?

– Nie. I ty też nie powinieneś, zważywszy na rany.

Uśmiechnął się szeroko.

– Miło, że się o mnie martwisz. Tak czy inaczej, szkoda. Mam nadzieję, że szybko nauczysz się jeździć. Znajdę ci dorado.

– Czy to specjalny rodzaj siodła? – spytała. Oby okazało się wygodne i bezpieczne.

– To maść. Bladozłota z kremową grzywą i ogonem. Jak ty.

– Chcesz powiedzieć, mężu, że mam żółtawą cerę i końską twarz? – Uśmiechała się jednak. Uwielbiała się z nim przekomarzać.

– I na dodatek twardą głowę, o ile pamiętam. – Podszedł i pocałował ją. – Masz mleczną cerę, włosy niczym jasny, złocisty jedwab, a dowcip ostry jak sztylet. Zaprosisz mnie, bym zjadł z tobą śniadanie w buduarze, żono?

Prudence uświadomiła sobie, że się czerwieni.

– Oczywiście.

– To zamów je szybko. Umieram z głodu.

Wyszedł przez boczne drzwi. Mimo że wspomniał o pośpiechu, nie była w stanie się poruszyć, siedziała jeszcze przez chwilę oszołomiona. Wreszcie otrząsnęła się, wstała, chwyciła porzucone niedbale ubranie i pobiegła do swej sypialni. Nie musiała zastanawiać się, co założy, skoro miała tylko jedną suknię.

Woda do mycia. Jak polecić, by przyniesiono jej wodę?

Pożałowała, że nie ma proszku do czyszczenia zębów. Dowiedziała się o jego istnieniu w Darlington, był to wielki postęp w porównaniu z solą, której używała wcześniej. Proszek znajdował się jednak, oczywiście, w kufrze. Czy bagaż dotarł już do Keynings?

Jak przywołać Karen? Nie da rady włożyć bez pomocy gorsetu. Kiedyś nosiła taki zawiązywany z przodu, w wiejskim stylu,

oddała go jednak biednym, podobnie jak resztę swoich ubrań, i teraz miała jedynie modne, zawiązywane z tyłu.

Jak wezwać pokojówkę? Co za idiotyczny problem! W Blytheby wystarczyło, że sir Joshua krzyknął. Keynings było jednak znacznie większe, poza tym i tak nie zdobyłaby się na to, by głośno zawołać.

Spojrzała na stanik i spódnicę, zastanawiając się, czy nie da się nosić ich bez gorsetu. Wyglądałyby jednak okropnie. Ruszyła do ubieralni z nadzieją, że w nocy dostarczono jednak kufer. Miała tam ładny szlafrok, doskonale nadający się, aby zjeść w nim śniadanie.

A potem zobaczyła nową koszulę nocną. Czy Karen wiedziała, że koszula pozostała nietknięta? I czy to o czymś świadczyło...?

O czymś, co się nie wydarzyło, choć mogło?

Chwyciła koszulę i narzuciła ją na tę, którą miała już na sobie. Zakryła ją od stóp po szyję i od razu poczuła się pewniej. Otworzyła drzwi do ubieralni i zobaczyła Karen. Dziewczyna siedziała pod oknem i szyła.

Na widok pani zerwała się na równe nogi.

– Woda do mycia, *milady*? Śniadanie?

W czystej szarej sukience i czarnym fartuszku prezentowała się zdecydowanie lepiej. Może nawet się wykąpała, wyglądała bowiem na doszorowaną. Ktoś w domu starał się poprawić nieco sytuację i było to pocieszające.

– Jedno i drugie – poleciła. – Wodę od razu, a śniadanie w buduarze dla mnie i dla lorda. – Już samo wypowiedzenie tych słów sprawiło, że się zarumieniła.

Pokojówka dygnęła, a potem zaskoczyła Prudence, wychodząc przez drzwi w kącie pokoju. Były niemal tak samo płaskie jak ściana i pomalowane na ten sam kolor. Gdy je otwarła, zobaczyła zwyczajną klatkę schodową. Schody umożliwiały osobistej pokojówce lub lokajowi krzątanie się po ubieralni bez zakłócania spokoju panu lub pani.

Karen nie skorzystała wcześniej z tych schodów, gdyż jako posługaczka pewnie w ogóle o nich nie wiedziała. Przywykła czyścić kraty kominka i szorować podłogi, zanim rodzina się obudziła.

Czy dostarczono w nocy kufer? Prudence otworzyła bieliźniarkę. Niestety, znalazła tam jedynie rzeczy, które kupili po drodze, lecz zapach perfum Artemis zniknął. Ten, który unosił się w szafie teraz, nie był specjalnie przyjemny – zapewne miał odstraszać mole – ale nie przywoływał duchów przeszłości. Znalazła czystą koszulę oraz pończochy i zabrała je do sypialni.

Karen wróciła drogą, którą wyszła, i nalała do miski gorącej wody.

– Zaciągnij, proszę, zasłonę wokół umywalki – poleciła. – Wolę myć się na osobności. – Może wyrafinowane damy nie dbały o to, że pokojówka widzi je rozebrane, lecz Prudence to krępowało.

Gdy Karen zrobiła, co jej polecono, weszła za parawan i rozebrała się.

– Ktoś uczy cię, jak być pokojówką? – spytała.

– Tak, *milady*. Wdowa. To znaczy, panna Hopkins, *milady*.

– To bardzo uprzejme z jej strony. – Czy wróżyło to dobrze, jeśli chodzi o prawdziwą hrabinę wdowę?

– W rzeczy samej, *milady*. I ze strony pani Ingleton, która jej to poleciła.

A tak, gospodyni – tu raczej nie należało spodziewać się wiele, lecz jej zachowanie nie świadczyło przynajmniej o otwartej wrogości.

Zaczęła myć się pospiesznie i na tyle dokładnie, na ile było to możliwe, zastanawiając się, czy hrabina może, ot, tak, zażyczyć sobie kąpieli.

– Ktoś był dla ciebie niemiły? – spytała.

– Wiem, że kilkoro skarżyło się pani Ingleton, ale potraktowała ich ostro. Niech sobie mówią, co chcą – dodała dziewczyna zuchwale – nadal muszą zwracać się do mnie *milady*.

Prudence się skrzywiła. Niemal czuła, jak pandemonium narasta.

– Czysta koszula, Karen.

Dziewczyna podała jej koszulę, a potem zasznurowała tasiemki gorsetu.

– Jest naprawdę śliczny, *milady* – powiedziała. A potem: – Przepraszam. Nie powinnam tyle paplać.

– Powiem ci, kiedy masz paplać, a kiedy nie. Chętnie posłuchałabym, o czym się mówi w domu.

Dziewczyna nie zrozumiała jednak aluzji.

Kiedy gorset był już zasznurowany, Prudence odwróciła się, żeby włożyć halkę, i zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Jej włosy wyglądały jak ptasie gniazdo, a nadal nie miała grzebienia! A potem spostrzegła na toaletce szczotkę i grzebień.

– Czyje to? – spytała. Jeśli należały do Artemis, nawet ich nie dotknie.

– Są pani, *milady*. Pani Ingleton się o nie postarała. Trzyma takie rzeczy dla gości. A ja mam wyszczotkować pani włosy.

Perspektywa wydała się Prudence dość przerażająca, okazało się jednak, że dziewczyna była aż zbyt delikatna. W końcu odebrała jej szczotkę i zaczęła szczotkować energicznie włosy. Rozplątała kilka kołtunów, krzywiąc się na myśl o tym, jaki widok ukazał się Cate'owi rankiem.

– Wasza lordowska mość! – wykrzyknęła cicho Karen.

Prudence odróciła się i zobaczyła Cate'a.

Pomimo iż spędzili razem noc, zasłoniła odruchowo dekolt dłonią, świadoma, że głęboko wycięty gorset unosi jej piersi, a spod krótkiej halki wystają gołe łydki.

Cate się uśmiechnął.

– Czarujący widok.

Miał na sobie inny szlafrok – tym razem zielony – a pod spodem koszulę i bryczesy.

– Możesz odejść – powiedział do Karen, która dygnęła tak głęboko, że omal się nie przewróciła, a potem umknęła onieśmielona. Cate wyjął Prudence z rąk szczotkę.

– Ja to zrobię.

– Nie powinieneś...

– To zabronione? – Przeciągnął delikatnie szczotką po włosach Prudence, które, prawdę mówiąc, wcale tego nie potrzebowały.

– Przyglądałem się, jak czesałaś włosy w domu na farmie i byłem oczarowany.

– Oczarował cię widok mnie czeszącej włosy? – Coś poruszyło się głęboko we wnętrzu jej ciała.

– Właśnie – przytaknął. – Masz śliczny karczek. – Przypieczętował komplement pocałunkiem. – Byłaś wtedy na mnie zła.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Z powodu mojego oddania porażająco pięknej lady Malzard – kontynuował. – Rzeczywiście, bardzo mi się podoba i jestem cały na jej rozkazy.

Prudence odwróciła się i odebrała mu szczotkę.

– A ona przysięgła być posłuszna lordowi Malzard. Jakże jesteśmy zgodni!

Uśmiechnął się do niej.

– Lub niezdecydowani. Jedno wiem wszakże na pewno: gorset to najbardziej kusząca część garderoby damy. – Przesunął lekko palcem po wystającej falbance koszuli, tuż nad piersiami Prudence. – Więzi, ale i uwydatnia, zaprasza, ale i rzuca wyzwanie. – Pogładził szczyty jej piersi.

Prudence zaczerpnęła gwałtownie oddechu.

– Pozwolisz? – zapytał.

– Przysięgałam być posłuszna... – Nie była w stanie mówić głośniej niż szeptem.

Ostatnia noc... ostatnia noc przeznaczona była na wypoczynek. Czy to możliwe, by nadszedł właśnie czas...?

Pochylił się i pocałował ją w ramię, wywołując kolejny dreszcz i dziwne ściskanie głęboko w środku. O tak, zdecydowanie nadszedł czas. Objęła jego głowę i przyciągnęła, zachęcając do pocałunku.

W biały dzień.

Gdy w każdej chwili do pokoju mogła wejść Karen.

Nic jej to jednak nie obchodziło.

Cate usiadł obok na ławeczce, zwrócony do niej przodem, w pozie idealnej do całowania. Objął Prudence jedną ręką w talii, a drugą gładził jej nagie ramię, szyję, policzek.

Skóra przy skórze, tak rozpalone i połączone, jakby stanowili jedność. Przycisnęła się mocniej, żałując, że stykają się tylko górne części ich ciał i że mają na sobie aż tyle ubrań.

Wsunął dłoń w jej rozpuszczone włosy i objął głowę. Zrobiła to samo, przerywając pocałunek, by usiąść wygodniej...

Lecz wtedy Cate wstał i przesunął z wolna palcami wzdłuż jej ramienia ku dłoni, jakby się żegnał.

– Śniadanie gotowe?

Przywarła do jego dłoni, pragnąc przyciągnąć go z powrotem do siebie, jednak posiłek rzeczywiście już na nich czekał, poza tym chyba nie wypadało zachowywać się tak w biały dzień.

Puściła go zatem.

– Przejdź do buduaru – powiedziała tak spokojnie, jak tylko była w stanie. – Zaraz do ciebie dołączę.

– Jak zwykle na rozkaz, pani – posłał jej w powietrzu pocałunek i wyszedł.

Gdybym naprawdę mogła ci rozkazywać, tobyśmy się nie rozstawali.

Zaczerpnęła głęboko oddechu, by zapanować nad emocjami. Może poczekać. W końcu czekanie nie potrwa długo – zaledwie do wieczora. Dziś będzie ich prawdziwa noc poślubna.

Tylko że była wiosna i mieli przed sobą jeden z najdłuższych dni w roku...

# Rozdział XXV

Cate wszedł do buduaru i zobaczył, że śniadanie już na nich czeka. Potrawy ustawiono na małym stoliku przy oknie. W kuchni wiedziano, co lubi, znajdowały się tam więc wołowina i piwo. Nie znali jednak gustów Prudence, przysłano więc zarówno kawę, jak i czekoladę, kilka rodzajów chleba i talerz serów, pięknie pokrojoną szynkę i gotowane jajka.

Dobra robota. Musi pamiętać, by podziękować obsłudze kuchni.

Zasiadł do stołu głodny, gdyż poprzedniego dnia zjadł niewiele, lecz niespokojne myśli odbierały mu apetyt.

Co go opętało, żeby bawić się w uwodzicielskie gierki? Niemal złamał swoje postanowienie, a Prudence nie była wcale niechętna. Jej nieskrywany zapał o mało nie popchnął go do czegoś, czego zrobić jeszcze nie zamierzał.

A niech to diabli!

Odłożył sztućce i napił się piwa.

Weszła do buduaru całkowicie ubrana, z włosami ułożonymi w niewymyślną fryzurę.

– Jedz. Nie musiałeś czekać. – Usiadła, uśmiechnęła się i nalała sobie czekolady, opanowana i sprawna niczym zupełnie obca kobieta. Pragnął jej mimo to.

Skosztowała napoju, a potem powiedziała:

– Och, to najlepsza czekolada, jaką kiedykolwiek piłam.

– Muszę nagrodzić tego, kto ją przygotował – powiedział. Oblizała koniuszkiem języka kącik ust i omal nie stracił nad sobą panowania.

– Przepuścisz cały majątek – powiedziała. – Ponieważ jestem pewna, że wszystko w Keynings jest najlepsze.

– Zapłaciłbym każdą sumę, bylebyś była zadowolona.

Uśmiechnęła się, ewidentnie biorąc to za żart, choć tak nie było.

Musiała obywać się bez tak wielu rzeczy, że teraz nietrudno było ją uszczęśliwić. Zamierzał to czynić bez końca.

– Jeszcze dwa dni temu nie uwierzyłabym w to wszystko – powiedziała, smarując masłem bułeczkę. – Nadal nie wydaje się realne.

– Śniadanie?

Zerknęła na niego.

– Śniadanie z tobą.

Te oczy o ciężkich powiekach i szarobłękitnych, jakby przydymionych tęczówkach...

– Dwa dni temu przygotowywałaś się na ślub z Draydale'em – przypomniał jej. – Nie, przepraszam. Nawet o tym nie myśl.

Zamarła, ale po chwili znowu się uśmiechnęła.

– Nie zamierzam. Nigdy. A co ty robiłeś dwa dni temu?

– Jadłem śniadanie u Talbota i zamierzałem wybrać się do kościoła, żeby zobaczyć, jak moja dzielna Hera triumfuje... –

Kolejny niefortunny temat. – Opowiedz mi o małym pandemonium, które rzekomo spowodowałaś.

– Och. – Odłożyła bułkę. – Taniec demonów wokół Karen, mojej pokojówki – wyjaśniła.

– Karenhappuch, córki Hioba. Pamiętam. Wydaje się młoda jak na tę funkcję.

– I niedoświadczona.

– Zatem, dlaczego została twoją pokojówką?

Proste pytanie, na które nie była jednak w stanie odpowiedzieć. Zapomniała, iż nie będzie mogła wyjaśnić należycie sytuacji, nie wspominając o tym, jak bardzo Artemis nienawidzi Cate'a. Nadal nie chciała mówić mu o oskarżeniach szwagierki, musiała jednak o niej wspomnieć.

– Artemis ją przysłała – odparła zatem. – Chyba za mną nie przepada. To zrozumiałe. Zastąpiłam ją tutaj i nawet zajęłam jej pokoje.

– Opuściła je, gdy umarł Roe, więc nie ma to sensu. Musiało wyniknąć jakieś zamieszanie w kwaterach dla służby.

Prudence mogłaby się z tym nie zgodzić, tylko co by to dało?

– Wybierz inną pokojówkę – zaproponował.

– Karen jest szybka i chce się uczyć.

Ściągnął brwi, wyraźnie zaintrygowany.

– Ale potrzebujesz doświadczonej pokojówki, tak jak ja doświadczonego lokaja. Kogoś, kto pomoże ci wejść w miejscową społeczność.

Miejscowa społeczność. Boże, zapomniała, że poza tymi pokojami jest też cały wielki świat.

– Dopóki nie przybędzie mój kufer... – zaczęła.

– To powinno nastąpić jeszcze dzisiaj.

– Nawet wtedy, przecież nie mam nic stosownego do noszenia w okresie żałoby, nie mogę więc z nikim się spotykać.

– Ktoś może się pojawić nieproszony. Będziesz musiała stawić czoło sytuacji. Doświadczona pokojówka potrafiłaby też zająć się twoimi dłońmi.

– Twoje też nie są w najlepszym stanie – wytknęła mu.

Rozłożył palce i zobaczyła przycięte, starannie wypolerowane paznokcie.

– Jedna z pierwszych rzeczy, na jaką uparł się Ransom.

– Doskonale, ale i tak nie wytrząsnę doświadczonej pokojówki z rękawa.

– Matka ci pomoże.

– Twoja matka mnie unika.

Westchnął.

– Porozmawiam z nią.

Sprzeczali się, lecz odciągnęła skutecznie jego uwagę od Karen. Była to z jej strony słabość, ale akurat w tej chwili czuła, że dziewczyna jest w Keynings jedyną życzliwą jej osobą – poza Cate'em i Perrym.

– Twoje rany chyba dobrze się goją – zauważyła, sięgając znów po bułeczkę. – Nie kulejesz zbytnio, mimo to chciałabym, żebyś sprowadził lekarza. Niech je obejrzy.

Cate się uśmiechnął.

– Uwielbiam, kiedy się tak nade mną rozczulasz.

Będę więc to robiła rankiem, w południe i wieczorem, kochany.

– Obiecaj, że zarzucisz na jakiś czas jazdę wierzchem.

– To spore wyrzeczenie, ale i tak przez kilka najbliższych dni będę zapewne przykuty do biurka, a więc jedynym, co mnie rozboli, będzie zadek. – Nalał sobie jeszcze piwa. – Nadal nie rozumiem, na czym polega twój problem. Zatem, dziewczyna jest młoda i niedoświadczona.

– Wczoraj sytuacja wydawała się znacznie gorsza – odparła. – Choć nadal jest skomplikowana. Powiedziałam Karen, że może być przez jakiś czas moją osobistą pokojówką, nie wiedziałam wszakże, że oznacza to, iż jej status wśród służby znacząco wzrośnie.

Cate zagwizdał.

– Hrabina Malzard w kwaterach dla służby. Nic dziwnego, że Ransom wyglądał dzisiaj, jakby najadł się cytryn.

– Lecz jeśli zrezygnuję z usług Karen i dziewczyna wróci do obowiązków posługaczki, inni mogą zatruwać jej życie.

– Masz miękkie serce, Prudence, ale nie możesz zatrzymać jej jako osobistej pokojówki. Jest absolutnie nieodpowiednia.

– To ja jestem absolutnie nieodpowiednia.

– Co oznacza, że potrzebujesz pokojówki, która by to zrównoważyła.

Nie należało się spodziewać, iż Cate zaprotestuje, kiedy powiedziała, że tu nie pasuje.

– Świetnie. Ale dlaczego nie mogę zatrzymać też Karen po to, aby wykonywała drobne polecenia.

– Oczywiście, że możesz. Nasz status zapewnia przywileje, a jeden z nich polega na tym, iż możemy robić, co chcemy, oczywiście, w pewnych granicach. Będzie potrzebowała jasnego określenia swoich obowiązków oraz pozycji. Zapytaj Artemis.

Prudence udało się nie zareagować.

– Nie chcę zawracać twojej szwagierce głowy. To dla niej okropny czas.

– Masz rację. Nie wiem, jak udaje jej się zachować spokój.

Ponieważ podsyca w sobie nienawiść – rankiem, w południe i wieczorem.

Powstrzymywanie się przed tym, aby powiedzieć mu prawdę, zapowiadało się na istną torturę.

– Co planujesz dziś robić? – spytał.

Prudence uświadomiła sobie, że nie poczyniła żadnych planów. Nie mogła jednak chować się wiecznie w swoich pokojach, jakby się bała.

– Zamierzam poprosić gospodynię, aby oprowadziła mnie po domu.

– Niech pokaże ci kuchnie, spiżarnie i tak dalej, jednak po reszcie chciałbym oprowadzić cię sam. Ale dopiero za kilka godzin. Ledwie postawiłem nogę w Keynings, obarczono mnie nadzwyczaj pilnymi obowiązkami, a te zwyczajnie pilne tłoczą się w kolejce.

– Przykro mi. Nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć dom.

Dopił piwo i wstał.

– Nie zapomnij zamówić żałobnych strojów.

– Nie zapomnę, a kiedy odzyskam wreszcie swoje rzeczy, polecę, aby przefarbowano moją starą niebieską sukienkę. Macie tu kogoś, kto potrafi uszyć prostą suknię?

– Chyba szyją tutaj ubrania dla służby, a matka i Artemis potrzebowały przecież w ekspresowym tempie czarnych sukien. Spytaj Artemis.

Jeśli jeszcze raz to usłyszy, chyba się udławi.

– Zastanawiam się, czy nie odwiedzić twojej matki. – Zapewne wizyta nie byłaby ani trochę bardziej przyjemna niż spotkanie z Artemis, lecz ona przybyła tutaj, aby żyć, nie wspominać i się umartwiać.

– Mogę nakazać jej, by odwiedziła ciebie.

– Nie. To byłoby okropne.

– Nie zachowuje się stosownie.

– Przeżyła szok, i to tuż po tym, jak pochowała syna. Bądź dla niej wyrozumiały, Cate.

Skrzywił się w sposób, który powiedział Prudence, że naprawdę są z matką w nie najlepszych stosunkach. Może dałoby się jakoś to naprawić?

– Muszę zająć się obowiązkami. Pamiętaj, możesz zażądać wszystkiego, co jest ci potrzebne. I od każdego. Także od Perry'ego. To prawdziwa skarbnica wiedzy na temat wyższych sfer. Nie możesz jednak zajmować mu całego czasu. Zabawia się bowiem w mojego sekretarza.

– Zabawia się?

– Dla Perry'ego wszystko jest zabawą. Lecz wezwij go, jeśli chcesz. Wprowadzi cię w tajniki zaawansowanej etykiety.

Prudence wspomniała rozmowę o tytułach i to, że była wówczas z Perrym sama.

– Nie chcę zrobić nic, co byłoby choć odrobinę niestosowne.

– Więc niech wam towarzyszy pokojówka. Moda wręcz nakazuje, by dama miała adoratora, który spędza z nią czas, kiedy mąż ją zaniedbuje.

– Wolałabym nie być zaniedbywana.

– A ja wolałbym być z tobą, lecz obowiązki wzywają – podszedł i pocałował ją w policzek. – Nie przejmuj się matką. Nie jest delikatnym kwiatuszkiem i potrafi wykazać się żelazną wolą.

– Ona rozpacza, Cate.

– Tak, ale nad czym?

Dziwne pytanie.

– Idę stawić czoło moim demonom – powiedział lekko – i zacząć zmagania z innym.

– Co takiego?

– Chodzi o Draydale'a. Kiedy już dowiem się wszystkiego o jego grzeszkach, poślę łajdaka tam, gdzie jest jego miejsce.

Wstała.

– Zabijesz go? Cate, nawet lord może zawisnąć! Nie tak znów dawno jednego powieszono.

– Nie zamierzam go zabić, nawet w pojedynku. Dla człowieka takiego jak Draydale utrata majątku i władzy będzie znacznie dotkliwszą karą.

– O, tak. Chętnie bym to zobaczyła.

– Zobaczysz. Zniszczenie go nie powinno zająć mi zbyt wiele czasu, ale na razie lepiej uważaj. Nie włócz się sama po okolicy.

– Nie włócz?

– Nie wybiegaj jak szalona w noc. Albo i w dzień.

Nagle zrobiło jej się zimno.

– Sądzisz, że Draydale może pojawić się tutaj?

– Pojawić albo przysłać mniejszego demona. To brutal, który nie spocznie, póki nie pomści zniewagi.

– Lecz kiedy się dowie, kim jesteś, nie będzie śmiał.

– Uderzył cię w obecności miejscowych notabli – przypomniał jej Cate – co oznacza, że kiedy się wścieknie, traci rozeznanie. Ale tak, spodziewam się jakiegoś podstępu. Napiszę do twojego brata oraz Tallbridge'a, aby ich ostrzec.

– Powiadomisz ich, kim jesteś?

– To nie tajemnica.

– Nie, ale... Chyba powinnam napisać do Aarona. I tak zrobi to, co każe mu Tallbridge.

– Zrobi albo nie zrobi – wymamrotał Cate. – Płaci sporą cenę za to małżeństwo.

– Pamiętaj, że byłam skłonna zapłacić wyższą za swoje. Różnica polega jedynie na tym, iż Susan jest wystarczająco mądra, aby nie przypominać mu, jak jest zależny.

Tak jak ty próbujesz ukrywać to przede mną, lecz ja i tak wiem.

– Posmutniałaś. Z powodu swego niewiele wartego brata?

– Nie. Ostrzegam cię jednak: Susan zacznie przechwalać się pokrewieństwem z tobą przed całym Yorkshire i będzie chciała wybrać się tu z wizytą.

– Jeśli ty dasz radę znosić moją rodzinę przez cały czas, to i ja zniosę od czasu do czasu twoją.

Wyszedł, a Prudence mogła jedynie westchnąć. Śniadanie było czystą przyjemnością, nie wolno jej wszakże zapomnieć, że za ścianą apartamentu czai się piekło. Mogłaby zostać u siebie do chwili, aż Cate będzie wolny i oprowadzi ją po domu, ale ten dom należał teraz do niej i będzie musiała nim zarządzać. Unikanie tego oznaczałoby zwycięstwo Artemis i wdowy, a nie zamierzała pozwolić im triumfować.

Niechaj wspierają ją anioły!

# Rozdział XXVI

Obchód domu okazał się całkiem przyjemny. Pani Ingleton była spokojna, uprzejma i nadzwyczaj sprawna. Prudence nie udawała, że zna się na czymś, o czym nie miała pojęcia, jednak wspomnienia wyniesione z Blytheby bardzo jej pomogły. Wiedziała, że nawet szczątkowa wiedza zostanie odnotowana i będzie świadczyła na jej korzyść.

Pierwsze wrażenia, pierwsze wrażenia, powtarzała sobie, gdy przedstawiano jej służbę.

Cate mógł wcale nie żartować, kiedy powiedział, że nagrodzi osobę, która przygotowała czekoladę. Zatrudniał nie tylko kucharza, ale też cukiernika.

Dowiedziała się, że wdowa potrafi sporządzać doskonałe trunki, zatrudniano wszakże służącą, odpowiedzialną za tę sferę, i drugą, odpowiadająca za dżemy oraz przetwory. Keynings miało własną farmę mleczną, a także browar i, oczywiście, pralnię oraz magazyn z pościelą i tekstyliami.

Zarządzająca pralnią nazywała się, jakże stosownie, pani Waters i zapewniła Prudence, że nietrudno będzie ufarbować niebieską sukienkę.

– Chociaż nie wszystkie rodzaje materiałów dobrze przyjmują farbę, wasza lordowska mość. Trzeba po prostu spróbować.

– Sukienka jest stara, pani Waters, więc jeśli się zniszczy, nie będzie to wielka strata.

Wiedziała jednak, że byłoby jej przykro, gdyż straciła wiele godzin, próbując przyozdobić ją na ślub brata. Wydawało się, że było to w innym świecie, zakarbowała sobie jednak w pamięci, że musi napisać do Hetty i załączyć może jakiś prezent.

Przygryzła wargi, by nie roześmiać się na myśl o reakcji Hetty, kiedy ta dowie się, że była sąsiadka została hrabiną. Ależ zaczną się okrzyki i domniemania!

Magazyn z bielizną mieścił poukładane starannie na półkach wszelkiego rodzaju wyroby tekstylne, od ręczników po zasłony. Przy długim, dobrze oświetlonym stole siedziały dwie dziewczyny, naprawiając ledwie widocznymi szwami białe prześcieradła. Trzy następne zajęte były szyciem ubrań.

– Szyjemy tu jedynie najprostszą odzież, *milady* – poinformowała ją szwaczka, pani Sawley. – Na ogół dla służby.

– Mogłybyście uszyć mi prostą czarną suknię? – spytała Prudence. – Wkrótce przywiozą mój kufer, ale i tak nie ma w nim czarnych rzeczy.

Niech sobie spekulują, ile chcą.

– Oczywiście, *milady*, wystarczy nam dzień, jeśli będzie naprawdę prosta. Podaj krepę, Betty. – Jedna z dziewcząt wspięła się pospiesznie na drabinkę i zdjęła kupon materiału. – Zawsze

mamy ją pod ręką – wyjaśniła szwaczka – na wypadek... – Przygryzła wargi.

– To było okropne wydarzenie – zauważyła Prudence, mając nadzieję, że kobiety jej uwierzą. – I takie niespodziewane.

– Szokujące, *milady*. Szokujące.

Rozwinęła kupon i rozłożyła materiał na stole. Był tak matowy, że zdawał się pochłaniać światło. Wiedziała o tym, gdyż nosiła podobne ubrania, gdy zmarł jej ojciec.

– Proszę, uszyjcie suknię najszybciej, jak się da. I czepek.

Szwaczka wzięła miarę i zapewniła, że rankiem wszystko będzie gotowe. Tak oto, jeśli niebieska sukienka dobrze przyjmie farbę, będzie miała przynajmniej dwie czarne suknie.

Ruszyła dalej, posłusznie zwiedzając kolejne spiżarnie i magazyny i odnotowując, że co cenniejsze przedmioty trzymano pod kluczem. Pani Ingleton miała wszystkie klucze zawieszone przy pasku.

– Ile jest kompletów, pani Ingleton?

– Ja mam jeden, *milady*, a pan Flamborough drugi, choć rzadko się nimi posługuje. Przypuszczam, że jego lordowska mość także ma komplet, choć nie widziałam, by kiedykolwiek go używał. Oczywiście, niektórzy mają klucze do pomieszczeń, z których muszą korzystać, na przykład kamerdyner do piwniczki z winami...

– A obie lady Malzard? – spytała Prudence.

– O tak, oczywiście, *milady*! – Wydawała się jednak nieco zmieszana.

Prudence przypuszczała, że w normalnej sytuacji otrzymałaby już klucze Artemis, choć wdowa nie oddała swoich synowej, kiedy

Artemis zamieszkała w Keynings.

– Przypuszczam, że przygotujecie też komplet dla mnie? – spytała.

– Najszybciej jak się da, *milady*. Ślusarz natychmiast się tym zajmie.

Oczywiście, Keynings miało też własnego ślusarza. Podobnie jak zegarmistrza, który nakręcał zegary, uświadomiła sobie, gdy jeden z nich wybił jedenastą.

– Napiłabym się herbaty – powiedziała, rozpaczliwie pragnąc przerwy.

– Zaszczyci mnie pani i wypije ją w moim saloniku? Będzie pani miała sposobność zerknąć przy okazji do ksiąg.

Prudence najchętniej by uciekła, lecz jak mogłaby odmówić?

Nim mogła schronić się wreszcie w swoim sanktuarium, przerażona z lekka odpowiedzialnością, jaka spadła niespodziewanie na jej barki, minęła kolejna godzina. Od nadmiaru informacji rozbolała ją głowa.

Mogłaby pozostawić zarządzanie domem pani Ingleton, ale choć gospodyni wydawała się w najwyższym stopniu kompetentna, byłoby to uchylanie się od obowiązków. Mogłaby zdać się też na Artemis i teściową, lecz prędzej najadłaby się szkła. Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak bardzo chce udowodnić, że potrafi im dorównać. Mogła jedynie mieć nadzieję, że nadmiar odwagi nie doprowadzi do poważniejszej katastrofy.

– O, jest pani, *milady*. Potrzebuje pani czegoś?

Karen wyszła z ubieralni. Prudence uświadomiła sobie, że zapomniała o dziewczynie. Lecz kiedy powiedziała: „Nie”, Karen wydawała się rozczarowana.

– Czekałaś tu przez cały czas, nie mając nic do roboty?

– Na tym polega moja praca, *milady* – stwierdziła Karen z godnością. – Jestem jak dama dworu. Tak mówi pani Ingleton. Zresztą, mam tu koszyk z szyciem.

Prudence zastanawiała się, czy dziewczyna nie wolałaby spędzać choć części swego czasu w bardziej przyjaznym otoczeniu służbowych pomieszczeń i czy ceniła sobie awans. Do licha, pomyślała, kwatery dla służby wydają się bardzo przytulnym miejscem.

– Gdzie sypiasz, Karen?

– Tuż pod panią, *milady*! Mam własny pokój! – To było najwidoczniej wielkie szczęście. – Może pani zastukać w podłogę w nocy i ja usłyszę, lecz jest też dzwonek. Tutaj.

Podeszła do wezgłowia łóżka i pokazała Prudence sznur, znikający w otworze w podłodze. Pociągnęła za niego i Prudence usłyszała odległe dzwonienie.

– To bardzo sprytne.

– Prawda? Nie wiedziałam o takich rzeczach.

– Umiesz czytać, Karen?

Pokojówka zrobiła zawstydzoną minę.

– Tylko odrobinę, *milady*. Przepraszam...

– To nie twoja wina. Jaką edukację otrzymują dzieci we włościach?

– Stara pani Wright uczy je trochę czytać z Biblii w niedziele, *milady*. Była ponoć guwernantką lady Arabelli i z racji podeszłego wieku została w Keynings, kiedy jej podopieczna wyszła za mąż.

– Lady Arabelli? – spytała Prudence, niepewna, czy ma w głowie dość miejsca, aby przyswoić kolejną informację.

– Siostra jego lordowskiej mości. Ma teraz pięcioro dzieci. Gdy przyjechali w zeszłym roku z wizytą, okazało się, że to prawdziwe małe łobuziaki, zwłaszcza chłopcy. Och, przepraszam, *milady*. Znowu paplę.

– Powiem ci, kiedy zacznie mi to przeszkadzać. Ilu chłopców?

– Trzech, *milady*, i same z nimi kłopoty.

Prudence wyobraziła sobie, jak musiała cierpieć Artemis i jej mąż, którzy stracili nie tylko ukochane dziecko, ale i dziedzica.

Wróciła myślami do kwestii wykształcenia. Oto właściwe pole do działania dla damy, a ona była szczerze zainteresowana edukacją. Chociaż nie miała powołania, by uczyć, widziała, jaką korzyść odnoszą ze spotkań z nią dzieci Hetty.

Dzieci Hetty. Kiedy wyjechała, straciły nauczycielkę i świadomość tego napawała ją smutkiem. Może byłaby w stanie wysłać im kilka prostych lekcji.

Musi zacząć zapisywać swoje pomysły.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć papier listowy, pióra i temu podobne, Karen?

– Nie, *milady*.

– Jestem pewna, że nie należy to do twoich obowiązków. Idź, proszę i zapytaj panią Ingleton, a jeśli okaże się to możliwe, przynieś potrzebne rzeczy do mojego buduaru.

Pokojówka oddaliła się pospiesznie, a Prudence podeszła do okna i wyjrzała na rozciągający się pod nim trawnik. Czy to możliwe, aby na zewnątrz czaiło się niebezpieczeństwo? Nietrudno jej było wyobrazić sobie, jak Henry Draydale wysyła jednego ze swych odrażających pomagierów, by czegoś spróbował. Usiłowała nie zwracać na to uwagi, wiedziała jednak, że

zatrudnia kilku bezlitosnych mężczyzn, aby ściągali dla niego długi oraz eksmitowali lokatorów, którzy nie byli w stanie płacić czynszu. Bez wątpienia robili też inne rzeczy, niezbędne, by wszystko szło po jego myśli. Widywała, jak traktuje dzieci i służbę, i zaczynała podejrzewać, że doprowadził swą drugą biedną żonę do załamania. A co stałoby się z nią? Jaką miałaby możliwość ucieczki? A pewnie musiałaby uciekać, podejrzewała bowiem, że doprowadzona do ostateczności mogłaby w desperacji zabić tego człowieka. Nie siebie. Jego.

Dotknęła noża w kieszeni. Nosiła go zawsze przy sobie. Na wszelki wypadek.

W tej akurat chwili ogrody i park wydawały się oazą spokoju. Bezruch zakłócało jedynie stadko pasących się saren i niespieszny ruch drobnych fal na jeziorze.

– Mam wszystko, *milady*! – zawołała Karen, wbiegając do pokoju. – Papier. Na sekretarzyku. Przywieźli też pani kufer! Pójdę i każę im wnieść go na górę.

Wybiegła, a Prudence przeszła do ubieralni. Nareszcie. Wkrótce będzie miała ufarbowaną suknię i, co ważniejsze, kilka cennych pamiątek, które sprawią być może, iż poczuje się w domu Cate'a choć trochę mniej obco.

Była dumną posiadaczką czterech książek. Pierwszą, *Śmierć Artura Malory'ego*, podarował jej ojciec i jakoś nie potrafiła się zmusić, aby ją sprzedać. Pozostałe były ulubionymi lekturami, które kupiła w Darlington. Miała też wazon matki i dwa kieliszki – te, z których pili pierwszego wieczoru brandy z Cate'em.

Karen otwarła ukryte drzwi i dwaj lokaje, pochylając się, wnieśli kufer. Postawili go, skłonili się i zniknęli równie szybko,

jak się pojawili. Prudence czekała już z kluczem w garści. Pochyliła się i otworzyła zamek.

– Gotowe – powiedziała, unosząc wieko.

– Och, *milady*, jaka śliczna koszula!

Poprzedniego wieczoru, gdy przetrząsała w pośpiechu zawartość kufra, przemieszała rzeczy i jej najlepsza nocna koszula, uszyta z cieniuteńkiego płótna, fałdzista i lamowana miękką, marszczoną koronką leżała teraz pomięta na wierzchu. To był prezent od Susan z okazji ślubu.

Wyjęła koszulę i podała Karen.

– Założę ją dziś wieczorem.

Na prawdziwą noc poślubną.

Przez chwilę grzebała pomiędzy koszulami, pończochami i chusteczkami, aż natknęła się na przedmioty, które wykonała własnoręcznie. Panna młoda powinna umieć uszyć pościel i ręczniki do swego przyszłego domu. Draydale powiedział jej co prawda, by się nie przejmowała, ponieważ mają dość pościeli i ręczników, ale i tak uszyła nowe. Jej pierwszy, słaby odruch buntu. Tylko na co przydadzą się jej teraz, zwłaszcza ozdobione monogramem P.D.? Prudence Draydale. Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze. Wcisnęła ręczniki i powłoczki Karen.

– Pozbądź się ich.

Dziewczyna nie wydawała się przekonana, powiedziała jednak:

– Dobrze, *milady* – i odłożyła rzeczy na bok.

Kiedy kufer był już pusty, wyjęła niebieską sukienkę – jedyną pamiątkę po czasach niedostatku. Kusiło ją, by zatrzymać suknię, ale w jakim celu?

– Zanieś ją do pralni i każ ufarbować, Karen.

Zostawiła uporanie się z ubraniami pokojówce, a sama weszła do buduaru, zabrawszy ulubione przedmioty. Postawiła książki na jednej półce, a wazon i kieliszki na drugiej. Na blacie biurka leżały teraz elegancki papier listowy, pióra i wszystko, co potrzebne do pisania. Miała jednak także kilka arkuszy zwykłej papeterii. Drewniana szkatułka na biżuterię nie zawierała nic szczególnie wartościowego, włożyła tam jednak klejnoty podarowane przez Cate'a i umieściła puzderko w środkowej przegródce.

Mimo to pokój nadal wydawał się pusty.

Uświadomiło jej to, jak niewiele wniosła do małżeństwa. Wszystko w tym domu należało teraz do niej, ale nie o to chodziło.

Usłyszała pukanie i do pokoju wszedł Cate.

Prudence uśmiechnęła się i zarumieniła. Nie widziała go od rana.

– Dostarczono wreszcie mój kufer.

– Zatem wszystko w porządku. Ach, czyżbym rozpoznawał te kieliszki? – Podniósł jeden, obrzucając żonę szelmowskim spojrzeniem.

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

– Nie zamierzam ich używać, ale...

– Przeciwnie, będziemy sączyli z nich wieczorem brandy, zastanawiając się, jak rozwiązać nasze problemy.

– Mam nadzieję, że uda się nad nimi zapanować.

– Optymistka.

– Dlaczego nie miałabym nią być – zauważyła. – Moja sytuacja uległa znacznej poprawie.

Dotknął malowanego w róże wazonu jej matki.

– Pamiętaj, że krzak róż musi mieć też kolce. Taka już ich natura.

Natychmiast pożałował swych słów. Czas spędzany w gabinecie nieodmiennie wytrącał go z równowagi pomimo obecności Perry'ego, który starał się odpędzić demony żartem.

– Martwię się, że mam tak mało rzeczy – powiedziała. – Wygląda to dziwnie.

– A co byś chciała? Więcej książek, kieliszków, figurynek, wachlarzy, piór...?

Roześmiała się, a potem odparła:

– Po prostu więcej. To znaczy, powinnam posiadać więcej, gdybym była panną z odpowiednim pochodzeniem. Nie miałam zbyt wiele, kiedy przeniosłam się do Darlington, a potem kupowałam jedynie to, co niezbędne, wiedziałam bowiem, że moje rachunki pokrywa Tallbridge. Nie chciałam być mu nic winna.

– Wszystko, co moje, należy teraz do ciebie – przypomniał jej.

– Nie wyraziłam się jasno. Chciałabym mieć więcej rzeczy, które pochodziłyby z mojej przeszłości.

Teraz Cate zrozumiał.

– Pojawiłem się tutaj jako lord, nie mając prawie nic, ale tego się właśnie spodziewano. Masz rację co do jednego: to, co posiadamy, buduje pierwsze wrażenie. Lecz problem łatwo da się rozwiązać. Potrzebujemy Perry'ego. Gdzie ta twoja pokojówka? Karen! – zawołał.

Dziewczyna wpadła do pokoju, niemal przerażona na śmierć.

– Znajdź pana Perriama i poproś, aby przyłączył się do nas.

Pokojówka niemal zemdlała z ulgi. Dygnęła niezręcznie i znikła.

– Jest pełna zapału – powiedział. – Jak szczeniak.

– Wiem. Po co nam Perry?

– Mam zamiar powierzyć mu misję.

– Kolejną? Okropnie go wykorzystujesz.

Cate się uśmiechnął.

– Masz miękkie serce, ale nie przejmuj się Perrym. Jeśli nie zechce podjąć się zadania, odmówi. Zresztą uwielbia jeździć konno. Życie w Londynie nie dostarcza mu po temu zbyt wiele okazji, korzysta więc, kiedy może.

– A dokąd chcesz go wysłać?

– Do Yorku. Po rzeczy.

Wszedł Perry, uśmiechając się już od progu i wołając:

– Lady Malzard! *Enchanté*! Czym mogę służyć? Ma pani jakiegoś demona, z którym mógłbym się rozprawić?

– Nic tak dramatycznego – odparł Cate. – Mógłbyś pognać jednakże co koń wyskoczy do Yorku i pobuszować po sklepach. – Wyjaśnił przyjacielowi, jaki ma pomysł.

– Dobytek szanowanej damy, dobrze sytuowanej, lecz niebogatej. Interesujące wyzwanie. Z odzieżą włącznie? – zapytał Perry.

– Jeśli będą mieli coś odpowiedniego na okres żałoby.

– Kolejne wyzwanie. Czy Otello nadaje się do jazdy na przełaj, Cate?

– Mam nadzieję, inaczej nie byłby wart owsa, który zjada.

– Pofrunę zatem jak anioł na końskim grzbiecie.

Prudence zakryła dłonią usta, żeby się nie roześmiać, lecz Cate się nie krępował.

– Anioł na końskim grzbiecie byłby jak ostryga owinięta boczkiem.

Perry roześmiał się wraz z nimi.

– Rozkoszne, ale raczej mało heroiczne. Pofrunę więc jak Rafael. Czy mogę prosić o jakąś suknię, *milady*?

– Chcesz podróżować w sukni? – spytała Prudence z niedowierzaniem.

– Niezły pomysł. Anioły przedstawiane są zazwyczaj w powłóczystych szatach.

– Święty Michał raczej w zbroi – zaprotestował Cate.

– Lecz nie Rafael.

– I o ile wiem, nigdy na koniu – zauważyła Prudence, jakby się bała, że Perry może naprawdę wyruszyć do Yorku w sukni.

– Suknia pomoże ustalić rozmiar odzieży – wyjaśnił Perry z uśmiechem. – Zostawię ją u krawcowej w Yorku jako wzór.

– Och, ależ jesteś sprytny – powiedziała, rozpromieniona i poszła po suknię.

– Nie chciałbym zrywać naszej przyjaźni – powiedział Cate.

– Jesteś zazdrosny? To obiecujące.

– To moja żona.

– Nie wszyscy są zazdrośni o żony. Niektórym jest nawet na rękę, kiedy odwraca się ich uwagę...

Prudence wróciła z żółtą sukienką.

– Przykro mi, że nie możesz nosić czegoś tak ładnego – powiedział Cate.

– To bez znaczenia, naprawdę. – Podała suknię Perry'emu. – Dziękuję, że to dla mnie robisz.

– Jestem twoim aniołem, *milady* i możesz mi rozkazywać. – Skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Cate zacisnął zęby na widok uśmiechu, jakim odprowadziła go Prudence. Chętnie ostrzegłby żonę, by nie uległa urokowi Perry'ego, ale byłoby to śmieszne. Miał w małżeństwie dość komplikacji i bez tego.

Wyciągnął do niej rękę.

– Pozwól, że oprowadzę cię po tej części domu, zanim zejdziemy na obiad.

# Rozdział XXVII

Liczba pomieszczeń, oficjalnych i prywatnych, wyposażonych elegancko i tylko czekających, by zrobić z nich użytek, zaskoczyła Prudence. Może za życia poprzedniego lorda w Keynings panowało większe ożywienie, lecz mimo wszystko było tu zbyt wiele pokojów.

– Północne skrzydło zajmują krewni pozostający na moim utrzymaniu i emerytowani służący wyższej rangi. Nie będziemy im przeszkadzać. Trzymają się na ogół z dala, ale możesz się na któregoś natknąć. Jest tu starszy mężczyzna, który był kiedyś w posiadłości bibliotekarzem i dwie kuzynki matki, stare panny, uwielbiające przycinać rośliny w ogrodzie ku wielkiemu niezadowoleniu ogrodników. – Wprowadził ją do długiej galerii, zawieszonej portretami. – Musimy zlecić namalowanie także twojego portretu.

– Boże, nie! – zaprotestowała, lecz kiedy wyjaśnił, że to niezbędne, westchnęła tylko z rezygnacją.

– Dlaczego pozowanie wydaje mi się trudniejsze niż cokolwiek innego?

– Może dlatego, że portret ukazuje nas takimi, jakimi widzą nas inni. Lub jak chcemy być postrzegani, co bywa wiele mówiące. Ja też będę musiał stawić temu czoło. Na razie zostałem sportretowany raz jako chłopiec, razem z Roem.

Podobieństwo rzucało się w oczy, lecz stanowili niedobraną parę. Szczupły młodzieniec w wieku około dwunastu lat, ubrany w poważny ciemny strój, zdawał się pogrążony w lekturze, podczas gdy jego młodszy, krzepki brat dzierżył w dłoni kółko, jakby nie mógł się doczekać, kiedy pozwolą mu wreszcie biec się pobawić.

– Artysta miał chyba talent – zauważyła Prudence.

– Zapewne. Malował nas osobno. Roe siedział cierpliwie godzinami, ponieważ uwielbiał czytać, a mnie trzeba było niemal siłą ciągnąć przed sztalugi.

– Czy teraz zachowywałbyś się lepiej? – spytała żartobliwie.

– Szlachectwo przytarło mi rogów. Może powinniśmy zamówić portret ślubny. Wchodzą właśnie w modę. Pozowalibyśmy w ogrodzie, spowici własnym majestatem.

– W żałobie?

– Rzeczywiście. Dobra wymówka, aby odłożyć całą rzecz. A oto mój ojciec, kiedy był w średnim wieku.

Prudence przyjrzała się mocno zbudowanemu mężczyźnie o zdecydowanym zarysie szczęki.

– Stanowczy jegomość.

– Takim chciał się wydać potomności. Potrafił być wszakże jowialny i towarzyski. A to moja matka jako nowa hrabina.

Portret bardzo zainteresował Prudence, wątpiła jednak, by wdowa przypominała dzisiaj tamtą smukłą dziewczynę.

– Chciała wyglądać jak hrabina – zauważyła. – Opanowana i pełna godności. Ale widać, że nie czuje się zbyt pewnie. Ze mną będzie podobnie. – Spojrzała na kolejny obraz. – Twój brat, tym razem dorosły.

– Jak on chciał być postrzegany? – zapytał.

Prudence nie chciała powiedzieć nic, co mogłoby urazić Cate'a.

– Opanowany i pełen godności, od pięt po czubek nosa. Bardzo pewny siebie. Czy taki właśnie był?

– Owszem, w końcu urodził się, by odziedziczyć Keynings. A co powiesz o Artemis?

Prudence spojrzała na Artemis Malzard, również świeżo poślubioną, choć w tym przypadku wydarzenie miało miejsce stosunkowo niedawno. Mogłaby zapłakać nad tą szczęśliwą młodą kobietą. Portret ukazywał ją siedzącą, z dłońmi na kolanach. Może i ona starała się wyglądać godnie, zdradzał ją wszakże czający się w oczach uśmiech.

Musiała być wtedy szczęśliwa.

– To takie niesprawiedliwe – powiedziała.

– Życie często bywa niesprawiedliwe.

Dobiegł ich dźwięk dzwonka.

– Znowu spóźnimy się na obiad – powiedział beztrosko. – Chodź.

Wyprowadził ją niewielkimi drzwiami na długi, wąski korytarz, kończący się schodami, prowadzącymi do holu poniżej.

– Keynings skrywa przed nami wiele sekretów – zauważyła.

– Miejmy nadzieję. Byłoby przyjemnie kilka z nich zachować.

– Kto będzie na obiedzie? – spytała jak gdyby nigdy nic, kiedy schodzili na dół.

– Zwyczajowo uczestniczą w nim wszyscy członkowie rodziny. A także kilku pracowników, jeśli mają ochotę. Rathbone i bibliotekarz, jeśli nie zatonie akurat w lekturze. Zarządca, Dramcot, rzadko się pokazuje. Woli jadać z własną rodziną. Ma w majątku dom. Mieszkańcy północnego skrzydła przychodzą albo nie.

W holu czekało w gotowości dwóch lokai, nie pytała zatem o nic więcej. Czy miała poznać wreszcie wdowę?

– To rodzinna jadalnia – wyjaśnił Cate, gdy weszli. – Jest też druga, przeznaczona na bankiety.

Przy stole mogło zasiąść wygodnie dziesięć osób, ale czekało ich tam zaledwie czworo i żadna nie była wdową ani Artemis. Cała czwórka podniosła się z krzeseł – dwie starsze damy w odległym końcu stołu i dwaj dżentelmeni bliżej. Odwrócili się ku nim i lekko skłonili.

– Oto moja żona – powiedział Cate. – Kochanie, pozwól, że przedstawię ci pannę Catesby i jej siostrę, pannę Cecily Catesby, kuzynki mojej matki.

Smukłe, siwowłose damy dygnęły. Prudence przypomniała sobie, co powtarzała jej matka: Nie obrazisz nikogo, okazując nadmierną grzeczność. Pozostawało mieć nadzieję, że ta zasada odnosi się również do osób z wyższych sfer. Odwzajemniła ukłon.

Cate mówił tymczasem dalej:

– Pan Coates był przez trzydzieści lat zarządzającym, a pan Goode bibliotekarzem przez jeszcze dłuższy okres.

Pracownicy. Przedstawiało to pewien dylemat, na wszelki wypadek także dygnęła. Zauważyła, że obie damy odziane są w czerń, a dżentelmeni mają na sobie ciemne stroje z czarnymi opaskami na ramieniu. Na tym tle jej rdzawoczerwona suknia musiała wyglądać zbyt jaskrawo.

Cate podprowadził ją do krzesła u szczytu stołu, a sam usiadł po przeciwnej stronie, oddalony, jak się wydawało, o mile. Zapadła cisza. Wygiął wargi w dodającym otuchy uśmiechu i spojrzał znacząco na złoty dzwonek przy nakryciu Prudence.

– Czy wszyscy są już obecni? – spytała pogodnie, a potem zadzwoniła.

Natychmiast weszli służący i zaczęli rozstawiać naczynia. Mnóstwo jedzenia jak dla sześciu osób, pomyślała, mając nadzieję, że zasady obowiązujące przy stole są takie same jak w domu Aarona.

– Mogę nałożyć panu nieco ryby, panie Goode? To chyba karp – spytała, zwracając się do dżentelmena po prawej.

– W rzeczy samej, karp, lady Malzard, do tego bardzo świeży, ponieważ mamy tu własny staw. Dziękuję, dziękuję.

Stało się to, na co miała nadzieję: wszyscy zaczęli nakładać jedzenie sobie i innym, przesuwając naczynia po stole. Nałożyła na talerz po trochu z kilku dań, nie była jednak pewna, czy zdoła przełknąć cokolwiek.

Po raz pierwszy poczuła się jak hrabina, a zarazem osoba beznadziejnie poza swoim środowiskiem. A był to przecież tylko nieformalny posiłek.

Służący wyszli i w jadalni pozostał jedynie kamerdyner, krążący za plecami domowników z butelką wina. Wypiła z ochotą

łyk i zjadła odrobinę ryby.

Cate rozmawiał z pannami Catesby, zwróciła się więc ku dżentelmenom.

– Nie zbadałam jeszcze tutejszej biblioteki, panie Goode. Jestem pewna, że stanowi wspaniały zbiór.

– Raczej praktyczny, *milady* – poprawił ją. – Niestety, ani zmarły lord, ani jego ojciec nie byli zainteresowani gromadzeniem rzadkich okazów.

– Woleli rzadkie drzewa – wtrącił cokolwiek drżącym głosem pan Coates. – Z których połowa i tak zmarniała. Chętnie dołożyłbym sobie nieco tej potrawki, gdyby była pani tak łaskawa, panno Catesby.

Na chwilę zapadła cisza, a potem panna Catesby spytała:

– Pochodzi pani z Darlington, prawda, lady Malzard?

Prudence przytaknęła, czując, jak ogarnia ją napięcie. Czy damy znały dobrze miasto, albo, co gorsza, jego bardziej znaczących mieszkańców?

– Byłyśmy tam tylko raz – powiedziała panna Cecily – gdy montowano zegar na wieży. Wspaniały prezent dla miasta.

Prudence ulżyło. Uchwyciła się gorączkowo tematu.

– To musiała być wieża u Świętego Cuthberta. Ciekawy stary kościół.

Pan Goode podjął temat.

– Ach tak, Święty Cuthbert. Stalle pod chórem są tam bardzo stare i...

Prudence nie miała nic przeciwko temu, aby wysłuchać wykładu. Zerknęła na Cate'a i zauważyła, że się do niej uśmiecha.

Może on także pamiętał ów kościół. Wiązały się z nim mroczne wspomnienia, ale to tam złożyli małżeńską przysięgę.

Pan Coates wtrącił się do rozmowy, przypominając, że miejscowy kościół pod wezwaniem Świętego Wilfryda też może pochwalić się wiekową historią.

– Przekona się pani o tym w niedzielę, *milady*. Na dziedzińcu stoi stary krzyż i wieść niesie, że sam budynek wzniesiono za życia świętego Wilfryda.

– Nie wydaje mi się, by przemawiały za tym solidne argumenty, Coates – zaprotestował pan Goode.

Zanosiło się na spór, więc panna Cecily wtrąciła pospiesznie:

– Niedziela. Doskonała okazja, by miejscowi notable mogli panią poznać, droga lady Malzard. Rozmawiałyśmy o tym wczoraj – prawda, siostro? – i doszłyśmy do wniosku, że sytuacja przedstawia pewne trudności. Normalnie nowa hrabina wydałaby uroczystą kolację lub bal...

– Jednak zważywszy, jak się sprawy mają – wtrąciła jej siostra – nie byłoby to właściwe. Niedzielna msza to jednak doskonała okazja, by mogła się pani zaprezentować. – Spojrzała na Prudence, uśmiechając się niepewnie. – Proszę mi wybaczyć, że o tym wspominam, ale byłoby lepiej, gdyby wystąpiła pani w czerni.

– Wina leży po mojej stronie, kuzynko – wtrącił natychmiast Cate. – Nalegałem na szybki ślub i żona nie miała czasu przygotować żałobnych strojów, lecz do niedzieli zdobędziemy dla niej czarną suknię.

Starsze damy uśmiechnęły się do Prudence i jedna powiedziała:

– Ach, miłość! Bywa tak niecierpliwa!

Wydawały się miłe, Prudence podejrzewała jednak, że uwielbiają plotkować, potrafią wychwycić każdy strzęp informacji i pisują mnóstwo listów. To, co się tu dziś wydarzyło, jutro będzie już opisane i powierzone poczcie. Nie byłoby źle, gdyby pierwsze wrażenie było pozytywne, lecz kiedy prawda zacznie docierać stopniowo do Keynings...

Zadzwoniła, aby podano drugie danie, wyczekując niecierpliwie końca posiłku. Miała świadomość, że to dopiero pierwszy z setek, które nastąpią. A może nawet tysięcy.

Gdy pojawiły się nowe naczynia, panna Catesby powiedziała:

– Słyszałyśmy, że przydarzył się wam wypadek z powozem, droga lady Malzard. Co się stało?

Cate przejął ponownie inicjatywę, opisując wydarzenia. Nie wspomniał jednak słowem o tym, że ktoś uszkodził koło.

– Jakież to przerażające! – wykrzyknęła panna Cecily. – Cud, że oboje przeżyliście.

– Uniknęłam obrażeń dzięki rycerskości Malzarda – odparła Prudence. – Osłonił mnie przed potłuczonym szkłem i kawałkami drewna i sam przy tym ucierpiał.

– Szokujące – stwierdził pan Goode. – To straszne, w jak kiepskim stanie są nasze drogi. Nawet te, gdzie pobiera się myto. Ja podróżuję zawsze wierzchem. Może i mam na imię Optimus, lecz kiedy chodzi o jazdę powozem, jestem zdecydowanym pesymistą.

Wszyscy się roześmiali, lecz Prudence zdrętwiała. Optimus Goode! Trudno zapomnieć takie połączenie, zwłaszcza dziewczynce w wieku lat dwunastu. Bibliotekarz odwiedził swego czasu Blytheby, aby obejrzeć tamtejszy zbiór książek. Prawie jej

wtedy nie widywał i z pewnością teraz by nie rozpoznał, przypomniałby sobie jednak nazwisko Youlgrave.

Pożałowała, iż pozwoliła Cate'owi sądzić, że jest córką właścicieli Blytheby Manor. Chciała wydać się lepszą partią, a teraz jej oszustwo mogło wyjść w każdej chwili na jaw.

Powinna wyznać mężowi prawdę najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

Gardło miała za bardzo ściśnięte, żeby cokolwiek przełknąć, sączyła więc tylko wino i czekała, aż posiłek dobiegnie wreszcie końca. O Boże, spodziewano się po niej, że poprosi panie na herbatę. Dokąd? Wstała. Który salonik będzie odpowiedni?

Problem rozwiązał się sam, gdyż panny Catesby pospieszyły ku przytulnemu, jasnemu pokojowi, który tak się jej spodobał. Przygotowała się w duchu na dalsze wypytywanie, lecz damy przejęły całkowicie inicjatywę, rozprawiając z ochotą. Omawiały ostatnią tragedię i Prudence poznała więcej szczegółów. To musiała być dla wszystkich udręka, zwłaszcza że lord bardzo cierpiał przed śmiercią.

– Droga Flavia była taka dzielna. Absolutnie zrozpaczona, oczywiście, ale na pozór silna, jak zawsze zresztą.

– Artemis załamała się i nie pokazywała przez cały dzień, lecz kiedy wyłoniła się ze swoich pokoi, była taka jak zwykle. Godna podziwu młoda kobieta.

– Lecz się zmieniła, siostro.

– Tylko na tyle, na ile można się było tego spodziewać, siostro. W końcu urodziła niedawno martwe dziecko.

– O Boże, to było straszne.

– Noc Wszystkich Świętych. Pamiętam jak dziś.

Mniej niż rok, pomyślała Prudence. Nic dziwnego, że rana była nadal świeża.

– A potem umarł jej mąż – powiedziała panna Catesby. – Tak niespodziewanie. Na dodatek nikt nie wiedział, gdzie przebywa Catesby.

– Na szczęście szybko go odnaleziono.

– I teraz bardzo się przykłada – dodała druga panna Catesby z niejakim zdziwieniem w głosie.

– Bardzo się martwiliśmy, kiedy zniknął – dodała jej siostra.

– Nie zniknął, moja droga. Wyjechał do Darlington.

– I nie wrócił na noc.

Panna Catesby zacmokała.

– Dżentelmeni mają swoje potrzeby, Cecily.

– Och...

Czyżby zapomniały, że ona tam jest?

– Przyjechał spotkać się ze mną – powiedziała. Spojrzały na nią ewidentnie zaszokowane i uświadomiła sobie, co musiały pomyśleć. – Odwiedzić mnie – dodała pospiesznie. – W dzień.

– Och – westchnęły jednym głosem. – Oczywiście, pan Perriam wszystko nam wczoraj opowiedział. A kiedy właściwie się poznaliście, moja droga?

Prudence nie miała pojęcia, co powiedział im Perry.

– Przed kilkoma laty – odparła zatem ostrożnie. – Kiedy miał przerwę w odbywaniu służby wojskowej.

– I pozostawaliście przez tyle lat rozdzieleni – zauważyła panna Catesby.

– A potem znów się połączyliście – westchnęła panna Cecily. – Na ogół doradzałabym, byście poczekali ze ślubem, jednak

Malzardowi przyda się wsparcie w tak trudnym okresie.

– Ma pana Perriama – wtrąciła jej siostra. – Szkoda, że znowu wyjechał. Roztacza wokół atmosferę stolicy.

– Kiedyś często tam bywałyśmy – powiedziała panna Cecily. – Gdy mieszkałyśmy na południu. Prowadziłyśmy dom ojcu, a potem bratu, lecz kiedy Jeremy zmarł...

Kolejne westchnienia, tym razem innego rodzaju.

– Co za szczęście, że Flavia zaoferowała nam gościnę.

– O tak, w rzeczy samej.

Prudence zastanawiała się jednak, czy damy, podobnie jak Perry, nie wolałyby mieszkać w stolicy.

Kobiety często popadały w trudne położenie, gdy opiekujący się nimi mężczyźni umierali lub je zaniedbywali. Nie było to w porządku, lecz nie widziała sposobu, by zmienić niesprawiedliwy świat. Musiała toczyć własną bitwę – związaną z tym, że została nieoczekiwanie żoną mężczyzny, którego właściwie nie znała, i bardzo nieodpowiednią hrabiną.

# Rozdział XXVIII

Kiedy Prudence wróciła do swoich pokojów, poproszono ją, by zechciała pójść do szwalni na przymiarkę czarnej sukni.

Zobaczyła ją i z trudem ukryła rozczarowanie. W czerni nigdy nie było jej do twarzy – jej cera wydawała się wtedy ziemista – a krepa zdawała się pochłaniać całe światło i była tak czarna, że przywodziła na myśl sadzę. Suknia leżała dobrze, lecz nie starczyło czasu, aby czymkolwiek ją ozdobić. Była po prostu czarna, skromna i nietwarzowa.

– Macie może trochę koronki albo dżety? – spytała.

– Obawiam się, że nie, *milady*. Zużyłyśmy już wszystko, co było w domu i nie zdążyłyśmy jeszcze nic dokupić.

Zatem będzie musiała wystąpić w niedzielę w ponurym stroju i zostać po nim oceniona. Podziękowała jednak szwaczkom i pochwaliła je, ponieważ było oczywiste, że kobiety ciężko pracowały, by uszyć żałobny strój jak najszybciej.

Może niebieska okazałaby się choć trochę lepsza? Lecz kiedy o nią spytała, pani Sawyer tylko się skrzywiła.

– Obawiam się, że farbowanie nie wyszło za dobrze, *milady*.

Zaprowadziła Prudence do miejsca, gdzie schła suknia.

Niebieski materiał był teraz brudnoszary, a ozdoby, które tak pracowicie przyszyła, dobierając starannie kolor, smoliście czarne, co pogarszało jedynie sytuację.

– Nieważne – powiedziała. – Lepsze to niż nic.

Wróciła do siebie, czując się przytłoczona trudnościami niewielkiej wagi. Żaden nie miałby znaczenia, gdyby była tu mile widziana, lecz poza Cate'em nikt nie okazał nowej hrabinie życzliwości. Brakowało jej Perry'ego. Przy nim problemy wydawały się łatwiejsze do udźwignięcia.

Listy, pomyślała. To może być jej kontakt ze światem. Nie postrzegała dotąd brata ani jego żony jako przyjaciół, lecz teraz niemal się nimi wydawali. Nie powinna też była zaprzyjaźnić się z Hetty, lecz prawie chciało jej się płakać z tęsknoty za pogodną twarzą młodej kobiety.

Pożałowała, że nie ma przy sobie Toby'ego, jednakże kaleki pies z pewnością nie nadawał się na ulubieńca hrabiny.

Posłużyła się elegancką papeterią, aby napisać do Aarona. Starała się nie obwiniać brata ani zbytnio nie triumfować. Poprosiła, by nie wspominał tymczasem nikomu, że poślubiła hrabiego i poradził się Tallbridge'a w kwestii Draydale'a, ponieważ jej mąż już do niego pisał. List utrzymany był w chłodnym tonie, nie wspomniała nic o ewentualnych odwiedzinach. Wiedziała, że nie będzie w stanie odciąć się całkowicie od brata, lecz Aaron i Susan mogą trochę poczekać, zgrzytając z niecierpliwości zębami. Złożyła list i zapaliła świecę, by go opieczętować. Na biureczku znalazła metalową pieczęć

z herbem, ale się nią nie posłużyła. Niechaj treść listu zaskoczy krewnych.

Może to i niechrześcijańskie, ale dałaby wiele, żeby zobaczyć ich miny, kiedy go przeczytają.

Sięgnęła po kolejny arkusz, lecz przyszło jej na myśl, że elegancki papier może onieśmielić Hetty, zastąpiła go więc arkuszem ze starej papeterii.

Chętnie opowiedziałaby o wszystkim, co się jej przydarzyło, lecz gdyby tak zrobiła, po kilku godzinach wiedziałoby o tym całe Northallerton. Hetty potrafiła dotrzymać sekretu, lecz nie umiała czytać, wątpiła zaś, żeby osoba, która by ją w tym wyręczyła, była w stanie powstrzymać się przed oznajmieniem światu, że Prudence Youlgrave z White Rose Yard została wytworną hrabiną. Poza tym Cate nie ukrywał, że wolałby zataić na zawsze fakt, iż tam mieszkała.

Bardzo jednak chciała podzielić się dobrymi nowinami, napisała zatem, iż poślubiła dżentelmena, który przyjechał do Northallerton jej szukać i mieszka teraz w wytwornej rezydencji zwanej Keynings. To powinno wstrząsnąć White Rose Yard na kilka dobrych dni.

Uświadomiła sobie, że tęskni trochę za tamtą okolicą. W Keynings dokuczała jej samotność. Czuła się podobnie w różnych miejscach, gdzie mieszkała z matką, były jednak we dwie, a wokół nich ludzie. W White Rose Yard poznała nawet – za pośrednictwem Hetty – kilkoro sąsiadów. W Darlington nawiązała nowe znajomości, lecz nie starczyło czasu, by zamieniły się w przyjaźń.

Tylko że z Cate'em wystarczył na to jeden dzień.

Och, jakże żałowała, że nie przyszło jej żyć w skromniejszych warunkach. Czułaby się o wiele lepiej jako żona człowieka z klasy średniej, doglądając kilkorga służących i wykonując samodzielnie wiele prac. Tu czuła się zagubiona. Była panią olbrzymiego domu. Jak to możliwe, aby nie miała nic do roboty? Niemal kusiło ją, by wmaszerować do kuchni lub zabrać się do prania kołder.

Prawdopodobnie powinna patrolować dom, na wypadek gdyby wdowa albo Artemis próbowały zająć należne jej miejsce, ale po prostu nie miała na to siły. Poszła zatem do biblioteki wybrać kilka książek.

Nie poznała jeszcze obecnego bibliotekarza i wyobrażała sobie, że będzie młody i szczupły. Tymczasem pan Rathbone okazał się pulchnym dżentelmenem po pięćdziesiątce, niepróbującym ukryć imponującej łysiny. To, co pozostało z siwych włosów, było schludnie związane, lecz większa część łysej głowy błyszczała w słońcu.

Spodziewała się serdecznego powitania, tymczasem przyjęto ją chłodno. Nie miała ochoty walczyć z niechęcią bibliotekarza, odwróciła się więc i ruszyła ku półkom. Wybrała kilka tomów i odłożyła je na stół.

– Co pani robi, *milady*?

– Wybieram książki do mojego buduaru, panie Rathbone.

– Do... buduaru? Jestem zmuszony zaprotestować.

Odwróciła się do niego.

– Dlaczego?

Zaczerwienił się, widząc, że nie udało mu się jej onieśmielić.

– Zbiór pozostaje pod moją opieką, *milady*.

Zastanawiała się przez chwilę, czy pogwałciła naprawdę jakieś zasady, lecz nie sądziła, aby tak było.

– Książki nie są tu po to, aby je czytać, panie Rathbone?

– Eeee, tak, oczywiście, *milady*.

– Tylko tutaj, na miejscu?

Musiał uzmysłowić sobie, że wchodzi na grząski grunt.

– Inne panie nie wynoszą książek z mojej biblioteki.

– Może inne panie nie lubią czytać. Zamierzam wynosić wszystko, co zechcę, z biblioteki lorda, panie Rathbone. Może pan wrócić do swoich obowiązków.

Bibliotekarz poczerwieniał. Zastanawiała się, czy odmówi i co powinna wtedy zrobić, nie mogła jednak pozwolić na podobną niesubordynację.

Zanim odwrócił się i odszedł, trzęsła się już niepowstrzymanie. Wyszedł z pokoju, mogła więc opaść na fotel i nieco się pozbierać. Jak śmiał zachować się tak niestosownie? Wiedziała, że jeśli powie o tym mężowi, Cate natychmiast go zwolni.

Widocznie Rathbone nie obawiał się, że to zrobi.

Dlaczego? Co takiego wiedział?

Wyprostowała się, wzięła stosik książek i wróciła do swego sanktuarium, walcząc z pokusą, by sięgnąć po brandy i się upić.

Zamiast tego wyjęła egzemplarz *Kandyda* autorstwa pana Woltera, zadowolona, że znalazła angielski przekład dzieła, o którym tyle słyszała.

* * *

Niestety, książka wielce ją rozczarowała. Uparte trzymanie się przez doktora Panglossa tezy, iż wszystko jest najlepsze na tym

najlepszym z możliwych światów, nie miało sensu, skoro Kandyd został tak niesprawiedliwie wyrzucony z pałacu wuja i wcielony siłą do pruskiej armii. Czytała dalej, czekając, aż sprawy przybiorą lepszy obrót, tak się jednak nie stało.

Zamknęła książkę i odłożyła ją. Najwidoczniej pan Wolter bardzo starał się przekonać czytelnika, że optymizm to głupota, a życie jest jednym pasmem nieszczęść. Nie zamierzała dłużej się katować. Zamiast tego usiadła przy biurku i zaczęła układać opowieść o niejakiej Honesty, wyrzuconej niesłusznie z domu, ale kroczącej od triumfu do triumfu i pokonującej rozliczne demony, które chciały jej w tym przeszkodzić. Demony niesprawiedliwości, zła...

– Czym się tak intensywnie zajmujesz?

Odwróciła się z poczuciem winy i zobaczyła Cate'a. Nie zauważyła, kiedy wszedł.

– Czytałeś *Kandyda*? – spytała.

– Nie, co to takiego?

– Powiastka niejakiego pana Woltera opisująca rozliczne nieszczęścia, jakie spotkały bohatera. Tworzę właśnie antidotum.

– Z entuzjazmem, zważywszy na plamy na twoich palcach. Możesz opowiedzieć mi o tym podczas spaceru w ogrodzie. Mamy dziś piękną pogodę.

Uświadomiła sobie, że minęła już piąta – a ona ma poplamione palce. Umyła je, ale atrament nie chciał zejść. Założyła więc rękawiczki i dołączyła do Cate'a.

– Opowiedz mi zatem swoją radosną historię – poprosił, kiedy schodzili.

– To tylko takie głupstewka. A czym ty się dziś zajmowałeś?

– Na pewno nie głupstwami, choć większość tego, co robiłem, wydaje się bezcelowa.

– Zatem dlaczego musisz to robić?

– Ponieważ jeśli nie zrobię, materia, z jakiej utkane jest towarzystwo, rozsypie się w proch. Tak mi przynajmniej powiedziano. W życiu wiele rzeczy, jeśli tylko bliżej im się przyjrzeć, wydaje się bezcelowe, nie sądzisz? – Wyszli przez oszklone drzwi na taras. – Po co, na przykład, nosić ubrania, kiedy jest ciepło?

– Dla przyzwoitości.

– Zatem dlaczego nie coś prostego? Toga w zupełności by wystarczyła. Może powinienem zgłosić projekt ustawy.

– Tkacze i krawcy ruszyliby wtedy na ciebie z nożycami w garści.

Roześmiał się.

– Zapewne. Angielski tkacz pociął na kobiecie suknię uszytą z jedwabiu wyprodukowanego we Francji i sąd go uniewinnił.

– Doskonale. Ludzie potrzebują pracy.

– Czy to nie dziwne, że koniec wojny sprowadził na nas kłopoty?

– To nieodpowiedni dzień, by się zamartwiać – powiedziała, kiedy schodzili po szerokich schodkach na trawnik. – Opowiem ci o zwycięstwach Honesty, pogromczyni demonów.

Zabawiała go opowieściami, kiedy spacerowali po perfekcyjnie wypielęgnowanych trawnikach i ogrodach. Wolałaby zobaczyć tam więcej natury, a mniej sztuki, lecz o tym nie wspomniała.

– Ach – powiedział w pewnej chwili. – Huśtawka.

Zobaczyła deskę zawieszoną na sznurach i przymocowaną do konaru wielkiego dębu.

– Pozwól, że cię pohuśtam – powiedział.

– Mnie?

– Boisz się?

– Tak.

– Zaufaj mi.

Teraz nie miała już wyboru. Usiadła niezdarnie na desce i chwyciła się lin. Popchnął ją lekko i huśtawka wychyliła się w tył, a potem w przód.

Uśmiechnęła się.

– To całkiem przyjemne. Trochę tak, jakby się latało.

Popchnął ją nieco mocniej.

– Możesz polecieć wyżej.

Pisnęła przestraszona, a potem roześmiała się, beztroska i uwolniona od kłopotów, które czekały na nią na ziemi. A kiedy popchnął ją jeszcze mocniej, spojrzała na zieloną kopułę nad głową i przezierające tu i ówdzie fragmenty nieba i pomyślała o tym, jak to jest być ptakiem. Przenosić się swobodnie z miejsca na miejsce, nie martwiąc się o bolące stopy ani stan dróg. Szybować, jak chciała natura, będąc okrytym jedynie piórami, nieskrępowanym ubraniem. Kiedy huśtawka opadła, kopnęła energicznie nogami i zauważyła, że Cate się uśmiecha. Musiała przedstawiać nie lada widok.

– Szelma! – wykrzyknęła.

– Kusicielka! – zawołał w odpowiedzi, a potem oboje się roześmiali. Miała nadzieję, że naprawdę wygląda kusząco, gdyż on pociągał ją do szaleństwa.

Huśtała się przez chwilę, beztroska i szczęśliwa. Tak, to było szczęście, niezakłócone i absolutne. Nie pamiętała, by

kiedykolwiek tak się czuła.

Spojrzała na dom, piękny i rozjaśniony słońcem. Lecz potem zauważyła w jednym z okien na piętrze ciemną postać. Stała tam, obserwując ich. Chociaż nie mogła wiedzieć tego na pewno, czuła, że to Artemis. I że to huśtawka Artemis, na której mąż huśtał ją nie tak dawno temu.

Kiedy więc Cate wyciągnął ręce, by znowu ją popchnąć, zaprotestowała:

– Wystarczy na dziś. – Kiedy huśtawka się zatrzymała, wziął ją w objęcia i zsadził, a potem pocałował. Nie była jednak w stanie cieszyć się pocałunkiem, mając świadomość, że Artemis przygląda się im, rozżalona z powodu straty.

Nie skomentował zmiany nastroju, wiedziała jednak, że ją zauważył. Słowa same wyrwały się jej z ust.

– Kiedy Artemis wyjedzie?

Spojrzał na nią zaskoczony i chyba trochę rozczarowany.

– Obiecałem jej, że będzie mogła zostać tak długo, jak zechce.

Odwróciła wzrok, żeby nie zauważył, jak ją to przygnębiło.

– Czuję, że jest tu nieszczęśliwa. To, że się ożeniłeś i sprowadziłeś mnie do Keynings, musiało otworzyć rany.

– Lecz przez ostatnie dziesięć lat tu był jej dom. A jej córki spędziły w nim całe życie. Jeśli chce zostać, to niech zostanie.

Był z niej niezadowolony, a ona nie mogła nic w tej sprawie wyjaśnić. Zapewne Artemis zacznie w końcu napomykać, że Prudence jej unika, a ona nie będzie w stanie wytłumaczyć także tego. Gdyby powiedziała mężowi prawdę, pewnie by nie uwierzył. Zapytałby Artemis, a ona by zaprzeczyła. Pozostawało mieć

nadzieję, że szwagierka wyjedzie albo pokaże, co ma naprawdę w sercu, i że nastąpi to szybko.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę domu. Rozmawiali o zmianach, jakie chcieliby wprowadzić. Zgodzili się bez słowa, że nie ma z tym pośpiechu, ale przyjemnie byłoby mieć nieco mniej formalny ogród i bluszcz pnący się po ścianach, zwłaszcza że mówili o swoim domu. Nie był taki, na jaki każde z nich miało nadzieję, ale należał do nich i mogli do woli go kształtować.

Przez cały czas Prudence myślała jednak o zbliżającej się nocy. Była jak wyczekiwana uczta. Ich prawdziwa noc poślubna.

Jak wcześnie mogli udać się wieczorem do sypialni?

Nie natychmiast, ponieważ gdy weszli, Cate powiedział:

– Muszę zobaczyć się z matką. Wolałbym zostawić ją, by trochę pogotowała się we własnym sosie, lecz czuję się winny z powodu pospiesznego ożenku.

Prudence stłumiła niezbyt chwalebną reakcję.

– Mam nadzieję, że zdołasz ją uspokoić i wkrótce będziemy mogły się spotkać. – Kiedy wróciła do swoich pokoi, uświadomiła sobie, iż może wykorzystać czas użytecznie. Spytała Karen: – Co mam zrobić, by móc się wykąpać?

– Jest tu wanna, *milady*. – Pokojówka weszła do ubieralni, otworzyła drzwiczki w ścianie i wyjęła z szafki niewielką drewnianą wannę. Susan miała większą, wykonaną z pokrytej emalią cyny. Prudence poczuła zaskoczenie, że Artemis zadowalała się tak małym sprzętem. Przypomniała sobie jednak, że jeszcze niedawno każda wanna, nawet tak mała, wydałaby jej się luksusem, zwłaszcza że miała do dyspozycji służących, wnoszących niezliczone wiadra gorącej wody.

Wkrótce siedziała już w wodzie o idealnej temperaturze i myła się dokładnie, zrelaksowana. Nie przeszkadzało jej nawet, że jest naga. Karen zdawała się nie zwracać na to uwagi, a nie mogła jej odprawić, gdyż była potrzebna, aby dolewać to zimnej, to gorącej wody.

Co za rozkosz. Nawet gdy była już czysta, oparła się wygodnie o brzeg wanny, poruszając leniwie palcami i wspominając najprzyjemniejsze wydarzenia dnia. Czas spędzony z Cate'em. Zwłaszcza ten sam na sam. Obietnicę nocy. Nie była do końca pewna, co powinno się wydarzyć, ale wiedziała, że tego chce. Pocałunki i delikatne pieszczoty dobitnie jej to uświadomiły.

– Błagam o wybaczenie, *milady*, lecz jeśli wkrótce nie wyjdzie pani z wody, będzie pani miała skórę pomarszczoną jak u staruszki.

Prudence wstała, by Karen mogła ją opłukać. Woda była na tyle chłodna, że aż zadrżała. Mimo to czuła się cudownie.

Wytarła się wielkim, miękkim ręcznikiem, a potem włożyła śliczną nocną koszulę i wełniany szlafrok. Usiadła przed toaletką, aby rozczesać włosy. Miała nadzieję, że Cate wejdzie i ją zobaczy.

Nie przyszedł jednak. Czy matka trzymała go przy sobie, zazdrosna o młodą żonę?

Co powinna zrobić z włosami? Normalnie zaplotłaby je na noc w warkocz, podejrzewała jednak, że Cate wolałby, by opadały swobodnie.

Ona lubiła, gdy miał włosy rozpuszczone.

I kiedy był nagi.... Wstyd jej było się do tego przyznać, nawet przed sobą, lecz prawda tak właśnie wyglądała. Spodobało jej się

to, co ujrzała z muskularnego, poznaczonego bliznami ciała męża i miała nadzieję zobaczyć wkrótce więcej.

Spojrzała na zegar. Nie było jeszcze dziesiątej. Może Cate musi wypełnić kolejny obowiązek.

Wstała i podeszła do drzwi, dzielących sypialnie. Zastanawiała się, czy nie zapukać, lecz nie zrobiła tego. Była w nocnym stroju. A jeśli otworzy lokaj?

Mogłaby posłać Karen, lecz o co dziewczyna miałaby zapytać? *Milady* chciałaby się dowiedzieć, kiedy milord dołączy do niej w łóżku? W którym właściwie?

Dlaczego to musi być aż tak skomplikowane? Spodziewała się, że Cate przyjdzie i wszystko zaaranżuje, lecz może czekał, aż ona zrobi pierwszy krok? A jeśli, co miałoby to być takiego?

Powiedziała sobie, że Cate nie jest nieśmiały i nie przejmuje się zbytnio zasadami. Przyjdzie, gdy będzie gotowy.

Odesłała Karen, zwalniając ją na noc i spróbowała skupić się na lekturze książki opisującej dwór poprzedniego króla. Miała nadzieję, że czegoś się dowie, książka zawierała jednak wyłącznie plotki, do tego skandaliczne. Nie uważała się dotąd za osobę pruderyjną, ale może w tych kręgach za taką by ją uznano.

Wzięła do rąk przewodnik po Londynie. Na pewno przydałoby się wiedzieć, gdzie w stolicy znajdują się postoje dorożek i poznać stawki za kurs do poszczególnych części miasta, lecz jako rozrywka książka zapowiadała się średnio. Obejrzała sztychy przedstawiające Queen's House i gmach parlamentu, park St. James's i opactwo westminsterskie, lecz nic nie było w stanie przyciągnąć na dłużej jej uwagi.

Czas zdawał się stać w miejscu. Szkoda, że dama nie może pociągnąć za sznur dzwonka i wezwać męża! Zachichotała na myśl o takim bezeceństwie, niecierpliwiła się jednak coraz bardziej, a wyobraźnia podsuwała jej obrazy, które jeszcze mocniej ją pobudzały. Równie dobrze może zaczekać na niego w łóżku.

Materac był dosyć twardy, zapewne wypchany przesadnie wełną. Nie tak dawno wydałby się jej doskonały, nie zamierzała zatem się skarżyć. Zagłówek także był twardy, ale to normalne. Poduszki jednak są za cienkie. Położyła jedną na drugiej, zastanawiała się, czy Artemis takie właśnie lubiła, czy postarała się, by jej następczyni nie spało się zbyt wygodnie.

Nie będzie myśleć o Artemis.

Ta noc była dla niej i Cate'a.

Czy matka trzyma go przy sobie tak długo, gdyż jest zazdrosna o inną kobietę?

Nic z tego.

Nie będzie mogła trzymać go przez całą noc.

* * *

Cate stał w swojej dawnej sypialni, wyglądając przez okno, popijając brandy i pilnując się, aby nie wypić za dużo. Jeśli się upije, nie będzie się mógł kochać z żoną, tak jak powinien. Albo znajdą go nieprzytomnego w chłopięcej sypialni, co nie poprawi reputacji ani jego, ani żony.

Ostatniej nocy Prudence nie chciała skonsumowania małżeństwa. Gdyby mógł mieć pewność, że dziś będzie podobnie, już by z nią był. Zaniósłby ją znów do swojego łóżka, przytulił

i może pozwolił sobie na kilka pocałunków i pieszczot, które nie zaprowadziłby ich zbyt daleko.

A dziś rano, przy toaletce, o mało nie stracił nad sobą panowania, nie wyglądało też na to, by Prudence miała ochotę protestować. Nie mógł zaryzykować i kochać się z nią. Jeszcze nie. Wszyscy wokół musieli mieć absolutną pewność, że dziecko, które się pojawi, będzie jego, zwłaszcza gdyby Prudence urodziła syna.

Zamknął butelkę brandy i ruszył na dół, do sypialni lorda, starając się wyprzeć wszelką myśl o swej rozkosznej, godnej pożądania małżonce.

# Rozdział XXIX

Prudence obudziła się w pokoju zalanym słońcem. Była w łóżku sama. Cate nie przyszedł. Zakryła ramieniem oczy, wstrzymując łzy.

Co zrobiła nie tak? Czy chodziło o komentarz na temat Artemis?

A może Cate jej nie pożądał? Kiedyś wydawało się to oczywiste. Dlaczego tak wspaniały okaz męskiej urody miałby pragnąć zbyt wysokiej, mało kobiecej Prudence Youlgrave? Pozwolił jej uwierzyć, że jest inaczej, lecz może tylko udawał. Wolałaby, aby był z nią szczery.

Potem przypomniała sobie, jak zareagowała zeszłego wieczoru, gdy była tak zmęczona. Czy uznał, że w ogóle go nie chce? Jeśli tak, jak mogłaby zmienić to mylne wrażenie? Nie była w stanie wyobrazić sobie, że mówi wprost, iż go pożąda, lecz gdyby pocałował ją znowu, zaczął z nią flirtować, mogłaby dać jasno do zrozumienia, że nie jest mu niechętna.

A jeśli jej nie pocałuje?

Wolała nawet o tym nie myśleć. W końcu będzie musiał się do niej zbliżyć: potrzebował dziedzica.

Na myśl o tym, iż Cate może kochać się z nią jedynie po to, by począć dziecko, łzy znów napłynęły jej do oczu, usiadła zatem, a potem wstała. Już miała ruszyć na poszukiwanie pokojówki, gdy przypomniała sobie o dzwonku. Pociągnęła za sznur i usłyszała odległe dzwonienie. Wkrótce Karen weszła do sypialni, radosna jak zawsze, niosąc dzbanek z gorącą wodą.

Kiedy wlewała ją do miski, Pruderce spytała:

– Czy moja czarna suknia jest już gotowa?

– Przykro mi, proszę pani, lecz powiedzieli, że muszą jeszcze nad nią popracować. Przysłano jednak czepek.

– Cóż, jeśli tylko będzie gotowa na jutro... Przynieś mi zatem tę ufarbowaną niebieską.

Usiadła, aby rozczesać włosy. Dwie noce bez zaplatania i wszystko na darmo. Upięła je ciasno na czubku głowy, a potem założyła czepek. Teraz nikt nie oskarży jej, że jest w zbyt radosnym nastroju.

A potem do sypialni wszedł Cate i przywitał się z nią, życząc dobrego dnia. Pomimo rozczarowania wszystko nagle jakby pojaśniało.

– Jadłaś już śniadanie? – zapytał. – Jeśli tak, mogę zjeść sam.

– Nie, nie. – Wstała zarumieniona i posłała Karen po posiłek. Przed chwilą nie miała apetytu, a teraz nie była pewna, czy zdoła przełknąć cokolwiek z innego powodu, lecz chciała spędzić z Cate'em tyle czasu, ile tylko mąż zechce jej poświęcić.

– To ta niebieska? – zapytał, krzywiąc się lekko.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie to mi się w tobie podoba.

– Co mianowicie?

– Że mówisz, co myślisz. Albo dajesz to jasno do zrozumienia.

– Nieraz wpakowałem się przez to w tarapaty. Nie opowiadałem ci o tym, prawda?

Wolałaby, aby nic nie zakłóciło doskonałości tego poranka, lecz jeśli Cate chciał jej o czymś powiedzieć, to go wysłucha.

– O czym?

Oparł się o słupek przy łóżku.

– Jak zostałem zmuszony, by sprzedać swój patent oficerski.

– W wojsku? Dlaczego?

– Chcieli się mnie pozbyć. Mogłem zostać zdegradowany – to znaczy wyrzucony w niełasce, i do tego bez rangi, a wtedy nie mógłbym sprzedać patentu. A to często jedyne pieniądze, z jakimi większość oficerów opuszcza armię.

– Zdegradowany? Za co?

– Powtarzająca się odmowa wykonania rozkazów i, jak twierdzili, nakłanianie do tego innych. Rzeczywiście, trudno mi było się zmusić, by wykonywać idiotyczne rozkazy i przestrzegać bezsensownych zarządzeń. Próbuję tłumić w sobie te cechy i teraz, choć czuję, że niezbyt mi się udaje.

– Idiotyczne zarządzenia, takie jak..?

– Tutaj? Na przykład to, iż urzędnicy muszą wstać za każdym razem, gdy wchodzę do pokoju. Zakłóca to pracę, sprawia, że sadzą kleksy i robią błędy, ale, jak mnie poinformowano, tak musi być i już. Podejrzewam, iż wyłącznie dlatego, by Flamborough, Dramcot i reszta też mogli rozkoszować się władzą. Wszędzie jest tak samo: na dole i na górze drabiny społecznej.

– Rzeczywiście, służba też ma własną hierarchię. Czy wszyscy starają się mieć pod sobą kogoś, kto wykonywałby ich polecenia?

Uśmiechnął się ze skruchą.

– Zważywszy, w jakiej rodzinie się urodziłem, trudno mi wyrokować. A czy tobie na tym zależy?

Prudence zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, choć miło jest mieć służbę, która ułatwia nam życie.

– Prawda?

– A jakież to bezsensowne rozkazy starałeś się ignorować w wojsku?

– Większość miała związek z mundurem. Nie chodziło o mnie, lecz raczej o moich ludzi. Mogli zostać ukarani za niewypolerowane buty albo zbyt luźno przyszyty guzik. Dobrzy generałowie odpuszczali im nieco podczas walk, lecz kiedy nastawał pokój, wracaliśmy do guzików, salutowania i kar. No i była jeszcze musztra. Kiedy wracaliśmy po akcji do koszar, nudziliśmy się jak mopsy, a niekończąca się musztra nie pomagała. Wymyśliłem zatem ćwiczenia, które mogły przydać się w walce. To wywołało niezgodę. Niektórzy spośród żołnierzy woleli nudę, inni moje ćwiczenia. Większość oficerów nie chciała zmian ani buntów. A ja jestem dość niespokojny z natury.

Co przywiodło cię do Darlington i do mnie.

– Poproszono zatem, żebyś opuścił armię.

– Dano mi wybór: mogłem wyjechać ze swoim regimentem do Indii, gdzie pewnie lepiej bym się sprawdził, lecz odmówiłem. Za daleko od Keynings. – Odwrócił wzrok i zapatrzył się na trawnik za oknem. – Zastanawiasz się czasem, że jeśli pragnie się czegoś za bardzo, można wywołać chaos?

Gdyby nie ostatnia noc, podeszłaby do niego, przytuliła. Teraz zostały jej tylko słowa.

– Nie jesteś w żaden sposób odpowiedzialny za śmierć brata, Cate.

Spojrzał na nią.

– Pokłóciliśmy się, i to bardzo.

Czyżby Artemis go oskarżyła? Z pewnością nie, inaczej nie pokładałby w szwagierce takiej wiary. Sam musiał na to wpaść.

– Kłótnia jeszcze nikogo nie zabiła.

– Widziałem kiedyś, jak człowiek dostał ataku wściekłości i umarł, lecz Roe nie poczerwieniał nawet na twarzy. Przeciwnie, pozostał blady i chłodny. Taki już był.

– Co go tak rozwścieczyło?

– Ja. Jak zawsze, chodziło o mnie. Nie mógł znieść tego, jaki jestem, i miał po temu powód. Zawaliłem kilka spraw i zdarzało mi się wprowadzać chaos w czyjeś spokojne i uporządkowane życie.

Patrzył teraz na nią.

– Moje życie nie było spokojne i uporządkowane. Ani trochę.

– Ale być może tylko pogorszyłem sprawy.

Postąpiła krok w jego stronę.

– Pogorszyłeś? Już o tym rozmawialiśmy. Nic w moim życiu nie zmieniło się na gorsze. Nie z twojego powodu.

Ujął jej dłoń.

– Dziękuję. Czasami dopadają mnie demony. Brak wiary Roego we mnie nie pomagał. Byłem dobrym oficerem podczas wojny, nikt temu nie przeczył, lecz w Keynings to się nie liczyło. Roe wiedział, że zachęcano mnie, bym wyjechał do Indii i był wściekły, że nie

potrafię dostrzec, jak korzystne było to rozwiązanie. Znał wszystkie plotki na mój temat, oczywiście. Wiele osób ochoczo mu donosiło, a żadnej z nich nie nazwałbym przyjacielem. Czułem się dotknięty tym, co mówił i sugerował. Miałem mu za złe, że zakłada, iż jako głowa rodziny może mną komenderować. Otworzyliśmy stare rany, powiedzieliśmy obaj rzeczy, których tak naprawdę wcale nie myśleliśmy...

O dziecku. Jednak twój brat mówił poważnie, a ty nadal o tym nie wiesz.

– W końcu wypadłem z pokoju, otrząsnąłem z butów kurz Keynings i wyjechałem, zabierając tylko tyle pieniędzy, ile miałem w kieszeni. Pojechałem z Jebem do Northallerton, gdzie złapałem dyliżans do Londynu i odesłałem Galasa ze stajennym. Gdybym wziął konia i pojechał na południe wierzchem, Roe nie oskarżyłby mnie, że go ukradłem, lecz byłem zdecydowany nie brać niczego, co nie było moje. Duma, zaprawiona głupotą. Ale dzięki temu poznałem ciebie – dodał z uśmiechem. – Nie był to widać tak zły impuls, jakim z początku się wydawał.

– Ale wpadłeś przeze mnie w pułapkę. – Musiała to powiedzieć.

– Gdybyś wysłuchała uważnie mojej historii, wiedziałabyś, że nigdy nie dałbym się złapać w pułapkę konwenansów.

Potrząsnęła głową, zmagając się z chęcią, by podejść i wziąć go w ramiona, lecz Karen właśnie oznajmiła, że śniadanie czeka i chwila minęła.

Weszli do buduaru i usiedli przy stoliku.

– Rozmawiałeś wczoraj z matką? Jest bardzo zła?

– Zirytowana – odparł, nalewając sobie piwa. – Nie jest zdolna do głębokich uczuć, lecz łatwo się denerwuje i daje temu wyraz.

Oznajmiła, że jestem głupcem, skoro ożeniłem się tak niefortunnie. Odparowałem, że gdyby cię poznała, nie myślałaby tak.

– W tej sukni? – spytała Prudence.

– To nie kwestia sukni. Przejdzie jej. Chce mieć wnuka i dziedzica, a ty jesteś środkiem do tego celu.

Podniosła wzrok znad filiżanki. Chciała zadać oczywiste pytanie, lecz nie wiedziała, jak je sformułować.

– Trochę się podąsa – mówił dalej – lecz nie należy do osób, które na złość mamie odmroziłyby sobie uszy.

– Mówisz z przekąsem – wytknęła mu. – To twoja matka. Na pewno cię kocha. Musi.

– Dziwny dobór słów, nie sądzisz? Czy musi mnie kochać za sprawą jakiejś alchemii? W moim przypadku, jak w wielu innych, ta alchemia nie działa. Rozumiemy się z matką nie lepiej niż kiedyś Roem, i dotąd żadne z nas nie widziało potrzeby, aby ten brak zrozumienia przezwyciężyć. Miałem nianie i służące, które otaczały mnie troską, a ona dziedzica, na którym mogła się skupić, tego, który miał pozostać w Keynings i wywierać wpływ na jej życie.

– To bardzo dziwne.

– Doprawdy? Jak powiedziałem, nie ma w tym nic niezwykłego, może dlatego, że w miejscach takich jak Keynings rodzice rzadko widują swoje dzieci.

– Och. Nie sądzę, by mi się to podobało.

Uświadomiła sobie poniewczasie, że dotyka tematu nocy poślubnej, lecz słów nie dało się już cofnąć.

– Tak podejrzewałem. Nie będę nakazywał ci niczego w tym względzie i sądzę, że sam z przyjemnością spędzę trochę czasu z chłopcami, ale będziemy mieli inne zobowiązania. Na przykład wyjazdy do stolicy.

– Pamiętam, że wspomniałeś o tym, zanim wyznałeś mi tę straszną prawdę: że jesteś lordem.

– I jak ci się to teraz podoba, *milady*? – zapytał.

– Wolałabym mniejszy dom i mniej zamieszania, ale... – Omal nie powiedziała, że zgodziłaby się z radością na wszystko, byle być z nim.

– Jesteś kobietą praktyczną i potrafiłabyś stworzyć dom nawet w gnieździe demonów.

– Nie mów tak o swojej rodzinie.

Uśmiechnął się.

– Doskonale. Demony nie chodzą do kościoła, lecz moja matka pójdzie. To będzie jej sposób, by wyjść z godnością z ukrycia.

– Mam nadzieję, że mnie zaaprobuje. Będę miała na sobie tylko zwyczajną czarną suknię.

– Daj już spokój z tą obsesją na punkcie ubioru!

– Nie podobało ci się, gdy miałam na sobie rzeczy Peg Stonehouse!

– Rzeczywiście, ale głównie z poczucia winy. Czułaś się u nich tak dobrze, a ja zamierzałem sprowadzić cię tutaj.

– Nie pragnęłam żyć w domu na małej farmie, gdzie nie ma nawet szyb w oknach!

– Praktyczna jak zawsze. Matka też taka jest. Gotowa budować mosty. Podejrzewam, iż dąsa się głównie dlatego, że nie wybrałem narzeczonej z listy.

– Z listy?

– Już sam jej widok mnie przeraził. A kiedy poznałem damy, które się na niej znalazły, moje przerażenie jeszcze wzrosło. Pozwól, że opowiem ci o pannach: Nijakiej, Trzmielu i Niezdarze.

Prudence słuchała, rozkoszując się czekoladą i ciepłym, słodkim chlebem, szczęśliwa, że się tu znajduje i rozmawia o błahych sprawach. Żal jej było niefortunnych kandydatek, ponieważ nie dostały Cate'a, choć... No cóż, ona też jeszcze go nie miała. Nie całkowicie.

Skończył posiłek i wstał.

– Przejedziesz się później ze mną? Obejrzymy włości.

– Chętnie.

Podszedł do niej i sięgnął do kieszeni.

– Prezent dla ciebie, żono.

Wyjął ładną broszę z kremowych i czerwonawych kamieni idealną do rdzawej sukni.

– Nie pasuje do żałobnego stroju – zauważyła.

– Żałoba nie będzie trwała wiecznie. Jest więcej klejnotów rodzinnych, nie chciałbym jednak odbierać matce tych, do których szczególnie się przywiązała. Artemis oczywiście zwróciła swoje, w tym broszę.

Co oznaczało, że Prudence nie może nosić ozdoby tam, gdzie szwagierka mogłaby ją zobaczyć. Mimo wrogiego zachowania kobiety nie chciała przysparzać jej bólu.

– Będę sobie sprawiał przyjemność, podarowując ci co dzień jakiś drobiazg – powiedział – a kiedy będzie to możliwe, kupię ci coś wspanialszego.

– Ekstrawagancja – zganiła go.

– Inwestycja. Każę też przygotować dokumenty, na mocy których będziesz dostawała pieniądze na swoje wydatki i ewentualnie wdowią rentę. Każdy prezent, który ci dam, będzie stanowił twoją własność, chyba że postanowię inaczej.

– Będzie mój, kiedy umrzesz... Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Ani ja. Pewnie nastąpi to dopiero za kilka dziesiątków lat. Lecz jeśli umrę pierwszy, chcę pozostawić cię zabezpieczoną i niezależną.

– Niezależną – powtórzyła. – To w ogóle możliwe?

– Nie chciałabyś zostać wkrótce wesołą wdówką? – droczył się z nią.

– Nie, nigdy.

– Może za jakieś pięćdziesiąt lat, nie wcześniej. – Pocałował ją szybko i wyszedł.

Prudence zaczęła analizować w myślach rozmowę. Nie był na nią zły. Nie mógł też sądzić, że jest mu niechętna, dlaczego więc nic się nie wydarzyło? Wszyscy przykładali taką wagę do nocy poślubnej. Prawdziwej.

Przypomniała sobie, jak przeczytała jedną z książek ojca i znalazła wzmiankę o wywieszaniu zakrwawionych prześcieradeł. Wówczas zdenerwowana pobiegła do matki, ta zaś złajała ojca, wytykając mu, że pewne książki nie powinny leżeć na widoku.

Nie wyjaśniła, o co chodziło z tą krwią, obiecała to zrobić, kiedy nadejdzie czas. Ale ten czas nigdy nie nadszedł. Prudence rozumiała teraz, o co chodziło w książce, ale nie rozumiała powodu obecnej zwłoki.

Może powinna była coś zrobić, tak jak dzwoniła złotym dzwonkiem, aby zaczęto podawać obiad. Poszukać dzwonka przyzywającego Cate'a do małżeńskiego łoża?

Zachichotała, na wszelki wypadek przeszukała jednak sypialnię. Niczego nie znalazła.

Przywołała Karen i poleciła sprzątnąć naczynia, obserwując z rozbawieniem, jak dziewczyna wzywa niższe rangą służące, by wykonały polecenie. Znów ta hierarchia. Czy dziewczęta musiały dygać teraz przed Karen?

Sytuacja nie była jednak wcale zabawna. Karen nie mogła wrócić do poprzednich obowiązków. Prudence wiedziała, jak czułaby się, gdyby musiała zamieszkać znowu w White Rose Yard. Cate wspomniał mimochodem, że mogłaby zatrzymać dziewczynę jako pomocnicę osobistej pokojówki, choć Prudence wcale nie wydawało się to takie proste.

Uznała jednak, że skoro i tak nie może zatrudnić na razie odpowiedniej osoby, nie ma co się zadręczać. Należało pomyśleć o przejęciu obowiązków pani domu.

Nie będzie ukrywała się więcej w swoich pokojach. Miała żałobny strój, jakkolwiek nędzny był, i musiała popracować nad autorytetem. Wezwała gospodynię i przejrzała wraz z nią menu. Podpisała nawet pierwszy dokument – zgodę na zakup herbaty, której gatunek wspólnie ustaliły.

– Przykro mi to mówić, *milady*, ale cukiernik odszedł.

– Odszedł? – spytała Prudence. – Dlaczego?

– Czuł się niedoceniany, *milady*.

– Przez kogo?

Kobieta zacisnęła usta i Prudence domyśliła się, iż chodzi o nią. Robota Artemis, pomyślała. Dlatego gospodyni wydaje się tak zdystansowana.

– Jego wypieki bardzo mi smakowały – powiedziała stanowczo. – Naprawdę wyjechał? Nie można skłonić go do zmiany zdania?

– Opuścił dom o świcie, by złapać dyliżans do Londynu. Wielu próbowało go nam podkupić, *milady*.

– Zatem musimy podkupić kogoś równie dobrego.

Choć dobrze to ukryła, była wściekła. W kogo szwagierka wyceluje jeszcze zatrute strzały? Już to, że utalentowani służący opuszczali dom, było niefortunne, jednak niezadowoleni służący mogli wywołać w gospodarstwie chaos, i to na wiele subtelnych sposobów. Musiała odparować cios. Może jeśli zrobi coś dla służby...

– Chciałabym obejrzeć kwatery służących – powiedziała.

Gospodyni zesztywniała.

– Dlaczego, *milady*?

Prudence wolałaby nie odpowiadać, zrobiła to jednak.

– By sprawdzić, czy mogę coś ulepszyć.

Pani Ingleton uznała to prawdopodobnie za próbę podważania jej autorytetu, lecz Prudence nie zamierzała się wycofać. Wiedziała, że obowiązkiem pani domu jest dbać o służbę.

Rzeczywiście, udało jej się znaleźć kilka możliwych do wprowadzenia udogodnień, takich jak naprawienie okien, by nie tworzyły się szpary i łatwo się je otwierało. Wiedziała wszystko o lodowatych przeciągach w zimie i duchocie latem. Zauważyła, że wiele dzbanków na wodę i misek jest wyszczerbionych.

Najwidoczniej trafiły tam z pomieszczeń dla państwa. Poleciła, by zastąpiono je skromnymi, ale niezniszczonymi.

Służący będą jej wdzięczni czy niechętni?

Nie miała pojęcia.

A potem przyjrzała się bliżej posiłkom dla służby.

Istniały dwa odrębne menu: jedno dla służby wyższej rangą i drugie dla pozostałych. Obie grupy jadały osobno, to zaś oznaczało, że Karen musi spożywać teraz posiłki z osobami, które traktują ją zapewne z pogardą.

Zaaprobowawszy menu, uciekła do kwiatowego ogrodu, ale trzymała się blisko domu, pamiętając o ostrożności. Wydawało się mało prawdopodobne, by Draydale na coś się poważył, wiedziała jednak, że niedoszły małżonek musi gotować się z gniewu i chęci zemsty, tym razem skutecznej. Potarła policzek, z którego zniknął już niemal siniec; żałowała, że swego czasu nie odrzuciła umizgów tego człowieka.

Uznała, iż może podejść bezpiecznie do huśtawki, doskonale widocznej z domu. Gdy tam dotarła, zobaczyła, że jedna z lin zwisa w strzępach.

Robota Draydale'a?

– Co za szkoda. Miałam nadzieję, że usiądziesz bez patrzenia.

Odwróciła się i spojrzała w twarz Artemis.

– To dziecinada. Nie masz racji, nienawidząc Cate'a, ale dlaczego ja? Nic ci nie zrobiłam.

– On cię kocha – powiedziała Artemis.

Prudence o mało nie zaprotestowała, ale ujawniłaby w ten sposób zbyt wiele.

– Nie zrobił nic złego tobie ani twoim bliskim. Ta gorycz w końcu cię zadusi.

Artemis tylko się odwróciła. Nie zamierzała odpowiadać.

– Jeśli będę musiała, usunę cię z Keynings – zagroziła Prudence.

Artemis się odwróciła.

– Obiecał, że będę mogła zostać.

– Ja nie mam tak miękkiego serca. Dlaczego nie wyjedziesz, Artemis? Pozostawanie tutaj może przynieść ci jedynie cierpienie. – Lecz nagle coś sobie uświadomiła. – To wspomnienie raju, prawda? Lecz tego raju już nie ma. Nie zdołasz go przywrócić.

Artemis skrzywiła się, jakby wymierzono jej policzek, a potem odeszła.

Prudence spojrzała ze smutkiem na huśtawkę i przystąpiła do działania. Wróciła do domu i poleciła wymienić linę. Następnie poszła do biblioteki i wybrała jeszcze kilka książek. Było to dziecinne, ale postanowiła, że nie da się zastraszyć. Poleciła po prostu lokajowi, by zaniósł książki do buduaru. I tam odszukał ją Cate.

– Już prawie pora na obiad.

Prudence chętnie poprosiłaby go, by zjedli przy małym stole w buduarze, nie mogła jednak pozwolić sobie, by się ukrywać.

– Czy twoje dzisiejsze zajęcia miały więcej sensu? – spytała.

– W rzeczy samej. W okolicy trwa dyskusja na temat ziemi. Nadal nie bardzo znam się na rolnictwie, potrafię jednak dostrzec, jak ważne są woda, melioracja i pastwiska. – Wyjaśnił Prudence, o co chodzi. Nie wszystko zrozumiała, spodobało jej się wszakże,

że z nim o tym rozmawia. Dzielenie się podobnymi sprawami stanowiło część małżeńskiego życia i dobrze było to robić.

Opowiedziała mu o wyprawie do kwater dla służby i ulepszeniach, jakie poleciła wprowadzić.

– Nie ma w tym nic niestosownego, prawda? Pani Ingleton wydawała się nieco urażona.

– O ile wiem, nic. Zapytaj Artemis.

Stłumiła westchnienie i zatrzymała się w pół kroku.

W jadalni czekała nie tylko Artemis, ale też matka Cate'a. Bo niska, pulchna kobieta o twarzy wyrażającej dezaprobatę musiała być jego matką, choć niemal w niczym nie przypominała smukłej młodej damy z obrazu.

– Matko – powiedział Cate, kłaniając się lekko. – Miło widzieć, że wrócił ci apetyt. I tobie, Artemis.

Kobiety dygnęły, uśmiechając się samymi tylko ustami. Wdowa mierzyła Prudence spojrzeniem ciemnych oczu, przyglądając się jej otwarcie. Prudence pożałowała, że ma na sobie ufarbowaną nieudolnie suknię i że nie poświęciła więcej czasu fryzurze.

Pozostali stołownicy byli ci sami, ale wdowa i Artemis zajęły miejsca naprzeciw siebie, pośrodku, rozdzielając siostry i starszych dżentelmenów.

Kiedy Cate podprowadził Prudence do miejsca u szczytu stołu, poczuła się znowu tak, jakby uzurpowała sobie coś, co należało jeszcze niedawno do przepełnionej gniewem szwagierki. Ale taka była kolej rzeczy. Kiedyś Artemis przejęła te obowiązki od wdowy.

Usiadła, uśmiechnęła się i zadzwoniła na służbę. Tego dnia pierwszym daniem była zupa – biała i pachnąca rozkosznie migdałami.

Prudence spojrzała na męża.

– Musimy pochwalić kucharza, Malzard. Zupa jest pyszna.

Pochylił głowę.

– Rzeczywiście, musimy. Szczególnie za to, że sprawił ci przyjemność.

Omal się nie zakrztusiła, chociaż, oczywiście, Cate powiedział to jedynie dla pozoru. Tak czy inaczej, pokazywał, że ją wspiera.

– Kucharz w Keynings jest cudowny, lady Malzard – powiedział Optimus Goode, przypominając Prudence, że nie powiedziała mężowi prawdy o swoim pochodzeniu. Miała po temu okazję, lecz zapomniała. Może celowo?

Zapytała starszego pana, czy zna *Kandyda*.

Prychnął lekceważąco.

– Nie poważam zbytnio literatury współczesnej, *milady*.

– Rozumiem. Ta książka wydała mi się nad wyraz pesymistyczna.

– A mnie prawdziwa – wtrąciła wdowa. – Zbyt wielu ludzi nazywa pięknymi rzeczy, które wcale takie nie są.

– Doprawdy, *madame*? – odparła Prudence. – Ja uważam, że zbyt wiele osób skarży się na coś, czemu można łatwo zaradzić.

– Rzeczywiście – poparła ją niespodziewanie panna Catesby. – Zwykle nietrudno jest wyciągnąć z sytuacji to, co najlepsze.

– Na przykład ze śmierci mojego syna? – spytała starsza dama, rzucając kuzynce wyzwanie.

Prudence ledwie powstrzymała się, by nie prychnąć: Ma pani jeszcze jednego syna, *madame*. Żywego. Zamiast tego zadzwoniła. Talerze do zupy zabrano i przyniesiono pierwsze danie.

Kamerdyner nalał wina do kieliszków. Przez chwilę Prudence gorączkowo poszukiwała w głowie bezpiecznego tematu.

– Tkacze ze Spitalfields mocno się niepokoją – odezwał się Cate. – Mam nadzieję, iż żadna z was, drogie panie, nie będzie kupowała jedwabiu wyprodukowanego za granicą.

– Tacy ludzie mają nam dyktować, co powinniśmy nosić? – spytała gniewnie wdowa.

– Czy nie byłoby rozsądnie wspierać naszych producentów, zamiast tych z wrogiego kraju, Francji?

– Wojna już się skończyła, Malzard – zauważyła Artemis pobłażliwie, jakby zwracała się do wioskowego głupka.

– Lecz wkrótce znowu wybuchnie – odparł. – Nie ma co do tego wątpliwości. Mogę podać panu ziemniaki, panie Coates?

– Dziękuję, dziękuję – odparł starszy dżentelmen. – Interesująca roślina, ten ziemniak. Kiedy sprowadzono go do Europy, kilka osób zmarło, ponieważ jedli owoce i kwiaty, sądząc, że to odmiana pomidora. Tymczasem kwiaty ziemniaka są trujące. Prawdę mówiąc, niektórzy nadal boją się jeść pomidory, jako że przypominają wyglądem ziemniaki.

– Te zaś szybko rosną i dlatego uprawiają je biedacy – dodała panna Cecily. – Nie mają szczególnych wymagań i nie trzeba przy nich wiele pracy. Otrzymaliśmy z zagranicy wiele cennych darów, prawda?

– Takich jak czarna śmierć? – spytała wdowa. – I zaraza?

Prudence przygryzła wargi, żeby się nie roześmiać. Zgryźliwość teściowej była zabawna. Spostrzegła, że Cate też ledwie się powstrzymuje od śmiechu.

– Otrzymałam interesujący list – powiedziała Artemis, zmieniając temat. – Z Darlington.

Prudence natychmiast odechciało się śmiać. Wieści dotarły, nie wiedziała tylko, jak wiele i w jakiej formie.

– Zapewne dotyczą naszego ślubu – zauważył Cate. – Jestem pewien, że sporo o tym mówiono.

Artemis skrzywiła się, lecz kontynuowała:

– Mieszka tam moja przyjaciółka, Anne Chaloner. Tak, wasz ślub był w miasteczku wydarzeniem, tylko że do tej pory nie wiedziano, iż panem młodym był nie kto inny jak lord Malzard. Oczywiście, Anne poznała twoje nazwisko, lecz można na niej polegać. Nie zdradzi sekretu.

– To żaden sekret, Artemis. Nie chcieliśmy przyciągać po prostu zbytniej uwagi.

– Gdybyś ożenił się w normalny sposób – wtrąciła jego matka – nie byłoby potrzeby niczego ukrywać! Od początku wszystko było z tym ślubem nie tak!

– Przyszło mi do głowy, matko, że gdybym przywiózł tutaj Prudence i przedstawił jako narzeczoną, zrobiłabyś wszystko, co możliwe, by nie dopuścić do ślubu.

– Oczywiście, że tak bym postąpiła.

Prudence poczuła, że jej policzki zalewa rumieniec. Wolałaby, żeby pozostały blade, gdyż wyglądało to tak, jakby czuła się winna. Cate się nie zaczerwienił. Nie wiedziała, co wyraża jego śmiertelnie spokojna twarz – póki nie uświadomiła sobie, że jest to ostrzeżenie.

Nic dziwnego, że wdowa zamilkła.

– Bardzo by mi się nie spodobało – powiedział w zapadłej nagle ciszy – gdyby powiedziano tu coś, co zdenerwowałoby moją żonę.

– Jestem pewna, że nikt by tego nie chciał – zapewniła pospiesznie panna Catesby.

– Oczywiście, że nie – poparła ją siostra.

Obaj starsi dżentelmeni zajęli się gorliwie jedzeniem.

Prudence wiedziała, że musi coś powiedzieć.

– Nie denerwuj się, siostro. Nie ma nic złego w przekazywaniu wieści, które wkrótce i tak muszą tu dotrzeć.

Artemis utkwiła w niej gniewny wzrok.

– Złego? To ty powinnaś się wstydzić. Jak możesz twierdzić, że kochasz Cate'a, kiedy stałaś już pod ołtarzem, gotowa poślubić innego?

Kuzynki westchnęły jednym głosem.

Wdowa otwarła usta i tak już pozostała.

– Artemis – powiedział ostrzegawczo Cate, lecz Prudence była wniebowzięta. Szwagierka pokazała wreszcie, jaka naprawdę jest.

– Dokonałam błędnego wyboru – powiedziała.

– Błędnego...! – Wdowa niemal wypluła to słowo.

– Dość tego! – powiedział Cate. – Prudence sądziła, że poległem. Przybyłem do Darlington i odnalazłem ją na chwilę przed tym, jak miała poślubić innego. Kiedy dowiedziała się, że żyję, nie było mowy, by ceremonia się odbyła. Ktoś zauważył nawet, że to historia godna pieśni trubadura.

Optimus Goode podniósł głowę, jakby chciał wyrazić swoje zdanie na temat średniowiecznych pieśni, rozmyślił się jednak i utkwił znów wzrok w talerzu.

Artemis wypuściła kolejną strzałę.

– Naprawdę doszło do bijatyki? Przed ołtarzem?

– Nie życzę sobie rozmawiać o tym tutaj.

Wdowa go zignorowała.

– Czy ten ślub ma moc prawną, Malzard?

– Tak – odparł krótko.

Panna Cecily spróbowała rozładować nieco atmosferę.

– Urodziła się pani w Darlington i tam wychowała, lady Malzard?

Prudence była jej wdzięczna, ale wolała nie zagłębiać się w temat.

– Nie, przeprowadziłam się tam ostatnio, aby zamieszkać z bratem. Jest w Darlington prawnikiem.

– Pan Youlgrave – wycedziła Artemis. – Niedawno zakończył edukację i był bez grosza, póki bogato się nie ożenił. Jak rozumiem, jego żona jest córką oraz dziedziczką zamożnego kupca.

– Rzeczywiście – odparła Prudence. – I tak, wyszłam za mąż powyżej swojej sfery. Czy to zbrodnia?

Artemis wpatrywała się w nią gniewnie, wdowa wydawała się zirytowana, a Cate nienaturalnie spokojny. Czy mogłaby zakończyć posiłek, wstając i zabierając kobiety do saloniku? Byłaby uwięziona z nimi w jednym pokoju, lecz rozładowałoby to napięcie.

Już miała wstać, kiedy odezwał się pan Goode.

– Youlgrave? Youlgrave! Aaron i Prudence, dzieci Youlgrave'a. – Uśmiechnął się do niej. – Byłaś bystrą dziewczynką, moja droga. Zadawałaś mnóstwo pytań. – Odwrócił się, uśmiechnięty, do pozostałych, lecz Prudence zamarła.

– Odwiedziłem go przed mniej więcej dwunastoma laty, żeby obejrzeć cudowną kolekcję średniowiecznej broni i manuskryptów, którą się opiekował. Oczywiście, sir Joshua był filistynem, zdobył majątek gdzieś na Wschodzie, ale zatrudnił odpowiedniego człowieka. Aaron Youlgrave był ekspertem. Co za szkoda, że Jenkins stracił majątek przez hazard i się zastrzelił. Kolekcja przestała istnieć, kupiłem jednak kilka rzeczy dla pańskiego ojca, milordzie.

Cate wpatrywał się w nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie okłamała go, ale stworzyła mylne wyobrażenie.

– Co stało się z pani ojcem, lady Malzard? – spytał pan Goode.

– Zmarł niedługo po sir Joshui.

– Jakież to smutne! Nie był przecież stary. A matka pani? Czarująca dama.

– Odeszła niedawno.

– Co za szkoda. Byliby szczęśliwi, wiedząc, że jest pani szczęśliwa i bezpieczna.

– Raczej oniemiali z zachwytu – wtrąciła wdowa. – Bibliotekarz?

– Uczony, *madame* – sprostował chłodno pan Goode. – Jak ja.

Prudence wstała.

– Herbata, drogie panie?

Damy wstały, a Artemis rzuciła:

– Będziesz musiała mi wybaczyć, siostro. – Po czym, zwracając się do teściowej, dodała: – Spodoba ci się ten list, *madame*. – Podała jej złożony arkusz papieru i wyszła.

Siostry spojrzały po sobie zakłopotane i panna Catesby zaproponowała:

– Może wypijemy dzisiaj herbatę u siebie, droga lady Malzard.

Prudence miała nadzieję, że wdowa wróci do swej kryjówki, choćby po to, żeby przeczytać list, hrabina powiedziała jednak:

– Rzeczywiście, pora na herbatę.

Ruszyła ku drzwiom.

Prudence zawahała się. Zastanawiała się, czy ośmieli się rozmawiać z Cate'em tu i teraz. I czy powinna. Doszła do wniosku, że nie, i to z wielu powodów.

Ruszyła za hrabiną wdową, której jakoś udawało się wyglądać na znacznie wyższą, niźli naprawdę była. W końcu zyskała audiencję u teściowej. Tylko czy wyjdzie z niej żywa?

# Rozdział XXX

Kiedy znalazły się w salonie, nie było wątpliwości, kto sprawuje tam władzę. Wdowa poleciła przynieść herbatę i usiadła pierwsza. Prudence omal nie pozostała na stojąco niczym dziecko czekające na reprymendę, usiadła jednak, starając się zapanować nad emocjami. Zabrakło jej wszakże odwagi, aby pokazać, kto jest tu panią domu.

– Byłam zaszokowana tym, że Catesby się ożenił – powiedziała wdowa – uznałam to jednak za romantyczne szaleństwo.

– Romans wart pieśni trubadura – dodała Prudence chłodno.

– Cokolwiek to oznacza. Przeczytam list.

Prudence przyglądała się jej, jak mogłaby przyglądać się drozdowi uderzającemu muszlą ślimaka o kamień, by w końcu rozbić ją i zjeść nieszczęsne stworzenie.

Oczy hrabiny rozszerzyły się. Czytając, przesuwała głowę z lewa na prawo. Podano herbatę. Wdowa podniosła wzrok i spojrzała na synową. Prudence zachciało się śmiać. Wszystko to było nad wyraz dziwaczne. Zajęła się nalewaniem herbaty, a kiedy

usłyszała, że lokaj wychodzi i zamyka za sobą drzwi, oderwała wzrok od tacy i spostrzegła, że wdowa się jej przygląda.

– Nosisz dziecko innego mężczyzny?

Ach, prawda, zapomniała o tym smakowitym szczególe.

– Nie, *madame*. Mleka?

– Poproszę. Można ci wierzyć?

– Och, odwieczny dylemat. Lecz jeśli chodzi o tę sprawę, jak najbardziej. Prawdę mówiąc, jestem nadal dziewicą.

Wdowa utkwiła w niej wzrok.

– Czy ten chłopak niczego nie potrafi zrobić jak należy?

– Ma pani na myśli Cate'a? – Nie musiała udawać, że jest zaszokowana.

– Wprowadza zamęt we wszystko, czego się dotknie, a ślub z tobą jest tego najlepszym dowodem.

Prudence zastanawiała się przez chwilę, lecz tylko przez chwilę.

– Myli się pani. Uważam poza tym, że to wstyd, by matka mówiła coś takiego o swoim synu lub córce.

– Ha! Poczekaj, aż sama będziesz miała dzieci. Choć z tego, co mówisz, to raczej nieprawdopodobne. Nalej mi herbaty.

Prudence się roześmiała, choć dłoń, którą nalewała herbatę, drżała.

– Masz okres? – spytała wdowa. – Nie wybraliście dnia ślubu zbyt starannie, prawda?

Czy wszystko musiało zostać wywleczone na światło dzienne?

– Nie, *madame*. Nie mam okresu. – Czuła, że musi bronić Cate'a i znalazła wyjaśnienie. – Z powodu oskarżeń Draydale'a, które wkrótce będą wszystkim znane, postanowiliśmy nie konsumować na razie związku. W ten sposób nasze pierwsze

dziecko przyjdzie na świat po dziewięciu miesiącach z okładem i nie zawiśnie nad nim cień wątpliwości.

– Hm.... Świadczy to o większej dozie rozsądku, niż byłabym skłonna mu przypisać.

– Wygląda jednak na to, że nie zna go pani zbyt dobrze.

Wdowa zmrużyła gniewnie oczy.

– Jesteś bezczelną parweniuszką.

– Jestem hrabiną Malzard i pani synową. Możemy żyć w zgodzie lub ze sobą walczyć, ale jesteśmy związane na bardzo długo, *madame*.

Wdowa odwróciła wzrok.

– Nie wiem, jak los mógł być aż tak okrutny.

Prudence już miała coś odpalić, zauważyła jednak, że usta starszej damy drżą i przypomniała sobie, że kobieta niedawno straciła syna.

– Bardzo pani współczuję, naprawdę. To okropne, stracić dziecko, nawet kiedy jest już dorosłe. Nie chcę przysparzać pani cierpienia i Cate też nie. Proszę pozwolić, by stał się dla pani dobrym synem.

Wdowa nadal na nią nie patrzyła.

– Wszystko układało się doskonale. Byliśmy wszyscy tacy szczęśliwi.

– Na pewno.

– Sebastian był najlepszym z synów i lordem godnym swego tytułu.

– Cate też tak powiedział.

Wdowa odwróciła się ku niej.

– Naprawdę?

– Tak. Bardzo szanował brata. Opisał go jako czułego syna, oddanego męża i kochającego, choć stanowczego ojca.

Wdowa wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos.

– Zawsze sądziłam, że go nie lubi. Mąż również tak myślał. Dlatego nalegał, by Catesby wstąpił do armii. Uważał, że chłopak pragnie Keynings zbyt mocno. Najpierw miał wstąpić do Kompanii Wschodnioindyjskiej, ale wywołał awanturę w obronie jakiegoś Hindusa i sprawa upadła. Zaraz potem popadł w długi i zaczął uganiać się za kobietami, stanęło więc na tym, że wstąpi do wojska. Trwała wojna, można więc było zakładać, iż zostanie wysłany za granicę.

Prudence musiała przypomnieć sobie w duchu, że nic nie zyska, łajając tę kobietę. Powiedziała jednak:

– Był dobrym oficerem.

– Jeśli niemądrą brawurę można uznać za zaletę. Słyszeliśmy różne historie. W końcu armia także się go pozbyła. Wrócił wtedy tutaj i spowodował kolejne kłopoty.

– Może po prostu przyjechał odwiedzić rodzinę.

– Po co, skoro mu na nas nie zależało? Kiedy dziecko Artemis urodziło się martwe, nawet się nie odezwał. Nie przysłał choćby zdawkowych kondolencji.

– Jestem pewna, że nie otrzymał listu.

– Wygodna wymówka. W najlepszym razie nic go to nie obeszło. W najgorszym, ucieszyło.

– Wiem, że to nieprawda. – Prudence pochyliła się ku hrabinie. – Artemis wierzy we wszystko, co najgorsze. Nie może jej pani przekonać?

– Nie znam prawdy.

– Owszem, tak! Musi pani znać swego syna przynajmniej na tyle. Musi.

Wdowa odsunęła się gwałtownie.

– Nie mów do mnie w ten sposób!

– Zawsze będę broniła Cate'a.

– Jakież to niemądre. Wiesz, że zalecał się w Londynie do innej kobiety?

Prudence wpatrywała się w nią, bojąc się odezwać.

– Widzę, że nie wiedziałaś. Dziedziczka bogatego handlarza naftą. Potrzebował pieniędzy. Przypuszczam, że powinnam być wdzięczna, iż nie narzucił nam Georgiany Rumford, a jedynie córkę bibliotekarza.

Prudence wstała i bojąc się tego, co mogłaby powiedzieć, wykrztusiła:

– Do widzenia, *madame*.

Wypadła z salonu, kierując się do swoich pokojów. Płonęła gniewem na matkę bez serca i czuła się zraniona faktem, że była jednak inna kobieta. Nie wytworna dama, ale kobieta nieprzewyższająca pozycją jej samej, która mogłaby wnieść Cate'owi fortunę, zamiast przysporzyć kłopotów.

Karen wyszła z ubieralni i zapytała:

– Czy coś się stało, *madame*?

– Nie.

– Czarna suknia jest już gotowa.

Prudence spojrzała na połać ponurej czerni rozpostartą na łóżku i miała ochotę krzyczeć.

Nic nie szło tak jak powinno.

Cate hołubił wyidealizowany obraz Keynings, podczas gdy ona widziała jedynie dom nawiedzany przez zmarłego brata, z emanującymi ze ścian złośliwością i rozczarowaniem. Artemis pławiła się w nich, wydzielając kolejne porcje trucizny, z wdową przy boku.

Wyobraziła to sobie i po prostu musiała się roześmiać, choć tak naprawdę nie było powodu. Sprawy szły źle, a ona nie miała pojęcia, jak to naprawić.

Zapukano do drzwi buduaru.

Karen otworzyła, a po chwili wróciła, wołając.

– Przybyła reszta pani bagażu, *milady*!

Reszta?

Przypomniała sobie o Perrym.

– Ach, tak. Powiedz, by go wniesiono.

Ubrania i osobiste drobiazgi nie wydawały się już tak ważne, pozwolą jednak zająć czymś umysł i rozładować nieco napięcie.

Wniesiono dwa kufry i mimo woli poczuła, że budzi się w niej podekscytowanie. Co mogły zawierać? Otworzyła jeden i wyjęła zieloną suknię. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać ulubiona suknia damy, noszona przez kilka lat, nieprzesadnie modna, ale trzymana z uwagi na wygodę. Poza nią w kufrze było kilka podobnych sztuk odzieży, wszystkie nieodpowiednie na czas żałoby. Karen zaniosła je do ubieralni, wielce usatysfakcjonowana faktem, iż szafa zaczyna wreszcie się zapełniać.

Ciekawe, czy będą na mnie pasować, pomyślała Prudence, a potem uznała, że skoro w sprawę zaangażowany był Perry, na pewno wszystko jest jak należy. Znalazła pończochy różnego rodzaju, w tym parę jedwabnych, równie pięknych jak te

zniszczone po katastrofie powozu, a także dwie pary pocerowanych, uwierzytelniających jej stan posiadania. Koszule, halki, czepki, kapelusze. Zachichotała, rozbawiona absurdalnością sytuacji, a kiedy Karen spojrzała na nią zaintrygowana, wyjaśniła:

– Miło jest mieć wreszcie swoje rzeczy.

Na dnie kufra spoczywały książki, a także kilka owiniętych starannie sztuk porcelany i szkła. Prudence rozpakowała podłużny kształt i znalazła klasyczny posążek mężczyzny.

– Rany! – wykrzyknęła Karen, lecz potem dodała: – Jest jak te nieprzyzwoite rzeźby w holu.

– Owszem, tylko że ten...

– Och, milord!

Prudence podniosła wzrok i zobaczyła Cate'a.

– Twoje rzeczy – powiedział. – Słyszałem, że dotarły.

Prudence przyjrzała się mężowi. Nie wydawał się rozgniewany.

– Jak widzisz – odparła. – Możesz odejść, Karen.

Gdy tylko dziewczyna wyszła, wstała i powiedziała:

– Przepraszam, Cate, że wprowadziłam cię w błąd co do Blytheby.

– Żałuję, że nie byłaś do końca szczera, lecz tylko dlatego, że teraz byłoby ci łatwiej.

– Jak na razie, jest coraz gorzej. W liście, który otrzymała Artemis, wspomniano o oskarżeniu Draydale'a.

– Diabeł!

– Cate, ja... musiałam złagodzić niepokój twojej matki. Powiedziałam, że postanowiliśmy opóźnić skonsumowanie małżeństwa.

– I co ona na to?

Nie zamierzała mu powiedzieć.

– Wyjaśniłam, że nie chcieliśmy, aby nad naszym dzieckiem zawisł cień wątpliwości. I teraz uważam, że tak jest dobrze. Właśnie tak powinniśmy postąpić. A może nie. Przykro mi...

Objął ją i przytulił.

– Niepotrzebnie. To doskonały powód. O wiele lepszy niż mój.

– Twój?

– Wyznanie. Stwierdziłaś stanowczo, że Draydale kłamał, ale nie byłem w stanie ci uwierzyć. Nie do końca.

Cofnęła się gwałtownie.

– Cate!

– Nie w ten sposób. Jednak kobieta, którą wzięto siłą, może chcieć to zataić, a nietrudno mi sobie wyobrazić, że Draydale mógł się do tego posunąć.

– Rzeczywiście, próbował skłonić mnie do uległości.

– Jestem tego pewien. A wracając do rzeczy: mam takie samo zdanie. Ja także nie chciałem, by ktoś mógł podawać w wątpliwość pochodzenie naszego dziecka. To dlatego trzymałem się z dala od ciebie zeszłej nocy.

– Och. Myślałam, że mnie nie chcesz.

Roześmiał się cicho i dotknął czołem jej czoła.

– Ależ chcę, droga żono. Wygląda jednak na to, że musimy ćwiczyć się w sztuce cierpliwości.

Nie chciała zakłócać intymnej chwili wspominaniem kobiety, do której zalecał się w Londynie. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Poślubił przecież ją, Prudence.

– Jesteś najbardziej niekłopotliwą kobietą, jaką znam.

Brak kłopotów to nie miłość. Tak można wyrazić się o czymkolwiek.

– Nie byłam taka, kiedy nie okazałam wdzięczności w Northallerton – zauważyła. – Ani kiedy dąsałam się z powodu ślicznej, wytwornej lady Malzard.

Roześmiał się.

– Nie, nie byłaś, lecz ja nie lubię puchowych piernatów. Mówisz, co myślisz i potrafisz o siebie zadbać, kiedy jest to konieczne. Masz nawet nóż. Rozpakowałaś już wszystko, co przysłał Perry?

– Co takiego? Nie...

– Zatem to zrób. – Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do ubieralni. Zajrzał na dno otwartego kufra, a potem powiedział: – Otwórz drugi.

Wyglądało to jak gra i bardzo się jej spodobało. Uniosła wieko. Na wierzchu leżała kolejna suknia, otulona białym muślinem. Wyjęła ją i zsunęła muślin.

– Och, ależ z niego spryciarz!

– Wyzwę szelmę na pojedynek. Albo nie, skoro działa jako mój pełnomocnik, raczej docenię jego wysiłki. Co za piękna sztuka żałobnej odzieży!

– Muszę podziękować mu osobiście – odparła, przykładając do gorsu czarną suknię. – Jest chyba wystarczająco długa.

– Na pewno. Tam, gdzie chodzi o modę, Perry nie popełnia błędów. – Podniósł kolejny pakunek i rozwinął, ujawniając następny kłębek czerni. – To pewnie halka. A tu mamy stanik. Wszystko kosztowne, lecz jakże ponure.

Prudence wybiegła i rozłożyła suknię na łóżku.

– Jest śliczna.

Suknię, uszytą z krepy, ozdobiono koronką i haftem. Jedyny błyszczący akcent stanowiły wszyte w stanik wyłogi z czarnego adamaszku. Długie rękawy wykończono szerokim mankietem z pienistej koronki.

Nadal będzie wyglądała blado, ale teraz jak blada hrabina.

– Kapelusz, który kupiliśmy w Storborough, doskonale pasuje. Nie będziesz musiał wstydzić się za mnie jutro w kościele.

– Chodź, sprawdzimy, co jeszcze tam jest.

Najwidoczniej chciał, by coś znalazła i to sprawiło, że poczuła się jak dziecko zaglądające w Boże Narodzenie pod choinkę. Wyjęła kilka sztuk odzieży, ledwie na nie zerkając. Niespodzianka Cate'a była z pewnością innej natury.

Znalazła szkatułkę z przyborami do szycia o zdobionych haftem ściankach. Nie, to też nie był prezent od Cate'a.

Puszka, pełna herbaty nie wyglądała na podejrzanie nową.

– Bardzo się cieszę, że ją mam – powiedziała, ale to też nie było to.

Trzy wielkie pakunki okazały się porcelanową miską na wodę i dzbankiem, ozdobionymi wzorkiem z wiosennych kwiatków. Był nawet pasujący do nich nocnik.

Prudence przygryzła wargę.

– Oto prezent stosowny dla damy.

– Mniej lub bardziej – przytaknął. – Perry musiał się nieźle bawić, kupując go.

W pudełku znalazła kilka wachlarzy, zaś podłużna tuba zawierała parasol.

A potem wzięła do rąk okryte skórą pudełko, nie dłuższe niż dłoń. Klejnot? – pomyślała nieco rozczarowana tym, że Cate zlecił

kupno czegoś tak osobistego przyjacielowi.

Lecz kiedy otwarła puzderko, znalazła nóż. Nie, nie nóż – włoski sztylet, o którym wspominał Cate. Pochewka była prosta i wąska, zaś rękojeść niewielka i ozdobiona perłami. Całość wydawała się zbyt ozdobna, by móc się na coś przydać.

– Ach, więc jednak go znalazł. Wybaczam mu, że trochę zaszalał.

Uśmiechnęła się do Cate'a.

– Dziękuję, jest śliczny. Mam jednak nadzieję, że nie będę musiała go użyć.

– Ja także, lecz nigdy nie wiadomo.

– Rękojeść wydaje się trochę za mała.

– To sztylet do stanika.

– Do stanika?

Zaczepił palec o przód jej sukni i przyciągnął ją do siebie.

– Cate?

Poruszył palcem, wywołując niepokojące doznania. Niepokojące, zwłaszcza gdy powiedziała wdowie, że nie będą...

– Masz bryklę – powiedział, zaglądając jej w dekolt. – Sztylet chowa się w nią i widać jedynie uchwyt. – Sięgnął po sztylet i nie wyjmując go z pochwy, wsunął gładkim ruchem do kieszonki pośrodku gorsetu, a potem zaprowadził Prudence do lustra. – Spójrz.

Ozdobny uchwyt wyglądał jak broszka.

– Wyjmij go – polecił. – Ostrożnie. Pochewka wykonana została z szorstkiego materiału, więc nie powinna się wysunąć.

Chwyciła za rękojeść i wyciągnęła sztylet, spoglądając na siebie w lustrze, świadoma, że Cate stoi tuż za nią.

– Nie jest zbyt wygodny.

– Nie przeznaczono go do stałego noszenia. Ale wystarczy, by przeszyć demona, jeśli się pojawi.

Odwróciła się do niego.

– Mam szczerą nadzieję, że to się nigdy nie stanie. A jak tam twoje polowanie?

– Za kilka dni będę wiedział wszystko o jawnych interesach Draydale'a i o tym, gdzie najlepiej uderzyć. Moi ludzie odkryją resztę. Jestem pewien, że będzie tego sporo.

– Tallbridge zapewne sporo wie.

– Nie wykorzystam tego, jeśli nie będę musiał.

Prudence odłożyła sztylet i sięgnęła za dekolt, aby wyjąć pochewkę.

– Pozwól, że ja to zrobię.

Pozwoliła i bardzo się to jej spodobało.

Wyjął pochewkę, która zaczepiła rzeczywiście o kieszonkę w gorsecie, a potem przesunął nią po szyi i wargach Prudence.

– Chyba wolno nam się całować – powiedział.

Pocałowali się zatem, powoli i namiętnie, budząc w Prudence pragnienie, którego nie będzie mogła przez jakiś czas zaspokoić.

– Kiedy? – spytała.

– Najwcześniej za kilka tygodni.

Westchnęła.

– Przynajmniej uświadomiłeś sobie, że Artemis nie jest ideałem.

– Wiedziałaś? Powinnaś była mi powiedzieć.

– Trudno byłoby w to uwierzyć. Myślę, że oszalała z rozpaczy. Nie tylko z powodu męża, ale i straty dziecka. Obwinia ciebie

o pierwsze i oskarża o bezduszność w przypadku drugiego.

Potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem o dziecku. W czasie wojny listy często nie dochodzą. Co zaś się tyczy pierwszej sprawy, jak mógłbym być za to odpowiedzialny? Roe umarł w kilka tygodni po moim wyjeździe.

– Może wtedy zaczęły się bóle głowy.

– Nie był aż tak rozwścieczony. W przeciwieństwie do mnie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak nisko mnie ceni. Ani ja jego. Och, dobrze wypełniał obowiązki, ale nie było w nim za grosz fantazji. Potrzeby zmian.

Ujęła jego dłonie.

– Daj sobie z tym spokój, bo będziesz żałował. On też pewnie żałował, już choćby tego, iż otworzył puszkę Pandory. Jego atak i śmierć to przypadek i nie miał nic wspólnego z tobą.

Pocałowała go, oferując pociechę. Przytulił ją, czego oboje tak bardzo potrzebowali.

– Uścisnąłeś mnie w Northallerton. Nigdy tego nie zapomniałam.

– Uściski są, jak powietrze, za darmo – powiedział. – Czyż nie jesteśmy zatem bogaci? Korzystajmy z tego.

# Rozdział XXXI

Tej nocy Prudence czuła się w łóżku o wiele mniej samotnie. Wiedziała, że ta samotność ma cel, mimo to żałowała, iż nie mogą przynajmniej spać razem. Tęskniła za bliskością i nie przejmowała się już tak bardzo wyprawą do kościoła.

Za sprawą Perry'ego miała co na siebie włożyć, będzie jednak pierwszy kontakt z sąsiadami. Może rodziny panien Nijakiej, Trzmiela i Niezdary także się zjawią i będą spoglądać na nią z niechęcią?

Zanosiło się też na kolejne konfrontacje. Artemis może i żyła w odosobnieniu, lecz dużo pisała i mogła sączyć truciznę w chętne uszy.

Nie poprosiła o bardziej miękkie poduszki, a i materac był zdecydowanie za twardy. Łóżko Cate'a o wiele bardziej jej odpowiadało. Pod każdym względem. Wierciła się zatem, nękana niespokojnymi myślami, póki nie zasnęła.

Rankiem obudziła ją Karen.

– Błagam, *milady*, jeśli chce pani zdążyć do kościoła, trzeba zaraz wstać.

Przespanie całego ranka byłoby przyjemne, lecz obowiązek wzywał.

Wiadomość, że lord chce zjeść z nią śniadanie, rozjaśniła dzień. Włożyła jedynie gorset i halkę, narzuciła szlafrok i dołączyła do męża. Uśmiechnęli się do siebie, a potem poprosiła, by opowiedział jej o sąsiadach. Niedoszłe hrabiny nie mieszkały na szczęście w pobliżu, oszczędzono jej więc przynajmniej tej próby.

Po śniadaniu rozstali się, aby dokończyć toalety. Kiedy Cate wrócił, ubrany w poważny ciemny strój, ucieszyła się, że ma na sobie elegancką suknię. Wyjął kolejną sztukę biżuterii.

– Myślę, że to pasuje do żałoby – powiedział, pokazując sznurek czarnych paciorków osadzonych w srebrze.

– Dziękuję – odparła, zakładając naszyjnik. – Chętnie obejrzałabym całą kolekcję.

– Apetyt na życie. To mi się podoba. Masz wygodne buty? Kiedy pogoda sprzyja, zdrowi członkowie rodziny idą do kościoła piechotą. Nie pytaj dlaczego, skoro większość przyjeżdża powozami. Taka jest ponoć tradycja.

– Nie przeszkadza mi to. Przynajmniej póki droga jest gładka.

– Dosłownie czy w przenośni? – zapytał, a Prudence przypomniała sobie, co ją czeka.

Pierwszemu wyzwaniu musiała stawić czoło już po chwili. Wdowa i Artemis czekały u podnóża schodów. Szwagierka skrzywiła się na widok Prudence. Czyżby miała nadzieję, że nowa hrabina wystąpi w źle ufarbowanej sukni? Teraz, kiedy

prawdziwa natura Artemis wyszła na jaw, Prudence już się jej nie bała. Żałowała jedynie, że nie wie, jak jej pomóc.

Pan Flamborough, zarządca, podał Artemis ramię, co przypomniało jej bez wątpienia, iż jeszcze niedawno to ona prowadziła z mężem mały pochód. Teraz musiała iść z tyłu.

Wdowa stanęła po drugiej stronie Cate'a z miną wyrażającą niezadowolenie. Za Artemis postępowały dwie jej starsze córki pod opieką pokojówki, a za nimi służący, którzy nie mieli akurat nic do roboty, zapewne według hierarchii.

Spostrzegła małą Karen, przerażoną tym, że przyszło jej iść w parze z Ransomem.

Przypomniała sobie, że powinna rozwiązać jakoś ten problem.

Był to milczący spacer.

Weszli do wioski i zobaczyła kościół. Wiele osób podążało jak oni drogą: na piechotę, wierzchem albo w powozach. Ustępowali miejsca towarzystwu z Keynings, kłaniając się i dygając. Prudence czuła na sobie spojrzenia setek par oczu. Czy Artemis zdążyła już rozpowiedzieć o tym, co wydarzyło się w Darlington?

Weszli do kościoła i skierowali się ku ławce, przeznaczonej dla rodziny Burgoyne'ów. Prudence powiedziała sobie w duchu, że wystarczy, iż wywrze dobre wrażenie. Wiedziała, co powinna robić, a czego nie. Wszystko będzie dobrze.

Cokolwiek głosiły plotki, po mszy przedstawiciele miejscowej szlachty ruszyli ku nim gromadnie, by złożyć wyrazy uszanowania. Lub przyjrzeć się bliżej zaskakującej hrabinie.

Prudence uśmiechała się i przytakiwała, mówiąc to, co należało i starając się ocenić, kto jest po jej stronie. Wdowa i Artemis stały nieco z boku, otoczone kręgiem znajomych. Czy było to celowe?

Gdy ludzie zaczęli się rozchodzić, uznała, że poszło jej tak dobrze, jak tylko było to możliwe. Jedna z młodych kobiet, pani Wrotham, mogłaby nawet zostać jej przyjaciółką. Wyraziła nadzieję, że *milady* zechce pomagać w opiece nad sierotami, a Prudence ochoczo przytaknęła. Żona pastora też próbowała zainteresować ją dobroczynnością, acz z mniejszym zapałem.

– Chcesz wracać powozem czy na piechotę? – spytał Cate.

– Na piechotę – odparła, mając nadzieję, że nikt nie zechce do nich dołączyć. Spostrzegła, że Karen odchodzi w otoczeniu radosnej gromadki krewnych. Zwolniła dziewczynę na resztę dnia, by mogła zobaczyć się z rodziną.

Kiedy Karen i jej rodzina opuszczali dziedziniec, natknęli się na grupkę żebraków. Karen odwróciła się, by wskazać pastora, pana Lovedaya. Prudence przyglądała się temu, uznając, że oto trafia się okazja, by sprawdzić, czy duchowny i jego żona naprawdę mają w sobie chrześcijańskiego ducha.

Lecz kiedy włóczędzy podeszli bliżej, utkwili wzrok nie w pastorze, ale w niej. Spoglądali z nadzieją i niepokojem. Ich kulawy pies zaszczekał i ruszył ku Prudence, machając jak szalony ogonem.

Przez jedną okropną chwilę chciała wyprzeć się tego, że zna Hetty i jej dzieci. Nie była w stanie tego zrobić, ale bardzo żałowała, że musieli przybyć akurat w chwili, gdy otaczali ją nowo poznani sąsiedzi. Z zamierającym sercem, wyobrażając sobie, jak musi to wyglądać, pochyliła się, żeby pogłaskać Toby'ego, a potem podeszła do przyjaciółki.

– Co się stało, Hetty?

– Och, Pru! Wyrzucili nas i zabrali Willa do więzienia! Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, by go ocalić!

Prudence otoczyła Hetty ramieniem, a drugim objęła dzieci.

– Oczywiście, zrobię, co będę mogła. – Świadoma obecności tłumu i zaciekawionych spojrzeń mieszkańców Keynings, zaproponowała: – Wejdźmy do kościoła, tam wszystko mi opowiesz.

– Kim są ci ludzie? – zapytała wdowa ostrym, donośnym głosem.

Prudence stawiła jej czoło, nie oglądając się na Cate'a.

– Pani Larn jest moją przyjaciółką. Pomogła mi, gdy tego potrzebowałam. Zamierzam zrewanżować się jej tym samym.

– Obiad zostanie podany, gdy tylko wrócimy z kościoła.

– Mogę się spóźnić, *madame*. Proszę na mnie nie czekać.

– Możemy się spóźnić – sprostował Cate, podchodząc. – Pani Larn oddała przysługę także mnie. – Spojrzał na dwójkę zapłakanych maluchów, opierających się o matkę. – Musicie być zmęczeni. Mogę was zanieść?

Skinęli głowami, wziął więc oboje na ręce, nie bacząc, jak są brudni i zakurzeni, i zaniósł do kościoła. Prudence podążyła za nim, obejmując ramieniem Hetty i rozmyślając o tym, że teraz kocha Cate'a jeszcze bardziej. Niech świat uzna, że przynoszą wstyd swojej klasie. Chrystus doceni miłość i współczucie – taką przynajmniej miała nadzieję.

Usiedli w ławie z tyłu.

– A teraz – zachęciła przyjaciółkę Prudence – opowiadaj.

Hetty ścisnęła w dłoni pomiętą chusteczkę. – Nie powinnam była przychodzić, prawda? Zwłaszcza tutaj, kiedy jesteś taka

wystrojona i wśród bogatych przyjaciół. Zdemaskowałam cię przed jego rodziną, prawda?

– Nonsens. Powiedz, co przydarzyło się Willowi. Dlaczego został aresztowany?

– Było tak: Will wyszedł jak zwykle do pracy, a po kilku godzinach ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Przyszli pomocnicy szeryfa i powiedzieli, że mamy się wynosić, bo Will został zamknięty za kradzież, a właściciel nie chce trzymać u siebie złodziei. – Odwróciła się do Cate'a. – To nie było w porządku, *sir*. Nie było. Will nie jest złodziejem!

– Oczywiście, że nie – wtrąciła Prudence.

– Gdzie pracuje twój mąż? – spytał Cate.

– Jest stajennym w gospodzie, *sir*, i najuczciwszym człowiekiem na świecie.

– I co niby ukradł?

– Trochę pieniędzy, które jeden z gości zostawił w torbie przy siodle. Za kradzież grozi szubienica, *sir*! Nie mogą powiesić mojego Willa!

Po brudnych dziecięcych policzkach spłynął kolejny strumień łez. Prudence otarła je własną chusteczką.

– Nie dopuścimy do tego.

– Ale co można zrobić? – załkała Hetty. – Pomyślałam, że skoro za niego wyszłaś... a on wygląda tak po pańsku... i mieszkacie w posiadłości... Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Moja rodzina nie jest w stanie pomóc. Nie ośmieliłam się nawet zostawić dzieciaków, bo w tym wszystkim jest ani chybi coś dziwnego.

Pewna myśl przyszła Prudence do głowy. Szokująca myśl. Spojrzała na Cate'a i powiedziała samymi tylko wargami:

*Draydale*?

Otworzył szerzej oczy, a potem skinął głową. Spochmurniał.

– Co każe ci sądzić, że oskarżenie mogło być fałszywe?

– Wydarzyły się też inne rzeczy, *sir*. Kilka dni temu ktoś stłukł w nocy okno w twoim dawnym domu, Prudence, i wrzucił do środka płonące szmaty. Armstrongowie z domu obok ugasili ogień, lecz nie byliśmy w stanie dojść, czyja to robota. A potem pompa na podwórku przestała nagle działać i okazało się, że ktoś przy niej majstrował.

*Draydale*. Wysyła wiadomości – może skrzywdzić ich, szkodząc innym, a może i taką, że wie o White Rose Yard i wykorzysta tę wiedzę, aby się zemścić.

Wydawałoby się to dziecinne, jednak uszkodzenie koła powozu mogło spowodować śmierć lub kalectwo, a to ostatnie posunięcie zaprowadzić Willa na szubienicę.

– Gdzie przebywa teraz twój mąż? – zapytał Cate.

– W więzieniu, a to okropne miejsce. I brudne. Poszłam się z nim zobaczyć, ale nie mogłam nic zanieść. Dozorcy nie pozwolili. Mogliśmy spędzić razem zaledwie chwilę. Powiedziałam Willowi, że pójdę do pana, *sir*. I do ciebie, Pru. Ktoś wspomniał, że mogą go sądzić nawet jutro!

– To będzie tylko sąd magistracki – pocieszył ją Cate. – Jeśli uznają go za winnego, pozostanie w areszcie aż do rozprawy przed ławą przysięgłych. Do tego czasu wszystkim się zajmę. Nie martw się.

– Ale co może pan zrobić? – zaszlochała znów Hetty. – Myślałam, że jest inaczej, lecz prawo to prawo, a w torbie Willa znaleźli trzy gwinee i parę innych rzeczy. Wiesza ją w stajni,

kiedy przychodzi do pracy. Nic nie może pan zrobić. Nikt nie może.

– Mój mąż jest lordem Malzard, Hetty. Przepraszam, że ci nie powiedziałam, lecz nie chcieliśmy rozgłaszać tego przez dzień czy dwa.

– Lordem? – Hetty zareagowała takim samym niedowierzaniem, jak kiedyś ona, choć teraz Cate wyglądał zdecydowanie bardziej po pańsku. – Do licha! – westchnęła, a potem dodała pełnym podziwu i grozy szeptem: – Ale, Pru, to znaczy, że jesteś teraz... *milady*?

– Obawiam się, że tak jest w istocie.

– Do licha!

– Dla ciebie nadal będę Pru, lecz widzisz teraz, że mój mąż ma dość władzy, by wszystko naprawić.

– Och. – Hetty spojrzała na Cate'a, osuszając chusteczką oczy, a potem rozpłakała się znowu, przytulona do piersi Prudence.

Pojawił się pastor z pytaniem, czy może w czymś pomóc. Widać było jednak, że nie ma na to ochoty. W żadnej parafii nie lubiano włóczęgów, zwracających się o pomoc i zubażających miejscowe fundusze. Prudence najchętniej zabrałaby Hetty do Keynings, ale gdzie mogłaby tam ich umieścić? Na pewno nie w jednej z głównych sypialni. Czy na terenie posiadłości znajdowała się jakaś wolna chata?

– Pani Larn i jej dzieci pojadą z nami do Keynings, pastorze – powiedział Cate. – Czy któryś z powozów jeszcze tu został?

– Tak, milordzie – odparł proboszcz, zdziwiony.

Dzieci zapadły w drzemkę i ledwie były w stanie otworzyć oczy, kiedy Cate wziął je znowu na ręce i poniósł. Prudence wzięła

Toby'ego i pomogła Hetty podejść do powozu.

Na dziedzińcu Hetty stanęła, jakby bała się wsiąść.

– Jesteśmy zbyt brudni na te piękne siedzenia.

– Nonsens. Wsiadaj, Hetty. Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy wam miejsce, gdzie będziecie mogli odpocząć i się posilić. Kiedy ostatnio jedliście?

– Przed tym wszystkim – odparła Hetty, siadając sztywno na pokrytym brokatem siedzeniu. – Nie mam pieniędzy, a ludzie na wsi nie są zbyt życzliwi dla zmęczonych obcych, prawda?

– Nie, jeśli wyglądają jak włóczędzy – przyznała Prudence.

Stonehouse'owie byli szczodrzy, ale i oni zawahaliby się, czy udzielić wsparcia grupie obszarpańców, i nie bez powodu. Tacy ludzie byli w najlepszym razie zapchlonymi złodziejaszkami, a bywało, że i rabusiami.

– Mój ojciec ubolewał nad zniszczeniem klasztorów – powiedziała. – Każdy mógł znaleźć tam pomoc, a mnisi potrafili radzić sobie z kradzieżami i innymi problemami.

– Później te obowiązki spadły na parafie – dodał Cate – utrzymywane z lokalnych podatków. Nic zatem dziwnego, że obcy widziani są tam niechętnie. Praktykowanie prawdziwie chrześcijańskich cnót bywa na co dzień trudne, czyż nie?

Ale ty jesteś prawdziwym chrześcijaninem, pomyślała Prudence, pomimo wysokiej pozycji i przywilejów. Nadal zastanawiała się, gdzie Cate zechce umieścić Hetty i dzieci.

Kiedy dotarli do Keynings, polecił woźnicy, by zawiózł ich pod północne wejście.

– Przynajmniej kilka pokojów w tym skrzydle jest teraz wolnych – powiedział do Prudence. – Na razie to wystarczy.

Zamierzał umieścić ich w Keynings? To więcej, niż oczekiwała, i po części wzdragała się w duchu na myśl o tym, jak zareagują pozostali rezydenci. Jak siostry Catesby, Optimus Goode i pan Cates przyjmą takich sąsiadów?

Próbowała odsunąć te troski. Keynings było jej domem, mogli robić tam z Cate'em, co się im podoba. Modliła się tylko, by Hetty nie poczuła się zbyt onieśmielona.

Okazało się, że niepotrzebnie zaprzątała sobie tym głowę. Hetty była, oczywiście, pod wrażeniem, ale konieczność zajęcia się dziećmi nie pozwoliła jej skupić się przesadnie na otoczeniu. Cate już miał je położyć, spytała jednak:

– Czy mogłabym dostać trochę wody, by najpierw je umyć, Pru? Śpią mocno, biedactwa, ale pobrudziłyby okropnie pościel.

– Oczywiście – odparła Prudence, rozglądając się za sznurem od dzwonka. Niczego takiego jednak nie zauważyła.

– Przyślę kogoś – powiedział Cate, układając dzieci ostrożnie na sofie.

Gdy wyszedł, Hetty wykrzyknęła:

– Sofę trudniej wyczyścić niż pościel!

– On o to nie dba. Pomyślał tylko, że dzieciom będzie spało się lepiej, gdy będą czyste.

– Och, Pru! To wspaniały człowiek, ale nie czuję się w porządku, że tu jesteśmy.

– Oczywiście, że to w porządku. Jesteście moimi gośćmi.

Weszła służąca – równie młoda i niskiej rangi jak Karen – niosąc dzbanek z gorącą wodą, a za nią druga, z zimną. Obie przyglądały się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami, ale ich zachowaniu nie można było nic zarzucić.

Prudence podziękowała i wysłała pierwszą z dziewcząt po coś do jedzenia.

– Proste potrawy, które można szybko przygotować – poleciła. – I miska wody dla psa.

Toby, zmęczony jak reszta, zwinął się w kłębek obok dzieci, lecz później trzeba go będzie wyprowadzić. Następna komplikacja.

Prudence pomogła umyć dzieci, tak zmęczone, że ledwie się poruszyły i niemal się rozpłakała, gdy zobaczyła stopy Williego.

– Nawet się nie poskarżył – powiedziała Hetty, całując synka. – Dzielny mały mężczyzna.

– Podejrzewam, że ty też masz pęcherze – zauważyła Prudence.

– Tak, lecz ja rozumiem, że nie dało się ich uniknąć. A on raczej nie.

Ułożyły dzieci do snu, a same przeszły do saloniku, gdzie czekało jedzenie – chleb, mięso, ser i niewielki dzban piwa.

Toby, kierowany nieomylnym psim instynktem, obudził się i przytruchtał do stołu. Wypił wodę i spojrzał z nadzieją na Prudence. Wzięła z tacy kawałek zimnej wołowiny i położyła na podłodze.

– Gdy dzieci się obudzą, poślij po mleko dla nich, i po wszystko, czego będziesz potrzebowała.

– Jak?

– Dobre pytanie. Sama ledwie się w tym orientuję. Polecę, by przydzielono wam służącą.

– Och, Pru...

– Nie protestuj. To jedyny sposób. Dom jest olbrzymi.

– Jeśli myślisz, że tak będzie najlepiej. – Hetty upiła solidny łyk piwa. – Powinnam zwracać się do ciebie „jaśnie pani”, prawda?

– Ani mi się waż – odparła Prudence, drocząc się z nią. – Bo zacznę nazywać cię Hesther. Cieszę się, że do mnie przyszłaś, Hetty. Chyba wiem, kto jest odpowiedzialny za to, co was spotkało. Chodziło mu o mnie, więc to naturalne, że ja i mój mąż powinniśmy wam pomóc.

– On taki właśnie jest, prawda? – zauważyła Hetty, wgryzając się w pajdę chleba. – Wszystko naprawia, jak mój ojciec.

Porównanie sprawiło, że Prudence się uśmiechnęła, lecz była to prawda – a taka cecha nie zależała od sfery ani społecznej pozycji.

– Rzeczywiście. Czuj się swobodnie, Hetty. Jesteś moim pierwszym gościem, bardzo dla mnie ważnym.

– Ja? – spytała Hetty.

– Ty. – Prudence uświadomiła sobie, że to prawda. Hetty była drogą przyjaciółką i chętnie zatrzymałaby ją w pobliżu. Jakoś. – Jesteś uczciwa, życzliwa i silna – powiedziała. – Poza tym, stęskniłam się za twoim chlebem.

Hetty się roześmiała.

– Nie mów. Mając takie jedzenie?

– Smakują mi tutejsze potrawy, ale czasami jedzenie to coś więcej niż pokarm.

* * *

Wyszła z saloniku, czując się dziwnie podniesiona na duchu. Nie chodziło jedynie o to, że miała teraz przyjaciółkę – kogoś, kto znaczył dla niej więcej, niż sądziła – ale że przezwyciężyła niezdrową potrzebę, aby być idealną hrabiną. Jest jaka jest i to będzie musiało wystarczyć. Ludzie wiedzieli teraz o niej niemal wszystko, nie miała się więc czego obawiać.

A Cate... Cate – życzliwość męża wobec Hetty i dzieci przypieczętowała jej oddanie. Była najszczęśliwszą z kobiet. Zapragnęła pójść do niego natychmiast, lecz należało zająć się wpierw czymś innym. Wróciła do buduaru i wezwała gospodynię.

– Czy to możliwe, by jedna z dziewcząt, które przyniosły wodę, pozostała przez jakiś czas do dyspozycji moich gości, pani Ingleton?

– Cóż, tak, *milady* – odparła kobieta, zaskoczona.

– Nie poczuje się upokorzona? Nie będę tolerowała nieuprzejmego traktowania mojej przyjaciółki.

Z twarzy gospodyni nie sposób było cokolwiek wyczytać, odparła wszakże:

– Clarry będzie zachwycona, że ma lżejszą pracę, jestem tego pewna. O ile goście nie będą źle się zachowywać.

Prudence uznała, że gniewem niczego nie załatwi.

– Pani Larn i jej dzieci zostali niesłusznie eksmitowani, pani Ingleton, dlatego przybyli tu w takim stanie. Musieli przyjść pieszo z Northallerton. Teraz odpoczywają, ale gdy się obudzą, będą potrzebowali czystych ubrań. Znajdzie się dla nich coś takiego?

– Tak, *milady* – odparła gospodyni z nutką współczucia w głosie. Nie było dla nikogo tajemnicą, iż życie potrafi być czasami niesprawiedliwe.

– Proszę zapewnić im wszystko, czego będą potrzebowali – poleciła, a potem dostrzegła okazję, by zaapelować do uczuć gospodyni. – Słyszałam o pani cudownej maści, pani Ingleton. Przydałaby się zwłaszcza chłopczykowi. Ma stopy całe w pęcherzach.

– Och, biedaczek! Dopilnuję, by Clarry ją zaniosła, *milady*.

Prudence podziękowała kobiecie serdecznie, a kiedy wyszła, odetchnęła z ulgą. Poszło doskonale. Teraz mogła porozmawiać z Cate'em. Był bardzo miły i gościnny, lecz jak zareaguje na wiadomość, że chciałaby zatrzymać Hetty? Nie w domu, oczywiście, ale w pobliżu. Will pracował przy koniach, więc może znalazłoby się dla niego zajęcie w stajni. Mogliby zamieszkać w chacie w pobliżu. A nawet zbudować taką, gdyby zaszła potrzeba.

Zdawała sobie sprawę, że spowoduje to problemy. Chciała, by Hetty pozostała jej przyjaciółką, ale wywołałaby tylko kolejne pandemonium, wytrącając z równowagi służbę i dzierżawców. Mogłaby nawet zaszkodzić jeszcze bardziej swojej reputacji wśród miejscowej szlachty. Nietrudno sobie wyobrazić, co zrobiłaby z tym Artemis – z pomocą wdowy i sióstr Catesby.

Co gorsza, Hetty też nie czułaby się dobrze. Należała do osób, które muszą być częścią większej społeczności. Gdyby uznano ją za uprzywilejowaną i obcą, byłoby jej trudno to wytrzymać. Potarła czoło. Zdecydowanie musi porozmawiać z mężem. A może chciała po prostu z nim pobyć?

Poleciła Karen, aby sprawdziła, co porabia lord i okazało się, że zamknął się w gabinecie z wyższymi rangą urzędnikami. Musiał oderwać ich od niedzielnego obiadu, sprawa była zatem pilna. Nietrudno było się domyślić, czego dotyczy zebranie.

Draydale. Jego podstępne działania wymagały szybkiej reakcji i miała nadzieję, że Cate postara się, aby ten człowiek cierpiał tak, jak na to zasługuje.

Co teraz? Nie miała ochoty na obiad.

Pomyślała, że kiedy dzieci się obudzą, z pewnością chętnie by się czymś pobawiły. Ruszyła na górę w poszukiwaniu pokoi dziecinnych oraz lekcyjnych. Przypomniała sobie, że mijała je, gdy gospodyni pokazywała jej dom, mimo to zabłądziła kilka razy, nim do nich trafiła.

Gdy się zbliżyła, usłyszała głosy. Oczywiście. Pokoje zajmowała Artemis. Czy szwagierka weźmie jej za złe ten najazd? Weszła do pokoju dziennego pełna złych przeczuć i skrzywiła się w duchu, gdy zobaczyła, że są tam nie tylko dziewczęta, ale i sama Artemis. Kobieta zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

Niewielkie pomieszczenie urządzono tak, by łatwo można było zajmować się dziećmi. Na półkach stały książki, ale też lalki, domek dla lalek, klocki i inne zabawki. Dla Sarah i Willa byłby to nowy, cudowny świat.

– Wybacz, że wam przeszkadzam – powiedziała. – Przywiozłam do domu panią Larn z dziećmi i umieściłam na razie w północnym skrzydle. Teraz co prawda śpią, zastanawiałam się jednak, czy nie znalazłoby się tu kilka nieużywanych zabawek lub materiałów do nauki, które mogłabym im dać.

Dwie starsze dziewczynki wstały, dygnęły, po czym zastygły w bezruchu. Szkrab siedzący na podłodze przy stosie klocków uśmiechnął się do Prudence. Odpowiedziała odruchowo uśmiechem. Dziecko podeszło, raczkując i uchwyciło się jej spódnicy.

Prudence zerknęła na szwagierkę, lecz widząc, że Artemis nie protestuje, podniosła dziecko i pocałowała w policzek.

– Ależ jesteś śliczna, kwiatuszku! – Uświadomiła sobie, że posłużyła się zdrobnieniem, używanym przy White Rose Yard,

lecz nie przejęła się tym. Uśmiechnęła się do dwóch starszych dziewczynek. – Dzień dobry.

Dygnęły znowu i odpowiedziały na pozdrowienie, lecz zachowały dystans. Najwidoczniej Artemis odmalowała im nową hrabinę w ciemnych barwach.

Prudence spróbowała ocieplić nieco atmosferę.

– Przepraszam, kochane, lecz nie znam waszych imion.

Spojrzały na matkę, jakby ich imiona były tajemnicą.

Artemis westchnęła.

– Przedstawiam ci Flavię, moją najstarszą córkę. – Wyższa z dziewcząt dygnęła. – I Julię, młodszą. – Kolejny dyg. – A ta malutka to Maria. – Na dźwięk głosu matki Maria poruszyła się w ramionach Prudence i wyciągnęła rączki do Artemis. Artemis wzięła dziecko. Ulokowało się wygodnie, wsparte na jej ramieniu. – Na miłość boską, weź, co chcesz, siostro.

Prudence rozejrzała się dookoła, zastanawiając, co może być szczególnie ważne dla dziewczynek.

– Może wybrałybyście same trochę zabawek – powiedziała do Flavii i Julii. – Jakieś odpowiednie dla chłopca? I książki. Nie czytają jeszcze zbyt dobrze.

Dziewczęta przystąpiły do dzieła z zapałem i wkrótce Prudence opuściła pokój dziecinny z koszem pełnym zabawek. Chętnie zostałaby kochającą ciotką, wątpiła jednak, aby jej na to pozwolono.

# Rozdział XXXII

Zaniosła koszyk i ucieszyła się, kiedy drzwi otworzyła jej pokojówka przysłana Hetty do pomocy. Goście śpią, wyszeptała, raczej zadowolona ze zmiany obowiązków.

Prudence uświadomiła sobie, że jest głodna, nie zamierzała jednak przyłączać się do reszty rodziny w jadalni. Posłała Karen, aby sprawdziła, gdzie jest Cate i czy zjadł już obiad. Pokojówka wróciła z informacją, że milord prosi, by dołączyła do niego w bibliotece pana domu. Weszła do pokoju i zastała go przy posiłku.

– Kazałem nakryć także dla ciebie – powiedział – byłaś jednak zajęta, a ja tak głodny, że nie czekałem.

Prudence nie była dotąd w tym pomieszczeniu. Wyglądało bardziej jak buduar, co ją zdziwiło. Podzieliła się tą uwagą, siadając do stołu.

– Kiedyś pokój był wyłożony boazerią i miał bardziej męski wystrój.

Nalała sobie zupy i zauważyła:

– Twój brat go zmienił, tak jak hol.

– A ja nie mogę zmienić go na powrót, żeby nie wydać się bezdusznym. Obrazy, które tu wiszą, Roe przywiózł z podróży po Europie.

– Może Artemis chciałaby je zabrać? – zasugerowała Prudence, częstując się zupą.

– Wspaniały pomysł! I meble także, jeśli zechce. Dziękuję.

Prudence uśmiechnęła się do niego.

– Mam nadzieję, że weźmie też wszystko z buduaru. Nie chodzi o to, że wystrój mi się nie podoba, ale to jej pokój, nie mój, przesycony jej zgorzknieniem.

Cate westchnął.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Roe przewraca się w grobie.

– Jest w niebie – przypomniała mu. – A tam na pewno znają prawdę.

– Pod pewnymi względami to przerażająca myśl!

Potrząsnęła głową i opowiedziała mu, jak urządziła Hetty. A potem przyznała, że chciałaby zatrzymać przyjaciółkę w Keynings.

– Czy byłoby to bardzo kłopotliwe?

Cate się skrzywił.

– To zależy. Jeśli Hetty i jej mąż zechcą zostać, możemy spróbować. Trochę kurczaka? – Podał jej kawałek, a potem kontynuował: – Jeżeli zacznie to wzbudzać niesnaski, umieszczę ich gdzie indziej. Może we własnej gospodzie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś bardzo szczodry.

Nalał jej wina i napełnił własny kieliszek.

– Oddanie komuś odrobiny tego, co się samemu posiada, to nic wielkiego. Nie zasługuje na pochwały. Wiem, że wolałabyś mieć ją przy sobie.

– Nie za cenę tego, że będzie nieszczęśliwa. Wiem aż za dobrze, jak to jest, gdy nie pasuje się do miejsca, gdzie przyszło nam żyć. A teraz opowiedz mi, co zaplanowałeś dla Draydale'a.

– Przejrzałem wszystko, co na niego mamy i posadziłem ludzi, żeby opracowali materiał tak, by dało się go wykorzystać. Na razie nie odkryliśmy nic zdecydowanie nielegalnego, za to mnóstwo rzeczy, które nie przynoszą mu chluby. Najchętniej zabrałbym się do tego od razu, lecz ludzie mieliby mi za złe, że zajmujemy się czymś takim w niedzielę. Wysłałem jednak dwóch do Northallerton. Odszukają Willa, zapłacą, by miał w areszcie wygodniej, i dadzą ludziom szeryfa jasno do zrozumienia, że sprawą interesuje się ktoś ważny. Jutro znajdą dla niego adwokata.

– Kiedy ten, kto go oskarżył, zorientuje się, że Will ma po swojej stronie lorda Malzard, zniknie zapewne z okolicy.

– Pod pewnymi względami tak byłoby nawet lepiej, lecz poleciłem moim ludziom, aby do tego nie dopuścili, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Mam nadzieję zaskoczyć Draydale'a i nieco go przestraszyć. A jeśli rzekomo okradziony nie zniknie, może uda się go przekonać, aby zeznawał przeciwko Draydale'owi.

Zostało to powiedziane takim tonem, że Prudence ciarki przebiegły po kręgosłupie, pragnęła jednak gorąco, aby Draydale został ukarany.

– Mamy atak na twój dom i uszkodzenie powozu. Ogień mógł się rozprzestrzenić i zagrozić sąsiadom, a podpiłowanie koła w naszym powozie mogło się okazać śmiertelne w skutkach. Moi wysłannicy rozejrzą się za tymi, którzy spowodowali oba wypadki. Wątpię, czy dowody, które uda się zebrać, wystarczą, aby Draydale'a skazać na wygnanie, ale umniejszą z pewnością jego wpływy, a to już coś.

– Bycie biednym i pozbawionym władzy to będzie dla niego piekło.

– Nadal chciałbym wymierzyć skuteczny cios. – Upił łyk wina. – To, że zostałem lordem dopiero niedawno, osłabia moją pozycję. Ludzie nie mają powodu się mnie bać.

– A bali się twojego brata? – spytała. – Zapachniało średniowieczem.

– Tu, na północy, dawne obyczaje nadal są żywe, a arystokracja posiada realną władzę. Jestem pewien, że Roe potrafił się nią posłużyć, gdy zaszła potrzeba. A już mój ojciec na pewno.

Zmarszczyła brwi.

– Stanowię zatem nie lada problem, prawda? Siostra Aarona Youlgrave'a, która wywołała przy ołtarzu skandal, nie pasuje do długiego rodowodu i uznawanej powszechnie władzy.

– A ja jestem byle jak odzianym dżentelmenem, który jej pomagał. – Wzniósł toast. – Jesteśmy oboje wojownikami i ludzie wkrótce to dostrzegą. Skończyłaś? Chciałbym pokazać ci moją wannę.

– Twoją wannę?

– Odpowiednią dla wojownika. Sama zobaczysz.

Weszła za nim do pokoju kąpielowego i otworzyła szeroko oczy na widok monstrualnie wielkiego urządzenia.

– Można by niemal w niej pływać!

– Niezupełnie – powiedział – ale robić coś innego, jak najbardziej. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Popływać możemy w jeziorze.

– Popływać? Kobiety tego nie robią, prawda?

– Będziesz mogła, jeśli zechcesz. Nauczę cię.

Nie była pewna, co myśleć – zarówno o pływaniu, jak i o wannie.

– By ją napełnić, potrzeba mnóstwo wody.

– Zatrudnianie służby to dobry uczynek. Dzielimy się w ten sposób bogactwem.

– Chyba potrafiłabym zbić ten argument...

– Nie próbuj. Zamiast tego, zatrudniaj. I używaj wanny, ilekroć zechcesz.

– Kąpiel w niej musi być cudowna. Ja mam tylko malutką. – Rozejrzała się po ścianach. – Co za piękny pokój. Czy te malowidła to kopie rzymskich fresków?

– Kilka artystycznych wizji Olimpu. Powinnaś mieć łazienkę równie wspaniałą jak ta. Chodź.

Pospieszył do jej pokojów i rozejrzał się po sypialni.

– Można przerobić ją na pokój kąpielowy. Zaprojektowałabyś osobiście każdy szczegół.

– Ale stracilibyśmy sypialnię.

– W domu nie brak sypialni, a w razie potrzeby możemy dobudować kolejne skrzydło.

Roześmiała się, ale tym razem pomysły Cate'a nie wydały jej się już tak absurdalne.

* * *

Gdy obudziła się w poniedziałek rano, znalazła wiadomość od Cate'a. Informował, że Willowi zapewniono wszelkie możliwe wygody i adwokat zajmuje się jego sprawą.

Włożyła ufarbowaną niebieską sukienkę i poszła przekazać Hetty dobre nowiny. Znalazła ją oraz dzieci wykąpane – każde w czystej wodzie! – i odziane w nowe ubrania. Dzieci, zajęte zabawą, rozkoszowały się sytuacją. Hetty nadal była niespokojna, najwidoczniej zamartwiając się tym, że mogą coś zabrudzić albo uszkodzić.

– Nie martw się o nic – powiedziała Prudence.

– Jak mogłabym? – odparła Hetty. – Byłoby grzechem zaplamić tak piękne rzeczy.

– Dzieci są ostrożne, ale dlaczego nie zabierzesz ich na dwór, gdzie mogłyby pobiegać z Tobym?

– A można?

– Pewnie.

Wyprowadziła całą gromadkę na zewnątrz, gdzie zaskakująco wielu mężczyzn trudziło się utrzymaniem piękna ogrodów. Pokazała dzieciom huśtawkę i natychmiast zaczęły się huśtać, pokrzykując z radości. Huśtawka była prostym urządzeniem, zatem dlaczego nikt nie zainstalował jej w White Rose Yard?

Chętnie zjadłaby śniadanie, ale tak już przyzwyczaiła się spożywać je z Cate'em, że trudno jej było z tego zrezygnować.

– Muszę wrócić do domu – powiedziała do Hetty. – Cieszcie się ogrodami. – A potem przypomniała sobie o Draydale'u. Ranek był tak spokojny, że trudno było wyobrazić sobie zagrożenie. Mimo to powiedziała: – Nie oddalajcie się na razie od domu.

Hetty spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami, lecz przytaknęła.

– Możemy pójść nad jezioro, mamo? – zapytał Willie.

– Nie teraz – odparła.

Prudence weszła pospiesznie do środka, zirytowana tym, że groźba machinacji Draydale'a zawisła nad tym spokojnym miejscem. Im szybciej się z nim uporają, tym lepiej.

Cate jadł już śniadanie w buduarze. Gdy weszła, wstał i pocałował ją. – Ubrana i pełna energii?

– Poszłam przekazać Hetty dobre nowiny. Przywykli wstawać wcześnie, więc są teraz na dworze. – Usiadłszy, dodała: – Ostrzegłam ich, aby nie oddalali się od domu.

– To dobrze. Poleciłem, by mężczyźni, którzy nie mają nic pilnego do roboty, zajęli się czymś na zewnątrz i wypatrywali zagrożenia.

– Jesteś bardzo przezorny.

– Mam sporą praktykę w utrzymywaniu ludzi przy życiu. Nie lubiłem marnotrawienia sił ludzkich. Kolejna rzecz, która stała w sprzeczności z obowiązującymi w wojsku zasadami. Nie pozwolę, by Draydale skrzywdził kogoś z tutejszych.

– Myślisz, że spróbuje?

– Nie narazi się na to, by oskarżono go o morderstwo, lecz gdyby mógł okaleczyć kogoś lub zabić, tak by wyglądało to na

wypadek, jak najbardziej. Zwłaszcza teraz. Na pewno dotarły już do niego wieści, że wprawiłem machinę w ruch.

– Boże, zwiększyliśmy tylko zagrożenie.

– Wolałabyś zostawić Willa bez pomocy?

– Nie, ale to wszystko mi się nie podoba. Dlaczego nie rozprawimy się z nim już teraz?

– Niecierpliwa jak zawsze – zauważył z uśmiechem. – Podobnie jak ja. Nadal zbieram informacje. Każdy dzień może przynieść tę, która okaże się gwoździem do jego trumny. Zaczekam jednak tylko do jutra. Rankiem wyruszam do Darlington, żeby ostatecznie się z nim rozprawić. Chcesz pojechać ze mną?

Pomysł ją zaskoczył, powiedziała wszakże:

– Tak. Zwłaszcza jeśli będę mogła być świadkiem jego upadku.

– Obiecuję, że się postaram. Teraz jednak wielu osobom grozi niebezpieczeństwo. Draydale może zasadzić się na każdego, kto jest z tobą związany, nawet lokatorów twojego starego domu.

Prudence zamarła z kawałkiem posmarowanej masłem bułki w dłoni.

– Stonehouse'owie! Czy Draydale mógł się o nich dowiedzieć?

– Do licha, tak, od stajennego Tallbridge'a. – Wstał i pocałował ją przelotnie. – Muszę posłać tam ludzi, by ich ostrzegli i pomogli w razie potrzeby. Ktoś jeszcze przychodzi ci na myśl?

Prudence zastanawiała się przez chwilę.

– Jeśli Aaron i Susan są bezpieczni, to chyba nie. Nie zaprzyjaźniłam się w White Rose Yard z nikim poza Hetty.

Wyszedł, a Prudence odechciało się jeść. Zaniepokojona, wyszła do ogrodu, lecz Hetty i dzieci bawili się bezpiecznie w pobliżu. Dzieci grały w piłkę, Toby uganiał się pomiędzy nimi, a Hetty

siedziała na ławce pod drzewem. Nie wiadomo, czy rozkoszowała się odpoczynkiem, czy denerwując tym, że nie ma nic do roboty.

Prudence usłyszała dobiegające z oddali dziecięce głosy i zobaczyła, że córeczki Artemis bawią się na brzegu jeziora. Chętnie zobaczyłaby dzieci bawiące się razem, ale nie mogła wymagać aż tyle.

Flavia i Julia wbiegły na chiński mostek nad strumykiem zasilającym jezioro i Prudence nagle poczuła się zaniepokojona. Woda stanowiła oczywiste zagrożenie, a w żądnym zemsty, wypaczonym umyśle Draydale'a każdy mógł zostać uznany za cel.

W pobliżu znajdowało się jednak kilku mężczyzn, zajętych między innymi wycinką sitowia. Cate zadbał o wszystko, może nawet przesadnie, ale nie mogła mieć mu tego za złe.

Nie należało jednak tracić czasu na doszukiwanie się wszędzie niebezpieczeństwa. Czekały na nią obowiązki. Wróciła do domu, gdzie, czując się odrobinę głupio, wsunęła do kieszeni stary nóż, a za dekolt włoski sztylet.

* * *

Tego dnia na obiedzie pojawiła się cała rodzina. Poza ironicznym: – Twoi przyjaciele nie zjedzą z nami, Prudence? – hrabina nie sprawiła problemów, zaś Artemis siedziała milcząca. Pan Goode zdawał się postrzegać teraz Prudence jako starą znajomą.

Siostry Catesby były wyraźnie ożywione. Pojawienie się dzieci tak na nie podziałało. – Co za smutna sprawa – powiedziała panna Catesby. – Zostać tak okrutnie potraktowanym.

Pan Coates podzielił się ze wszystkimi swoimi poglądami na prawo dotyczące włóczęgów. Rozprawiał, póki wdowa nie wtrąciła:

– Mam nadzieję, że te dzieci będą zachowywały się jak należy. Nie są przyzwyczajone do takiego otoczenia.

– Są bardzo dobrze wychowane – zaprotestowała dzielnie panna Cecily. – Prawie ich nie słyszymy, czyż nie, siostro? Ani ich pieska. Żadnego szczekania.

– Ani rasy – zauważyła hrabina.

Prudence wolała uznać, że odnosiło się to jedynie do psa.

Napięta atmosfera panowała także przy herbacie, nie wypowiedziano jednak otwartej wojny, nikt też nie zwlekał z odejściem. Prudence zauważyła z zaskoczeniem, że już jej to nie obchodzi. Wdowa i Artemis mogą kisić się we własnym sosie. Ona ma coś lepszego do roboty.

Na przykład sprawdzenie, czy Willie i Sarah mogą podejść bezpiecznie do jeziora. Śmiało wkroczyła gabinetu Cate'a. Siedział za biurkiem, przeglądając papiery.

Pocałowali się i było to równie naturalne jak oddychanie.

– Czy to bezpieczne? Jestem pewna, że sprawiłoby im nie lada frajdę – spytała, mając na myśli przejażdżkę łódką.

– Kazałem sprawdzić rano łodzie i mostek, a od tego czasu kręcą się tam ludzie, więc raczej trudno byłoby zakraść się i coś uszkodzić. Pójdę z tobą i zorganizuję przejażdżkę.

Spojrzała wymownie na biurko.

– Nie masz tu nic do roboty, milordzie?

– Napominasz mnie, żebym nie zaniedbywał obowiązków, *milady*? Zamierzam wybrać się znów na wagary. Ostatnim razem okazało się to wielce satysfakcjonujące.

Uśmiechnęli się do siebie, a potem znowu pocałowali i ruszyli na poszukiwanie gości.

Znaleźli Hetty i dzieci w przeznaczonych dla nich pokojach. Na wzmiankę o łodzi Willie zapałał natychmiast entuzjazmem. Sarah była bardziej ostrożna, zgodziła się jednak podejść do jeziora. Łodzie trzymano w szopie. Cate polecił jednemu z mężczyzn, by sprawdził którąś i zabrał Hetty oraz dzieciaki na przejażdżkę.

Prudence przyglądała się rozradowanym twarzom dzieci.

– Mam nadzieję, że zostaną.

– Problem polega na tym – ostrzegł ją Cate – że teraz są w Keynings gośćmi. Lecz jeśli Will zacznie tu pracować, rodzina nie będzie mogła cieszyć się przywilejami niedostępnymi dla pozostałej służby. Nie widzę jednak powodu, by wszyscy nie mogli korzystać od czasu do czasu z łodzi. Mężczyznom pozwolono już na łowienie ryb w czasie wolnym. Nie, nie ja. Mój ojciec.

– Był więc równie życzliwy jak ty.

– Raczej pragmatyczny. Nie był wędkarzem, ryby go więc nie interesowały. A kiedy w domu zjawiali się goście lubiący wędkować, służący wiedzieli, że lepiej trzymać się z daleka. A co ty sądzisz o przejażdżce łodzią? – Widząc, że się zawahała, dodał żartobliwie: – Nie masz tyle odwagi, co dzieci Hetty?

– Do licha z tobą – odparła rozbawiona. – Doskonale, lecz jeśli się utopię, będzie miał mnie na sumieniu.

Zaprowadził ją do szopy i odwiązał płaskodenną łódź. A potem wyciągnął rękę.

– A jeśli się wywróci?

– Nie dopuszczę do tego.

– Wiem, wiem. „Zaufaj mi”. Zapewne powinnam się cieszyć, że mam na sobie najgorszą suknię i jeśli zamoknie, nic wielkiego się nie stanie. Lecz jeśli utonę, będzie to twoja wina.

– Jeśli utoniesz, utonę z tobą.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale układał akurat poduszki w łodzi. Odwrócił się i podał jej rękę. Ujęła ją i weszła ostrożnie do łódki, a potem usiadła i podwinęła pod siebie spódnice. Zdjął surdut, chwycił tyczkę, a potem odepchnął łódkę od brzegu. Zachybotała, a Prudence chwyciła się kurczowo obu burt.

– Zaufaj mi – powiedział z uśmiechem.

– Masz w tym jakieś doświadczenie?

– Mnóstwo... Z czasów gdy byłem chłopcem.

– Tego się obawiałam.

Uśmiechnął się i popchnął łódkę na środek jeziorka, z dala jednak od dzieci. Prudence nigdy jeszcze nie czuła się tak niepewnie. Jezioro nie było duże, ale mogła tu liczyć tylko na łódź. I na Cate’a. Bez łodzi i Cate’a znalazłaby się na łasce żywiołu i utonęła.

– Nie umieraj – powiedziała.

– Podczas przejażdżki? Nie zamierzam.

– Nigdy. To znaczy, przez bardzo długi czas. Mam tylko ciebie.

Popatrzył na nią poważnie, popychając łódź po spokojnej wodzie.

– Nie jesteś wszystkim, co mam, Prudence, lecz bardzo dużo dla mnie znaczysz. Nie umieraj.

– Postaram się. To wszystko, co możemy zrobić, prawda? Starać się.

– Jesteśmy w tym bardzo dobrzy. Na razie postarajmy się uzyskać trochę prywatności.

Brzeg jeziora wybrzuszał się w paru miejscach, tworząc kilka niewielkich zadrzewionych cypli, nietrudno więc było znaleźć zatoczkę, gdzie czuli się tak, jakby byli sami na świecie. Wkrótce Prudence ogarnął spokój. Niebo było dość zaciągnięte i tylko miejscami spoza chmur przezierał błękit. Brak słońca sprawiał, że powietrze było przyjemnie chłodne, a puszyste obłoki naprawdę piękne.

– Zastanawiam się, co by się stało, gdybym mogła wzlecieć i dotknąć chmury.

– To tylko mgła. Wchodziłem w chmury w górach.

– Niszczysz magię – poskarżyła się.

– Zabiorę cię gdzieś, gdzie będziesz mogła dotknąć chmur. Przy odpowiedniej pogodzie wystarczy choćby wysokie wzgórze. Widziałaś morze?

– Nie.

– Ten błąd można jeszcze łatwiej naprawić.

– Przepraszam.

– Za co?

– Nie doświadczyłam dotąd zbyt wiele.

– To daje mi okazję, bym mógł więcej ci pokazać. Zdejmij rękawiczkę i zanurz dłoń w wodzie.

Posłuchała.

– Ach, pieszczota fal na skórze. Taka prosta rzecz.

– Jak wiele przyjemności. Chmury i tęcza. I uściski.

– O wszystko się troszczysz. Czuję się przy tobie jak ostatni leń.

– Lubię tak robić. Trochę mi teraz brakuje aktywności. Chętnie pojeździłbym konno o poranku, ale staram się oszczędzać ranę. Pojechałbym do Darlington wierzchem, lecz muszę dotrzeć tam

w możliwie najlepszej kondycji. Może powinienem ściągnąć ze strychu starą zbroję i ruszyć przed siebie z proporcem powiewającym na wietrze?

Zaśmiała się, lecz zaraz spoważniała.

– Przyszło mi do głowy, że ludzie mogą postrzegać twoje działania przeciwko Draydale'owi jako zemstę za to, że mnie zniewolił lub uwiódł. Umocnisz w nich przekonanie, że tak się właśnie stało.

– Gdybym wiedział, że cię zniewolił, wyzwałbym go i zabił – stwierdził jak gdyby nigdy nic.

Ciągle potrafił zaskoczyć ją tego rodzaju stwierdzeniem. Dzień stał się nagle bardziej mroczny.

– Nie rób tego, proszę.

Przyjrzał się jej.

– Chcesz powiedzieć, że mógłbym mieć powód?

– Nie!

– Wierzę ci. Zdawałaś się jednak sugerować coś innego.

– Ja nie... nie. Nie lubię przemocy. Przeraża mnie.

– Wolałabyś jutro ze mną nie jechać?

– Nie, chcę tam być. – Próbowała otrząsnąć się ze złych przeczuć.

– Dobrze. Nie spodziewam się przemocy, raczej dramatu. Udowodnimy prawdę swoim zachowaniem. Romans wart pieśni trubadura, pamiętasz?

Uśmiechnęła się.

– Teraz nie wydaje się to aż tak nieprawdopodobne.

– Ani trochę – zgodził się. Jego uśmiech sprawił, że się zaczerwieniła. Odwróciła głowę i jęła przyglądać się drzewom na

porośniętym sitowiem brzegu.

Zaczęła w myślach liczyć. Okres powinien zacząć się jej za tydzień, co oznacza, że za dwa tygodnie będzie po wszystkim. Cate wyzbędzie się wątpliwości, ale czy to nie za wcześnie, by począć dziecko? Nie każda żona zachodzi od razu w ciążę, lecz ona mogłaby, a wówczas świat mógłby uznać, że dziecko jest jednak Draydale'a.

Może to myśl, iż trzeba będzie czekać dłużej, sprawiła, że wszystko dookoła jakby pociemniało, a może chodziło o coś zupełnie innego.

– Chyba zaczyna robić się chłodno. Mam nadzieję, że nie będzie padać.

– Chcesz wracać?

– Nie. Spójrz, na drugim brzegu widać dziewczynki Artemis. Wyglądają, jakby też miały ochotę na przejażdżkę. Nie wypływają na jezioro?

Odwrócił się i spojrzał.

– Nie wiem. Nie widziałem, by pływały łódką. Mam im to zorganizować?

– Możemy podpłynąć i je zapytać.

Wyprowadził łódź z małej zatoczki i po chwili płynęli już z zastraszającą szybkością. Prudence chwyciła się burt, modląc się w duchu i wyrzucając sobie brak wiary w umiejętności Cate'a. Flavia i Julia obserwowały ich przez chwilę, a potem zeszły niżej nad wodę.

– Uważajcie! – krzyknęła Prudence.

Tuż obok stała piastunka w małą Marie na rękach, lecz wyglądało na to, że dziewczynki jej nie słuchają. Dzięki Bogu,

w pobliżu znajdował się jeden z ludzi Cate'a. Wycinał widocznie sitowie, lecz teraz odłożył narzędzie i podbiegł do dziewcząt.

Nagle wyrwał dziecko z rąk piastunki i wrzucił do wody.

– Cate! – krzyknęła Prudence. Dziewczęta i piastunka także krzyknęły, wołając: – Pomocy! Maria!

Cate rzucił tyczkę, kopnięciem pozbył się butów i zanurkował. Łódź zachybotała mocno. Prudence chwyciła się burt. Miała ochotę też krzyknąć, utkwiła jednak tylko wzrok w mężu zmierzającym ku miotającemu się w wodzie dziecku. Wyglądało na to, że obfite spódniczki utrzymują małą na wodzie, lecz w każdej chwili...

Kolejny krzyk sprawił, że spojrzała ku brzegowi. Mężczyzna musiał uderzyć nianię, leżała bowiem na trawie. Napastnik chwycił tymczasem jedną z dziewcząt, przerzucił ją sobie przez ramię i zaczął biec ku lasowi, ścigany przez siostrę uprowadzonej. Biegła za nim, wołając:

– Zatrzymaj się! Zatrzymaj! Och, niech ktoś mi pomoże! Pomocy!

Łódź, w której znajdowała się Hetty z dziećmi, ruszyła pospiesznie ku brzegowi. Zewsząd nadbiegali ludzie. Cate wyłowił małą Marie, lecz był daleko od brzegu.

Łódź Prudence uderzyła siłą rozpędu o brzeg. Wygramoliła się z niej bez zastanowienia i wpadła po uda w wodę, pomiędzy bujne sitowie. Mokre spódnice ciążyły jej niczym ołów, stopy ślizgały się na błotnistym dnie. Chwytała się wszystkiego, co było w zasięgu, byle wydostać się na stały grunt. Gdy wreszcie się jej udało, napastnik i dziewczęta zniknęli już za zasłoną drzew.

Głośne okrzyki powiedziały jej, iż nadciąga pomoc, wiedziała jednak, że jest najbliżej.

Wydostawszy się na brzeg, opadła na chwilę na dłonie i kolana, a potem podniosła się i zmusiła do biegu, przezwyciężając opór mokrego materiału. Wpadła, zdyszana, pomiędzy drzewa. Podążała po śladach złamanych gałązek i schylając się, by nie uderzyć głową o wyższe. Słyszała przed sobą głosy dziewcząt, nadal wołających o pomoc.

Nagle coś uderzyło ją w głowę. W pierwszej chwili uznała, że to gałąź, której nie udało jej się ominąć, lecz kiedy upadła, zobaczyła napastnika – zamierzał się na nią grubym konarem. Odtoczyła się i sięgnęła po nóż, lecz kieszeń zniknęła, przyciśnięta zwałami mokrej tkaniny.

Dziewczęta. Dziewczęta...

Zostawił je i zawrócił.

Po nią.

Chwyciła włoski sztylet i wyszarpnęła go akurat w chwili, kiedy miał ją uderzyć. Ugodziła go kilka razy w nogi i odczołgała się. Pończochy napastnika zabarwiły się krwią. Zaklął.

Skądś dobiegł ją głos Cate'a.

– Prudence! – zawołał. – Prudence!

– Tutaj! Tutaj!

Mężczyzna uniósł gałąź z ewidentnym zamiarem wymierzenia morderczego ciosu.

Usłyszała wystrzał. Napastnik otworzył szerzej oczy, po czym osunął się na ziemię. Krew buchnęła mu z ust.

Prudence odtoczyła się jak najdalej od strasznego widoku, szlochając z wyczerpania, strachu i ulgi.

A potem Cate trzymał ją już w ramionach.

– Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

Spojrzała na niego.

– Chyba nie... Wszystko dobrze... Zastrzeliłeś go?

– Nie miałem z czego i ociekałem wodą – powiedział zdyszany. – To pewnie któryś z gajowych. Ktokolwiek go zabił, zostanie sowicie wynagrodzony. A Draydale podpisał właśnie na siebie wyrok.

Pomimo protestów Prudence wziął ją na ręce i wyniósł z lasu. Artemis nadbiegła od strony domu. Ktoś podał jej krzyczące dziecko, a starsze dziewczynki ruszyły biegiem ku matce.

– Ocaliłeś malutką – powiedziała Prudence.

– Nie było to trudne, a dziecko miało odwrócić jedynie moją uwagę.

– Podobnie jak porwanie. To mnie chciał dopaść. Draydale chciał skrzywdzić mnie. Twoje rany, Cate!

– Już prawie się zagoiły – odparł, ale postawił ją ostrożnie na ziemi.

– Połóż temu kres, Cate. Nie zniosę dłużej uczucia, że wokół czai się niebezpieczeństwo.

– Nie martw się, na pewno to zrobię.

Artemis zaganiała już dzieci do domu. Czy uzna, że to też wina Cate'a? Zważywszy na stan jej umysłu, było to całkiem możliwe. Tymczasem zawiniła ona, Prudence, godząc się na umizgi Draydale'a i przyjmując jego oświadczyny.

Gdy tylko weszli do domu, Cate polecił, by napełniono jego wannę. Zaprowadził Prudence do sypialni i poprosił, by przyszła do pokoju kąpielowego, gdy tylko pozbędzie się mokrych rzeczy.

– Moja biedna niebieska suknia – powiedziała. – To było dla niej podzwonne.

Przyciągnął żonę do siebie.

– Nie mów o śmierci. Umarłem tysiąc razy, biegnąc za tobą. A teraz rozbierz się i weź kąpiel. Nie życzę sobie, żebyś dostała zapalenia płuc.

– A co z twoim lokajem? – spytała.

– Nie wejdzie tam. Będzie tylko Karen.

Prudence nie chciała się z nim rozstawać, lecz trudno byłoby się jej kąpać, gdyby pozostał w pobliżu, a czuła, że chłód przenika ją do kości. Gdy ubrana jedynie w szlafrok weszła do pokoju kąpielowego, z wielkiej wanny unosiła się para, a na pobliskim stoliku stały: karafka z brandy i bukiet róż.

Karen wpatrywała się w wannę.

– Nie widziałam jeszcze takiej, *milady*!

– Nie są zbyt rozpowszechnione. – Weszła do wody, usiadła wygodnie, oparła się plecami i wyciągnęła przed siebie nogi, a potem westchnęła uszczęśliwiona. – Cudownie. Nalej trochę brandy.

– Tak, *milady*. – Karen podała jej szklaneczkę, mówiąc: – Słyszałam, że brandy potrafi leczyć, *milady*.

– Owszem, jeszcze jak. Duszę, umysł i ciało.

Nagle uświadomiła sobie, co mogło się wydarzyć i zadrżała.

Henry Draydale musi zostać unicestwiony.

# Rozdział XXXIII

Choćby nie wiem jak starać się temu zapobiec, każda woda kiedyś wystygnie. W końcu Prudence musiała wyjść z wanny i pozwolić, by Karen ją wytarła i pomogła włożyć szlafrok. Wróciła do sypialni, żeby się ubrać, tym razem w zwykłą suknię z krepy.

Umyła włosy, powinna je zatem wysuszyć. Nie zważała na to. Potrzebowała czasu dla siebie. Niewiele brakowało, a doszłoby do tragedii, jednak dzięki refleksowi i właściwemu działaniu udało się temu zapobiec.

Działaniu w stylu Catesby'ego Burgoyne'a.

Zabrała do sypialni brandy i róże i umieściła kwiaty w wazonie matki. Sącząc brandy, uśmiechała się zaskoczona tym, że może kochać jeszcze bardziej.

Chwila spokoju nie trwała długo. Zapukano bowiem do drzwi buduaru i Karen wróciła, aby powiedzieć pani, że lady Artemis chciałaby się z nią zobaczyć.

Bez wątpienia po to, by się uskarżać, pomyślała Prudence, chociaż kto wie, może i niechętnie podziękować. Uznała, że lepiej, aby rozmowa nie odbywała się w buduarze, i zaproponowała spotkanie w żółtym saloniku.

Weszła, zdecydowana okazać wyrozumiałość, nawet jeśli zamiast wdzięczności spotkają ją zarzuty. Artemis już tam była.

– Wyjeżdżam z Keynings tak szybko, jak tylko będzie to możliwe – powiedziała na wstępie. – Wracam do domu rodziców.

Prudence, zaskoczona, ale i wdzięczna, nie mogła się powstrzymać przed doszukiwaniem się w słowach szwagierki drugiego dna.

– Na pewno trudno ci będzie opuścić ten dom, lecz w końcu wyjdzie wam to na dobre.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła Artemis smutno.

– Trzeba czasu, aby się z tym pogodzić.

Artemis spojrzała na nią.

– Ty też doświadczyłaś straty.

– Straciłam dom, w którym się wychowałam, a potem ojca. Pamiętam rozpacz matki.

– Wątpię, czy winiła za ten stan rzeczy swoją następczynię.

– Nie było nikogo takiego. Jak wiesz, mój ojciec był we dworze jedynie zatrudniony, nie mieliśmy więc żadnych praw. Blytheby sprzedano nowym właścicielom, niezwiązanym z rodziną. Matka nie miała wyjścia, musiała szybko zwrócić się ku przyszłości.

Artemis odwróciła wzrok.

– Ja nie zaznałam rozpaczy, póki nie straciłam dziecka, a potem męża. Moi rodzice nadal żyją. Bracia i siostry są zdrowi. Lecz dziecko... To było trudne. Bardzo. Gniewało mnie także, iż mąż

rozprawiał w kółko o tym, że stracił syna. To było moje dziecko! Czułam, jak się we mnie porusza, znałam je i kochałam, czekałam, by przyszło wreszcie na świat, obojętnie jakiej byłoby płci. – Odwróciła się i przyłożyła dłoń do ust. – Nie wiem, czy ten ból kiedyś minie. Dla Sebastiana liczył się tylko fakt, że stracił syna, dziedzica, który miał utrzymać Catesby'ego z dala od Keynings.

Prudence chętnie przytuliłaby szwagierkę, nie śmiała jednak.

– Jestem pewna, że to nieprawda. Łatwo źle kogoś ocenić, kiedy jesteśmy wytrąceni z równowagi. I źle potraktować.

Artemis odparła, nadal na nią nie patrząc:

– Czasami go nienawidziłam. A kiedy umarł, wszystko zlało się w jedno. Rozpaczałam, jednak w duszy nadal miałam do niego żal, a Catesby był w samym środku tego wszystkiego. Przysporzył Sebastianowi tyle zgryzoty, lecz nigdy nie przyznał się do swoich błędów. Nie dbał o nie! Kiedy dziecko umarło, a on nie przysłał nawet kondolencji...

– Nie dostał tamtego listu.

Artemis zwróciła na nią znużone spojrzenie.

– Teraz w to wierzę. Nie jest człowiekiem tego pokroju.

– Rzeczywiście.

– Podejrzewałam to od jakiegoś czasu, lecz teraz... Wczoraj, kiedy wziął na ręce te brudne dzieciaki, a one natychmiast poczuły się bezpieczne, straciłam pewność, że jest wszystkiemu winien. A dzisiaj uratował Marie. Ty ryzykowałaś życiem, aby ocalić Julię. Nie mogę was już nienawidzić. To bolesne na swój sposób, lecz chyba zdrowsze. Tak mi się zdaje.

– Masz coś przeciwko temu, abym cię uścisnęła?

Artemis wpatrywała się w nią przez chwilę, zaskoczona, a potem pokręciła głową. Był to dość sztywny uścisk, lecz kiedy Prudence miała się odsunąć, szwagierka przyciągnęła ją bliżej i oparła się o nią, zapewne cicho płacząc. Prudence zacieśniła uścisk, wspominając noc, kiedy Cate zrobił dla niej to samo.

Gdy odsunęły się od siebie, Artemis, wyraźnie zażenowana, wydmuchała nos w obszytą czarną koronką chusteczkę. – Najbardziej brakuje mi dotyku. Mam dzieci, lecz tęsknię za tym, aby ktoś trzymał mnie w ramionach. Czy to źle, że nie mogę się doczekać dnia, kiedy będę mogła wyjść ponownie za mąż?

– To naturalne.

– Ale czy słuszne? – Spojrzała, ściągając brwi, na Prudence. – Co znaczą dla ciebie ci ludzie? Dlaczego są tak ważni?

– Hetty i dzieci? Uważamy, że to kolejne ofiary Henry'ego Draydale'a, mężczyzny, którego miałam poślubić. Wiesz, że to on stał za dzisiejszą napaścią?

– Catesby mi powiedział.

– Sądziłam, że będziesz mnie winić. Miałabyś prawo.

– Dlaczego w ogóle zaręczyłaś się z takim człowiekiem? – spytała Artemis, ewidentnie z ciekawości, nie złośliwie.

– Zadawałam sobie to samo pytanie. Nastawiłam się na coś i przy tym trwałam, podobnie jak ty przy oskarżaniu Cate'a. Potrzebowałam szoku, by się wyzwolić. Uciekłam, ale on nie należy do osób, które dobrze przyjmują rozczarowanie. Zwłaszcza kiedy uderzył mnie przed zgromadzeniem wiernych.

– W liście wyglądało to przerażająco.

– Cate spuścił mu lanie, od razu przed ołtarzem.

Artemis zagryzła wargi, a w jej spojrzeniu zabłysło. Prawdopodobnie po raz pierwszy coś na kształt aprobaty.

– Przerażające, ale i, jak przypuszczam, satysfakcjonujące.

– Wtedy raczej nie byłam w stanie tego docenić, lecz później, owszem, tak. A teraz Cate zamierza go wykończyć.

– Zabić? – spytała zszokowana Artemis.

– Nie, ale zniszczyć pod każdym możliwym względem.

– Mam nadzieję, że mu się uda, choć odetchnęłabym spokojniej, gdybym wiedziała, że nie żyje. – Ruszyła ku drzwiom, zatrzymała się jednak i odwróciła: – Twoja sytuacja nie będzie łatwa, Prudence, i to nie z mojego powodu. Wszystko, co wydarzyło się w Darlington, wkrótce stanie się publiczną tajemnicą i wielu uwierzy w najgorsze. To, że jesteś córką bibliotekarza i siostrą młodego stażem prawnika, jest już wystarczająco niefortunne, lecz pojawienie się przyjaciół niskiego stanu sugeruje, iż żyłaś przez jakiś czas w biedzie. A wieść o tym szybko się rozejdzie. Sugerowałabym, żebyś zataiła tę część swojego życiorysu, lecz tego nie zrobisz, prawda?

– Nie, ponieważ nie mam czego się wstydzić. Cierpiałyśmy z matką niedostatek, żeby brat mógł się wykształcić i nas wspierać. – Nie wspomniała o braku zainteresowania Aarona losem siostry. – Kiedy sytuacja stała się szczególnie trudna, Hetty okazała mi przyjaźń, nawet mnie karmiła. Nie wstydzę się nazywać ją przyjaciółką i mam nadzieję, że zostanie wraz z rodziną w pobliżu.

– Jesteś odważniejsza, niż ja mogłabym być kiedykolwiek.

– Zdziwiłabyś się, lecz mam nadzieję, że nie będziesz musiała zdobywać się na ten rodzaj odwagi.

– Ja również. Jestem bardzo konwencjonalna i boję się wyróżniać.

Prudence wzruszyła ramionami.

– Nie zostawiono mi wyboru. Nie ma co skrywać prawdy, a udawanie kogoś, kim się nie jest, bywa męczące. Jeśli świat nie okaże się wobec mnie przychylny, trudno.

Artemis położyła dłoń na klamce, lecz zawahała się znowu:

– Czy będę tu mile widziana, jeśli zechcę przyjechać?

– Oczywiście! Przyjeżdżaj, kiedy chcesz.

– Jesteś bardziej wielkoduszna, niż ja byłabym na twoim miejscu.

Wyszła, a Prudence została, żeby przemyśleć rozmowę. Modliła się, by nie musiała doświadczyć śmierci dziecka, chociaż takie rzeczy zdarzały się dość często. Hetty straciła jedno, gdy miało pół roczku.

Lecz na myśl o tym, że miałaby stracić Cate'a...

– Co ty tu robisz? – zapytał, gdy się pojawił. A potem: – O co chodzi?

– Po prostu mnie przytul – odparła i wsunęła mu się w ramiona.

# Rozdział XXXIV

Gdy odsunęli się od siebie, powtórzyła rozmowę z Artemis.

– Biedna kobieta – powiedział.

– Owszem. Czy twój brat mógł być naprawdę tak nieczuły?

– Jestem pewien, że tego nie chciał, ale tak rozpaczliwie pragnął mieć syna. Nie oceniaj go zbyt surowo. Miał powody, by obawiać się tego, iż przejmę kiedyś Keynings. Nadal nie jestem pewien, czy sobie poradzę.

– Owszem, poradzisz sobie.

– Pokładasz we mnie tyle wiary. – Pocałował ją. – Wybieram się obejrzeć miejsce porwania w towarzystwie uzbrojonych ludzi. Spróbujemy czegoś się dowiedzieć. Szkoda, że ten człowiek nie przeżył i nie może wskazać palcem Draydale'a.

– Ciało zostało usunięte? – spytała Prudence.

– Tak, oczywiście.

– Zatem ja też chcę pojechać. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Chciałabym przyjrzeć się temu na chłodno.

– Jeśli jesteś pewna.

– Tak. Tylko czy jest tam bezpiecznie?

– Nie będę siedział w domu, kuląc się ze strachu. Moi ludzie przeczesują park. Jeśli przestępca miał wspólników, dawno uciekli.

Prudence zastanawiała się przez chwilę, czy wziąć rękawiczki i kapelusz, ale uznała, że nie warto zawracać sobie głowy.

Gdy wyszli, natychmiast otoczyła ich szóstka mężczyzn, bardzo czujnych. Wydawało się to absurdem, ponieważ ogrody i park zdawały się drzemać w popołudniowym słońcu, spokojne i absolutnie bezpieczne. Prudence wspomniała z zadowoleniem, że ma przy sobie oba noże, odczuwała jednak nie tyle strach, ile gniew – gniew na to, że Henry Draydale zbrukał to miejsce przemocą.

Kiedy dotarli do lasku i zobaczyła połamane krzaki oraz gałęzie, zawahała się. Cate zerknął na nią zatroskany, zebrała się więc na odwagę.

– To było z jego strony odważne udawać jednego z twoich ludzi – zauważyła, unosząc spódnice.

– Nie wziąłem takiej możliwości pod uwagę – przyznał. – Wezwałem ludzi z okolicznych farm, to zaś oznaczało, że nie wszyscy dobrze się znali.

Zdjęła z gałązki oderwany kawałek ciemnego materiału. Był to fragment jej sukni. Rozdarła ją, gdy biegła wąską dróżką.

– Gdyby planował porwanie, wybrałby wygodniejszą ścieżkę.

– Nie mógł wiedzieć, że będziesz na jeziorze. Czaił się po prostu w okolicy, udając, że pracuje i rozglądając się za okazją, aby wyrządzić jakąś szkodę. Albo i gorzej.

– Draydale przede wszystkim pragnie skrzywdzić mnie.

– Tak – odparł. – W pobliżu znaleźliśmy konie. Czekały tam od wielu godzin, przygotowane do ucieczki. Gdybyś oddaliła się samotnie od domu...

– Henry Draydale nadal uważa mnie za idiotkę.

Cate się roześmiał.

– Sprytny facet, ale bez śladu wyczucia.

Doszli do polanki, gdzie na trawie pozostała zaschła plama krwi.

– Chciałam zobaczyć to miejsce.

Kiedy Cate i towarzyszący mu mężczyźni rozglądali się po okolicy, szukając śladów, starała się przypomnieć sobie jak najwięcej.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – zapytał, gdy wyszli z cienia drzew.

– Tak. Teraz, kiedy wszystko tu obejrzałam, nie muszę obawiać się koszmarów.

Cate się uśmiechnął.

– Powinienem był wiedzieć, że nie należysz do osób, które uciekałyby przez rzeczywistością. Dość tego. Wracamy.

Ruszyli w stronę domu, czuli się nieco bardziej odprężeni.

– Czy to możliwe, by ktoś miał instynkt ostrzegający go przed niebezpieczeństwem? – spytała Prudence. – Tam, na jeziorze, poczułam coś dziwnego. Bałam się, ale raczej nie tego, że utonę. Teraz czuję się bezpiecznie.

– Coś takiego z pewnością istnieje. Pielęgnuj to.

– Oby nie było mi potrzebne.

– Amen. Mam szczerą nadzieję, że będziemy tu żyli w spokoju. Zwyczajne dni składające się na życie pozbawione dramatycznych

wydarzeń. – Spojrzał w kierunku domu. – Dziwne. Ktoś nadjeżdża.

Pod drzwi wejściowe zajeżdżał właśnie wielki podróżny powóz, ciągnięty przez szóstkę wspaniałych koni. Obok jechało wierzchem czterech forysiów.

– Ktoś znaczący – dodała Prudence.

– A my akurat musimy mieć błoto na butach i liście we włosach. Powinniśmy pobiec i szybko się przebrać, czy stawić gościowi czoło tak jak jesteśmy?

– Stawić czoło – oznajmiła.

– Oto moja Hera. Patrzcie, jest i Perry.

Rzeczywiście, z powozu wyłonił się nie kto inny jak Perry.

– Sądziłam, że woli podróżować wierzchem – zauważyła Prudence, gdy się zbliżyli. – Ależ będziemy mieli co opowiadać!

– Będzie niepocieszony, że ominął go taki dramat. Ktoś z nim jest.

Perry odwrócił się i podał dłoń damie. Kiedy Prudence podeszła bliżej, zauważyła, że dama jest mniej więcej w jej wieku i ma brązowe włosy.

Było w niej coś uderzającego... Prezencja.

– *Milady* – powiedział Perry do gościa – pozwól, że przedstawię lorda i lady Malzard, naszych gospodarzy. Przyjaciele, oto markiza Rothgar, hrabina Arradale i wielka dama Północy!

Lady Rotghar roześmiała się, słysząc te napuszone słowa, a potem uśmiechnęła do Prudence i Cate'a.

– Perriam zapewniał, że będę tu mile widziana i że mogę się przydać. Opowiedział mi również o waszym romansie godnym

pieśni trubadura. Nie mogłam oprzeć się pokusie, by poznać najnowszą opowieść z Yorkshire, a potem zawieźć ją na południe.

# Rozdział XXXV

Prudence uświadomiła sobie z rozpaczą, że ma na sobie nędzną czarną suknię, a we włosach wymykających się spod czepka zapewne listki i fragmenty gałązek. Dygnęła jednak i wygłosiła powitalną formułkę, zastanawiając się, jak powinna, u licha, traktować markizę, posiadaczkę szerokich połaci Yorkshire.

Lecz lady Rothgar odwróciła się i wzięła do rąk zawiniątko. Kwilące zawiniątko. Spojrzała z wyrazem skruchy na Prudence.

– Prawdę mówiąc, Perriam zaoferował nam schronienie. Obawiam się, że malutka wybrała sobie akurat ten moment, by zacząć ząbkować i cierpi tak bardzo, iż podróżowanie z nią to dla nas wszystkich tortura. Kiedy się spotkaliśmy, planowałam zatrzymać się na kilka dni w Yorku, lecz Perriam był tak bezczelny, że zapewnił, iż chętnie udzielicie mi na ten czas gościny.

Prudence mogła zobaczyć teraz dziecko: śliczną dziewczynkę z buzią wykrzywioną w grymasie niezadowolenia. Śliniła się

i miała na brodzie wysypkę. Kwilenie przeszło tymczasem w głośny płacz. Prudence nie miała doświadczenia w zajmowaniu się ząbkującymi niemowlętami, lecz kiedy dziecko zaszlochało żałośnie, powiedziała:

– Wejdźmy, proszę, na górę, do pokoju dziecinnego. Może ktoś tam będzie wiedział, jak pomóc maleństwu.

Pomyślała o niani Cawley opiekującej się Marie. Musiała mieć w takich sprawach doświadczenie.

Ruszyły schodami na górę w asyście dwóch nian hrabiny. Echo płaczu niosło się daleko, odbijając od ścian.

Niania Cawley wyszła im na spotkanie.

– Dzidziuś! – wykrzyknęła uszczęśliwiona.

– Ząbkujący – ostrzegła ją lady Rothgar.

– Biedactwo. Przynieś brandy, Becky!

– Brandy? – zaprotestowała Prudence. – Absolutnie.

– Tylko odrobinę, *milady*. Posmarujemy nią dziąsła. I coś twardego do gryzienia. Ma pani gryzak, *milady*? – spytała.

– Nie – odparła lady Rothgar. – Dostaliśmy kilka jako prezenty z okazji chrztu, w tym niedorzecznie cenne, lecz nie zabrałam żadnego w podróż.

– I gryzak! – krzyknęła w ślad na pokojówką niania.

Starsze córki Artemis przyszły, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie, lecz kiedy przekonały się, że w domu pojawiło się ząbkujące niemowlę, czym prędzej zniknęły. Najwidoczniej wiedziały, czego się spodziewać.

– Proszę tutaj, *milady* – powiedziała niania, wskazując drzwi do drugiego pokoju. – Jest tam kołyska, którą można szybko przygotować.

– Dziękuję – odparła lady Rothgar – lecz wolałabym umieścić ją w moim pokoju. Zatrzymam córkę przy sobie.

Niania nie była zadowolona, wydała jednak konieczne polecenia.

– Zatem może udamy się do sypialni *milady*.

Lady Rothgar spojrzała na Prudence, która uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, która sypialnia byłaby najodpowiedniejsza.

– Tyle ich mamy – powiedziała. – A jestem tu nowa.

– Tak zrozumiałam – odparła lady Rothgar. – Co za romantyczna historia.

Prudence pomyślała, że zaczyna robić się nieufna, ilekroć ktoś wypowiada słowo „romantyczna". Miało tyle znaczeń! Hrabina Arradale poślubiła prawdopodobnie swego markiza dla władzy, bogactwa oraz pozycji.

Wróciła pokojówka, niosąc niewielki flakonik i rzeźbiony pierścień z materiału wyglądającego jak kość słoniowa lub róg. Niania Cawley zwilżyła szmatkę brandy i przyłożyła do dolnych dziąseł maleństwa.

– Proszę, aniołku, proszę. Czyż teraz nie lepiej? Nie płaczemy, nie płaczemy...

Płacz ucichł. Prudence pomyślała, iż dziecko jest zapewne zaskoczone nowym smakiem, lecz może rzeczywiście brandy znieczuliła dziąsła. Niania wsunęła małej do rączki gryzak, a potem skierowała rączkę ku buzi. Niemowlę zacisnęło na niej dziąsła raz i drugi, a potem jęło z zapałem gryźć.

Prudence roześmiała się, a lady Rothgar podziękowała niani, lecz jedna z jej służących przyglądała się temu z posępną miną,

najpewniej piastunka. Niania Cawley udowodniła swoją przydatność, uspokajając dziecko i wykazując zrozumienie.

– To pierwszy ząbek i zaczął wychodzić bardzo wcześnie – powiedziała piastunka, usprawiedliwiając fakt, iż nie była na taką okoliczność przygotowana.

Zamieszanie się skończyło i wrócił spokój.

Prudence zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Nie powitałam pani jak należy, lady Rothgar. Oczywiście, może pani zostać tak długo, jak zechce.

– To bardzo miło z pani strony, ale ruszymy na południe, gdy tylko będzie to możliwe. Chciałabym wrócić już do męża. – Było to zwyczajne stwierdzenie, jednak coś w tonie głosu hrabiny i w wyrazie jej oczu powiedziało Prudence, że źle oceniła sytuację. Lady Arradale zawarła małżeństwo z miłości. – W jednym z moich majątków wynikł pewien kryzys, a lord Rothgar nie mógł opuścić akurat teraz Londynu, wybrałam się zatem w podróż sama. Już dawno powinnam była odwiedzić swoje włości, jednak podróżowanie z tak małym dzieckiem bywa uciążliwe.

– Na pewno. Możemy zejść na dół i rozlokować panią w pokojach gościnnych?

Prudence ruszyła przodem, nadal nie bardzo wiedząc, gdzie powinna umieścić tak ważnego gościa, lecz kiedy zeszły piętro niżej, problem sam się rozwiązał. Hrabina wdowa wyłoniła się ze swego apartamentu i przejęła pałeczkę.

Znała, oczywiście, lady Rothgar i nie była szczególnie onieśmielona, acz bardzo zadowolona z wizyty. Wkrótce markiza mogła rozgościć się we wspaniałej sypialni, obok której znajdował się mniejszy pokój, doskonale nadający się dla niani i dziecka.

Wysłano lokajów, by znieśli kołyskę i wdowa zaproponowała przekąskę.

– Dziękuję, lady Malzard, lecz najpierw muszę zająć się córką.

Wdowa pochyliła głowę i odpłynęła, spełniwszy obowiązek. Nie był to już co prawda jej obowiązek, lecz Prudence była wdzięczna, że teściowa wykazała inicjatywę i wybawiła ją z kłopotliwego położenia.

Lady Rothgar uśmiechnęła się z niejakim zrozumieniem.

– Za jakiś czas chętnie napiłabym się herbaty. Byłoby miło, gdyby zechciała się pani do mnie przyłączyć. Nie mogę się doczekać, aby posłuchać o waszych przygodach.

Prudence mogła jedynie wyrazić zgodę, lecz pospieszyła natychmiast na poszukiwanie męża. Znalazła go w bibliotece, z Perrym.

– Przeżyłaś? – zapytał. – Raczymy się brandy.

– To tak jak dziecko.

Perry zagwizdał.

– Wtarto mu jedynie odrobinę w dziąsła. – Prudence wzięła z rąk męża szklaneczkę i upiła łyk. – Ona chce poznać moje przygody!

– Nie bądź przesadnie onieśmielona – powiedział Cate. – Przewyższa cię pozycją jedynie odrobinę.

– Wcale na to nie wygląda. Pamiętam, widziałam ją raz w Northallerton. Sprawiała wrażenie, jakby pochodziła z innego świata.

– Jest pewna siebie i swej pozycji – zauważył Perry. – Dlatego ją tu przywiozłem. To mój anielski prezent: jej aprobata.

– Co takiego?

– To, że gościłaś u siebie hrabinę Arradale... To, że jest również lady Rothgar, nie jest tak istotne. To sprawi, iż będziesz tu, na północy, dobrze postrzegana. Chociaż nie mogłaś uczcić jej przybycia balem, wieść się rozniesie.

Cate podniósł szklaneczkę, spoglądając przy tym na żonę.

– Zgodnie z tym, co mówi Perry, a można mu wierzyć, promieniejący od niej blask przyćmi najmniejszy cień na twojej reputacji.

Prudence upiła jeszcze łyk brandy.

– Ale czy powinnam powiedzieć jej prawdę?

Cate spojrzał pytająco na Perry'ego.

– Lord Rothgar cieszy się opinią człowieka, który wie wszystko – odparł Perry. – Podejrzewam, że dzieje się tak za sprawą wielu bacznych oczu i uszu, które pozostają na jego usługach. Tak czy owak, potrafi wygrzebać każdy szczegół dotyczący czegokolwiek, co mogłoby wywrzeć wpływ na niego albo na ludzi mu bliskich. Gdy jego pani wróci i opowie, czego się dowiedziała, zainteresuje się Keynings i rodziną Burgoyne'ów.

– Po co zatem, u licha, ją tu sprowadziłeś? – zapytał Cate gniewnie.

– Żeby zapewnić Prudence dobrą opinię na Północy, ale też dlatego, że prędzej czy później będziecie musieli pojechać do stolicy. Markiz i markiza Rothgar mogą tam wiele ułatwić.

– A wziąłeś w ogóle pod uwagę, iż możemy nie przypaść mu do gustu? – zapytał Cate. – Na przykład, jeśli wplączemy mimo woli jego żonę w niebezpieczną aferę?

– Rzeczywiście. Jeśli coś złego przydarzy się jej lub dziecku, lepiej uciekajcie od razu na koniec świata, lecz jeśli hrabina was

polubi, to on także. Możesz odkryć, Prudence, że wy obie macie ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż mogłabyś się spodziewać.

– Poza tym, że obie jesteśmy kobietami, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, co by to mogło być takiego.

– Obie jesteście hrabinami – zauważył Cate.

– Lecz ona jest także markizą i urodziła się do wielkości. – Prudence dopiła brandy i wyszła polecić, aby podano herbatę.

A potem pospieszyła doprowadzić się do porządku. Żałowała, że nie ma wykwalifikowanej pokojówki, która wiedziałaby, jak ułożyć jej włosy i uczynić prostą czarną suknię bardziej wytworną. Kusiło ją, by przebrać się w tę strojniejszą, przywiezioną przez Perry'ego, ale wyglądałoby to śmiesznie.

– Obie jesteśmy hrabinami – wymamrotała, spoglądając na siebie w lustrze. – Ha!

Lecz kiedy zasiadły do herbaty, napięcie prysło i poczuła się o wiele swobodniej, głównie za sprawą lady Rothgar, która powiedziała na wstępie:

– Na północy wolę posługiwać się własnym tytułem – lady Arradale – uważam jednak, że byłoby miło, gdybyśmy mogły mówić sobie po imieniu. Jestem Diana.

– A ja Prudence – powiedziała, z trudem powstrzymując się, aby nie dodać: *milady*. Nalała herbaty.

– Niezbyt fortunnie cię ochrzczono – zauważyła Diana szczerze. – Tak, poproszę mleko. Takie imiona rzadko spotyka się wśród arystokracji. Zbytnio przypominają czasy rządów Cromwella.

– Imię powtarza się w rodzinie mojego ojca, a jego przodkowie popierali Cromwella.

Diana upiła łyk herbaty.

– Ach, tego mi było trzeba. A teraz opowiadaj. Perriam, ten szelma, zaledwie coś mi napomknął.

– Dobrze go znasz, Diano?

– W stolicy wszyscy znają tego sympatycznego czorta.

– Lub archanioła Rafaela – sprostowała Prudence i wyjaśniła, skąd wziął się przydomek.

Diana uśmiechnęła się, lecz powiedziała:

– Demony bardziej mnie interesują, zwłaszcza te, które zamieszkują blisko moich włości.

*Moich włości*. Zostało to powiedziane z takim przekonaniem. Prudence zastanawiała się, jak by to było czuć się bezsporną posiadaczką tak wielu dóbr. Jednak po ślubie z pewnością wszystko, co Diana posiadała, stało się własnością jej męża.

Tymczasem markiza wpatrywała się, zaintrygowana jej milczeniem. Prudence zaczęła więc opowiadać, nie skrywając niczego.

– Brat nie potraktował cię jak należy – zauważyła lady Rothgar, przyjmując kolejną filiżankę herbaty.

Zostało to powiedziane tak lodowatym tonem, że Pruderce poczuła się zmuszona bronić brata.

– Aaron nie jest złym człowiekiem. Po prostu zawsze potrafił przymykać oczy na to, o czym nie chciał wiedzieć.

– Jak wielu innych. A jego żona? Też jest taka?

– O, nie. Susan nie przymyka na nic oczu. Wątpię, czy mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, ale rozumiem ją i szanuję. Jej ojca także. Nie uważam go za gorszego tylko dlatego, że zbudował swój stan posiadania z niczego. Ludzie przykładają wielką wagę

do urodzenia, nauczyłam się jednak, że nisko urodzeni są w równym stopniu zdolni dokonać rzeczy wielkich jak pozostali.

– Albo niezdolni. Są wśród nich także osoby leniwe, głupie i niewiele warte.

Prudence po prostu musiała się roześmiać.

– Jesteśmy więc wszyscy z tej samej gliny? Zatem czy biedni nie powinni mieć więcej szans? Chłopczyk Hetty mógłby okazać się zdolny do wykonywania czegoś bardziej skomplikowanego niż tylko proste prace, ale bez wykształcenia nie będzie miał na to szans.

Pogrążyły się w ożywionej dyskusji na temat edukacji biednych, zarówno chłopców, jak i dziewcząt, a to doprowadziło do kwestii nierówności kobiet wobec prawa.

– Pomyśl tylko o sobie, Prudence. Gdyby kobietom wolno było starać się, jak mężczyznom, o posady, mogłabyś zarabiać na swoją rodzinę. Podejrzewam, że nadawałabyś się do tego lepiej niż brat.

– Miałabym zostać prawnikiem?

– Dlaczego nie? Wymagałoby to jedynie zgromadzenia potrzebnej wiedzy, a do tego jesteś absolutnie zdolna.

– Kręci mi się od tego w głowie.

– Widzisz – stwierdziła radośnie Diana – jestem większą skandalistką niż ty. A teraz odszukajmy lorda Malzard. Ciekawi mnie, co zaplanował dla demona Draydale'a.

Nie wyglądało na to, by uważała wezwanie do siebie lorda w jego własnym domu za oburzające. Nawet jeśli Cate'a to oburzyło, i tak przyszedł, a wraz z nim Perry.

– Mówiąc w skrócie – wyjaśnił, zapytany – planuję pojechać z orszakiem do Darlington, przedstawić się jako lord Malzard

i oskarżyć go publicznie o liczne przewiny.

– A jeśli zaprzeczy?

– Jeśli chodzi o jego interesy, zgromadziłem wystarczające dowody, mam także świadków. Dotąd bali się poskarżyć, lecz teraz, mając zapewnione poparcie lorda, z pewnością przemówią.

– Moje także – zapewniła Diana i uśmiechnęła się szeroko. – Darlington nie leży w obrębie moich włości, lecz wszystko, co dzieje się na północy, bardzo mnie interesuje. Pozwoli pan, że będę wam towarzyszyła?

Cate przyjrzał się jej.

– Planowałem jechać wierzchem, a sytuacja może stać się niebezpieczna.

– Doskonale jeżdżę konno. Potrafię też celnie strzelać i władać sprawnie szpadą.

– Pamiętaj – wtrąciła Prudence – że ja też jadę.

Cate spojrzał na nią.

– Ryzyko znacznie wzrosło. Nie potrafisz jeździć konno, strzelać ani posługiwać się szpadą.

– Ale to jest moje terytorium. Posiałam ziarno wielu wydarzeń, a Draydale zaatakował mnie i bliskie mi osoby. Chcę być świadkiem jego upadku. I chcę, by widział, że na to patrzę.

Zacisnął na chwilę wargi, jakby chciał zaprotestować, lecz w końcu skinął jednak tylko głową.

– Masz do tego prawo. A co się tyczy pani, lady Rothgar, jeśli życzy sobie pani pojechać, nie będę próbował pani zatrzymywać.

– Doskonale – odparła. – Proszę tylko, by zwracał się pan do mnie: lady Arradale. Nie występuję tutaj w imieniu swego męża.

Prudence musiała zagryźć wargi, aby się nie roześmiać. Cate'owi sytuacja wydawała się wyraźnie nienaturalna, lecz jej się podobała. Nie urodziła się arystokratką jak Diana, lecz była teraz hrabiną. Miała władzę i autorytet, a także nadzieję, że w końcu nauczy się ich używać.

– Doskonale – stwierdził Perry ani trochę niezaskoczony. – Zastanówmy się zatem, jak dokonać tej pomsty w wielkim stylu.

# Rozdział XXXVI

Następnego dnia ruszyli czeredą do Darlington. Prudence jechała za Cate'em na solidnym wierzchowcu, odziana w strojną czarną suknię. Siodło dla dam, umieszczone za siodłem Cate'a, przypominało do złudzenia ustawiony bokiem fotel, miało nawet podnóżek.

– Z pewnością cię to spowolni – zauważyła.

– Nie ma potrzeby się spieszyć, przeciwnie, zależy mi, by ludzie nas dostrzegli.

– Na pewno tak się stanie – stwierdziła i rozejrzała się. Perry zajął się organizacją wyprawy, a rezultat jego starań przerósł wszelkie oczekiwania.

Otaczało ich sześciu uzbrojonych konnych – tak naprawdę byli to stajenni – w liberiach z poprzedniego wieku wyszukanych na strychu. Zdobiły je liczne galony, przy kapeluszach o szerokim rondzie powiewały pióra. Nie wiedziała, że Cate ma herolda. Podążał teraz przed orszakiem, odziany we wspaniałą liberię,

niosąc tyczkę ze złotym wierzchołkiem i obwieszczając, że zbliża się ktoś ważny.

Perry jechał na wspaniałym czarnym wierzchowcu, ubrany w elegancki strój do konnej jazdy, ze szpadą u boku. Dla kontrastu Cate miał na sobie stare ubranie, to, które mieszkańcy Darlington mogli zapamiętać. Jego bryczesy zostały co prawda umiejętnie zszyte, lecz szwy i plamy krwi były widoczne.

Diana jechała wierzchem w karmazynowej amazonce i męskim w stylu surducie, z krawatką na szyi i włosami związanymi pod trójgraniastym kapeluszem. Miała pistolety przy siodle i szpadę u boku. Wyglądała w każdym calu na wielką damę Północy. Rzeczywiście, pomyślała Prudence, dlaczego taka kobieta miałaby być postrzegana jako gorsza od mężczyzny?

Córeczkę Diany zostawiono pod opieką mamki z Keynings.

– Nie będzie mi zbyt wygodnie – powiedziała Diana – i będę musiała odciągnąć mleko, chcę jednak, by każdy, kto uzna, iż może powodowany chciwością prześladować niewinnych, wiedział, że tu, na Północy, nie ujdzie mu to bezkarnie.

Przyciągali powszechną uwagę, zwłaszcza podążający przodem herold. Nie obwieszczał co prawda niczego, ale sam jego widok wystarczył, by ludzie orientowali się, że nadciąga ktoś ważny. Zatrzymywali się więc na poboczu drogi, aby popatrzeć.

Stajennym nakazano rozpuścić dyskretnie wieści, iż lord Malzard przybywa, by doprowadzić złoczyńcę przed oblicze sprawiedliwości. Większość gapiów musiała wrócić szybko do pracy, lecz kilku ruszyło w ślad za orszakiem, spodziewając się rozrywki.

– Może powinniśmy mieć jednak proporce – zauważyła Prudence, gdy zatrzymali się, aby napoić konie.

– Z napisem: *Śmierć demonom*? – odparł Cate. – Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

– Dobrze się bawisz.

Uśmiechnął się.

– Owszem.

– Wariat.

Pocałował ją, nie przejmując się, że są obserwowani.

Nim dojechali do Darlington, podążało za nimi już około dwudziestu osób – niektóre na koniach, lecz większość pieszo. W pobliżu miasteczka pobocza zapełnione były ludźmi w każdym wieku, zastanawiającymi się, co oznacza ten niecodzienny widok. Kolejni przyłączali się do orszaku, chętni zobaczyć przedstawienie.

Ktoś rozpoznał Dianę.

– To lady Arradale – niosło się przez tłum, a Diana uśmiechała się i kłaniała ludziom.

Kiedy wjechali do miasta, rozpoznano także Cate'a.

– To ten, co rozkwasił nos Draydale'owi!

Nazwisko przemknęło przez tłum niczym mroczna fala.

– Draydale, Draydale, Draydale... – O, tak, wielu poznało na własnej skórze, do czego zdolny jest Draydale.

Wjechali na rynek i zatrzymali się. Herold wyjął arkusz papieru imponujących rozmiarów i oznajmił donośnie:

– Jego lordowska mość lord Malzard, wicehrabia Roecliff, baron Malsonby i Preel, przybywa, aby oskarżyć mieszkańca tego miasta, Henry'ego Draydale'a o liczne zbrodnie i okrucieństwa:

o to, że w kwestii kopalni ołowiu w Briggleby groził innym osobom i nakazał użycie przemocy wobec jednej, tak by rzeczone osoby nie mogły złożyć oferty na kupno tejże kopalni, i tym sposobem nabył ją za cenę niższą od wartości; że posłał ludzi, polecając im zastraszyć mieszkańców rzeczonego Briggleby po to, by nie protestowali przeciwko zagarnięciu miejskich gruntów pod budowę drogi; że opłacił świadków podczas procesu Samuela Greenocka i doprowadził do jego skazania; że... – Lista ciągnęła się w nieskończoność, a były tam jedynie sprawy, do których ludzie Cate'a zdążyli dogrzebać się w krótkim czasie.

Prudence zauważyła z tyłu, za tłumem, Tallbridge'a. Obok stali Susan i Aaron. Czy Tallbridge zamieszany był w któreś z wymienionych przestępstw? Miała nadzieję, że nie.

W końcu herold doszedł do ostatnich wydarzeń.

– Że polecił uszkodzić powóz w nadziei, iż podróżujące nim osoby zostaną ranne lub zginą, a także podpalić dom w White Rose Yard, w Northallerton, nie bacząc na bezpieczeństwo jego mieszkańców, że doprowadził do tego, iż mieszkaniec tego miasta, niejaki William Larn, został oskarżony niesłusznie o kradzież i aresztowany; iż uderzył w gniewie kobietę, bliską lordowi Malzard, tu obecną hrabinę, jego małżonkę. – Herold zaczerpnął zasłużonego oddechu i dokończył: – Z powodu wszystkich tych zbrodni i wielu innych Henry Draydale jest wzywany, by stawił się tu osobiście i stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Na chwilę zapadła cisza. Ludzie rozglądali się, ciekawi, czy Draydale zechce się pojawić. Plan zakładał, że jeśli tego nie zrobi, podjadą pod jego dom i powtórzą oskarżenia.

Jak można się było spodziewać, Draydale się nie pojawił.

Herold zdążył oznajmić, że udadzą się pod dom oskarżonego, kiedy ktoś krzyknął:

– Ucieka! Draydale ucieka w powozie zaprzężonym w szóstkę koni!

Część tłumu ruszyła natychmiast w pogoń, a żądne krwi okrzyki sprawiły, że Prudence dreszcz przebiegł po plecach. Pomimo wszystko miała nadzieję, że nie dogonią zbiega.

Teraz przemówił Cate.

– Zbrodnie Draydale'a zostaną podane do wiadomości publicznej w okolicy Darlington, a także w Northallerton, Gisborough, Stockton i wielu innych miejscowościach. Jeżeli ktoś udzieli mu pomocy, zostanie oskarżony o te same przestępstwa. Każdy, kto wie o jakichkolwiek zbrodniach, jego lub innych osób, niechaj mnie o tym powiadomi.

Diana wysunęła się do przodu i oznajmiła czystym, silnym głosem:

– Jestem Diana, hrabina Arradale. Darlington nie leży w obrębie moich włości, lecz znacie mnie i wiecie, że dobro ludzi północy leży mi na sercu. – Czyżby wzorowała się na „dobrej królowej Bess"?, pomyślała Prudence. – Oznajmiam więc, że Henry Draydale zostaje na północy wyjęty spod prawa.

Był to wspaniały występ i choć prawdopodobnie Diana nie miała władzy, by zrobić to, co zrobiła, i tak Henry Draydale był tu skończony. Wieści szybko się rozejdą i nikt nie będzie chciał mieć z nim do czynienia.

– Dokąd ucieknie? – spytała Prudence, gdy podekscytowany tłum zaczął się rozchodzić.

– Nie dość daleko. Znajdę go.

– Uważaj, Cate. Żądza zemsty potrafi przeżreć duszę.

– Chcę tylko, by został osądzony, i zamierzam do tego doprowadzić. Wykonanie wyroku zostawię innym. Nie jest wart, żeby marnować na niego czas.

– Czuję tak samo.

– Wracajmy zatem do domu.

– Chciałabym porozmawiać z Aaronem i Tallbridge'em.

– Oczywiście. – Skierował konia ku krewnym Prudence i pomógł jej zsiąść.

– Cóż... – wykrztusiła Susan. Choć raz zabrakło jej słów.

– U nas wszystko w porządku, dziękujemy – powiedziała Prudence i lekko objęła szwagierkę. Odwróciła się do Aarona, który wydawał się rozdarty pomiędzy podziwem a zaniepokojeniem.

– Cieszę się, że tak dobrze ci się ułożyło, Prudence.

– Daj więc temu wyraz.

Ściągnął brwi.

– Po prostu się o ciebie martwię.

Prudence potrząsnęła ze śmiechem głową i porzuciła temat. Aaron i tak dopasuje fakty do swoich wyobrażeń.

Cate rozmawiał tymczasem z Tallbridge'em.

– Muszę przeprosić po raz kolejny, że zniszczyliśmy panu powóz, *sir*, lecz jak pan zapewne słyszał, nie była to tak do końca moja wina.

– Drobiazg, milordzie – odparł Tallbridge i skłonił się. – Cieszymy się, widząc pana w dobrym zdrowiu. Czy mogę zaproponować państwu gościnę?

Zabrzmiało to bardzo światowo, jednak uwagi Prudence nie uszło spojrzenie, jakie rzucił przy tym na Dianę. Siedziała nadal w siodle, bawiąc się doskonale. Wyglądała niczym posąg damy na koniu. Z pewnością dobrze wiedziała, jakie wrażenie wywiera, zaś Tallbridge aż płonął z chęci goszczenia u siebie kogoś tak znaczącego.

– Niestety, *sir* – odparł Cate – musimy wracać od razu do Keynings. Mamy nadzieję skorzystać z pańskiej gościnności innym razem. I, oczywiście, pan, pańska córka i brat Prudence będziecie zawsze mile widziani w Keynings.

Tallbridge skłonił się, zadowalając się mniejszą zdobyczą.

Ruszyli do Keynings w dobrych humorach i zatrzymali się dopiero po kilku milach, aby napoić oraz nakarmić konie. Później Diana i Perry odłączyli się od reszty, by zmierzyć się w zaimprowizowanym wyścigu.

– Też chciałbyś się pościgać – zauważyła Prudence.

– Owszem. Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zamienił się na chwilę na konie z którymś ze stajennych?

– Oczywiście, że nie.

Cate dokonał zamiany, wcisnął na głowę kapelusz z piórem i pognał za przyjaciółmi, śmiejąc się głośno.

Spoglądała w ślad za nim, oczarowana. Nie ma rady, pomyślała, trzeba będzie nauczyć się jeździć wierzchem.

# Rozdział XXXVII

Keynings wyglądało pięknie w słońcu późnego popołudnia i Prudence uświadomiła sobie, że stało się już dla niej domem. Nie był to dom wymarzony, lecz jednak dom i powinna czuć się w nim swobodnie.

Dostrzegła w ogrodzie Hetty i dzieci i pomachała im. Nieco bliżej domu zobaczyła Artemis z córkami i nianią trzymającą na rękach niemowlę. Diana natychmiast skierowała wierzchowca w tamtą stronę. Zsiadła, wzięła dziecko, odwróciła się dyskretnie i jęła karmić małą. Zupełnie jakby była chłopką.

Prudence pozostawało mieć nadzieję, że wkrótce i ona zyska dosyć pewności siebie, by robić dokładnie to, czego chce.

Podjechała z Cate'em i Perrym pod drzwi frontowe, gdzie pozostali jeźdźcy zabrali ich konie do stajni. Gdy weszli do domu, Cate powiedział:

– Przypuszczam, że powinienem pójść do matki i zdać jej relację z dzisiejszych wydarzeń. Nie będzie zachwycona.

– Pójdę z tobą – westchnęła Prudence – i postaram się ją przekonać.

– A ja ucieknę – zaśmiał się Perry i tak właśnie zrobił.

Wdowa nie była rzeczywiście zadowolona, powiedziała jednak:

– Z takimi łotrami należy się rozprawiać. No i to, że byliście widziani w towarzystwie lady Arradale, na pewno wam nie zaszkodzi. Mam nadzieję, że jutro obejdzie się bez dramatycznych wydarzeń i Diana zje z nami obiad. Znałam jej rodziców. Nie mieli syna i bardzo nad tym boleli.

– Podobnie jak Henryk VIII mogli pocieszyć się córką, gdyby dożyli czasów jej panowania – skomentował Cate.

– Henryk VIII powinien był staranniej dobierać żony. Zaczął niefortunnie od papistki i cudzoziemki.

Prudence z trudem powstrzymała cisnący się na usta komentarz, lecz kiedy wyszli, spytała:

– Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że Henryk też był wtedy papistą?

– Myślę, że chodzi bardziej o to, iż Maria była cudzoziemką. Uważa, że nasz obecny król postąpiłby mądrzej, poślubiając Angielkę. Jedynie zdolność królowej do płodzenia dzieci, zwłaszcza zdrowych chłopców, sprawia, że nie potępia jej w czambuł. Matka nie ma łatwego charakteru. Przepraszam.

– Jest jednak szczera, a z resztą potrafię sobie poradzić.

– Kiedy zaczniesz wydawać na świat zdrowych chłopców, będzie wychwalać cię pod niebiosa.

– To jeszcze bardziej przerażająca perspektywa! Ale poradziliśmy sobie już z całym tym zamieszaniem, prawda? I wszystkie nasze demony zostały pokonane?

– Tak. Dlatego należy się nam nagroda.

– Nagroda?

– Dziś w nocy – odparł. Nie mogło być wątpliwości, co ma na myśli.

– Dziś w nocy? Ale... – Dotarli do drzwi jej sypialni. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy. – ...nie możemy.

– Ależ tak. Istnieją przyjemności niezagrożone poczęciem.

– Naprawdę? – wykrzyknęła. – I mówisz mi o tym dopiero teraz?

* * *

Przyszedł do niej odziany jedynie w szlafrok. Ona też była w szlafroku i zwykłej nocnej koszuli. Włosy opadały jej luźno na ramiona.

– Jasny miód – powiedział, ujmując blade pasmo i przepuszczając je między palcami. – W blasku świecy.

Czekała na niego, siedząc przy oknie i przyglądała się, jak ostatnie słoneczne promienie znikają za horyzontem, ustępując miejsca gwiazdom.

Przestawił krzesło i usiadł obok niej, a potem ujął jej dłoń i zaczął bawić się palcami. – Noc to pora demonów, ale też czas najsłodszej miłości.

Słowo „miłość” zawisło w powietrzu niczym zakazany owoc. Nie, nie będzie spodziewała się zbyt wiele. Nagroda w zupełności wystarczy.

– Zmierzch to bardzo spokojna pora dnia – zauważyła.

– Chyba że jest się małym zwierzątkiem próbującym skryć się przed sową.

– Dziś chcę mieć jedynie raj, nie *Raj utracony* – powiedziała, ostrzegając go spojrzeniem. – Dlaczego już to, że tylko sobie siedzimy, jest czymś tak słodkim? Ponieważ każdy chce dotykać, być blisko kogoś – odpowiedziała sobie sama. – Ale czy na pewno każdy? Jak jest z tobą?

– Nie odczuwałem takiej potrzeby. Albo nie wiedziałem, że ją odczuwam. – Ucałował jej palce. – Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być żonaty z kimś innym.

– Ani ja, lecz gdybyś poślubił pannę Nijaką, Trzmiela albo Niezdarę, mógłbyś z czasem ją pokochać. – Poruszyła zakazany temat, lecz Cate zdawał się tego nie zauważać.

– Być może. Widziałem jednak wiele związków tego rodzaju, gdzie małżonkowie ledwie się tolerowali. Nie tak jak my.

Całował jej palce, jeden po drugim, w miejscu, gdzie splatały się z jego palcami. Przyciągnęła ich splecione dłonie do ust, aby powtórzyć delikatną pieszczotę, delektując się jego zapachem, ciepłem szorstkiej skóry, dotykiem włosków łaskoczących jej wargi.

– Gdyby nie ty, prawdopodobnie poślubiłbym jedną z nich. Lub inną kandydatkę z listy. Byłem zdecydowany wypełnić obowiązek.

– Zamiast tego poślubiłeś mnie i wprowadziłeś do Keynings nie lada zamieszanie.

Skubnął jeden z jej palców. – Unikając gorszego piekła. Wątpię, czy potrafiłbym być potulnym mężem, gdyby coś wyprowadziło mnie z równowagi.

– Jesteś pewien, że ja nie zdołam tego dokonać? – spytała żartobliwie.

– Tylko w najlepszy możliwy sposób. Marsz do łóżka, żono.

Podeszli do łóżka, gdzie zsunął jej z ramion szlafrok.

– Dama w skromnej koszuli. Jakież to czarujące. Lecz trzeba będzie się jej pozbyć. Pozwolisz?

Prudence zaschło w ustach, a serce biło jak szalone.

– Pozwalam – odparła jednak.

Rozpiął, nie spiesząc się, wszystkie sześć guziczków, muskając palcami jej skórę, a potem rozsunął materiał, by móc pocałować najpierw pierś, a potem sutek. Prudence poczuła, że drży.

– Czy to nie jest przyjemne? – wymamrotał. – I nie ryzykujemy, że zajdziesz w ciążę.

Szlafrok miał rozchylony. Kusiło ją, by wsunąć tam dłoń, przekonać się, jak to jest, dotykać gładkiej, muskularnej piersi. Zrobiła to i powiedziała:

– Nie będzie dziś między nami żadnych barier.

– Owszem, będą. Te wynikające z naszych postanowień. Ale, jak powiedziałem, przeszkody potrafią wzmocnić jeszcze przyjemność.

Zsunął jej koszulę. Kiedy opadła na podłogę, Prudence zakryła się instynktownie dłońmi. Delikatnie odsunął je i przytrzymał.

– Jesteś cudowna, moja królowo wojowniczko. Klasyczne ciało pasujące do klasycznych rysów.

– Agrypina – przypomniała mu, a on się roześmiał.

Pozbył się szlafroka i stał, pozwalając jej na siebie patrzeć tak, jak on patrzył na nią. Nie nosił już bandaża, lecz mogła widzieć jego rany, dawne i świeże. I tak był doskonały.

– Ty jesteś wspaniały. Niczym klasyczny posąg. Te w holu nie umywają się do ciebie.

– Roe kazał zrobić kopie antycznych rzeźb, tyle że pozbawione niedoskonałości. Moich nie da się usunąć.

– Jesteś wojownikiem, a blizny to twoje ordery. – Objęła go i było to jeszcze bardziej cudowne, skóra przy skórze, żar do żaru, niepohamowany, a zarazem czuły.

Uśmiechnął się. Jego oczy pojaśniały z zadowolenia, kiedy wziął ją na ręce.

– Pamiętam, jak niosłeś mnie na piętro w domu Tallbridge'a – powiedziała. – Było to ekscytujące, a jednocześnie przerażające.

– Przestraszyłem cię?

– Byłeś taki silny.

– Czy teraz też cię przerażam?

Wiedziała, że powinna powiedzieć „nie", wybrała jednak prawdę.

– Jesteś mężczyzną. Nie przywykłam jeszcze do mężczyzn. Zwłaszcza takich jak ty.

– Takich jak ja? – Położył ją i obszedł łóżko.

– Takich jak ty – powtórzyła, pożerając spojrzeniem każdy szczegół wspaniałego męskiego ciała. – Potrafię jednak dostrzec zalety. Gdybyś zechciał przysunąć się bliżej, łatwiej byłoby mi się oswoić.

Roześmiał się i położył, nie przykrywając.

– Oswajaj się, ile tylko chcesz, *milady*.

Postąpiła tak, badając jego ciało dotykiem dla samej przyjemności robienia tego i mając nadzieję, że jemu też sprawia to przyjemność.

Leżał przez chwilę nieruchomo, po czym wsunął jej palec między uda i zaczął nim poruszać.

Drgnęła, zaskoczona, lecz potem westchnęła:

– Och...

– Och – zawtórował jej z uśmiechem, przysuwając znów usta do jej piersi. Jak delikatna pieszczota mogła wywołać tak przemożny skutek? A może to ręka tam w dole lub jedno i drugie...

– Co to takiego? – spytała.

– Dar bogów pozbawiony konsekwencji. Nie broń się przed tym, kochanie.

– Kochanie?

– Oczywiście.

– Mogłeś powiedzieć to wcześniej – poskarżyła się i trzepnęła go tak, jak wtedy, gdy wyznał jej, że jest lordem.

Cate jednak tylko się roześmiał, a potem nakazał jej poddawać się przyjemności, póki nie pogrążyła się w niej całkowicie, dotykając, chwytając i całując każdy fragment ciała ukochanego, jaki tylko znalazł się w zasięgu jej ust.

Jego palce wśliznęły się w nią głęboko, zastępując męskość i porwały w świat mrocznego żaru, który wirował dookoła niej i w niej, wypełniając zmysły naglącą potrzebą. Chrząkała – chrząkała! – a potem krzyczała. Wreszcie przetoczyła się przez nią fala rozkoszy, uspokajając wir i pozostawiając płonącą, rozedrganą satysfakcję.

– O Boże – wykrztusiła. – O Boże.

– Właśnie, moja droga – powiedział, uśmiechając się i całując ją. – Wiedziałem, że będziesz namiętną kochanką.

– A byłam?

– Byłaś. Jesteś. Zawsze.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Zawsze?

– Że mnie kochasz! A może tylko to sobie wyobraziłam?

– Kocham cię. Wiesz o tym.

– Nigdy mi nie powiedziałeś.

– Ależ musiałem.

– Nie.

– Ty też mi nie powiedziałaś – wytknął jej.

– Byłam zbyt nieśmiała.

– Może ja też jestem nieśmiały. – Uderzyła go znowu, śmiejąc się. Pochwycił jej dłoń i pocałował. – Nadal tego nie powiedziałaś.

– Kocham cię. Uwielbiam. Uważam, że jesteś najlepszym z mężczyzn. – Uśmiechnął się, cokolwiek zażenowany. – Naprawdę, Cate. Wiedziałam o tym, i to od pierwszej chwili. Dlatego wpuściłam cię do mojego domu i nie oskarżyłam o kłamstwo w kościele. Zawsze wiedziałam, że jesteś dobrym człowiekiem.

– A ja, że jesteś dla mnie stworzona...

Pocałowali się znowu, pieszcząc się i śmiejąc. Prudence uświadomiła sobie, że Cate jest znów podniecony.

– Zadowoliłeś mnie, a co z tobą?

– Zobacz, jakiego narobiłem tu nieporządku – powiedział, przysuwając się ku niej. – Za jakiś czas przeniesiemy się do twojego łóżka. A rankiem będziemy mieli wannę.

– Kto skorzysta z niej pierwszy?

– Zrobimy to razem. Jest wiele gier, którymi możemy zabawiać się, czekając. W łóżku, w kąpieli, w łódce, na huśtawce. A kiedy czas oczekiwania się skończy, moja rozkoszna, namiętna żoneczko, zamierzam zadowalać cię w naszym raju, naszym domu, na wszelkie możliwe sposoby, nocą i dniem, póki nas śmierć nie rozłączy.

# Od Autorki

Zaczerpnęłam temat tej opowieści z cudownej książki Amandy Vickery *Behind Closed Doors: At Home In Georgian England* (Yale University Press, 2009). Podobnie jak w swojej poprzedniej książce, *Gentlemen's Daughters*, opisującej życie kobiet z tej samej klasy oraz epoki, zamieszcza w niej listy i rachunki kobiet tamtych czasów, aby pokazać nam, jak żyły.

Książka pełna jest szczegółów na temat życia domowego mężczyzn i kobiet, włączając oczywistą prawdę, że nawet ci, zdawałoby się, liberalni mężczyźni w Brytanii i Ameryce rzadko rozciągali wyznawane zasady na własny dom. Kobiety tego okresu, podobnie jak nieco późniejszych, były zazwyczaj rządzone przez mężczyzn, a ich los zależał od kaprysu i dobrej woli tychże.

Bywało to szczególnie dotkliwe, kiedy kobieta znajdowała się pod opieką brata, zależna od niego pod każdym względem, jeśli ojciec odpowiednio jej nie zabezpieczył. Wiele z tych kobiet skarżyło się, że poza płcią nic nie różni ich od męskiego

rodzeństwa, a jednak to syn otrzymywał pieniądze i niezależność, podczas gdy one nie miały nic.

Książka pozwala nam zajrzeć za kulisy życia jednej z tych kobiet. Kiedy jej ojciec umarł, pozostawiając rodzinę bez pieniędzy, biedowały wraz z matką, skąpiąc sobie wszystkiego i oszczędzając każdy grosz, aby jej brat mógł wykształcić się na prawnika i utrzymywać je na poziomie, do jakiego przywykły. Lecz kiedy brat zakończył edukację i zaczęło mu się dobrze powodzić, ignorował prośby matki i siostry o wsparcie. Po jakimś czasie matka umarła, a córka zaczęła go nękać, domagając się sprawiedliwości.

W końcu zaaranżował jej małżeństwo z kolegą.

Brzmi znajomo? Pamiętajcie, że to prawdziwa historia.

Ta skończyła się jednak źle. Mąż był brutalem i w końcu kobieta zmuszona była od niego uciec, zostawiając malutką córeczkę. Poszła do sądu, domagając się sprawiedliwości i – wierzcie lub nie – brat zeznawał przeciwko niej. Oskarżenie upadło i musiała żyć potem w biedzie. Nie zobaczyła też więcej córki.

Postanowiłam opisać tę historię, dodając bardziej optymistyczne zakończenie. Mam nadzieję, że Wam się podobała.

Osiemnasty wiek był dla kobiet trudnym okresem i nie sądzę, by należało ignorować tamte problemy, pisząc romans historyczny. Nie zapominajmy jednak, że był to czas, gdy światem rządziła hierarchia – mężczyźni także musieli podporządkowywać się innym: urzędnikom, sędziom albo osobom stojącym w społecznej hierarchii wyżej niż oni. Jak mogliście się o tym przekonać, czytając *Tajemniczego księcia*, nawet Rothgar musiał obchodzić się

delikatnie z młodym księciem Ithorne'em, obaj zaś podlegali władzy króla.

Cate stanowi przykład innego rodzaju zależności. Armia jest i zawsze była autorytarna i hierarchiczna ze swej natury, a jemu poddawanie się rozkazom nie przychodzi łatwo. Jako młodszy syn wychowany został w przekonaniu, że starszy brat powinien odziedziczyć wszystko, on zaś musi znaleźć dla siebie miejsce w świecie. Jedyna różnica pomiędzy nim a Prudence polega na tym, że georgiański świat oferował mężczyznom znacznie więcej możliwości, by mogli zapracować na utrzymanie, a nawet dorobić się majątku.

W końcu Cate musi jednak ulec przeznaczeniu. Gdy brat umiera, zostaje lordem, czy tego chce, czy nie. Oznacza to, iż musi wziąć na barki rozliczne obowiązki i poświęcić życie ich wypełnianiu. Jedyną ucieczką byłoby haniebne wyrzeczenie się dziedzictwa i porzucenie wszystkich, których los zależy tylko od niego. By spełnić się w narzuconej roli, potrzebuje wsparcia żony i w końcu jego nieodpowiednia z pozoru hrabina okazuje się tą właściwą.

Akcja książki rozgrywa się w świecie Mallorenów, rządzonym przez markiza Rothgara. Główna seria książek ze świata Mallorenów zaczyna się od *Występnej damy*. Książka, opisująca losy Rothgara i Diany to *Diabelska intryga*. Możecie dowiedzieć się o nich więcej, tak jak o pozostałych, na mojej stronie: www.jobev.com. Uwielbiam rozmawiać z czytelnikami. Możecie skontaktować się ze mną na stronie jo@jobev.com. Proszę, wpiszcie coś w okienku: temat, inaczej Wasz mail zostanie

potraktowany jak spam. Możecie odszukać mnie też na Facebooku, a także, od czasu do czasu, na Tweeterze.

Niech każda z moich książek wywoła na Waszych twarzach uśmiech. Z najlepszymi życzeniami,

*Jo*



Zmuszony do opuszczenia armii i skłócony z rodziną Catesby Burgoyne topi smutki w alkoholu, gdy pewnego wieczoru staje się świadkiem napaści rzezimieszków na kobietę. Z ochotą rzuca się jej na pomoc nieświadom, że dama, którą uratuje, odmieni jego życie. Prudence Youlgrave, która za sprawą samolubnego brata żyje w ubóstwie, jest nie tylko urodziwa, ale też odważna i zdeterminowana walczyć o lepsze życie. To sprawi, że Catesby często będzie do niej wracał myślami, a gdy po raz kolejny przyjdzie mu ratować ją z opresji, ożeni się z nią. Tyle że wówczas odziedziczy już nieoczekiwanie tytuł lordowski i świeżo poślubiona Prudence zostanie hrabiną, która nie ma pojęcia o niczym, co wiąże się z tytułem.

www.wydawnictwobis.com.pl